

**100
LAT**

NIEPODLEGŁOŚCI

Jędrzej Moraczewski

Wspomnienia

Ludzie, czasy i zdarzenia

Część pierwsza

Młodość i praca inżynierska

Tom 2

Lata 1895–1900

Opracowanie, wstęp i komentarz

Ilona Florczak

**WYDAWNICTWO
UNIwersYTETU
ŁÓDZKIEGO**

Jędrzej Moraczewski

Wspomnienia

Ludzie, czasy i zdarzenia



WYDAWNICTWO
UNIwersytetu
Łódzkiego

100
LAT

NIEPODLEGŁOŚCI

Jędrzej Moraczewski

Wspomnienia
Ludzie, czasy i zdarzenia

Część pierwsza

Młodość i praca inżynierska

Tom 2

Lata 1895–1900

Opracowanie, wstęp i komentarz

Ilona Florczak

 WYDAWNICTWO
UNIWERSYTETU
ŁÓDZKIEGO

Łódź 2019

Ilona Florczak – Uniwersytet Łódzki, Wydział Filozoficzno-Historyczny
Katedra Historii Historiografii i Nauk Pomocniczych Historii
90-219 Łódź, ul. A. Kamińskiego 27a

RADA REDAKCYJNA
SERII 100 LAT NIEPODLEGŁOŚCI

Przemysław Waingertner – przewodniczący; członkowie: *Agnieszka Jędrzejewska*
Krzysztof Lesiakowski, Sebastian Pilarzki, Lilianna Świątek, Piotr Zawilski
członkowie honorowi: *Kazimierz Badziak, Hubert Bekrycht*

RECENZENT
Janusz Gołota

REDAKTOR INICJUJĄCY
Iwona Gos

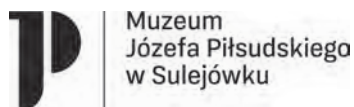
REDAKTOR WYDAWNICTWA UŁ
Dorota Stępień

SKŁAD I ŁAMANIE
Tomasz Pietras

PROJEKT OKŁADKI
Katarzyna Turkowska

Zdjęcie na okładce: Zofia i Jędrzej Moraczewscy w 1896 r., źródło: polona.pl

Publikacja objęta patronatem Muzeum Józefa Piłsudskiego w Sulejówku



© Copyright by Ilona Florczak, Łódź 2019

© Copyright for this edition by Uniwersytet Łódzki, Łódź 2019

Publikacja jest udostępniona na licencji Creative Commons Uznanie autorstwa-Użycie niekomercyjne-Bez utworów zależnych 4.0 (CC BY-NC-ND)

Wydane przez Wydawnictwo Uniwersytetu Łódzkiego

Wydanie I. W.09323.19.0.K

Ark. wyd. 12,3; ark. druk. 12,625

ISBN 978-83-8142-662-6
e-ISBN 978-83-8142-663-3

<https://doi.org/10.18778/8142-662-6>

Wydawnictwo Uniwersytetu Łódzkiego

90-131 Łódź, ul. Lindleya 8

www.wydawnictwo.uni.lodz.pl

e-mail: ksiegarnia@uni.lodz.pl

tel. (42) 665 58 63



Fot. 1. Portret Jędrzeja Moraczewskiego
narysowany przez córkę Wandę około 1940 r.
i wklejony na pierwszej stronie zeszytu
drugiego tomu *Wspomnień*

Źródło: Archiwum Akt Nowych, sygn. 71/III-1

SPIS TREŚCI

OD REDAKCJI	9
NOTA EDYTORSKA	13
ROZDZIAŁ I	
WYDZIAŁ KRAJOWY	15
ROZDZIAŁ II	
BUDOWA KOLEI TARNOPOL–KOPYCZYŃCE I MOJA ŻENIACZKA	33
ROZDZIAŁ III	
PRZED BUDOWĄ KOLEI DO SKAŁY NAD ZBRUCZEM	55
ROZDZIAŁ IV	
SKAŁA NAD ZBRUCZEM (DZIŚ SKAŁA PODOLSKA)	71
ROZDZIAŁ V	
LWÓW	121
ROZDZIAŁ VI	
SPALATO	157

OD REDAKCJI

O ddajemy do rąk Czytelników drugi tom wspomnień Jędrzeja Moraczewskiego, polityka socjalistycznego i pierwszego premiera II Rzeczypospolitej, obejmujący lata 1895–1900¹, dotyczący okresu sprzed rozpoczęcia przez Autora kariery politycznej. W pierwszym rozdziale Moraczewski powrócił do wydarzeń poprzedzających odbycie obowiązkowej, rocznej służby wojskowej w wojsku austriackim (opisanej w pierwszym tomie), a mianowicie do podjęcia pracy w Wydziale Krajowym, pełniącym funkcję organu wykonawczego galicyjskiego Sejmu Krajowego. Moraczewski, po otrzymaniu absolutorium, został zatrudniony w Biurze Drogowym, gdzie spędził blisko 3 lata, zdając w tym czasie egzamin państwowy, umożliwiający podjęcie pracy w administracji państwowej, kolejnictwie lub podjęcie prywatnej praktyki. W 1896 r., po rozpoczęciu pracy w kierownictwie budowy kolei Tarnopol II przez Moraczewskiego i po zawarciu związku małżeńskiego, Moraczewscy opuścili Lwów i zamieszkali na prowincji galicyjskiej, na dłużej zatrzymując się w Skale nad Zbruczem, prowincjonalnym miasteczku tuż przy granicy z imperium rosyjskim, zamieszkanym w dużej mierze przez ludność żydowską. Jedyną atrakcją tego miejsca były ruiny zamku Koriatowiczów. W tym okresie miasto miało charakter rolniczy i było siedzibą założonej przez Agenora Romualda Gołuchowskiego ordynacji². Bliskość granicy sprzyjała jednak rozwojowi przemytu, którym trudniła się w dużej mierze ludność żydowska. W tym czasie Moraczewski zajmował się projektowaniem i wytyczaniem trasy linii kolejowej, nadzorowaniem prac przy jej budowie (którą wykonywały firmy prywatne), a także

¹ Autor w tej części *Wspomnień* zakłócił nieco chronologię opisywanych wydarzeń, cofając się do roku 1893.

² Szerzej na temat historii miasta zob. M. Szulińska, J. Szuliński, J. Zieliński, *Skala nad Zbruczem. Dzieje, architektura, budownictwo*, Warszawa 2003, s. 17–27. Bliższe informacje o Koriatowiczach i Gołuchowskich zostały umieszczone w tekście głównym.

opracowywaniem dokumentacji finansowej tego przedsięwzięcia. W latach 1896–1898 na terenie południowo-wschodniej Galicji wybudowano zespół lokalnych linii kolejowych znanych pod nazwą: Wschodniogalicyskie Koleje Lokalne³. Ich część stanowił odcinek nadzorowany przez młodego inżyniera Moraczewskiego. Przy okazji opisu specyfiki pracy przy budowie kolei, Autor *Wspomnień* scharakteryzował mechanizmy i nieprawidłowości związane z zaangażowaniem przy budowie prywatnych przedsiębiorców oraz ich stosunek wobec zatrudnianych robotników kolejowych.

Podobnie jak w pierwszej części w opowieści Moraczewski sportretował ludzi, których spotykał – zarówno tych, którzy wywierali bezpośredni wpływ na jego życie, jak i tych powszechnie znanych w Galicji, np. z powodu sprawowanych funkcji bądź z racji społecznej lub politycznej działalności. Nakreślił sylwetki nie tylko inżynierów pracujących wraz z nim przy budowie linii kolejowej, lecz także bezimiennych robotników spotkanych podczas pracy przy budowie linii kolejowej na prowincji. Starał się odtworzyć specyfikę panujących na kolei stosunków i warunków pracy. Podjął również próbę przedstawienia stosunków społecznych i klimatu politycznego Galicji Wschodniej. W tej części *Wspomnień* przeważają jednak opisy życia młodego, inteligentnego małżeństwa, zmagającego się z prozaicznymi problemami życia codziennego, takimi jak: liczne przeprowadzki, pierwsze nieudane próby kulinarne czy walka z wiecznym wrogiem gatunku ludzkiego, czyli karaluchami. Autor ukazał też prowincjonalne rozrywki i sposoby spędzania wolnego czasu, czyli wycieczki rowerowe (w owych czasach sport był awangardą) i krajoznawcze (m.in. do Kamieńca Podolskiego, Triestu i Wenecji), spotkania towarzyskie, organizowanie przedstawień amatorskich teatrów i podejmowanie prób aktywizacji środowiska lokalnej śmietanki towarzyskiej, do której państwo Moraczewscy byli zaliczani.

Po zakończeniu prac w Skale Moraczewscy spędzili kolejny rok we Lwowie, gdzie inżynier zajmował się opracowywaniem końcowej dokumentacji dotyczącej budowy linii kolejowej. Małżonkowie wykorzystali ten czas na odnowienie starych i nawiązanie nowych znajomości. Przebywali głównie w środowisku lewicowym, wśród działaczy związanych z Polską Partią Socjalistyczną Galicji i Śląska (PPSD). W tym czasie, na krótko, Moraczewski zaangażował się w pracę społeczną, aktywnie uczestnicząc w pracach Towarzystwa Szkoły Ludowej im. Adama Mickiewicza czy redagując pismo satyryczne „Cięgi”⁴.

³ A. Dylewski, *Historia kolei w Polsce*, Warszawa 2012, s. 49.

⁴ I. Florczak, *Jędrzej Moraczewski. Socjalista, poseł, legionista. Z autonomicznej Galicji do niepodległej Polski*, Łódź 2009, s. 56, 57.

Drugi tom *Wspomnień* kończy rozdział, w którym w niezwykle barwny sposób Autor opisał blisko roczny pobyt w Spalato (Splicie)⁵ w Dalmacji, dokąd został oddelegowany do pracy w kierownictwie budowy kolejki wąskotorowej na trasie Sinij–Arzano. Przy okazji relacji dotyczących życia codziennego i warunków pracy w Chorwacji, Moraczewski przedstawił, oczywiście z własnego punktu widzenia, charakterystykę narodów zamieszkujących te ziemie, sposób zarabkowania, gospodarkę i problemy z codziennością. Nie zabrakło także opisów krajobrazu, zupełnie odmiennego niż w Galicji klimatu, nawiązania do przeszłości tych ziem czy wskazania podobieństw i różnic pomiędzy narodami zamieszkującymi południowy kraniec monarchii austro-węgierskiej.

Opowieść Jędrzeja Moraczewskiego o początkach kariery zawodowej i pierwszych latach małżeństwa jest pełna optymizmu i kolorytu, zabawnych opowieści, dynamiczna i pełna życia. Mimo ciągłych przeprowadzek i braku stabilizacji okres wspólnych kilku lat na prowincji wydawał się jednym z najszczęśliwszych momentów w życiu małżeństwa Moraczewskich, podczas których umocniło się łączące ich uczucie i wspólny światopogląd. Zaletą *Wspomnień* Moraczewskiego są również dowcipne, a nierzadko sarkastyczne, komentarze do zdarzeń, których Autor był świadkiem bądź uczestnikiem.

Ilona Florczak

⁵ Spalato (Split) – miasto portowe w Chorwacji, położone nad Morzem Adriatyckim, ważny ośrodek komunikacyjny i przemysłowy. W okresie, o którym pisał Autor *Wspomnień*, znajdowało się w granicach monarchii habsburskiej.

NOTA EDYtorsKA

Niniejszą edycję oparto na przechowywanym w Archiwum Akt Nowych w Warszawie maszynopisie, stanowiącym część Archiwum Zofii i Jędrzeja Moraczewskiego, oznaczonym sygnaturą 71/III-1a. W drugim tomie publikowanych *Wspomnień* zastosowano te same wytyczne, których użyto w poprzednim tomie, wydanym w 2018 r. Opierając się na projekcie instrukcji wydawniczej dla źródeł dwudziestowiecznych, starano się jak najmniej ingerować w oryginalny tekst źródła. Z tego powodu zachowano autorski podział tekstu na sześć rozdziałów, zmieniając jedynie ich numerację z literowej (A, B, C itd.) na cyfrową – cyfr rzymskich dla rozdziałów i cyfr arabskich dla podrozdziałów. Zrezygnowano również z umieszczania występujących w oryginale spisów treści przed każdym rozdziałem.

Uwspółcześniono ortografię i interpunkcję, poprawiono literówki, ujednolicono zapis dat. Zachowano oryginalny zapis liczebników. Bez oznaczenia w tekście poprawiono błędny zapis nazwisk i miejscowości. Tytuły książek i wierszy zapisano kursywą. Uzupełnienia pochodzące od Autora umieszczono w tekście w nawiasie prostym, natomiast adnotacje redakcyjne – w nawiasie kwadratowym. Dla oddania stylu epoki pozostawiono charakterystyczne dla epoki sformułowania i formy gramatyczne, używając znaku [s].

W przypisach dolnych, pochodzących od wydawcy, umieszczono, o ile było to możliwe, encyklopedyczne informacje dotyczące osób i wydarzeń występujących w tekście (również tych, które występowały już w tomie pierwszym), archaizmy i zwroty obcojęzyczne oraz ewentualne sprostowania.

Rozdział I

WYDZIAŁ KRAJOWY

1.

Krajowe Biuro Drogowe czy kolej? Zostaję rysownikiem w Biurze Drogowym za 1 złr. 50 c. dziennie. Powstańcy z 1863 r. i socjaliści w biurze. Biuro Drogowe a Melioracyjne.

P o ukończeniu techniki roztwierały się przede mną nie najświetniejsze widoki otrzymania pracy inżynierskiej. Okres kryzysu gospodarczego dobiegał wprawdzie końca, ale jeszcze się nie skończył. Dopiero powoli zaczęły się ruszać budowlane roboty publiczne. Prawie jedynymi większymi robotami były wojskowe roboty fortyfikacyjne i budowa strategicznej linii kolejowej Stanisławów–Woronienka. Prywatnych przedsiębiorstw było w moim fachu niewiele, a i tak wskutek braku robót zmniejszały swój personel inżynieryjny, zatem w razie ruszenia w kraju większych robót publicznych i tak zapotrzebowanie, przez nie, [na] młodych inżynierów, bez praktyki, nie byłoby zbyt wielkie. Wędrować za granicę, wzorem naszych mechaników, lub tych inżynierów, którzy pojechali do budowy kolei syberyjskiej, nie chciałem, bo zakochałem się po uszy i miałem zamiar żeniaczki. W każdym razie czekał mnie jeszcze drugi egzamin państwowy i służba wojskowa. Możliwości pracy w urzędach publicznych były dla mnie ograniczone. Drogę do państwowej służby technicznej miałem zamkniętą, skoro naczelnym szefem tej służby był mój ojciec. Fakt, że dyrektorem miejskiego

urzędu budowlanego był szwagier mego ojca, a mój wuj Hochberger¹, uniemożliwiał mi pracę w miejskiej technice. Biuro Melioracyjne Wydziału Krajowego nie ciągnęło mnie ku sobie. Profesor robót wodnych Rychter² zniechęcił mnie w czasie studiów i do siebie, i do przedmiotu, a natomiast osoby profesorów: Skibińskiego³ i Gostkowskiego⁴ i ich wykłady, najlepsze na naszym Wydziale, skłoniły mnie do wybrania, jako swego fachu, budowy dróg i kolei. To raz, a po wtóre mój ojciec i dyrektor Biura Melioracyjnego inż. Andrzej Kędzior⁵ nie byli przyjaciółmi. Kędzior obarczał odpowiedzialnością za wolne tempo robót nad regulacją rzek mego ojca i pierwszorzędnego fachowca w tej dziedzinie i robiącego wszystko, co było w jego mocy, aby zdobyć fundusze na rzeki. Naprawdę winnym było Koło Polskie⁶ w parlamencie wiedeńskim i minister dla Galicji. Oba te czynniki nie umiały czy też nie chciały, w czasie ustalania budżetu, wydusić z ministra skarbu kredytów potrzebnych na wykonanie, w szybszym tempie, regulacji Wisły i Dniestru z dopływami. Z drugiej strony, zainteresowani osobiście w melioracjach rolnych obszarnicy tworzyli większość wpływowych i istotnie miarodajnych polskich posłów, członków Izby Panów, jako też posłów sejmowych, przeto z łatwością uzyskiwali pieniądze na regulacje, bezpośrednio związane z melioracjami rolnymi i na same melioracje, wykonywane przez Kędziorowe biuro. Stąd Kędzior nabrał fałszywego wyobrażenia o możliwościach wydobywania z Wiednia środków na regulację rzek.

Miałem tedy tylko dwie możliwości przed sobą. Biuro Drogowe w Wydziale Krajowym lub pracę przy kolei. Wolałem pracować w polskim biurze krajowym niż w c. k. przedsiębiorstwie państwowym, a więc austriackim, jakimi były koleje. Tym sympatyczniejszą byłaby mi tam praca, że góra Biura Drogowego była gniazdem powstańców z 1863 r., a w dole pracowała garść socjalistów, moich kolegów i towarzyszy. Dyrektor biura Gustaw Reutt⁷,

¹ Juliusz Hochberger (1840–1905) – architekt wywodzący się z Poznania, dyrektor Miejskiego Urzędu Budowlanego we Lwowie i twórca wielu tamtejszych budynków użyteczności publicznej, m.in. gmachu Sejmu Krajowego i III Gimnazjum im. Franciszka Józefa.

² Józef Rychter (1843–1917) – inżynier, specjalista w zakresie budownictwa wodnego, profesor Szkoły Politechnicznej i rektor w latach 1900/1901.

³ Karol Skibiński (1849–1922) – inżynier kolejowy, budowniczy linii kolejowych w monarchii austro-węgierskiej, profesor, wielokrotny dziekan Wydziału Inżynierii i rektor (1891/1892) Szkoły Politechnicznej we Lwowie.

⁴ Roman Gostkowski (1837–1912) – inżynier kolejnictwa, profesor i rektor Szkoły Politechnicznej, członek Towarzystwa Politechnicznego, teść Autora *Wspomnień*.

⁵ Andrzej Kędzior (1851–1938) – polityk związany z ruchem ludowym, od 1892 r. dyrektor Biura Melioracyjnego we Lwowie. W II Rzeczypospolitej minister robót publicznych, poseł na Sejm, senator.

⁶ Koło Polskie – ugrupowanie polskich posłów w parlamencie wiedeńskim.

⁷ Gustaw Reutt (1842–1902) – inżynier, działacz patriotyczny, powstaniec styczniowy, emigrant. W 1868 r. przybył do Galicji, gdzie początkowo pracował jako inżynier powiatowy

bardzo porządny i dobry człowiek, zarazem dobry inżynier, był po prostu za miękki na szefa. Z walk powstańczych wyniósł kalectwo nogi i daleko posunięte pojęcie o równości wszystkich ludzi. Stąd pochodził jego szczerzy demokratyzm. Jego zastępcą był również wojownik z powstania, bardzo dobry inżynier i tak samo dobry człowiek Władysław Szyszkowski⁸. Walczyli także w szeregach powstańczych: Czaplicki Henryk⁹, Jankowski Kazimierz¹⁰, Bieńkowski Feliks¹¹ i in. Wymieniona piątka, najstarszych stopniem służbowym inżynierów, tworzyła sztab kierujący całym biurem.

Sekretarzem dyrekcji był, dla odmiany socjalista, Czajkowski Mikołaj¹², kolega z sal wykładowych i rysunkowych. Wiekiem znacznie ode mnie starszy, bo stosunkami życiowymi zmuszony do zarobkowania, zapóźnił się w studiach. Z innych socjalistów pracowali tam wtedy Hausner Artur¹³, Libański Edmund¹⁴, b. asystent św. Thulii, Władysław Ziemiński¹⁵ i ja. Bo po powrocie z rozkoszy wakacyjnych w Winogradzie, zostałem od 21 września 1893 r. przyjęty jako rysownik z płacą 1 złr. 50 c. za każdy dzień pracy, co wynosiło od 34 do 38 reńskich miesięcznie. Miałem obiecaną nominację na elewa po przedłożeniu absolutorium ze studiów i bezpłatny urlop na czas przygotowania się do egzaminu państwowego. Spośród moich nowych kolegów, oprócz wymienionych, ciekawymi postaciami byli: muzyk i kompozytor Barański Franciszek (wydał drukiem zbiory kolęd, pieśni narodowych i tańce swojej kompozycji) i Pol Stanisław¹⁶, syn Wincentego¹⁷. Pol nie miał żadnych studiów technicznych, w biurze pracował jako rysownik, za to miał bardzo nierozległy horyzont myślenia i bardzo małą zdolność

w Krakowie i Wieliczce. Od 1872 r. zatrudniony w oddziale technicznym Wydziału Krajowego. Od 1894 do 1901 r. dyrektor biura techniczno-drogowego Wydziału Krajowego.

⁸ Władysław Szyszkowski (1844–?) – powstaniec styczniowy, inżynier.

⁹ Henryk Czaplicki (1842–?) – uczestnik powstania styczniowego. Jako szeregowiec był członkiem oddziału sformowanego na galicyjskim Podolu.

¹⁰ Kazimierz Jankowski (1843–?) – powstaniec styczniowy, inżynier dróg krajowych w Galicji.

¹¹ Feliks Bieńkowski (1838–1896) – lwowianin, uczestnik powstania styczniowego, inżynier Wydziału Krajowego we Lwowie.

¹² Mikołaj Czajkowski (1863–?) – inżynier, pracujący w Wydziale Krajowym we Lwowie, socjalista, członek PPSD.

¹³ Artur Hausner (1869–1941) – inżynier, działacz socjalistyczny, członek PPSD, następnie PPS, publicysta. W II Rzeczypospolitej poseł na Sejm Ustawodawczy oraz Sejm I i II kadencji.

¹⁴ Edmund Libański (1862–1928) – lwowski inżynier, członek Towarzystwa Uniwersytetu Ludowego im. Adama Mickiewicza, działacz społeczny i naukowiec, pionier lotnictwa, pisarz i publicysta, członek PPSD.

¹⁵ Władysław Ziemiński (1865–1939) – inżynier, urzędnik, minister robót publicznych w rządzie Artura Śliwińskiego.

¹⁶ Marek Stanisław Pol – inżynier agronom, malarz i rysownik, syn Wincentego Pola i jego pierwszej żony Kornelii z Olszewskich.

¹⁷ Wincenty Pol (1807–1872) – poeta i geograf, uczestnik powstania listopadowego.

pojmowania. Gdzieś, kiedyś zasłyszał frazes „niech się kpy biją, niech się świat poleruje”, który tak mu się spodobał, że często go powtarzał najczęściej w niewłaściwym zastosowaniu, co pozwalało nam przeżyć wiele rozkosznych chwil z tego powodu. Syn Rodocia¹⁸, znanego poety satyryka, inż. Biernacki Konstanty¹⁹, był bardzo pracowitym i sumiennym inżynierem, acz nie tak zdolnym, jak sam o sobie mniemał i chciał, aby inni byli tego samego zdania, robił karierę. Inż. Bogucki Jan²⁰ zapracowywał się jak zwykle. W biurze pracował od 8 do 14 (biuro pracowało od 9 do 15). Punktualnie o 14 wylatywał jak z procy do innego biura, w którym odrabiał 5 godzin roboty bez przerwy. O siódmej wieczorem galopem wracał do domu, gdzie znowu wypracowywał wzięte do domu roboty. Był wtedy żonatym, dzieciatym i wzorem pracowitości.

Wchodząc w praktyczne życie techniczne, napotkałem na ostry antagonizm między dwoma technicznymi biurami tego samego Wydziału Krajowego, zamiast owej solidarności zawodowej, o której nasłuchiwałem się tyle i tak pięknych deklamacji. Na utrzymanie i budowę dróg z trudem znajdowały się pieniądze, a na meliorację wpływały stosunkowo duże. Inżynierowie melioracyjni byli beniaminkami marszałka i członków Wydziału Krajowego. Stąd uposażenie, dodatki budowlane, diety, zapłaty za jazdy itp. otrzymywali wyższe aniżeli inżynierowie drogowi. Na tym tle wyrosła niechęć naszego biura do melioracyjnego, połączona z podejrzeniami i plotkami o zbyt niekorzystnym i schlebianiu Kędziorowi. Zaś tamci patrzyli z góry na nas drogowych, ponieważ ich Kędzior był istotnie doskonałym organizatorem robót, pierwszorzędnym fachowcem jako inżynier melioracyjny, z którym ani co do wiedzy, ani co do praktyki nie mógł się żaden inny meliorant polski równać, podczas gdy w kraju było przynajmniej kilkunastu inżynierów drogowych równych, albo nawet górujących wiedzą i doświadczeniem nad naszym Reuttem.

Pierwszą moją praktyką inżynierską był nadzór nad budową nawierzchni klinkierowej na drodze krajowej ze Lwowa przez Sichów w świat. Próbę takiej nawierzchni robiono w samym Sichowie. Prawdę mówiąc, do nawierzchni użyto nie żadnych klinkierów tylko lepiej wypalonych cegieł. Lwów ma wprawdzie glinę nadającą się do wypalania klinkierów i odpowiedni do tego piasek. Ale dotąd nie zdobył się na zbudowanie ani jednego

¹⁸ Mikołaj Biernacki, pseud. Rodoć (1836–1901) – poeta, satyryk, redaktor i wydawca. Od 1878 r. mieszkał we Lwowie.

¹⁹ Edward Konstanty Biernacki (1867–?) – urodzony w Warszawie, był synem Mikołaja Biernackiego i jego pierwszej żony Natalii Szulc-Holnickiej. Ukończył Wydział Inżynierii Szkoły Politechnicznej we Lwowie. Pracował m.in. jako inżynier-adiunkt w Wydziale Krajowym. W latach 1912–1914 sprawował mandat radnego miejskiego we Lwowie.

²⁰ Jan Bogucki – wówczas elew III klasy.

pieca, dostosowanego do wytwarzania temperatury koniecznej dla roztopienia gliny, a więc do wyrobu klinkierów. Toteż rozwijał się i rozwinął tam doskonale tylko przemysł cegielniany. Tymczasem cegła co innego, a klinkier znów insza inszość. Żadna cegielnia lwowska nie była w stanie dostarczyć 120 000 sztuk klinkierów, tj. tyle ile potrzeba na pół kilometra krajowego gościńca. Zadanie nadzorującego polegało na utrzymaniu właściwego kierunku, odpowiedniej wysokości, czuwanie nad porządnym ułożeniem nawierzchni i odbiorze cegieł. Nikt mi nie określił granicy między żądanym klinkierem a dobrze wypaloną cegłą, przeto po prostu nie wiedziałem dobrze, o co w tej próbie chodzi. Jaka cegła nadaje się do tego celu, a jaka nie? Mój poprzednik odebrał już parę stosów cegły, na których wzorowałem się przy tych niby to klinkierach. Nie miałem ani planu drogi, ani nowej nawierzchni, ani wysokości nawierzchni, ani narzędzi mierniczych. Chodziłem do Sichowa przez 6 dni, płątałem się po placu bez pewności siebie, przeto byłem bardzo zadowolony, gdy mnie któryś ze starszych elegantów zastąpił. Próba się nie udała. Wozy w pół roku rozbiły cegłę w puch i proch. Błoto na drodze zostało o tyle ulepszone, że kolor jego był czerwony, a głębokość szczerego błota o jakich 10 centymetrów większa po ulepszeniu nawierzchni niż przedtem.

Zostałem przydzielony inż. Jankowskiemu. Był to zapracowujący się, tęgi inżynier, wymagający wydatnej pracy od swoich podwładnych. Ja się nie zapracowywałem. Praca w biurze zaczynała się, teoretycznie, o 9, ale o tej godzinie zjawiali się punktualnie w komplecie tylko starsi inżynierowie i szefowie wraz z Czajkowskim. Młodzież spóźniała się. Dopiero o 10 wszyscy byli na swych miejscach. Było to wynikiem niezadowolenia z marnych płac. Dziewięciu praktykantów, nazwanych szumnie „elewami” (elegantami, jak my mówiliśmy) było podzielonych na trzy klasy poborowe, po trzech w każdej. Czas służby w jednej klasie wynosił dwa lata. Zatem elegant 3 klasy, z płacą 500 złr. rocznie, po dwóch latach pracy zostawał elewem 2 klasy i otrzymywał już 600 złr. rocznie, zaś po dalszych dwóch latach przechodził do 1 klasy z płacą 700 złr. Po odpracowaniu jeszcze dalszych dwóch lat mógł zostać asystentem z poborami dochodzącymi do 100 złr. miesięcznie, co wystarczało zaledwie na bardzo skromne życie młodej, ale zdrowej, parze małżeńskiej, bezdzietnej. Na tak „wygórowane” pobory trzeba było pracować 6 lat. Była to jedna z nielicznych instytucji w kraju, w której praktykant po dwóch latach awansował na... praktykanta, a przepracowawszy dalsze dwa lata nareszcie zostawał właściwym... praktykantem.

Na wspólnych śniadaniach dawaliśmy wyraz swemu niezadowoleniu. Przyłączali się do elegantów asystenci, a nawet adiunkci, co razem tworzyło $\frac{2}{3}$ personelu inżynierskiego dróg. W samo południe schodziło się całe biuro

do olbrzymiego samowara. Wypicie herbaty i zjedzenie kawałka chleba trwało początkowo 15 do 20 minut. Stopniowo się przedłużało, aż stało na jednej godzinie. Cały czas wypełniała dyskusja między socjałami a powstańcami. Rozgrywka w Sokole²¹, z okazji organizowanej banderii konnej sokolej na przyjazd cesarza²², zaczęła się właściwie pod tym samowarem. Poza tym niekończące się rozprawy i spory na tematy narodowe, społeczne, gospodarcze i polityczne były, pociągającą wszystkich, miłą przerwą w nudnym obliczaniu objętości pryzm szutrowych²³, przywożonych przez dostawców na gościńce, a odebranych przez inżynierów. Bo to była najczęstsza praca biurowa, nad projektami budowy dróg i mostów pracowali tylko wybrani, nieliczni szczęśliwcy, ponieważ iż na nowe budowle było bardzo mało pieniędzy.

O akcji polepszenia bytu pomyśleliśmy w 1894 r. Za późno, bo projekt budżetu krajowego był już ułożony i oddany do druku. Na nasze pismo, streszczające bolączki i żądania, otrzymali wysłani delegaci odpowiedź od wicemarszałka. Odmowę motywował dwoma słowami: „Za późno”. Projektowałem bierny opór przeciwko wyjazdom na budowy i do przeróbek nawierzchni dróg, ale po pierwsze: myśl ta wpadła mi do głowy też za późno, z powodu, że większość delegacji już była wyznaczona, delegowani się na nie zgodzili i nie można się było cofnąć, a po wtóre czas Wystawy Krajowej²⁴ nie wydawał się większości niezadowolonych odpowiednim do tego rodzaju demonstracji.

Natomiast bierny opór w pracach biurowych częściowo się powiódł. Rozumowanie moje było proste i przekonujące. „Skoro władza krajowa nie chce czy nie może podnieść naszych poborów, podnieśmy je sobie sami. Ja np. za 6 godzin pracy, właściwie za dzień roboczy otrzymuję 1,50 złr., tedy wypada za godzinę pracy 25 centów. Gdy ten dzień skróć do 3 godzin pracy, za który tak samo otrzymam 1,50, wypadnie moje wynagrodzenie za godzinę pracy już nie 25 tylko 50 centów, czyli o 100% więcej. Zasadę przyjęto z uznaniem. Zmieniliśmy rozkład pracy w biurze w sposób następujący.

²¹ Towarzystwo Gimnastyczne „Sokół” – stowarzyszenie mające na celu wychowanie młodzieży polskiej poprzez rozwój fizyczny i kształtowanie postaw patriotycznych. W Galicji pierwszy oddział powstał we Lwowie w 1867 r., w następnych latach tworzyły się oddziały Towarzystwa w innych miastach. Od lat 90. XIX w. organizacja znajdowała się pod wpływem Narodowej Demokracji.

²² Cesarz Franciszek Józef I przebywał we Lwowie od 7 do 11 września 1894 r. z okazji Powszechnej Wystawy Krajowej.

²³ Pryzma – usypisko lub stos w kształcie ostrosłupa; szuter – drobno pokruszone kamienie używane m.in. do wysypywania nawierzchni drogowych.

²⁴ Powszechna Wystawa Krajowa – wystawa osiągnięć gospodarczych i kulturalnych narodu polskiego trwająca od 5 czerwca do 10 października 1894 r. we Lwowie.

Praca zaczyna się punktualnie o godzinie 10. Trwa godzinę przed śniadaniem i dwie godziny po śniadaniu, które trwać ma oficjalnie od 12 do 13. W czasie wolnej godziny przed śniadaniem wydawaliśmy dziennik pt. „Pionier”. Tekst pisał, kto chciał, miał pióro, ochotę i dowcip. Redakcja, którą tworzyłem ja z Hausnerem i Ziemińskim, przyjmowała lub odrzucała artykuły. Przyjęte nalepiało się na arkuszach papieru. Znakomite ilustracje robił Libański. Dziennik, odczytywany w czasie śniadań, był zawsze przedmiotem zaciętych sporów, wszak pisaliśmy gorzkie prawdy, nie żałując pieprzu ani złośliwego dowcipu. Natomiast ilustracje były bezsporne, np. „Wzlot balonem marszałka krajowego”. Artysta uchwycił moment, w którym balon zniknął za chmurami. Obraz „Polowanie Byksy Samca na zające” (Jaksa Chamiec²⁵, członek Wydziału Krajowego, miał sobie przydzielone drogi, a więc i Biuro Drogowe) przedstawiał chwilę przelatywania śrutu. Z jednej strony obrazu widać było jeszcze koniec lufy myśliwego. Zajac uciekł. Śrutu lecącego w naturze nie widać, a malarz hołdował szkole naturalistycznej. „Przejście Izraelitów przez Morze Czerwone” przedstawiało emocjonującą chwilę, w której Izraelici już przeszli przez morze i za górą zniknęli, a faraon jeszcze nie zdążył ze swoją armią nadciągnąć. Obraz zatytułowany „Pomysł referenta budżetowego podniesienia dochodów krajowych” nie przedstawiał zbytnich trudności artyście, który wiedział, że referent nie miał żadnego pomysłu. Znowu ten naturalizm! Te znakomicie wykonane obrazy i im podobne, jak chociażby – „Drugi dzień pobytu Jonasza we wnętrzu wieloryba” (w jego wnętrzu – jak wiadomo – jest całkiem ciemno) – zaszczyt przynosiły artyście, zwłaszcza że ten, po obmyśleniu tematu, w rekordowym czasie kilkudziesięciu sekund, najwyżej dwóch minut, wykonywał tego rodzaju arcykapitalne dzieła sztuki na dowolny historyczny, społeczny czy wzięty z bieżącej chwili temat.

Jednak nam młodym nie wystarczała ta skromna 199% podwyżka. Idąc tropem przeze mnie wskazanym, ograniczaliśmy stopniowo czas pracy do dwóch godzin, potem do jednej, aż wreszcie doszliśmy do absolutu, podnosząc nasz zarobek godzinowy w nieskończoność, zawiesiwszy całkowicie pracę biurową. Reutt przerwał tę akcję, a właściwie „włoski strajk”²⁶, wynaleziony, w kilka lat potem na włoskich kolejach. Mnie dał urlop na przygotowanie się do egzaminu, a innych porozsyłał po całym kraju do robót

²⁵ Antoni Jaksa Chamiec (1840–1908) – polityk, ekonomista, uczestnik powstania styczniowego na Rusi. Od lat 60. XIX w. przebywał w Galicji, gdzie rozpoczął działalność polityczną. Od 1890 r. wchodził w skład Wydziału Krajowego, kierował m.in. sprawami oświaty i działem drogowym.

²⁶ Włoski strajk – rodzaj strajku polegający na bardzo drobiazgowym wypełnianiu obowiązków przez pracowników.

polowych. Bierny opór został odłożony do zimy, do powrotu inżynierów z pola do biura. Mój egzamin na technice, w lipcu 1894 r. wyczerpał mnie fizycznie, przeto nie kwapiłem się z powrotem do biura. Skrupułów nie miałem, skoro urlop otrzymałem bezpłatny. Ostatecznie na krótko przed październikiem wróciłem do pustego biura po to, by otrzymać dalszy bezpłatny urlop na odbycie służby wojskowej. W listopadzie (dziewiątego) otrzymałem nominację na elewa 3 klasy, z wyjaśnieniem, że pobory zacząłem otrzymywać od dnia powrotu z wojska.

Moje odejście nie zahamowało rozpętanej akcji. W zimie 1895 r. już dość wcześniej, wnieśli koledzy drugie pismo do Wydziału Krajowego. Chamiec odrzucił żądania w nim zawarte w dość szorstkiej formie. Ta, omalże niebrutalna, wywarła odwrotny do zamierzonego skutek. Inżynierowie się zawzięli. Pod różnymi, ale dobrze pomyślanymi pozorami, odmówili przyjęcia delegacji na zaczęte i przez nich już poprzednio prowadzone roboty. Temu żona ciężko zachorowała, ten przedkłada świadectwo lekarskie o sobie, ów prośbę o bezpłatny urlop, aby zrobić coś dla wybrnięcia z długów, inny zaśłania się koniecznością pilnowania we Lwowie handlu, zaczętego z konieczności, bo z poborów żyć nie może, zaś elew wedle przepisów Wydziału Krajowego nie ma prawa prowadzenia robót w nieobecności na miejscu inżyniera itp. Poskutkowało od razu. Wszyscy młodzi awansowali o jeden stopień służbowy. 8 elewów zostało asystentami, ci adiunktami, a adiunkci inżynierami 2 klasy. Dodatkowe pobory zrównano z poborami meliorantów. Strajk włoski ustał. Wszyscy delegowani cofnęli swoje zastrzeżenia i pojechali do robót. Pierwszy strajk, w którym brałem czynny udział, zakończył się najzupełniejszym zwycięstwem strajkujących. Na pobojo wisku zostałem sam jeden. Wprawdzie i ja awansowałem 25 maja 1895 r. na elewa 2 klasy. Ale w ogóle pozostałem jednym jedynym elewem. W sytuacji prawie beznadziejnej, jeżeli chodziło o pracę w Wydziale Krajowym.

Z wojska wróciłem do Biura Drogowego. Uparłem się w służbie krajowej wytrwać, aby w niej dojść do uposażenia, umożliwiającego mi małżeństwo, przy zachowaniu zupełnej gospodarczej niezależności od rodziny. Ale warunki się zmieniły. Tylko ja jeden byłem niezadowolony. Praca szła wydatnie, tak jak powinna. Zaczynała się punktualnie o 9, a kończyła o 15. Tradycją minionych walk były już tylko wspólne śniadania nietrwające, przed moim powrotem, dłużej niż kwadrans. Bez określonego celu przeciągałem je trochę dłużej. Z początku był to wpływ moich opowiadań o wojaczce, wkrótce jednak większy wpływ wywarła wybitna osobistość przychodząca z biura solnego na nasze śniadania. Mówię o Bronisławie Szwarcu²⁷, członku

²⁷ Bronisław Szwarce (1834–1904) – inżynier, działacz niepodległościowy, tłumacz i publicysta. Brał udział w przygotowaniu powstania styczniowego. Członek Wydziału Spraw

rządu narodowego w r. 1863; człowiek stary, ale jary, wysoki z siwą brodą, w dużych okularach, w polskiej czamarze, żywy w ruchach, umysł żywy, duch niezłomny dopiero co przebył katorgą syberyjską. Każdego, z kim mówił, wiercił swymi siwymi oczyma, zda się na wskroś. Nas młodych, nasze społeczne idee rozumiał i uznawał, zachowując przy tym całą głębię patriotyzmu. Wolał trzymać z nami niż z mamutami, jak za moim przykładem nazywał otoczenie bojowników z [18]63 r. pracujących nie tyle w Wydziale Krajowym, ile w organizacji b. powstańców. Marzył o zdobyciu niepodległości, ale wraz z nami wierzył, że zdobędą ją chłopci i robotnicy, prowadzeni przez tę część miejskiej inteligencji, do której będą mieli zaufanie. Stąd silne podkreślanie przez nas młodych społecznych antagonizmów zgoła nie raziło, gdyż liczył na nasze pokolenie niezdemoralizowane utylitarno-ugodową polityką, przenikającą z wolna całe społeczeństwo. Zbliżyłem się do niego, a on do całej naszej grupki. W jego osobie stworzył się mimowolny pomost między pozostałymi w biurze socjalistami a powstańcami.

Na razie w jesieni 1895 r. zostałem wysłany do zajęć i pomiarów koniecznych dla zaprojektowania budowy nowego gościńca: Rawa Ruska–Niemirow. Kierował tą pracą wicedyrektor Szyszkowski, który trasował linię, tyczył i ubezpieczał oś, Barański niwelował, a ja zdejmowałem profile poprzeczne. Tą pracą naprawdę zacząłem moją praktykę inżynierską przed 45 laty [s]. Dobrze uświadomiony przez Szyszkowskiego co, na co i jak mam robić, pracowałem dobrze i względnie szybko. Zajechaliśmy do Niemirowa, małego wówczas, wcale podłego miasteczka. Ogiś nie było ono takie podłe, wszak pamiętne zupełnym rozgromieniem w 1672 r. przez marszałka koronnego Jana Sobieskiego²⁸ wielkiego kosza tatarskiego²⁹ i odbiciem 20 000 dusz jasyru, zagarniętego przez Tatarów spod Jarosławia, Przemyśla i Ulanowa. Na osiemdziesiąt lat przed pamiętną chwilą naszego tam przybycia, wybudował właściciel dworu i źródeł siarczanych niemirowskich przyzwoity zakład kąpielowy. Wielki pożar miasteczka w 1834 r. zniszczył je, przez co podkopał i kąpielisko. Zakład zamknięto, a miasteczko podupadało coraz bardziej. Podniosło je wybudowanie gościńca³⁰. Właściciel obszaru dworskiego i źródeł, szlachcic o szwedzkim nazwisku: Krusenstern³¹ odbudował

Wewnętrznych Centralnego Komitetu Narodowego. Aresztowany przez Rosjan przed wybuchem powstania został osadzony w Cytadeli Warszawskiej i skazany na śmierć. Karę zamieniono na zesłanie, na którym spędził 27 lat. Po wydaleniu z Rosji mieszkał w Galicji. We Lwowie pracował jako urzędnik w Wydziale Solnym Wydziału Krajowego.

²⁸ Jan III Sobieski (1629–1696) – hetman wielki koronny od 1668 r., król Polski od 1674 r.

²⁹ Kosz tatarski – inaczej nazwa głównego obozu tatarskiego.

³⁰ Mowa o wybudowanych szosach Rawa Ruska–Jaworów i Lubaczów–Żółkiew, które przecinały się w Niemirowie.

³¹ Karol Krusenstern (1871–1953) – syn Aleksandra (1841–1895), od 1870 r. właściciela dóbr niemirowskich. Rodzina Krusensternów wywodziła się z Estonii.

zakład kąpielowy, dając przez to sposobność mieszczanom bogacenia się kosztem ludzi, wierzących w skuteczność wód mineralnych.

Stanęliśmy kwaterą w żydowskim zajeździe, w czystym pokoju, bez gryzących, niepotrzebnych dodatków. Od Niemirowa zaczęliśmy naszą pracę. Szef szedł naprzód, za nim Barański, a ja z istoty rzeczy w pracy musiałem iść na końcu. Odstęp miejsc naszej pracy coraz się rozszerzał, aż nareszcie straciliśmy się z oczu. Wtedy zacząłem brać ze sobą, pod peleryną, jednorurkę, odziedziczoną po Staszku Nowackim. Przy zmianie każdego stanowiska instrumentu przepatrywałem lunetą oziminy, oraniny, krzaki i miejsca, w których można się było spodziewać zająca. Gdym go dojrzał, posyłałem pracujących ze mną chłopców jako naganiaczy i strzelałem. W krótkim czasie, zamiast gotowanej gęsiny, którą nas Żydówka karmiła, żyliśmy zającami przeze mnie znoszonymi. Gdy minęliśmy naszymi robotami dużą wieś Wróblaczyn, trzeba było oglądnąć się za inną kwaterą, bliżej miejsca pracy.

Tedy jednego wieczora, po skończonej dziennej pracy, wstąpiliśmy do dworu w Hucie Obedyńskiej³². Wygląd pokoju, do którego weszliśmy, był na pierwszy rzut oka niezachęcający. Dość ciemno, w miarę zimno, w miarę brudno. Dwór należał do p. Feliksa Bilińskiego³³. Był to, jakeśmy się potem od niego dowiedzieli, rodzony brat znanego polityka i ekonomisty lwowskiego, Leona Bilińskiego³⁴, w owe czasy generalnego dyrektora austriackich kolei państwowych. P. Leon zdobył sobie na swym stanowisku pełną samodzielność i zostawił po sobie dobrą pamięć u kolejarzy, przeprowadziwszy liberalną pragmatykę służbową, podwyżkę poborów i ustalenie [warunków?] w pracy. Jego brat, dziedzic niewielkiego obszaru dworskiego w Hucie Obedyńskiej liczył 75 wiosen. Dwie żony pochował, z trzecią wziął ślub przed czterema laty. Tyle dowiedzieliśmy się o nim od Żydów niemirowskich. Naprzeciw nas wyszła młoda kobieta, dość przystojna, wieku trzydziestu lat... w ciąży. Nie byliśmy pewni, czy to żona, bo mąż starzec, a ona przy nadziei, jakoś nie rymowało się razem. Ale sytuacja zaraz się wyjaśniła, gdy na nasze pytanie odpowiedziała, że mąż zaraz nadejdzie z pola. W czasie półgodzinnego oczekiwania zdążyła nam opowiedzieć, że w ciągu czterech lat małżeństwa, obecnie spodziewa się trzeciego dziecka. Że poza tym mąż ma kilka nałożnic we wsi. Z poprzednich małżeństw żyje kilkanaścioro dzieci, a prócz tego we wsi ma ich kilkadziesiąt. Płodność dziedzica rujnuje całe gospodarstwo, bo na wychowanie każdego nieślubnego dziecka daje matce dwa morgi roli. Oryginalna reforma rolna! W ten sposób niewielki

³² Huta Obedyńska – wieś w powiecie Rawa Ruska.

³³ Feliks Biliński (1840–?) – właściciel majątku Huta Obedyńska.

³⁴ Leon Biliński (1846–1923) – polityk i ekonomista, profesor i rektor Uniwersytetu Lwowskiego, poseł do austriackiej Rady Państwa, prezes Koła Polskiego w latach 1911–1912 i 1915–1918, minister skarbu w monarchii habsburskiej i w Polsce międzywojennej.

i tak obszar dworski szybko maleje. Niedługo dojdzie do tego, że na każde ślubne dziecko nie zostanie wiele więcej niż na nieślubne. Wskutek tego we dworze bida [s] aż piszczy. Przypuszcza, że nam u nich nie będzie wygodnie. Gdy jednak nadszedł Biliński i z całą gościnnością zaprosił nas na kwaterę, przenieśliśmy się do dworu w Hucie Obedyńskiej. Oczywiście całą żywność kupowaliśmy sobie, za mleko, jaja, nabiał brane we dworze płaciliśmy skrupulatnie. Ciężarem nie byliśmy, biedy nie zaznali. Na zajęcia zawsze gospodarstwo zapraszaliśmy (jego zajęcie!). On nie wyglądał na 75 lat, człowiek bystry, żywy, bez żadnego wykształcenia. A może miał kiedyś coś w głowie, ale wszystko poszło w organa rozrodcze. Rozpłodowy ogier. O bracie swoim mówił jako o swym najbliższym krewnym, ale nie chował się za jego stanowisko i rozgłos. To nam się w nim podobało i pozwoliło razem spędzić tych kilka wieczorów naszego tam pobytu.

Z Huty przesunęliśmy się kwaterą do Potylicza, miasteczka niegdyś obwarowanego, niegdyś należącego do dóbr koronnych, niegdyś przez Tatarów zniszczonego, w którym niegdyś Jan III Sobieski itd. Dla odmiany dodam, że król Zygmunt I³⁵ kazał do trzech radnych miejskich rzymskokatolickich dobrać jednego Rusina wiary greckiej, skoro jest „między nimi wielu zamożnych i dobrej sławy ludzi”. Co tu dużo bałakać³⁶, wystarczy powiedzieć, że Potylicz jest rówieśnikiem Warszawy. Ona miała szczęście i została stolicą Polski, a on miał pecha, bo został marną ni to miejsciną, ni to wsią, na zewnątrz. Na gruntach miasteczka znajduje się glina fajansowa i porcelanowa, doskonały piasek do wyrobu szkła i węgiel brunatny. Mieszkańcy trudnią się, między innymi, także garncarstwem. Dawniej wyrabiali także kafle.

Obszar dworski i fabryka naczyń fajansowych, wraz ze złożami glinki porcelanowej, należały do trzech braci Świątkiewiczów. Tam gospodarzył agronom, średni z braci. Najstarszy z trójcy był wziętym lekarzem lwowskim³⁷. Najmłodszego, który po skończeniu uniwersytetu przygotowywał się do doktoratu w Potyliczu, znałem dawniej, bo należał do kolegów mego brata Romana, a po bliższym jego poznaniu wciągnąłem go, jeszcze gimnazjalistę, do naszego tajnego związku. Wieczory upływały nam bardzo przyjemnie. Świątkiewiczze byli muzykalni. Barański grał na fortepianie, a oni – ja z nimi – chórem. Gospodarz był radykałem i miał prześliczny baryton. Szyszkowski, dwaj Świątkiewiczze i ja siadaliśmy do wista³⁸. Grę przerywały nam spory na tematy społeczne, kończące się z reguły śpiewem solowym

³⁵ Zygmunt I Stary (1467–1548) – król Polski, od 1507 r., przedostatni przedstawiciel dynastii Jagiellonów na tronie polskim.

³⁶ Bałakać – opowiadać, gawędzić.

³⁷ Mowa o Michale Antonim Świątkiewiczzu.

³⁸ Wist – gra w karty, wywodząca się z Anglii, niezwykle popularna na ziemiach polskich, szczególnie w XIX w.

barytona, po czym chór zamykał wieczór *Marsylianką*³⁹, *Warszawianką*⁴⁰ z [18]31 r. i *Czerwonym Sztandarem*⁴¹. Gdyśmy śpiewali „Czerwonego”, Szyszkowski biegał niespokojny po pokoju i przemawiał nam do rozumu: „Bójcie się Boga! Po co to! Jeszcze kto usłyszysz i zadenuncjuje! Przestańcie! Przecież ja tu przedstawiam, w swej osobie Wydział Krakowy! Przestańcie!” – powtarzał nam, że melodia jest, bądź co bądź, piękna, słowa nie tego, ale nie razią zbyt jego ucha powstańczego, więc po części rewolucyjnego, ale władza jest władzą i z tego śpiewu może wynikać coś niedobrego. Śmieliśmy się z jego obaw i tym głośniejszy ryczeliśmy „Czerwoniaka”. Wszystko razem było miłe. Bawiliśmy się późno w noc, a wstawać trzeba było ze świtem do pracy, bo dni były krótkie. Szyszkowski wskutek tego niewyspany zasypiał wcześniej i nie dotrzymywał towarzystwa do końca. Kończymy jakąś wymianę zdań, gdy naraz z sypialni Szyszkowskiego dochodzi nas śpiewanie głębokim basem: „Krew naszą długo leją katy...”. Zrywamy się od stołu, wchodzimy do sypialni. Dyrektor śpi i przez sen śpiewa, nie śpiewa, a formalnie ryczy całą pierwszą strofkę *Czerwonego Sztandaru*. Gdy skończył, my powtarzamy chóralnie refren: „Dalej więc! Dalej więc! Nieśmy śpiew!...” – przy hucznym akompaniamencie Barańskiego. To budzi dyrektora! Nie da się opisać jego zdumienia i przerażenia, gdy się dowiedział, że to on wicedyrektor Biura Drogowego i przedstawiciel Wydziału Krajowego śpiewał solo całą pierwszą strofkę „Czerwonego”! Odtąd wszystko było dobrze. Śpiewaliśmy cośmy chcieli bez żadnych nauk moralnych.

Dyrektor mnie uważał za winnego, bo przeze mnie w program chóru wszedł *Czerwony Sztandar*. On się go tyle razy nasłuchiwał, że potem nieświadomie – przez sen przecież – powtórzył to, co na jawie słyszał. A że wiedział, iż mam ostry język, więc koniecznie chciał coś takiego na mnie wyłapać, aby móc mnie szachować. Cokolwieczek mu się trafiło. W któryś wolny dzień świąteczny, poszedłem ze strzelbą w pole. Nie szczęściło mi się. Wracam z pustymi rękoma koło głębokiego jaru do dworu. Na przeciwległym zboczu jaru przywidział mi się kot pod krzakiem. Z reguły nie strzelałem zająca w kotlinie, ale wtedy, żeby nie wrócić z niczym, rozgrzeszyłem się i mimo dużej, bo na 100 kroków odległości, strzeliłem. Został. Jeden z moich chłopców, który ze mną chodził, biegnie po niego. Gdy przyszedł pod krzak okazało się, że to nie był zając, tylko kamień kształtem i kolorem do złudzenia

³⁹ *Marsylianka* – pieśń stworzona w okresie rewolucji francuskiej, od 1795 r. hymn narodowy Francji (z przerwą w okresie restauracji).

⁴⁰ *Warszawianka* – polska pieśń patriotyczna napisana w 1831 r.

⁴¹ *Czerwony Sztandar* – pieśń anarchistów szwajcarskich, od 1882 r. hymn bojowy proletariatu polskiego.

naśladujący zająca. Śmiejąc się z omyłki, opowiedziałem o niej towarzyszom pracy i gospodarzom. Podchwycił to dyrektor i wykręcił dowcipnie, że strzeliłem do zająca, który ze strachu, po strzale, skamieniał. Ilekroć mnie w Biurze spotykał tyle razy starał się mnie naciągnąć opowiadaniem, jak strzelałem do zająca, jak on został, jak wołałem do chłopca: „Idź! Podnieś!”. Chłopiec pędzi po zdobycz, a tymczasem zając skamieniał! Swoją drogą ja mu też nie żałowałem, przerywając jego opowiadanie nuceniem „Czerwonego”. Bądź co bądź polubiliśmy się wzajemnie, pracowali dobrze i robotę skończyliśmy w Potyliczu na już istniejącym gościńcu. Wróciliśmy z pola na dwa dni przed terminem preliminowanym. I w Biurze swoje zrobiliśmy w porządeczku i pędko.

Na parę dni przed wyjazdem zamówiłem we fabryce potulickiej naczynie osobiwego kształtu (z uszkiem, pod łóżkiem) z herbem Cholewa na dnie i na zewnątrz i z inicjałami jednej osoby z mego rodzeństwa. Chciałem tym prezentem ośmieszyć jej manię, której wtedy uległa, szukania jakichś naszych sławnych przodków pomiędzy książętami Kojałowiczami. Świątkiewicz nie wykonał mego zamówienia, mimo że narysowałem mu herb i inicjały. A ja już wszędzie o tym prezencie porozpowiadałem. Wkrótce ta durna mania minęła, a osoba przestała sobie zawracać głowę, idiotycznymi pretensjami i jak każdy przyzwoity osobnik wołała chluby szukać w swojej pracy niż w nazwisku urojonych przodków.

2.

Próba założenia Uniwersytetu Ludowego. „Cięgi”. 11.04.1896 uzyskuje tytuł inżyniera. U Kosińskiego w Tarnopolu. Warunki pracy przy budowie kolei. Rozprawa z Chamcem. Opuszczam Wydział Krajowy.

W zimie wraz z Libańskim, Hausnerem, Ziemińskim⁴², Bogdanowiczem⁴³ i innymi zrobiliśmy wysiłek utworzenia, przy pomocy Towarzystwa Politechnicznego, rodzaju uniwersytetu ludowego. Miał to być cykl wykładów z przyrody, techniki i ekonomii, firmowany przez to towarzystwo. Z góry powiem, że usiłowania rozszerzenia działalności jego nie powiodły się nam. Co gorsza, natrafiliśmy tam na opór i niechęć do popularyzowania wiedzy, opór za silny na nasze siły. Nie udało się przełamać

⁴² Władysław Ziemiński (1865–1939) – inżynier, urzędnik, minister robót publicznych w rządzie Artura Śliwińskiego (28 czerwca–7 lipca 1928).

⁴³ Aleksander Bogdanowicz (1862–?) – absolwent Wydziału Inżynierii Szkoły Politechnicznej we Lwowie, inżynier w Biurze Drogowym Wydziału Krajowego.

go nawet przez zmianę zarządu towarzystwa. Byłem za młody. Głównymi wykładowcami miała być młodzież inżynierska. Przygotowując się do tych wykładów, zamierzaliśmy opracować wykład o społeczno-gospodarczych stosunkach Galicji, oparty na urzędowej statystyce. Coś w rodzaju *Nędzy Galicji w cyfrach*⁴⁴ Stanisława Szczepanowskiego⁴⁵, pisanej przed dziewięć laty. Rozpatrując krytycznie to dzieło, które bardzo poruszyło umysły, postanowiliśmy w naszym wykładzie uniknąć dostrzeżonej tam tendencji przejawiania faktów. Rzeczywistość była tak smutna, że nie trzeba było jej zaczerniać. Prócz tego Szczepanowski brał cyfry z okresu pełnego kryzysu gospodarczego, który w zimie 1895/6 właściwie już dogorywał. Galicja wchodziła w inną fazę. Wnioski Szczepanowskiego w dziewięć lat po napisaniu książki już nie były trafne. Zaczął się rozwijać przemysł, a z nim wyłaniała się sprawa robotnicza, prawie może nieuwzględniona w *Nędzy Galicji*. Zabrałem się do opracowania pewnych działów, a Libański miał przepracować inne. Niejedną noc z nim przegadałem, chodząc po ulicach miasta i wzajemnie odprowadzając się do domów. Statystyka z niego nie zrobiłem, ale Czytelnię Katolicką całkiem mu z głowy wybiłem. Jego natura, nienadająca się do systematycznej pracy sprawiła, że połapał po łebkach dane statystyczne i napisał broszurę na ten temat bardzo powierzchowną, która też minęła bez echa. Praca systematyczna zaczęta wtedy przeze mnie stała się źródłem umiłowanej pracy na całe życie. Początkowo obok inżynierii, a w końcu (...) pracy społecznej, do dziś dnia, poświęcam każda wolną chwilę historii i opracowaniu materiałów statystycznych.

11 kwietnia 1896 r., po uzupełnieniu egzaminu z mostów u Thulliego⁴⁶, otrzymałem świadectwo z ostatniego egzaminu na Politechnice. Wiązała technicznej natury, trzymające mnie we Lwowie dotąd, przestały działać. Wobec tego odbyłem poważną rozmowę z dyrektorem Reuttem. Wyraziłem szczerą chęć rzetelnej pracy w służbie kraju, ale przy tym chciałbym mieć widoki na możliwość utrzymania z tej pracy siebie i żony. Zapytałem go wręcz, czy i kiedy jest to możliwe. Odpowiedział równie szczerze, że to zależy nie od niego, tylko od Wydziału Krajowego w osobie jego członka p. Chamca.

⁴⁴ *Nędza w Galicji w cyfrach i program energicznego rozwoju gospodarstwa krajowego*, Lwów 1888.

⁴⁵ Stanisław Szczepanowski (1846–1900) – polski ekonomista, inżynier, związany z przemysłem naftowym, poseł do parlamentu wiedeńskiego i Galicyjskiego Sejmu Krajowego.

⁴⁶ Maksymilian Thullie (1853–1939) – profesor Politechniki we Lwowie, dziekan Wydziału Inżynierii i Wydziału Inżynierii Wodnej, dwukrotny rektor tejże uczelni; znawca teorii budowy mostów, radny miasta Lwowa. W II Rzeczypospolitej senator w latach 1922–1935.

Zanim wybrałem się do tego pana, odbyłem, za poradą inż. Leona Walewskiego⁴⁷, podróż do Tarnopola, do mieszczącego się tam drugiego kierownictwa budowy kolei. Pierwsze kierownictwo Tarnopol I pod kierownikiem inż. Psary de Psarskim⁴⁸ budowało linie kolejowe: Tarnopol–Chodorów i Halicz–Podwysokie, zaś Tarnopol II budował, względnie miał budować, linie: Tarnopol–Kopyczyńce i Czortków (Hadyńkowce)–Iwanię Pustą dla akcyjnego Towarzystwa Wschodniogalicyskich Kolei Lokalnych. Oba kierownictwa były organami kolei państwowych.

Szefem kierownictwa Tarnopol II był inż. Stanisław Kosiński⁴⁹ (nadradca budownictwa) wsławiony już w kraju przepięknie trasowaną, projektowaną i doskonale wykonaną budową górskiej kolei Stanisławów–Woronienka, którą zwiedzała nasza inżynieria w r. 1892. Pochodził ze znanej poznańskiej rodziny, szkołę kończył w Niemczech i tam zaczynał praktykę inżynierską. Oczywiście znał mego ojca i całą koło niego skupiającą się kolonię poznańczyków. Poznał także prof. Gostkowskiego. Służbowo stykał się z przyjacielem serdecznym profesora inż. Leonem Walewskim, który zdradził mi sekret, że Kosiński poszukuje młodych inżynierów i że on, Walewski, już mu o mnie napomknął. Praca przy budowie kolei daje inżynierowi młodemu najidealniejszą praktykę, bo oprócz budowy samego toru kolejowego z jego robotami ziemnymi, obejmuje budowę domów, magazynów, studni, kanalizacji, wodociągów, budowę gościńców, mostów różnego rodzaju, tunelów, robót wodnych, regulacji rzek, melioracji, użytkowania kamieniołomów itd., itd., a przy tym daje możliwość całkiem dobrej egzystencji materialnej. Skrupułem, że to będzie praca pośrednio w c. k. służbie rozwiewa sama istota budowy. Wszak zbudowane zostaną koleje w kraju i dla kraju, że tedy na tym odcinku pracuje się tak samo dla kraju, jak i w Wydziale Krajowym. Wybudowanych linii kolejowych nikt poza granice kraju nie wywiezie, a budując, zużywa się pieniądze nie z Galicji, tylko pochłonięte już przez austriacki skarb państwowy.

Z p. Kosińskim dogadałem się prędko. Byłem pierwszym z młodych sił inżynierskich, który się do niego zgłosił niemal prosto z techniki, a nie z kolei państwowych. Ma jeszcze miejsca dla trzech inżynierów, ale z zupełnie

⁴⁷ Leon Walewski – inżynier, działacz społeczny, członek Towarzystwa we Lwowie, członek rady miasta Lwowa. W 1894 r. pracował jako starszy inżynier w lwowskiej Dyrekcji Ruchu c. k. kolei państwowych.

⁴⁸ Konstanty Psarski z Psar – inspektor kierujący budową państwowych linii kolejowych w Galicji.

⁴⁹ Stanisław Kosiński (1847–1923) – inżynier kolejowy, budował i nadzorował budowę linii kolei państwowych w Galicji. Był m.in. kierownikiem budowy linii kolejowych na trasie Tarnopol–Kopyczyńce i Czortków–Iwanię Pustą. Od 1906 r. pracował w austriackim Ministerstwie Kolei Żelaznych.

ukończoną techniką. Skoro wykażę się świadectwem z dwuletniej praktyki inżynierskiej w Wydziale Krajowym, mogę zostać adiunktem z roczną płacą 90 złr. Wraz z różnymi dodatkami wyniesie to przeszło 2000 złr. rocznie. Mianowanie nastąpiłoby po 2–3 miesiącach praktyki, w czasie której byłbym dziennie płatnym pracownikiem po 5 złr. za dzień pracy.

W głowie mi się kręciło. Nawet tych 5 złr. dziennie toż to pobory inżyniera II klasy we Wydziale, dostępne dla mnie w marzeniach po najprędzej 10 latach pracy. Opanowałem się jednak. Powiedziałem mu, że o ile rozstanę się z Biurem Drogowym, chcę to zrobić w porządku. Przeto dla wykończenia zaczętych robót musiałbym tam pracować, co najmniej, do 1 maja. Czy potem przejdę do kierownictwa, czy zostanę w Biurze Drogowym zadepeszuje w ciągu najbliższych trzech dni. Zgodził się na to.

Poszedłem tedy do Chamca z gęstą miną. Wyłuszczyłem mu moje ideowe pobudki i proszę o rozstrzygnięcie, czy i kiedy mogę liczyć na uposażenie mniej więcej 100 złr. miesięcznie, nieodzownie potrzebnych we Lwowie dla utrzymania młodej pary małżeńskiej, która nie myśli zaciągać długów lichwiarskich. Skrzyżował palce na kamizoli⁵⁰, kręcił nimi młynka i patrząc mi ostro w oczy, zaczął cedzić, nie bez ironii: „Pan mówisz o patriotyzmie, a równocześnie pytasz o wynagrodzenie pieniężne za swoje uczucia. Młody człowieku! Gdym zaczynał służbę w administracji państwowej, pracowałem dwa lata za darmo, po czym pobierałem diurnum⁵¹ po 30 guldenów miesięcznie przez 6 lat! Dopiero po ośmiu latach pracy doszedłem wreszcie do 40 guldenów miesięcznie. Mniej aniżeli Pan teraz otrzymujesz po roku pracy i zbuntowaniu całego biura. Młody człowieku! Jakim czołem⁵² domagasz się 100 złr. po dalszym pół roku pracy! Masz bogatą rodzinę, mieszkającą w pałacach, a nie w chatkach ani poddaszach, może Ci pomagać”. Pociemniało mi w oczach, cholera zaczęła mną trząść, już... już chciałem mu w łeb trzasnąć kałamarzem. Na szczęście zdołałem się chwycić w garść: „Panie szefie! Nie za patriotyzm szukam wynagrodzenia, tylko za pracę. Jeżeli Pan mógł pracować na opowiedzianych warunkach uposażeniowych, to albo dlatego, że gulden miał wtedy inną wartość i za 30 czy 40 guldenów można było żyć, albo Pan byłeś takim osłem, żeś się na to godził. Dziś 40 guldenów nie wystarcza, a ja osłem nie jestem. Niech się Pan nie irytuje, bo to zdrowiu szkodzi, na woźnego nie dzwoni, bo się wyrzucić nie dam, póki nie skończę. Wiem, co mówię i jakie są tego skutki. Niniejszym dziękuję za służbę i przestaję być pańskim podwładnym. Żegnam!”. Z miną granda hiszpańskiego⁵³

⁵⁰ Kamizola (przest.) – kamizela.

⁵¹ Diurnum (staropol.) – dzienna praca, dniówka.

⁵² Jakim czołem – jakim prawem.

⁵³ Grand hiszpański – tytuł najwyższej arystokracji hiszpańskiej.

wyminąłem woźnego, który na głos dzwonka nadbiegł, wyszedłem z pokoju, trzasnąwszy drzwiami, jak się patrzy.

Natychmiast wysłałem depeszę do Tarnopola. Przez kilka dni wykonywałem robotę. Serdecznie pożegnałem dyrektorów, zwłaszcza Szyszkowskiego, żałłem żegnałem kolegów, z którymi już zdążyłem żyć i z którymi powiązała mnie wspólnie przeprowadzona walka strajkowa. Pierwszego maja zostałem zwolniony z pracy w Wydziale Krajowym. Z dniem 4 maja 1896 r. zacząłem pracę w kierownictwie budowy kolei Tarnopol II.

Rozdział II

BUDOWA KOLEI TARNOPOL-KOPYCZYŃCE I MOJA ŻENIACZKA

1.

Stanisław Kosiński. Bizantyzm. Nabożeństwo za J. Matejkę.

WTarnopolu musiałem oddychać zgoła inną atmosferą od tej, która przesycala Biuro Drogowe. Wybitna osobistość szefa, inżyniera Stanisława Kosińskiego, przygniatała wszystkich jego pracowników. Najtęższy z nas wszystkich inżynier, gruntownie teoretycznie wykształcony, z nader rozległą praktyką, doskonały organizator pracy w polu i roboty w biurze, znawca ludzi, miał w sobie coś z dyrektora, acz w tak wyszukanie wytwornych formach, że pociągał ludzi do siebie, nie odpychał. Cały swój rozum, wiedzę, energię wkładał w pracę – w należyty kierunek trasy kolejowej, w praktyczność i piękno projektu, w dobroć budowy, w ograniczenie jej kosztów do sumy absolutnie koniecznej na solidne wykonanie. Toteż linii kolejowych, pod jego kierownictwem budowanych, nie nadwyrężyły, przez 40–50 lat, żadne wpływy atmosfery, klimatu, powietrza, wody, wiatrów ani wstrząsy maszyn i ciężarów po nich jeżdżących. Niszczyła je tylko ręka ludzka, jeden, drugi, trzeci i czwarty raz tłamszący je walec wojny. Kosiński bardzo starannie dobierał współpracowników, poddawał ich próbie, a gdy ta dobrze wypadła, dbał o ich położenie, troszczył się o ich życie i los. Kto z nim jakiś czas pracował, dałby się za niego porąbać, mimo jego dyrektorskich, władczych gestów i pozorów. Bali się go nieliczni, którzy nie czuli się mocni ze względu na słabe kwalifikacje umysłowe lub moralne. Ogół nie bał się go, tylko bardzo poważał i cenił.

Ale w pierwszych chwilach mego pobytu w biurze wydało mi się, że w tym zespole nie wytrzymam. Siadłem do przydzielonej mi roboty, zacząłem rysować. Przy pomocy jednego z kolegów, siedzącego wraz z trzema innymi w tym samym pokoju, inż. Kazimierza Gostkowskiego⁵⁴ (nie krewny profesora, strasznie porządny człowiek) ruszyłem robotę. Naraz wchodzi do pokoju Kosiński. Wszyscy wstają z miejsc. Pan Bóg? Sułtan? Cesarz? Ja jeden siedzę. A on prosto do mnie. Wita się, siada obok mnie, ogląda robotę, robi parę uwag, daje wskazówki i odchodzi. I znowu wszyscy prócz mnie wstają. Zaczynam kazanie o niestosowności takich przejawów bizantyzmu: „Należy się poważanie dla świetnego inżyniera, dobrego szefa, ale przy tym nie trzeba zapominać o własnej godności. Szef musi Was lekceważyć, skoro widzi, że się odrywacie od pracy, by powstać na jego przywitanie i stojąc czekać, jak we wojsku, na komendę czy gest: siadać!”. Kazanie nie poskutkowało od razu. Ta sama scena powtarzała się prawie co dzień. Fakt, że Kosiński do mnie przychodził, że mną rozmawiał i że mimo mego demokratycznego zachowania się, nie spadły na mnie żadne ciosy z jego strony, nasunął mi podejrzenie, iż chyba osłania mnie jakaś olbrzymia protekcja. Zaczęli mnie nadskakiwać. Ja sądziłem Kosińskiego wiele wyżej. Byłem pewien, że chciał się po prostu przekonać o wartości świeżego narybku z lwowskiej politechniki. Z późniejszych z nim rozmów przekonałem się, że się nie omyliłem. Miał on, jak zresztą każdy Achilles, swoją słabą piętę.

Że był konserwatystą, mniejsza z tym. Jego przekonania nie były bynajmniej ultrareakcyjne, jak np. podolskich mamutów⁵⁵. Społecznie zapatrywaniami przypominał angielskich konserwatystów. Ale polityczną orientację przejął od krakowskich stańczyków. Otóż właśnie to jego stańczykowsko-ugodowo-austriackie oblicze było źródłem niektórych groteskowych scen.

Umarł Jan Matejko⁵⁶. W całym kraju, w Tarnopolu też, urządzano nabożeństwa żałobne za zmarłego, największego (raczej najsławniejszego) malarza polskiego. Delegacja poszła do Kosińskiego z prośbą o zwolnienie nas z pracy na czas nabożeństwa. Kosiński namyślał się dłuższą chwilę; zgodził się, zwolnił nas na dwie godziny, po czym jakby dla uzasadnienia swego pozwolenia, a może dla uspokojenia swego urzędniczego sumienia dodał: „Ostatecznie Pan Matejko był przecież c. k. funkcjonariuszem państwowym!” (c. k. dyrektor, c. k. szkoły sztuk pięknych w Krakowie!).

⁵⁴ Kazimierz Gostkowski (1862–?) – studiował we lwowskiej Szkole Politechnicznej, po odejściu z Wydziału Krajowego pracował jako inżynier przy budowie kolei państwowych.

⁵⁵ Podolacy – konserwatywne ugrupowanie ziemiańskie, utworzone we wschodniej Galicji w latach 60. XIX w.

⁵⁶ Jan Matejko (1838–1893) – malarz, twórca obrazów historycznych, konserwatysta. Zmarł 1 listopada 1893 r.

Przez przytoczenie tego jego powiedzenia bynajmniej nie myślę zmniejszać jego osoby ani wielkiej wartości jego pracy dla kraju. Malując epokę, nie pomijam ani światła, ani cieni, bo chcę odtworzyć obraz rzeczywistości. Nawet człowiek tak wysokiej wartości umysłowej i moralnej jak on uległ ówczesnemu prądowi, płynącemu z Krakowa na podbój dusz w całym kraju. Zobaczymy, jak z biegiem czasu ulegli temu prądowi bardzo dzielni, bardzo wytrawni, wypróbowani, wielkiej wartości polscy politycy. Kosiński stał bardzo daleko od polityki, pochłonięty pracą inżynierską, stworzył w swoim kierownictwie niejako dalszy ciąg Szkoły Politechnicznej. Cała plejada wybitnych inżynierów, którzy zajęli potem czołowe stanowiska techniczne, przeżyła praktykę pod jego kierownictwem. Z dawniejszych Marcinkiewicz⁵⁷, Żak⁵⁸, Godfrejów⁵⁹, z przybyłych po mnie: Nosowicz⁶⁰, Rybczyński⁶¹, Kühnel⁶², Zipser⁶³, Wiktor⁶⁴, Wątopek⁶⁵, Bączalski⁶⁶ oto naprędce spisane nazwiska lwowskich techników, kolegów z kierownictwa, późniejszych ministrów, profesorów politechniki, dyrektorów departamentów, prezesów dyrekcji kolejowych. Prawda, że naszą pracą windowaliśmy go do góry, ale też prawdą jest, że my i pod względem fachowym wznieśliśmy się bardzo wysoko i materialnie staliśmy bardzo dobrze dzięki jego wskazówkom, pouczeniom, zarządzeniom i staraniom.

⁵⁷ Roman Marcinkiewicz (1860–?) – urodzony w Rosji, inżynier zatrudniony przy budowie kolei państwowych w Galicji.

⁵⁸ Albert Żak (1859–?) – inżynier zatrudniony przy budowie kolei państwowych.

⁵⁹ Adolf Godfrejów (1852–1912) – inżynier zatrudniony przy budowie kolei państwowych, samborski działacz społeczny.

⁶⁰ Prawdopodobnie Andrzej Nosowicz (1867–?) – inżynier kolejowy.

⁶¹ Mieczysław Rybczyński (1873–1937) – hydrotechnik, ukończył Wydział Inżynierii Lądowej w Szkole Politechnicznej we Lwowie, prezes Bratniej Pomocy w latach 1895–1896. Był asystentem w Katedrze Budowy Dróg i Kolei Żelaznych, następnie kierownikiem budowy linii kolejowych w Galicji Wschodniej, radcą w Namiestnictwie we Lwowie. W II Rzeczypospolitej kilkakrotnie sprawował funkcję kierownika Ministerstwa Robót Publicznych.

⁶² Artur Kühnel (1874–1925) – działacz Bratniej Pomocy, inżynier kolejowy, profesor Politechniki we Lwowie, znawca problematyki budowy dróg i robót ziemskich.

⁶³ Kazimierz Zipser (1875–1961) – inżynier kolejnictwa, absolwent Politechniki Lwowskiej, w latach 1928/1929 i 1932/1933 rektor tejże uczelni. Przed wybuchem I wojny światowej pracował przy budowie linii kolejowych w zaborze austriackim, głównie w Galicji. Po II wojnie światowej związany z Politechniką Wrocławską.

⁶⁴ Stefan Wiktor – inżynier kolejowy, zatrudniony w c. k. dyrekcji kolei państwowych w Stanisławowie, w II Rzeczypospolitej prezes Dyrekcji Kolei Państwowych tamże, następnie Dyrekcji Kolei we Lwowie.

⁶⁵ Karol Wątopek (1875–1944) – inżynier kolejowy. Po zakończeniu studiów pracował m.in. przy budowie kolei. Był profesorem kolejnictwa i budowy mostów w Politechnice Lwowskiej, dziekanem Wydziału Inżynierii, rektorem uczelni w latach 1924/1925.

⁶⁶ Wiesław Bączalski (1879–?) – absolwent Szkoły Politechnicznej we Lwowie. W II Rzeczypospolitej pracował m.in. jako główny inspektor komunikacji.

2.

Na 4 losie w Trembowli. Margasiński. Zofia Chrzanowska. Wypadek na wiadukcie w Plebanówce. Śmierć robotnika z winy inż. Grafa. Zawalenie się sklepienia wiaduktu w Głuchej Dolinie.

Po niecało miesięcznym pobycie w siedzibie kierownictwa znalazłem się w końcu maja w Trembowli, a więc w środku od dwóch miesięcy budowanej linii kolejowej Tarnopol–Kopyczyńce. Początkowym zadaniem kierownictwa budowy było: trasowanie linii, opracowanie jej projektu i przygotowanie przetargu. Prywatne przedsiębiorstwa, które zwyciężyły w przetargu, wykonały budowę losów (projektowana linia kolejowa podzielona została na odcinki długości od 7 do 14 km, zwane „losami”) zaś organa kierownictwa budowy, nazwane „prowadzącymi budowę”, opracowały plany budowy, wytyczały szczegółowo oś linii kolejowej i osie budowy, nadzorowały wykonanie robót, czuwały, czy roboty są ściśle wykonywane wedle ich opisu, objętego kontraktem z przedsiębiorcami, określały wysokość zaliczek wypłacanych w miarę postępu robót i kontrolowały prawną stronę stosunku przedsiębiorców do robotników. Po skończonej budowie obliczaliśmy całość należitości przedsiębiorcom za roboty. Była to praca duża. Zarząd kolei państwowych trzymał się zasady oddawania budowy w przedsiębiorstwo po cenach jednostkowych, a nie ryczałtowych, co pomnażało niepomniernie naszą pracę, ale zapewniało bez porównania lepsze wykonanie, nie podrażając, a raczej przeciwnie, obniżając koszt budowy.

W powiatowym miasteczku, w Trembowli, liczącym niecałe 10 000 mieszkańców, słynnym w kraju z obrony zamku, a we Lwowie, prócz tego z płyt trembowelskich, leżących jako chodniki, schodziły się dwa losy budowy. Los bliższy Tarnopola prowadził inż. Albert Żak (lwowski technik). Duży, kamienny, sklepiony wiadukt w Krowince, drugi mniejszy przed Trembowlą, stacja kolejowa w Trembowli – oto ważniejsze budowle jego losu. Budowę drugiego losu prowadził inż. Jan Pelc (wiedeński technik). Najważniejszą budowlą był wysoki na 40 m wiadukt kamienny też sklepiony w Plebanówce i stacja w Dereniówce. Trzy pierwsze losy od Tarnopola otrzymał z przetargu inż. Gwalbert Ziembicki⁶⁷, trzy następne, do Kopyczyniec, firma budowlana: Blau i Epstein⁶⁸.

⁶⁷ Gwalbert Ziembicki (1849–1906) – lwowski inżynier, członek Towarzystwa Politechnicznego we Lwowie. Kierował przedsiębiorstwem zajmującym się budową kolei lokalnych w Galicji.

⁶⁸ Blau i Epstein – prawdopodobnie mowa o Domu Bankowym Blau & Epstein z siedzibą w Krakowie.

Zostałem przydzielony do losu czwartego, do pomocy inż. Pelcowi. Zamieszkałem w środku miasta, w czystym zajeździe, szumnie „Hotelem” nazwanym. W tym hotelu mieszkał cały sztab inżynierów. Tam schodziliśmy się razem na obiady i kolacje. Poznałem tu sympatycznego inżyniera Margasińskiego, prowadzącego budowę z ramienia Ziembickiego na losie Żaka. Człowiek starszy, bardzo poważny, doświadczony, który dla zakończenia pracy inżynierskiej swego życia porzucił pracę zagraniczną, wrócił do Polski, trafił do Trembowli. Poznałem także naczelnego inżyniera firmy Blau i Epstein p. Liebermana⁶⁹, pewnego siebie, zarozumiałego i bufonującego na dość dużej dozie doświadczenia technicznego. Jego inżynierem na naszym losie był inż. Leon Graf⁷⁰, znany mi jeszcze z Bratniej Pomocy, starszy ode mnie o 7 do 8 lat, mało sympatyczny, bo bardzo zarozumiały jegomość, choć nie był na co. Młodziutki wiedeńczyk, nieumiejący słowa po polsku, Robert Metzger, absolwent wiedeńskiej, średniej szkoły przemysłowej, pracujący u Żaka, był w tym towarzystwie budujących jedynym, który przyznał się do swoich przekonań socjalistycznych (dziś oczywiście hitlerowiec).

W pierwszy świąteczny dzień skierowałem moje kroki do zamku, właściwie ruin zamku, owianego tradycją bohaterskiej, blisko dwutygodniowej, skutecznej obrony w r. 1675. 300 ludzi załogi odpierało ataki całej armii tureckiej Ibrahima Paszy⁷¹, liczącej 4000 żołnierzy⁷². Z zamku bardzo piękny rozległy widok. Łącząc po ruinach, szukałem śladu tych komnat, w których Niemka, Anna Dorota z Frezenów Chrzanowska⁷³, którą legenda najbezpodsawniej [s] upiększyła na „polską” matronę „Zofię” Chrzanowską, miała grozić puginałem swemu mężowi, dzielnemu kapitanowi dragonów Janowi Samuelowi Chrzanowskiemu⁷⁴. Jakoś to dziwne, że ta legenda, wysuwająca na piedestał cnoty i bohaterstwa Annę Chrzanowską, stara się obniżyć zasługę i nigdy niezachwianą dzielność dowódcy zamku stwarzaniem sceny, w której żona, ostrzem sztyletu przypomina mężowi jego obowiązek. Gdyby to prawdą było, gdyby współcześni o tym wiedzieli – a musiałyby tak być,

⁶⁹ W oryginale nazwisko występuje w dwóch formach: Liberman i Lieberman. Zdecydowano się na ujednolicenie pisowni.

⁷⁰ Leon Graf (1861–?) – absolwent Wydziału Budowy Maszyn Szkoły Politechnicznej we Lwowie, prowadził przedsiębiorstwo budowlane we Lwowie.

⁷¹ Mowa o wezyrze Ibrahimie Szyszmanie, w 1675 r. dowódcy wojsk tureckich w wojnie polsko-tureckiej (1672–1676).

⁷² W rzeczywistości armia turecka liczyła ok. 10 000 żołnierzy.

⁷³ Anna Dorota Chrzanowska – żona Jana Samuela Chrzanowskiego, wstawiła się bohaterską postawą podczas oblężenia Trembowli.

⁷⁴ Jan Samuel Chrzanowski (?–1688) – polski wojskowy, wstawił się obroną zamku w Trembowli podczas wojny polsko-tureckiej w 1675 r., za co został mianowany podpułkownikiem przez Jana III Sobieskiego.

gdyby opowieść o tej scenie była prawdziwą i przetrwać miała aż do naszych czasów – niebyły znakomity wódz Jan III Sobieski specjalnie wyróżniał i nagradzał dowódcę forticy za niezaprzeczenie okazany hart woli, odwagę i ryzykanctwo. Ale na legendę nie ma rady. „Jak ci wszyscy mówią żeś pijany, połóż się spać, choćbyś nigdy wódeczności ani żadnych «alkoholowych» trunków nie używał”, słyszałem nieraz w życiu, a doświadczenie własne każało mi uznać słuszość tego powiedzenia.

Pierwszą moją robotą były zdjęcia i wytyczenia na terenie stacji Dereńówka. Do miejsca pracy miałem blisko milę drogi. Męczący marsz tam i z powrotem skusił mnie do kupna roweru i nauczania się jazdy na nim. (Pamiętam naukę jazdy na monocyklu, o wysokim kole, mego ciotecznego brata Karola Brudzewskiego⁷⁵ na Wysokim Zamku we Lwowie przed 10 laty, bo w r. 1886. Próbowaliśmy i ja wtedy tej jazdy, ale bez skutku). Droga powrotna z Dereńówki do hotelu Fiszerowej wypadała przez Plebanówkę, wieś położoną w głębokim jarze. Linia kolejowa przekraczała ten jar wiaduktem. Kończyłem pracę o zmroku, zazwyczaj już po ciemku wracałem po pomoście rusztowania wiaduktu.

Raz w ciemną noc, że choć w pysk daj, maszerowałem przez rusztowanie, niosąc rower na ramieniu. W połowie długości wiaduktu łamię się pode mną deska i wpadam gdzieś w głąb. Wiedziony instynktem, odruchowo przytrzymuję rower z całej siły prawą ręką, a lewą wyciągam w bok. Po piersi tkwię w dziurze. Na powierzchni trzyma mnie rower i lewica. Wygramoliłem się szczęśliwie na zdrową deskę, siadłem na niej, odpocząłem, ochłoniłem z przerażenia i bardzo ostrożnie ruszyłem dalej, próbując nogą każdej deski nim na nią stąpnąłem. Po kwadransie przebyłem tych 100 m rusztowania i nareszcie cały stanąłem na bezpiecznej ziemi. Szybko znalazłem się w biurze Pelca. Opowiedziałem moją przygodę, zwracając mu uwagę, że nad ranem, gdy pierwsi robotnicy wejdą na pomost, może który się zabić. Temu trzeba zapobiec.

Pelc wezwał Grafa. Powtórzyłem mu moje opowiadanie, a Pelc, ustnie i pisemnie, polecił mu postawić wartowników u obu wejść na rusztowania. Jutro rano pierwszy wejdzie na nie Graf z cieślami. Dopiero po wymianie zginiętych czy zużytych części rusztowania wolno dalej prowadzić pracę nad filarami i sklepieniami. Graf polecenie podpisał, wszystko zrobić obiecał, zarządzeń żadnych nie wydał, wartowników nie postawił, rano do rusztowania nie przyszedł, cieśli nie posłał. Stało się jak przewidywałem. O piątej rano jeden z pomocników murarskich wpadł w tę samą dziurę, w której ja wieczorem ledwo uniknąłem śmierci. Ciało spadło blisko 30 metrów w dół,

⁷⁵ Karol Brudzewski (1868–1935) – lekarz okulista, rzeźbiarz amator, syn siostry Macieja Moraczewskiego, Zofii i Edwarda Brudzewskiego.

a mózg nieszczęśliwego leżał na belce o jakie 4 metry pod mostem. Ten pierwszy wypadek śmierci robotnika na budowie wywołany bądź niedbalstwem inżyniera, bądź chęcią oszczędzenia wydatku na cieśli i deski – po prostu spowodowany chęcią zysku – oburzył mnie do głębi. Później moje oburzenie spotęgował jeszcze fakt, że nie byłem wezwany na świadka do rozprawy sądowej, odbywającej się w pół roku po śmierci robotnika. Pelc zasłonił się swoim pisemnym poleceniem; prawdopodobnie przypuszczając, że to sędziego dostatecznie zorientuje, nie wspomniał o mej przygodzie. A może to nie Pelc milczał, tylko sędzia nie uważał za potrzebne wzywać mnie ze Skąły nad Zbruczem? Graf wyszedł z tej sprawy cało. Właściwie nie wyrażam się ściśle. Życie człowieka obciążyło jego sumienie i sumienie sędziego, bo jak po kątach szeptano, sprawa ta kosztowała Grafa dużo.

Mojemu oburzeniu dałem głośny wyraz w czasie obiadu w hotelu. Wtórował mi jedynie Margasiński. Oczywiście Lieberman i jego otoczenie bronili Grafa. Sprawa nabrała rozgłosu, poszło doniesienie do sądu. To mnie uspokoiło.

Sala jadalna w hotelu była rodzajem kasyna inżynierskiego, klubu dyskusyjnego, a nawet siedzibą areopagu⁷⁶ wydającego moralne wyroki. W jakiś czas po tej rozprawie znalazł się w niej na obiedzie także Kosiński, objężdżający linię dla obejrzenia budowy. Po obiedzie wstał i z wesołą miną, ale tonem mówcy pogrzebowego oznajmił nam uroczyście: „Mam Panom zakomunikować smutną nowinę, wielkie sklepienie wiaduktu nad „Głuchą Doliną”, koło krzywego, na budującej się linii Tarnopol–Chodorów, zawaliło się!”. Stąd wysnuł dla nas przestrożę, aby tym większą staranność i uwagę zwrócić na budowanie i murowanie filarów i sklepień naszych wiaduktów. Chodzi tu także o honor polskich inżynierów.

Równocześnie z naszą linią budował kolej do Chodorowa inż. Psarski. Miał we Wiedniu tak silne plecy, że otrzymał kierownictwo kilku linii kolejowych, jak: Tarnopol–Chodorów, Przeworsk–Rozwadów, mimo że pod każdym względem ustępował naszemu szefowi. Pod pokrywką smutnego tonu kondolencyjnych słów, wyczuliśmy u Kosińskiego dobry humor wynikający z poczucia pewnego rodzaju zadośćuczynienia po upokorzeniach, których prawdopodobnie doznał we Wiedniu od protektorów swego konkurenta Psarskiego. Takie pomysły snuły nam się po głowach w owym czasie. Czy odpowiadały rzeczywistości? Nie wiem. Wiem tylko, że Kosiński był w dobrym humorze i że ja to wykorzystałem i dostałem od niego urlop na dwa dni świąt w połowie sierpnia, celem wyprawy do mej narzeczonej do Zakopanego.

⁷⁶ Areopag – w starożytnych Atenach najwyższa rada złożona z byłych archontów, czyli najwyższych ateńskich urzędników.

Po jego wyjeździe zaczęła się w kasynie dopiero szeroka rozprawa na temat katastrofy. Najwięcej miał tu do mówienia Margasiński, który przed wylądowaniem w Trembowli próbował dostać pracę na tamtej linii. Ofiarowano mu los właśnie z tym wiaduktem. Nie wziął go, bo mu się tam nic nie podobało. Był zdania, że naturalny fundament, na którym miały stanąć filary, nie jest wystarczająco trwały. Sądził, że należało wkopać się głębiej lub palami wzmocnić podszwę fundamentu. Nie podobał mu się kamień, wybrany do budowy wiaduktu przez prowadzącego budowę tego losu inż. Regera⁷⁷ (ojciec Tadeusza⁷⁸ i Witolda⁷⁹), nie podobała mu się robota partii kamieniarzy, którzy murowali filary. Przed objęciem losu zażądał od przedsiębiorcy, by wystąpiło do kierownictwa budowy o wydanie właściwych zarządzeń, a gdy przedsiębiorca się tego nie podjął, nie przyjął pracy u niego i przeszedł na naszą linię do Ziembickiego. Od swoich przyjaciół, których tam zostawił, dowiedział się potem, że roboty prowadzono nieuczciwie. Filary były [z] zewnątrz przepięknie kamieniem okładane, a do środka sypano gruz, śmiecie, glinę, odpadki kamienia. Słabe okładziny nie wytrzymały rozpierającego filary środkowego, półkolistego sklepienia o znacznej średnicy i po usunięciu rusztowań rozpruły się i zawaliły, naturalnie wraz ze sklepieniami.

Przeciw tej opinii Margasińskiego wystąpił z całą furią Lieberman, broniąc przedsiębiorstwa przed zarzutem nieuczciwości wykonania, zwalając natomiast całą winę na plan wiaduktu, a zwłaszcza na stosowanie grupowych filarów. Jednak faktem jest, że na tej samej linii inny most sklepiony, budowany przez to samo przedsiębiorstwo, które budowało w Głuchej Dolinie, zarysował się tak niebezpiecznie, że trzeba było sklepienie rozebrać, a przecież w jego projekcie nie było tych „rzekomych błędów” wskazywanych przez Liebermana. W moim mniemaniu Margasiński miał zupełną słuszość.

⁷⁷ Karol Reger (1849–1898) – architekt i budowniczy linii kolejowych i mostów, zatrudniony m.in. jako urzędnik kolei państwowych.

⁷⁸ Tadeusz Reger (1872–1938) – działacz socjalistyczny i niepodległościowy, członek PPSD, poseł do austriackiej Rady Państwa, w II Rzeczypospolitej poseł do Sejmu, dziennikarz i publicysta.

⁷⁹ Witold Reger (1876–1904) – działacz socjalistyczny związany z galicyjską PPSD, publicysta.

3.

Zostaję adiunktem kolei państwowych. U F. Szlachtowskiego w Chorostkowie. Włosi z południowego Tyrolu mówią tylko po polsku. Wizyta u Jawetzów. Podróż do Zakopanego przerwana pod lasem w Myszkowcach. Jazda do Skały. Eleuteryk z musu.

Kosiński obietnicy dotrzymał. W dwa miesiące po rozpoczęciu praktyki w kierownictwie, bo 4 lipca 1896 r. zostałem zamianowany adiunktem od 1 sierpnia tego roku z płacą 900 złr. Równocześnie zawiadomił mnie, że w mającej się budować linii Czortków (Hadyńkowce)–Iwowanie Puste, z odnogą Teresin–Skała, obejmę prowadzenie budowy losu 14 w Skale nad Zbruczem. W Czortkowie powstanie sekcja budowy jako ogniwo pośrednie między kierownictwem w Tarnopolu a losami. Tedy aż do rozpoczęcia samej budowy będę przydzielony do sekcji czortkowskiej i tam będę urzędował. Tego roku w jesieni trzeba będzie wytyczyć oś kolejową na losach. Muszę być przygotowany, że 5–6 tygodni potrwa moja praca w Skale. Po czym wrócę do biura w Czortkowie.

Dla dozoru budowy mostu sklepionego pod Chorostkowem, zostałem przydzielony na krótki czas inż. Feliksowi Szlachtowskiemu⁸⁰, prowadzącemu budowę losu piątego, a więc sąsiadującego z naszym. Tych 14 kilometrów do Chorostkowa przebywałem rowerem. Była to moja pierwsza większa wyprawa na „welocypedzie” (jak się wtedy mówiło). Wzajemne nasze stosunki ułożyły się bardzo sympatycznie. Inż. Szlachtowski dał mi mieszkanie u siebie, a że prowadził gospodarstwo w swoim zarządzie, przeto ja przystąpiłem do spółki. Był to wykształcony człowiek, przekonań partii krakowskiej⁸¹. Nasze rozprawy i spory na tematy polityczne i społeczne stały na bez porównania wyższym poziomie niż te w trembowelskim kasynie. Lubiliśmy te dyskusje i wypełniali nimi wolne wieczory.

Most budowała partia Włochów z południowego Tyrolu. Szlachtowski uprzedzał mnie, że z nimi trudno się porozumieć. On mówi i po włosku, i po niemiecku, ale ich języka ani w ząb nie rozumie. Jakiś kauderwelcz⁸² niezrozumiały. Jeden z nich „kapo” mówi dobrze po włosku, ale w swej partii nie ma posłuchu. Gotuje im jeść, oblicza i rozdziela ich zarobki. To wszystko, cała jego rola. Z nimi trzeba rozmawiać na migi, a właściwie gestami.

⁸⁰ Feliks Szlachtowski – inżynier kolejowy, związany z Dyрекcją Kolei we Lwowie, członek Towarzystwa Politechnicznego.

⁸¹ Mowa o konserwatystach krakowskich.

⁸² Właśc. *Kauderwelsch* (niem.) – żargon, potocznie „chińszczyzna”, niezrozumiała i zawiła mowa.

Tak było. Nie rozumieli mego języka, a ja ich. Robili niedbale, niechlujnie. Kamienia nie czyścili z gliny i ziemi, muru nie wiązali należycie, malty (zaprawy cementowej) nie mieszała jak trzeba i dawali mniej cementu, a więcej piasku, niż tego warunki budowy wymagały. Śmiali mi się w nos, gdy z tym wojowałem, żądając od nich, łamanym językiem polsko-niemiecko-włoskim (z pomocą pożyczonego od inż. Szlachtowskiego *Słownika włoskiego*) porządnej roboty. Próbowałem po francusku, którym wówczas jeszcze nieźle mówiłem. Na nic! Na dobrą sprawę trzeba było nad każdym z osobna stać i na migi, a właściwie z kielnią lub młotem w ręku pokazywać, o co mi chodzi. Męczyłem się tak coś dwa czy trzy dni, w czasie których partia licząca przeszło 40 ludzi coraz wyraźniej śmiała się z bezsilności inżyniera, stojącego nad nimi przez calutki dzień roboczy. Nie tyle irytował mnie ich śmiech, bo kładłem go na karb włoskiego, beztroskiego humoru, ile gryzła mnie zła robota i obawa przed taką kompromitacją, jak w Głuchej Dolinie.

W kilka dni po przyjeździe wyjechałem z domu wcześniej, aby z polecenia inżyniera wydać na linii jakieś zarządzenia. Przez to przyjechałem do mostu z innej strony niż zwykle i o innej porze. Z daleka słyszę, jak moi kamieniarze nucą sobie pieśni, ale coś na jakos znane mi dobrze melodie. Naraz ponad te dźwięki rozlega się tubalny głos: „Antek! Dawaj malte!” Ten „południowy Tyrol” okazał się „północną Galicją”, a włoska ojczyzna leżała koło Kolbuszowej. Bestie Mazury robiły Włochów. Razem śmialiśmy się z tego kawału, który wszystkim zrobili. Włosi mieli opinię najlepszych w świecie fachowców do murarki w kamieniu, byli tedy najlepiej płatnymi w tym zawodzie. Nasi Mazurzy na ostatniej budowie pracowali razem z Włochami i nauczyli się od nich kamieniarki. Włosi ich wyzyskiwali. Postanowili wyzwoić się z włoskiej opieki i wyzysku (protektoratu jakby dziś należało napisać), ale jednak zarabiać tak jak oni. Zatem musieli udawać Włochatyh [s] i to z południowego Tyrolu, ze względu na swoje blond włosy. Najęli na kucharza prawdziwego Włocha i kazali mu odgrywać rolę kapa. Udało im się dostać budowę tego mostu. Język, jakim między sobą w mojej obecności rozmawiali, nie był żadnym językiem, tylko na poczekaniu wymyślonymi dźwiękami bez żadnego znaczenia.

Z tych swoich pomysłów dźwiękowych tak się śmiali. Obawiają się, że gdy przedsiębiorca się dowie, że nie są Włochami tylko Polakami, oberwie im zarobki co najmniej o 25%. Zawarłem z nimi umowę. Przedsiębiorca nie dowie się ani ode mnie, ani od inż. Szlachtowskiego o ich prawdziwej narodowości pod warunkiem, że będą dobrze i sumiennie murować. Tak się stało. Odtąd robota poszła bez porównania składniej i lepiej, czego najlepszym dowodem, że most stał nienaruszenie przez 18 lat, tj. aż do wybuchu wojny światowej. Co z nim walec wojenny zrobił, nie wiem. Szlachtowski śmiał się

do rozpuku z tego pomysłu mazurskiego, naturalnie przyrzekł mi, że nie zdradzi „Włochów z południowego Tyrolu”, leżącego na przekór geografii, koło Kolbuszowej. Po dwóch tygodniach pracy i rozkonspirowaniu naszych Mazurów, wróciłem do Trembowli. Co się potem z tymi „Włochami” stało? Nie umiem powiedzieć. Od nas Lieberman ani nikt z przedsiębiorstwa nie dowiedział się o ich tajemnicy.

Z Trembowli, w jakąś niedzielę zrobiłem wyprawę do pp. Jawetzów, właścicieli wsi Iwanówka (jeżeli mnie pamięć nie myli). Poznałem w nich inteligentną i jak zwykle dość zarozumiałą rodzinę szlachty żydowskiej (Irena Pannenkowa⁸³, endeczka, obrzucająca błotem marszałka Piłsudskiego jest Jawetzówną z domu. Czy wtedy tam była? Nie pamiętam). Zatrzymali mnie na doskonałym podwieczorku i pozwolili zapolować na dropie⁸⁴, co było celem mojej u nich wizyty. Udało mi się podejść pod stado dropi, ale nie bliżej niż jakie 100 kroków. Nie na strzał z mojej dubeltówki za 25 złr.

Wykorzystując urlop, wybrałem się w połowie sierpnia do Zakopanego. Na drogę tam i z powrotem miałem raptem 60 godzin. Podróż końmi do Tarnopola, skąd koleją do Chabówki i końmi do Zakopanego wymagała, jeżeli wszystko szło składnie, co najmniej 21 godzin czasu. Obliczywszy czas i możliwości, wyjechałem z Trembowli o 7^h wieczorem chłopskim wozem słomą wymoszczonym. Liczyłem, że stanę w Tarnopolu o wpół do jedenastej wieczorem, gdzie mogłem się jeszcze przespać, mając 4 godziny do odjazdu pociągu. Zmęczony całodzienną pracą w polu, wyciągnąłem się na wozie jak długi i od razu zasnąłem.

Zbudziło mnie zimno. Noc ciemna, mokro, deszcz siąpi, wiatr wieje, las szumi, woźnica chrapie, konie chrupią trawę pod lasem, zjechawszy z gościńca. Nie orientuję się, gdzie jesteśmy. Budzę gospodarza: „Gdzie jesteśmy?”. Nie odpowiada tylko zwraca konie na gościniec. „Wiśta! Wiśta!” – słyszę jako odpowiedź. Patrzę na zegarek. Pięć kwadransów do pospiesznego pociągu! Okazało się, że staliśmy pod lasem w Myszkowcach, skąd jeszcze półtorej mili do Tarnopola? Psiakrew czy dojadę? Gnam i popędzam woźnicę, a on konie. Ledwo, ledwo, na pięć minut przed odjazdem wpadłem na stację.

Poza tym ściśle wedle programu, dojechałem do Zakopanego. Uzgodniliśmy datę ślubu na 17 października. Z zamiarów Kosińskiego co do mego użycia wynikało, że potrzebne są nam dwa mieszkania: jedno na dłuższy czas w Czortkowie, a drugie na dwa miesiące w Skale. Umówiliśmy się również,

⁸³ Irena Pannenkowa (1879–1969) – działaczka niepodległościowa, publicystka, w okresie II Rzeczypospolitej związana z obozem narodowodemokratycznym, przeciwniczka autorytarnych rządów Józefa Piłsudskiego.

⁸⁴ Drop – rodzaj dużego ptaka z długimi piórami usznymi.

że pojedziemy do babki mojej narzeczonej p. Aleksandry Dylewskiej⁸⁵ do Czerniowiec na trzy dni przed ślubem. Zjedziemy się w Stanisławowie. Nazajutrz o czwartej rano wyjechałem w drogę powrotną z Zakopanego. Dzisiaj w wieku samochodowo-samolotowym taką podróż z Trembowli do Zakopanego, pobyt tam 10-godzinny i powrót, wszystko w ramach 52 godzin – jak się okazało – nie byłaby niczym nadzwyczajnym. Wówczas i w ówczesnych warunkach był to rekord szybkości, dla przebycia 135 km końmi i 1180 km koleją.

Wynajem mieszkania w Czortkowie załatwiłem pisemnie z panną Czekońską. Wynajęła nam w swoim dużym dworze w ogrodzie nad Seretem trzy pokoje z kuchnią. Chodziło o Skałę. Praca moja w Trembowli dobiegła kresu w październiku. Opuszczając to miasto, zrobiłem drugą wielką podróż. W jednym dniu 124 km końmi. 12 października zacząłem dwutygodniowy urlop na ślub, jazdą przez Skałę do Czortkowa. Na tydzień przed wyjazdem umawiam się z fiakrem (dorożkarzem) o podróż, zastrzegam się, by woźnica i konie zaznali przed tą dużą podróżą przynajmniej 24 godzin wypoczynku, abym mógł w jednym dniu przebyć tę drogę. Wyjechałem wieczorem, bo do samej Skały było opętanych dziesięć mil. Ledwo ruszyliśmy z Trembowli widzę z przerażeniem, jak woźnica śpi na koźle, ledwo z niego nie spadnie, a konie tyle tylko że nogami powłóczą. Woźnica przyznał, że w ciągu tygodnia może 12 godzin spał w stajni, a resztę nocy na koźle. On i konie wróciły z drogi przed trzema godzinami. Zorientowałem się, że tymi końmi żadną miarą nie przebędę drogi i nie złapię wieczornego pociągu w Czortkowie, a tym samym nie zdążę na pośpieszny do Czerniowiec. Więc w Kopyczyńcach zmieniam konie, woźnicę i dryndę⁸⁶.

W Skale znalazł się od razu faktor⁸⁷. „Mieszkanie? Jakie Pan chce? Na jak długo? Ile Pan da faktornego? Co Pan za jeden?” Zaprowadził mnie do dworu, siedziby ordynata na Skale, ministra spraw zagranicznych Agenora hr. Gołuchowskiego⁸⁸ (juniora). Minister mieszkał we Wiedniu. W Skale gospodarzył dyrektor dóbr ordynackich Kozierowski. Przyjął mnie w salonie. Po krótkim wyjaśnieniu, że mam w Skale akurat tyle czasu, ile konie potrzebują na popas i że w tym czasie muszę znaleźć mieszkanie na dwa miesiące, listopad i grudzień, zawołał lokaja i coś z nim poszeptał. Wprawdzie dwór nie ma w tej chwili odpowiedniego mieszkania do wynajęcia, ale on może mi pomóc.

⁸⁵ Aleksandra Dylewska (1821–1899) – żona Juliana Dylewskiego, współwłaścicielka wsi Ostra nad Prutem, matka Wandy Gostkowskiej, teściowej Autora *Wspomnień*.

⁸⁶ Drynda – potocznie dorożka.

⁸⁷ Faktor – dawniej pośrednik handlowy.

⁸⁸ Agenor Maria Gołuchowski (1849–1921) – arystokrata, dyplomata w służbie Austro-Węgier, minister spraw zagranicznych monarchii habsburskiej w latach 1895–1906.

Faktorowi przypomniał kilka nazwisk właścicieli domów. Tymczasem lokaj wnosi ogromną tacę, na niej dwa kieliszki i 6 butelek wina. Zdumiony patrzę dookoła. Nikogo więcej nie ma w pokoju oprócz nas dwóch i lokaja. I sześć butelek? Kozierowski pali do mnie uroczystą mowę – „Rad jest niezmiernie z przybycia do Skały inteligenta, przypuszcza, że będziemy ze sobą żyli. Początek naszej przyjaźni oblejemy winem. „Taki już u nas zwyczaj w naszym „Durnym Kucie”, jak ogólnie nazywamy powiat borszczowski”, kończy, a mnie ciarki przechodzą. 6 butelek! Wszak mam odjechać do Czortkowa (44 km), więc nie tylko nie wolno sobie podchmielić, ale w ogóle nie powinienem nic pić. Trzeba się wykręcić. Uratował mnie młody wtedy profesor krakowskiego uniwersytetu Wincenty Lutosławski⁸⁹ ze swoimi czterema eleuteriami⁹⁰. Zmyślam na poczekaniu, że jestem eleuterykiem w odniesieniu do alkoholu, którego już od trzech lat, w żadnej postaci ani jako wódki, rumu, araku, koniaku, likieru ani jako wina, miodu, piwa nie używam. Bardzo nam miło będzie utrzymywać stosunki towarzyskie, ale wina pić nie mogę. Postawiłem na swoim. Butelki nietknięte wróciły do piwnicy, ku wyraźnemu niezadowoleniu gospodarza. Ówczesne moje kłamstwo pociągnęło za sobą – jak każde kłamstwo – opłakane skutki. Podobno to Goethe⁹¹ napisał, że „jest przekleństwem złego czynu, że musi dalsze zło czyny rodzić”. Przez dwa lata mego pobytu w Skale nie wypadało mi już pić żadnego alkoholu. Ta moja przymuszona eleuteria przeciągnęła się aż do roku 1911, to jest przez całe 14 lat! Przez resztę życia, nigdy już nie zdołałem odrobić tego zaniedbania, wynikłego z niewinnego na pozór kłamstwa.

Faktor zaprowadził mnie do Weingeistowej, wdowy, właścicielki parterowego, kamiennego domku, którego połowa była do wynajęcia. W trakcie umowy o najem okazało się, że dom w 7/12 częściach jest własnością jej syna Herszka, który chwilowo jest nieobecny, bo za bandytyzm odsiaduje więzienie. Ono się niedługo skończy i Herszko zjawi się w miasteczku. Jednak sąd jej przyznał dożywotnie używanie domu (pokazała mi wyrok sądowy). Tedy jedynie ona jest uprawniona do wynajmowania domu i pobierania komornego. Niewiele przywiązując wagi do tych sporów rodzinnych, zawarłem z nią umowę i wynająłem dwa pokoje z kuchnią w domu bandyty.

⁸⁹ Wincenty Lutosławski (1863–1954) – filozof, publicysta, działacz społeczny, profesor uniwersytetów w Krakowie, Lozannie i Genewie. W okresie II Rzeczypospolitej wykładał na Uniwersytecie Stefana Batorego w Wilnie.

⁹⁰ Eleuteria – towarzystwo walki z alkoholizmem założone przez Wincentego Lutosławskiego w Krakowie w 1902 r. W tekście mowa o czterech eleuteriach, a mianowicie o alkoholu, tytoniu, hazardzie i rozpuście.

⁹¹ Johann Wolfgang Goethe (1749–1832) – niemiecki poeta i dramaturg, prekursor europejskiego romantyzmu.

Do Czortkowa zdążyłem na pół godziny przed odejściem pociągu. Co prawda po przejechaniu każdej mili dodawałem woźnicy guldena na piwo pod warunkiem, że zdąży na pociąg. No i zdążył dojechać i bardzo ulżyć mej kieszeni.

4.

Roman prof. Gostkowski ucieka z domu. Mieszka z Arturem Grotgerem. Wybiera się do powstania. Żeni się. Leczy go Rikli w Veldes. Zostaje profesorem na Politechnice Lwowskiej 1890 r. Zakochałem się w jego córce Zofii. Oświadczyły na Gabrielówce w 1892 r.

Teraz należy się coś miejsca mej narzeczonej i jej rodzinie. Dość dawno poznałem pannę Helenę Gostkowską⁹², najstarszą córkę Romana i Wandy z Dylewskich⁹³. Kolegowała [się] z moją najstarszą siostrą Franciszką na komplecie dziewcząt przygotowujących się, w domu p. Ludwika Wierzbickiego⁹⁴, dyrektora kolei państwowych we Lwowie, do matury seminaryjnej. Wierzbiccy mieli dworek przy ul. Garncarskiej, poniżej domu mego ojca. Często koleżanki Frani przychodziły do naszego dużego, trzymorgowego ogrodu. Wtedy poznałem pannę Helenę, siostrę mej żony Zofii.

Dzieje życia ich ojca, wybitnego polskiego uczonego zasługują na opis gruntowniejszy od szkicu, który tu skreślę. Roman był najstarszym synem szlachcica z ziemi sądeckiej Bazylego barona Gostkowskiego⁹⁵, który nie troszczył się wiele o swoje liczne potomstwo, bo wesołe życie i wesołe kobiety zapełniały wszystkie jego zainteresowania. Majątek topniał, a dzieci tyle umiały, ile się same nauczyły. Ośmioletni Roman zasmakował jednak w nauce, a chcąc się porządnie kształcić, uciekł w 1845 r. ze wsi z domu ojca, zawędrował do Wiednia, do swojej ciotki, rodzonej siostry ojca Maczekowej [Maszewskowej]⁹⁶. Jej mąż, zniemczyły Czech, był dość zamożnym przemysłowcem. Maszewscy szczerze zaopiekowali się chłopięcem, energicznym bratankiem, posyłali go do szkół. Po zdaniu matury Roman poszedł na

⁹² Helena z Gostkowskich Kozicka (1867–1950) – żona prawnika i sędziego Włodzimierza Kozickiego, siostra Zofii, przyszłej żony Jędrzeja Moraczewskiego.

⁹³ Wanda z Dylewskich Gostkowska (1840–1913) – żona Romana, profesora Politechniki Lwowskiej, matka Zofii, przyszłej żony Jędrzeja Moraczewskiego.

⁹⁴ Ludwik Wierzbicki (1834–1912) – inżynier, architekt, wieloletni dyrektor urzędów kolejowych w Galicji, m.in. w Stanisławowie i Lwowie, poseł na Sejm Krajowy Galicyjski.

⁹⁵ Bazyl Gostkowski (1803–1866) – właściciel majątków Męcina i Trzecież w cyrkule sądeckim, ożeniony z Julianną z Bronowieckich (1800–1848). Ojciec Mieczysława, Zygmunta, Romana, Sydonii, Bronisławy, Władysława i Julii.

⁹⁶ Alojzja z Gostkowskich Maszewska, żona Anastazego.

technikę. Zaprzyjaźnił się i zamieszkał razem z Arturem Grottgerem⁹⁷, razem marzli, razem głodowali, razem biedę klepali, razem pomagali sobie, jak umieli i razem z tego okresu wynieśli załążki gruźlicy. Uległ jej Grottger, a Gostkowskiego wyleczył Szwajcar Rikli⁹⁸. Mimo biedy nie tracili fantazji. Roman miał zawsze doskonały humor, świetny dowcip i kapitalne pomysły. Gdy wszystko inne zawiodło, wpadł na pomysł zarobkowania jako wykładacz snów. „Wiadomo”, że każdy sen oznacza pewną liczbę, powiedzmy numer, który na loterii z całą pewnością wyjdzie. W ogóle sny są przecież tylko po to, by objawiały numery na loteriach. Chodzi tylko, żeby na pewno wiedzieć, który numer jest właściwym wykładnikiem danego snu. Porządny uczony sennolog [s] zna tajemnice snów i ich numerów. Dajmy na to śni się mistrzyni sztuki kulinarnej łąciata krowa, tańcząca galopkę⁹⁹. Znachor od snów wie z całą pewnością, że galopka to 51, taniec 6, krowa 15, a łąciata 16, razem 73 [88]. Właściwe ustawienie tych numerów musi przynieść wielką wygraną (na austriackiej loterii grały kombinacje z 99 numerów). Właściwe ustawienie numerów jest rzeczą stawiającego, a nie profesora od snów. Roman przy pomocy doskonałego i obszernego sennika egipskiego nieomyślnie tłumaczył sny na numery, a że trafem zgadł kilka początkowych snów, przeto zyskał sławę i przez jakiś czas nawet bardzo dobrze im się wiodło. Ten „fach” popłacał.

Po skończeniu techniki w 1859 r. zaczął praktykę (aspirant) na kolei południowej (Wiedeń–Triest). W 1860 r. został przeniesiony do Görzu¹⁰⁰. Po roku awansował na elewa i [został] przydzielony do dyrekcji we Wiedniu. Uposażenie wynosiło 580 guldenów rocznie. Dowiedziawszy się w r. 1863 w Marburgu, dokąd przeniesiono go z Wiednia, po wybuchu powstania uciekł stamtąd do Galicji Wschodniej. Wstąpił do tworzonego większego oddziału. Jednak organizacja, ćwiczenia, mundurowanie, dostarczanie broni tak się przeciągało, że gdy po lipcowej klęsce silnego galicyjskiego oddziału gen. Wysockiego¹⁰¹ pod Radziwiłłowem¹⁰² upadł w Galicji duch, znikła wiara

⁹⁷ Artur Grottger (1837–1867) – malarz, rysownik, przedstawiciel romantyzmu w malarstwie polskim, twórca cyklu obrazów upamiętniających powstanie styczniowe.

⁹⁸ Arnold Rikli (1823–1906) – szwajcarski uzdrowiciel, leczący naturalnymi metodami, podkreślający uzdrowicielskie działanie słońca i powietrza, założyciel ośrodka leczenia helio- i hydrologicznego w Bled w Słowenii.

⁹⁹ Galopka – szybki taniec.

¹⁰⁰ Gorizia (wł.), Görz (niem.) – Gorycja, miasto w Austro-Węgrzech (obecnie we Włoszech, przy granicy ze Słowenią).

¹⁰¹ Józef Wysocki (1809–1873) – generał brygady Wojska Polskiego, uczestnik powstania listopadowego, Wiosny Ludów, powstania styczniowego i powstania węgierskiego w latach 1848–1849.

¹⁰² Bitwa pod Radziwiłłowem – bitwa pomiędzy oddziałami powstańczymi i wojskami rosyjskimi, mająca miejsce 2 lipca 1863 r. Zakończyła się klęską wojsk polskich i nieudaną próbą rozszerzenia powstania na teren Wołynia.

w powodzenie powstania, oddział zaczął się rozchodzić. Dobiły go represje rządu austriackiego, które prawie że uniemożliwiły zbrojny udział Galicji w dalszej walce. Tedy tak się złożyło, że Gostkowski w walce udziału nie wziął, uległ powszechnemu mniemaniu o końcu walki zbrojnej i chyłkiem, jakby nigdy nic, wrócił do Marburga do swej pracy w biurze dyrygenta wagonowego. Będąc świetnym pracownikiem, zdołał pozyskać, jeszcze przed swoją ucieczką, w swoim przełożonym przyjaciela, który swoimi świadectwami zupełnie pokrył jego odyseję powstańczą.



Fot. 2. Wanda Gostkowska
Źródło: polona.pl

W czasie służby w szeregach oddziału powstańczego poznał w Czerniowcach słynnego tam lekarza dr. Juliana Dylewskiego¹⁰³ i jego rodzinę. Zochał się w jego córce Wandzie, z którą, po przezwyciężeniu pewnych trudności, ożenił się w listopadzie 1866 roku. Po ślubie porzucił kolej południową i przerzucił się do kolei lwowsko-czeraniowiecko-jasskiej. Te obie linie kolejowe były własnością towarzystw akcyjnych, bo rząd austriacki początkowo wyzbył się swoich linii kolejowych. Później wykupywał je za drogie pieniądze. Gostkowski pracował we Lwowie, Stanisławowie, Czerniowcach i Jassach, ale głównie we Lwowie. W r. 1873 przeniósł się do państwowej kolei albrechtowskiej i urzędował we Lwowie, gdzie po przedłożeniu pracy habilitacyjnej, wykładał na politechnice, jako docent, teorię ruchu kolejowego. Wykłady zebrał i wydał jako obszerne

dwutomowe dzieło pod tym samym tytułem. Było to pierwsze w świecie naukowe ujęcie zasad ruchu kolejowego.

Tymczasem zaczątki gruźlicy rozwinęły się w jego płucach tak niepokojąco, że lekarze, bez wielkiej nadziei w skutek, wysłali go do Meranu w południowym Tyrolu, słynnym wówczas miejscu klimatycznym dla chorych płuc. Meran mu nie pomógł. Bezceremonialny lekarz tamtejszy radzi mu

¹⁰³ Julian Dylewski (1805–1886) – lekarz wojskowy, dziadek Zofii Moraczewskiej.

powrót do domu, jeżeli ma rodzinę, jeżeli chciałby ją jeszcze widzieć i może coś przed zgonem zarządzić. W gorączce wyjechał z Meranu. Na jakiejś stacji w tamtych stronach spotkał kolegę swego, urzędnika kolejowego Kasprzyckiego, który wypytawszy go o wszystko, co dotyczyło jego zdrowia, namówił go do wstąpienia do Veldes (stacja kolejowa Lees-Veldes. Obecnie należy do Jugosławii i odzyskała swoją słoweńską nazwę Bled. Jest letnim salonem południowych Słowian, zwłaszcza rodziny królewskiej, rządu i polityków), wioski w Krainie niedaleko Lublany. Tam szwajcarski inżynier Arnold Rikli prowadzi zakład przyrodolecniczy, w którym słońcem, powietrzem i wodą bardzo skutecznie leczy. Gostkowski zajechał do Riklego, a ten, mimo groźnego stanu pacjenta, podjął się kuracji. Niezachęcająco zapowiedział suchotnikowi: „Mogę zacząć kurację, ale tylko bardzo ryzykowną. Gdy Pana wezmę w obroty czeka Pana jutro albo zdrowie albo śmierć! Musi Pan się przygotować na śmierć. Stan pańskiego zdrowia jest tak zły, że wiele do stracenia Pan nie ma. Ale jeżeli Pan jutrzejszy dzień przetrzyma, mam pewność, że wyleczę pańskie płuca. Więc niech się Pan decyduje i wybiera: albo ryzyko, albo zgon”. Biedny gruźlik istotnie nie miał wiele do stracenia, wybrał ryzyko, ostatnią deskę ratunku. Rikli, chudy, ale silny góral, prawie dwumetrowej wysokości olbrzym, wyciągnął go nazajutrz o 3 rano w góry. Przymuszany przez leczącego go inżyniera i przyrodnika, szedł z trudem pod górę, póki mógł. Nareszcie padł na ziemię, dostał krwotoku. Rikli stanął nad nim i dodawał mu „otuchy” słowami: „*Heraus mit dem Dreck das wollte ich haben!*”¹⁰⁴. Nie popuścił go, dopóki nie doprowadził do krwotoku z drugiego płuca. „Jeżeli Pan nie wypłuł całych płuc, jeżeli tam dość ich zostało, będziesz Pan zdrow”, zapowiedział Gostkowskiemu, którego wziął na plecy i delikatnie zniósł z góry. Po dwumiesięcznej kuracji rany w płucach się zabiły. Gostkowski wrócił do Lwowa, nie do poznania człowiek. O ile tylko mógł, co roku wracał na trzy, cztery tygodnie do Veldes, do swego przyjaciela Riklego.

W r. 1880 wybrany do Rady Miejskiej, dał się poznać jako wybitny fachowiec w dziedzinie fizyki, technologii gazownictwa i elektryczności. Bronił miasta w procesie o gazownię z Dessauczykami¹⁰⁵. Pomagał radą w sprawie przeróbki i montażu światła elektrycznego w nowo wybudowanym gmachu sejmowym.

¹⁰⁴ *Heraus mit dem Dreck dass wollte ich haben* (niem.) – na zewnątrz z brudem, który chciałem mieć.

¹⁰⁵ Mowa o Niemieckim Kontynentalnym Towarzystwie Gazowym w Dessau, właścicielu gazowni we Lwowie.

W początku 1885 r., przeniesiony na wysokie stanowisko do Wiednia, musiał opuścić Lwów i swą ukochaną pracę profesorską. Zastępując interesy austriackich kolei na posiedzeniach europejskiej, międzypaństwowej konferencji kolejowej, miał sposobność zwiedzić stolicy wszystkich większych państw europejskich z wyjątkiem Londynu i Petersburga, bo wyspy angielskie i szerokotorowa Rosja do konwencji nie przystąpiły. Praca na kolejach, publiczne odczyty i wydanie po niemiecku dzieła pt. *Mechanik des Zugverkehrs* (*Mechanika ruchu kolejowego*, ten tytuł doskonale oddaje treść dzieła) utrwaliły jego sławę jako uczonego. Doszło do tego, że w r. 1890 ofiarował mu generalny dyrektor kolei jeden z najwyższych w Austrii orderów. Ale Gostkowski propozycję odrzucił, prosząc zamiast tego o katedrę na lwowskiej politechnice. Został tedy w tym roku spensjonowany i zamianowany zwyczajnym profesorem katedry „kolejnictwa”, dla niego otwartej na lwowskiej technice. W jego osobie zaszedł jeden z bardzo nielicznych wypadków, że austriacki urzędnik państwowy (a takim był każdy profesor wyższej państwowej uczelni) pobierał uposażenie służbowe i emerytalne (od przedsiębiorstwa państwowego, jakim były koleje).

Po powrocie do Lwowa nastąpiło towarzyskie zbliżenie między moimi rodzicami a Gostkowskimi. Z zasady przed gośćmi uciekałem z domu rodziców. Zacząłem być dla znajomych naszego domu kimś nierealnym, osobą mityczną. Po roku zaciskających się stosunków z Gostkowskimi tak niespodziewanie wypadło, że nie zdążyłem uciec przed wizytą „jakichś baronów”. Wbrew uprzedzeniom zakamieniałego demokraty do tytułowanych osób, od razu spodobała mi się średnia ich córka Zosia, cztery lata młodsza ode mnie. Co tu dużo pisać. Wyznam, że z moimi rodzicami wybrałem się z wizytą na ul. Franciszkańską do państwa Gostkowskich, a właściwie poszedłem tam pociągnięty oczami panny Zofii. A że także społeczne i narodowe jej poglądy zgadzały się z moimi, nie dziwota, że w krótkim czasie zakochałem się w niej na amen. W rok potem, w końcu wiosny 1892 r. wybrały się trzy siostry Gostkowskie (rodzice gdzieś wyjechali) na zabawę tańczącą do Onyszkiewiczów (on spowinowacony z panią Gostkowską) na Gabrielówkę¹⁰⁶. Onyszkiewicz¹⁰⁷ był przez jakiś czas kustoszem Muzeum Zakładu Narodowego im. Ossolińskich. Z młodymi często bawiliśmy się w obszerным ogrodzie Zakładu. Na tę zabawę wybrałem się i ja. Zlewa była piekielna, ale z powodu *manko di valutta*¹⁰⁸, szedłem na piechotę. Ponieważ z powodu

¹⁰⁶ Gabrielówka – dalekie, północne przedmieście Lwowa.

¹⁰⁷ Zdzisław Onyszkiewicz (1846–1909) – kustosz w Zakładzie im. Ossolińskich w latach 1884–1890.

¹⁰⁸ *Manko di valutta* (wł.) – manko walutowe, brak gotówki.

żałoby narodowej nie tańczyłem, przeto niewiele sobie robiłem z przemo-
czonych nóg. Zosia również nie tańczyła, także z tego powodu. Żałoba w tym
roku nie była powszechną, więc nie gorszyły nas tańce innych. Siedliśmy
sobie na uboczu, ja się oświadczyłem Zosi, a ona mnie. Zaskoczyło to panią
Gostkowską. Bynajmniej nie uradowała jej osoba przyszłego zięcia, który
w starszym pokoleniu miał opinię niespokojnego ducha, prawie awantur-
nika, nie dbał o zewnętrzny wygląd, nie nosił kaloszy, słowem nie należał do
„towarzystwa”. Ale jako bardzo rozumna kobieta i matka nie stawiała prze-
szkód, tylko decyzję odroczyła do chwili, w której będę mógł, swoją pracą,
bez pomocy rodziny, utrzymać siebie i żonę. Odpowiadało to moim planom
i zamiarom, więc od razu zgodziłem się na takie postawienie sprawy, mimo
że to odwlekało termin naszego ślubu na jakie cztery lata. Pani Gostkowska
miała cichą nadzieję, że w przewidywanym okresie oczekiwania może nasza
miłość oziębnąć, a wtedy sprawy potoczą się zgoła inaczej. Na razie spę-
dzam na Franciszkańskiej stale wieczór czwartkowy. Po roku narzeczeń-
stwa (nieoficjalnego) także niedzielny. Zosia tymczasem przygotowała się
do matury, ucząc równocześnie w prywatnym zakładzie naukowym Wik-
torii Niedziałkowskiej¹⁰⁹. W czerwcu 1893 r. zdała maturę z odznaczeniem
i od listopada zaczęła praktykować jako nauczycielka w szkole ćwiczeń
przy żeńskim seminarium nauczycielskim. W dwa lata, w czerwcu 1895 r.
zdała, również z odznaczeniem, egzamin patentowy na nauczycielkę szkół
powszechnych. Przechodziłem wraz z nią wszystkie emocje jej egzaminów.

Po tym egzaminie zabrała się, ze swą przyjaciółką Marylą Skałkowską¹¹⁰
(córka dra Tadeusza Skałkowskiego¹¹¹, znanego adwokata i posła krajowego
wyszła za mąż za Stanisława Sadłowskiego, brata mego kolegi architekta
Władysława¹¹²) w wolnym od nauczania czasie, do studiów nad historią pol-
ską w czytelni biblioteki Ossolińskich. Poza tym czytała Buckle’a¹¹³, Drapera¹¹⁴,

¹⁰⁹ Zakład Wychowawczo-Naukowy Wiktorii Niedziałkowskiej we Lwowie – prywatna
szkoła dla dziewcząt założona w 1876 r. przez Wiktorię Niedziałkowską (1851–1914).
W 1897 r. przy szkole otwarto gimnazjum dla dziewcząt.

¹¹⁰ Maria ze Skałkowskich Sadłowska (1874–1940) – wyszła za mąż za Stanisława Sadłow-
skiego (1876–1918).

¹¹¹ Tadeusz Antoni Skałkowski (1845–1909) – prawnik, publicysta, powstaniec stycz-
niowy i poseł na Sejm Krajowy.

¹¹² Władysław Sadłowski (1869–1940) – architekt i profesor Politechniki Lwowskiej, au-
tor projektów budynków użyteczności publicznej we Lwowie.

¹¹³ Henry Thomas Buckle (1821–1862) – angielski filozof i historyk kultury, autor *Historii
cywilizacji w Anglii*.

¹¹⁴ Henry Draper (1817–1882) – amerykański astronom, lekarz i przyrodnik, profesor Uni-
wersytetu w Nowym Jorku.

Darwina¹¹⁵, Spencera¹¹⁶, Mitrowa¹¹⁷, Kautsky'ego¹¹⁸ i innych nowoczesnych, postępowych, w owym czasie, pisarzy.

Moje przygody, zdarzenia i działania, w niniejszych *Wspomnieniach* opisywane, bardzo szybko docierały, pantoflową pocztą, oczywiście w zniekształconej postaci, do uszu p. Gostkowskiej. Jej bracia Jan¹¹⁹, wiceprezydent Sądu Krajowego i Antoni¹²⁰, pułkownik piechoty, przynosili jej informacje wiarygodne, ale wcale nieuspekajające. Toteż z coraz większym niepokojem patrzyła na nasze przysze małżeństwo.

Natomiast stosunek profesora do mnie stał się niezwykle serdeczny. Widząc z bliska jego mrówczą pracę, wtajemniczany od czasu do czasu w jego łamanie się z trudnościami dojścia do prawdy, do sedna zagadnienia, poznałem w nim prawdziwego uczonego. Gdy się zatapiał w swych studiach, przestawał dla niego istnieć świat, życie codzienne, troski, kłopoty. Dopiero poznawszy go, zrozumiałem Archimedes¹²¹, gdy oburzał się na żołnierza rzymskiego z armii Marcellusa¹²², zdobywającego Syrakuzy, o to że mu psuł jego rysunki, kółka¹²³. W profesorze Gostkowskim podziwiałem mędrca, szanowałem go i pokochałem. On zaś widział we mnie ideowca, praktycznego, nie teoretycznego, jakim sam był, być może właśnie dlatego byłem w jego guście. Przygody moje, względnie plotki na ich temat traktował z nieopuszczającym go ani na chwilę niezrównanym humorem i dowcipem.

¹¹⁵ Charles Darwin (1809–1882) – angielski przyrodnik i geolog, twórca teorii ewolucji biologicznej.

¹¹⁶ Herbert Spencer (1820–1903) – angielski filozof i socjolog, sformułował filozoficzną teorię ewolucji.

¹¹⁷ Właśc. Piotr Ławrowicz Ławrow (1823–1900) – rosyjski myśliciel, publicysta i działacz rewolucyjny.

¹¹⁸ Karl Kautsky (1854–1938) – myśliciel i teoretyk socjalizmu demokratycznego, działacz robotniczy, publicysta, redaktor „Die Neue Zeit”. Przeciwnik komunizmu, propagował obalenie systemu kapitalistycznego w drodze legalnych form walki.

¹¹⁹ Jan Dylewski (1845–1924) – sędzia, działacz społeczny, radca c. k. sądów okręgowych w Galicji Wschodniej, wiceprezydent c. k. sądu krajowego we Lwowie, wuj Zofii Gostkowskiej, przyszłej żony Jędrzeja.

¹²⁰ Antoni Dylewski (1837–1901) – generał major, od 1897 r. na emeryturze, tytularny feldmarszałek porucznik.

¹²¹ Archimedes (ok. 287–212 r. p.n.e.) – grecki filozof i matematyk.

¹²² Marek Klaudiusz Marcellus (ok. 268–208 r. p.n.e.) – polityk, konsul rzymski i dowódca armii republiki rzymskiej, zdobywca Syrakuz.

¹²³ *Noli turbare circulos meos* (nie zamazuj moich kół) – słowa, które miał wypowiedzieć Archimedes do żołnierza rzymskiego w chwili śmierci z jego rąk.

5.

Targi z bernardynami o zapłatę za ślub. Ślub 17 października 1896 r.

Stało się, że moja sytuacja materialna odpowiadała i moim obliczeniom i wymaganiom mojej przyszłej teściowej. W Zakopanym ustaliliśmy termin ślubu na 17 października w kościele bernardynów we Lwowie. Jedne zapowiedzi padły w Trembowli, drugie w kościele św. Antoniego na Łyczakowie. W sprawie ślubu udałem się do klasztoru bernardynów. W kancelarii oświadczył mi urzędujący zakonnik, że wszystko jest umówione z panią „baronową”. Wielkie drzwi będą otwarte, dywan przez cały kościół, kwiatami obstawiony, wszystkie żyrandole będą się świecić, organy grać, chór śpiewać, słowem największa parada, bylebym zapłacił 100 złr. Zatkło mnie, gdym tę sumę usłyszał. Reszta moich pieniędzy! Zacząłem się targować. Nie chcę takiej parady. Mniej wszystkiego, mniej pieniędzy. Ale braciszek miał na wszystko jedną niezmienną odpowiedź: „Tak pani baronowa chce, tak być ma! Sto guldenów¹²⁴ na stół!”. Co miałem robić? Wybuliłem pieniądze i z wściekłością w duszy pogałem na Franciszkańską. Tu spotkała mnie miła niespodzianka. Moja pani teściowa niczego nie decydowała, żadnej parady nie umawiała ani nie wymaga, uważa sumę 100 złr. za straszliwe zdzierstwo. Jak kula wpadłem z powrotem do ojczaszków. W kancelarii oświadczyłem, że mogą wielkie drzwi zamknąć, dywanu z lamusa nie wydobywać, kwiatów nie nosić, żyrandoli nie świecić, na organach nie grać i nie śpiewać, bo tyle nie zapłacę. Że po prostu kłamał, zaślaniając się panią Gostkowską. A gdy ze świątobliwą miną oświadczył, że pieniędzy nie może zwrócić, bo już je zainkasował, oświadczyłem mu z pasją, że wobec takiego zdzierstwa rezygnuję ze ślubu kościelnego, biorę ślub cywilny w magistracie i żądam całej sumy z powrotem. To go zmiękczyło. Zaproponował ślub za 70 złr., potem spuścił na 50. Byłem nieugięty. Po dłuższych targach powiedziałem ostatnie słowo, że za ślub nie dam więcej niż 30 złr. i zabierałem się do wyjścia. Złapał mnie za surdut i oddawał 60 złr. Nie zgodziłem się, tedy ze zgrzytaniem zębów zwrócił mi 70 guldenów. I ślub odbył się u bernardynów za 30 reńskich, co prawda z taką samą paradą, jaka miała być za 100. Prawdopodobnie wskutek tych targów, księża zapomnieli mnie pytać o kartę z odbytej spowiedzi. A ja spowiedzi nie odbyłem. Od spowiadania odstrychnął mnie ks. Zygmunt Gorazdowski¹²⁵, proboszcz przy kościele św. Mikołaja (na rogu

¹²⁴ Gulden – złoty reński.

¹²⁵ Zygmunt Gorazdowski (1845–1920) – ksiądz rzymskokatolicki, związany od 1877 r. z parafią św. Mikołaja we Lwowie. W tym mieście prowadził działalność kapłańską i dobroczynną

Garncarskiej i Mikołajskiej ulicy). W czasie mej ostatniej spowiedzi w końcu 1888 roku zadawał mi pytania zakrawające na wstrętną pornografię, że obrzydził mi raz na zawsze spowiedź, a za nią inne praktyki religijne i to nie tylko w kościele rzymskokatolickim. Studia porównawcze różnych religii zrobiły resztę. Zgodziłem się na ślub kościelny tylko ze względu na mych rodziców i panią W. Gostkowską. Zapytany, szepnąłem po cichu do ucha pani Helenie z Gostkowskich Kozickiej, że spowiedzi nie odbyłem. Ona truchlała na myśl, że w ostatniej chwili może z tego powodu uróść [s] przeszkoda do ślubu. Jednak ta przygoda ominęła mnie szczęśliwie. Awantura w kancelarii zakonnej pomogła.

Duża garść przyjaciół i kolegów była w kościele świadkiem ślubu. Drużbował mi Kuba (Alfred) Broniewski¹²⁶, którego podarek ślubny, nasze ówczesne portrety pastelami malowane, bardzo mile przypominają mi go, ilekroć na nie spojrzę. Po ślubie, ceremonialną, sztywną ucztę weselną zamienił profesor, nieokiełznanym swym humorem, na bardzo wesołą i serdeczną wieczerzę.

W dwa dni potem ruszyliśmy w podróż poślubną do... Czortkowa.

na rzecz ubogich warstw ludności. Został beatyfikowany w 2001 r. przez papieża Jana Pawła II, a kanonizowany w 2005 r. w Rzymie przez Benedykta XVI.

¹²⁶ Alfred Karol Broniewski (1869–1941) – inżynier, architekt, znajomy Autora *Wspomnień* z okresu studiów w Szkole Politechnicznej we Lwowie.

Rozdział III

PRZED BUDOWĄ KOLEI DO SKAŁY NAD ZBRUCZEM

1.

W Skale bez pieniędzy. Pierwszy obiad. Gorąca i mrozy. Robotnicy z Cygan. Jan Wajda, figurant. Żyd, chasyd, gruzlik. Przyjazd do Skały rabina cudotwórcy z Husiatyna.

24 października, pożegnawszy bardzo gościnnych i życzliwych państwa Czekońskich, wybraliśmy się „komuniem” do Skały. Wzięliśmy ze sobą tylko najkonieczniejsze rzeczy i ubrania, pościel i naczynia. Ach prawda, w dużej pacy wieźliśmy kilkadziesiąt książek, przybory rysunkowe i instrumenty miernicze. Trzeba było, z opracowanego projektu przenieść na teren oś przyszłej linii kolejowej dla komisji obchodowej, wyznaczonej na wczesną wiosnę. Po wytyczeniu mego losu powrót do Czortkowa. Czasu było dość, by przy sprzyjających warunkach atmosferycznych skończyć pracę przed świętami Bożego Narodzenia.

Opłaciłem przejazd do Skały, czynsz za mieszkanie i zdobyłem się na heroiczny wyczyn, spłacając przeważną część moich długów. Choć nie były one wielkie, ale i moja kieszka też nie bardzo, zatem w kasie zostało na życie przez listopad 16 złr. Było to za dużo, by z głodu umierać, ale w sam raz, by biedować przez cały miesiąc, a także przez grudzień, gdyż w tym miesiącu wypada[ła] ostatnia rata należności za welocyped (wtedy się jeszcze nie mówiło ani koło, ani nawet rower) i pozostałe moje drobne długi. Te dwa miesiące miodowe, spędzone w niedostatku, zimnie, głodzie, po ciemku

były dla nas doskonałą szkołą życiową. Praktycznie poznaliśmy psychologię ludzi żyjących w biedzie, głodzie i chłodzie, a prócz tego nauczyliśmy się poprzestawać na małym i w razie konieczności obchodzić się bez tych udogodnień życiowych, wydających się przeciętnym filistrom¹²⁷ absolutnie nieodzownymi. Na Zosię spadła ciężka lawina kłopotów gospodarczych i jeszcze cięższe zadanie urządzenia życia tak, aby końce powiązać. Np. światło – z początku, dopóki zapas starczył, świeciliśmy przywiezionymi ze Lwowa świecami. Potem kupowało się jedną łojówkę na wieczór. Koszt dzienny światła wynosił 1 cent. Zosia po głębokim namyśle obliczyła, że opłaci się kupić lampę, przez co będzie więcej światła za te same pieniądze. Lampa z knotem, szkiełkiem i naftą kosztowała... 16 centów, a świeciła bez porównania jaśniej od łojówki.

Kłopot był z kucharką Kasią. Przyjechała z nami z Czortkowa. Szybko się zorientowała, że u nas bieda, więc pod pozorem jakichś rodzinnych spraw i terminów sądowych wzięła od Zosi urlop na trzy dni i na tydzień dała drapaką do domu. Całą tedy fizyczną pracę gospodarki domowej wykonywała z początku Zosia. Co prawda ani kucharka, ani Zosia nie umiały gotować. Ale gorzej się zrobiło, gdy Zosia została sama. Poradziłem jej, by na pierwszy obiad własnego gotowania dała mleko, a potem befsztyki z ryżem. Befsztiki sam umiałem smażyć, więc wiedziałem, że je łatwo i prędko, bo za 10 minut można zrobić, a ryż, po pierwsze mieliśmy go w domu (przywieziony ze Lwowa), a po drugie, nie trzeba obierać, skrobać, krajać, od razu można gotować. Z pola wracam o zmierzchu, a moja żona siedzi przed kuchnią i płacze. „Co takiego? Co ci się stało?” A ona: „Befsztiki twarde jak podeszew [s], a ryż podskakuje jak żywy na patelni i w żaden sposób nie chce się upitrasić!”. Nie wiedzieliśmy, że na befsztyk trzeba polędwicy, a nie krzyżówki, a ryż najpierw trzeba sparzyć, nim się do niego tłuszczu doda. Mleko z chlebem zastąpiło w tym dniu niedostosowane do naszej kieszeni i umiejętności menu. Aż do powrotu kucharki gotowało się to, co można było względnie łatwo zrobić i oczywiście niedrogo kosztowało. Korzec kartofli (100 kg) kosztował tam wtedy 1 złr. 30 ct., a kilogram mięsa (na cztery dni) 60 ct. Przy tych cenach można było przetrwać.

Robota w polu szła z początku szybko naprzód. Temperatura dochodziła do +25°R¹²⁸. Codziennie kąpałem się w Zbruczu. Naraz 3 czy 4 listopada chwycił mróz, a w drugiej połowie tego miesiąca spadły ogromne śniegi, blisko na 50 cm wysokości, miejscami zwały śnieżne dochodziły do półtora metra! W ciągu 15 dni z +25 na -25°R! Różnica temperatury doszła do 50°R.

¹²⁷ Filister – człowiek małostkowy, obojętny na dobro ogółu; drobnomieszczanin.

¹²⁸ Skala termometryczna opracowana przez Williama Rankine'a (1820–1872), szkockiego inżyniera i fizyka.

Miły klimacik w naszej ojczyźnie, co? Na szczęście miałem kożuszek barani. Marzłem w nogi tym bardziej, że prawie cały czas stałem przy instrumencie i tece z planami. Czasem, gdy linia szła przez jakieś krzaki, można było ogień rozpaścić. Ponieważ śniegi zawiąły wszystkie pola, miedze, drogi, a zwłaszcza paliki zakopane przy pierwotnej trasie, przeto odkopywanie spod śniegu i odszukiwanie palików starej osi zabierało ogromną część pracy. Nieraz cały dzień straciłem na odkopanie jednego palika spod zwałów śniegu. Robota szła bardzo wolno. Zastanawiałem się, czy nie praktyczniej byłoby wrócić do Czortkowa i czekać na odwilż? Najgorzej było na polach Iwankowa (wieś sąsiadująca ze Skałą). Ostry mróz nie tylko nie ujarzmił podolskich podmuchów, ale jakby rozpetał wschodnie wiatry. Mimo kożuchów nieraz przemarzliśmy do szpiku kości. Ja stojący na miejscu inżynier cierpiełem od mrozu więcej niż robotnicy odrzucający szuflami śnieg, czy mierzący łątami, czy wbijający paliki w niezamarzniętą, pod grubą pokrywą śnieżną, ziemię. Robotnikami byli chłopci z pobliskiej wsi: „Cygany”. Ich imiona: Maciej, Walenty, Franciszek wskazywały na Polaków, tak samo jak ich rzymski katolicyzm, ale nie mowa. Mówili jakimś [ta]kim językiem, że chyba tylko rozumieli się między sobą. Ni po polsku, ni po rusku, choć coś i polskiego, i ruskiego dźwięczało w ich mowie. Oni mnie rozumieli, ja ich nie. Później poznałem ks. Hlibowickiego (jeżeli nie mylę nazwiska) gr. kat. proboszcza z Cygan, dużej wsi, liczącej przeszło 2000 mieszkańców, z których połowa prawie była wyznania rzymsko-, a połowa greckokatolickiego. Jego troską była kultura chłopów ruskich zaś polskimi powinien, jego zdaniem, zająć się rz. kat. proboszcz z Jeziorzan, ale że rzadko do nich zajeżdża, a o poziom umysłowy swoich owieczek nie bardzo dba, nie dziwota, że Polacy mówią mieszanym, wcale nie gramatycznym językiem. On zdążył się z nim osłuchać. Ks. Hlibowicki, przyjaciel Iwana Franki¹²⁹, miał całkiem nowoczesne i postępowe przekonania. Swoją szatę kapłańską uważał za klucz do serca chłopskiego ludu ruskiego. Zaprzyjaźniliśmy się z nim i wzajemnie odwiedzali. Śledząc później, już z daleka, po wybudowaniu kolei, losy tego powiatu na rubieży Galicji, dowiedziałem się, że jednak w rzymskokatolickich mieszkańcach Cygan odrodziła się polskość zarówno w sercach, jak i w mowie. Nie wiem na pewno, kto to zdziałał, przypuszczam, że raczej szkoła niż Kościół.

Czortków, tj. mój szef Żak, przeznaczył mi figuranta (starczy robotnik przy pomiarach. Nosił instrument, umiał mierzyć łątami i taśmą, wiedział, gdzie i jak ustawić łątę niwelacyjną, umiał dyrygować biciem palików, czytać rysunek itp. sprawy) Jana Wajdę. Dobry był z niego pomocnik. Całkiem

¹²⁹ Iwan Franko (1856–1916) – ukraiński poeta i pisarz, publicysta, znawca literatury słowiańskiej, działacz społeczny i polityczny związany z ruchem socjalistycznym. Współpracował z polskimi działaczami ludowymi i socjalistycznymi.

dobrze wyznawał się w planach, umiał czytać mapę, a poza tym orientował się doskonale w sytuacji i istniejących stosunkach, czym mi się później nieraz przysłużył. Jednym słowem był to bardzo inteligentny chłopak. Wtedy dużo mi pomógł. Gdyśmy linią przecinali las ordynacki w Iwankowie i z konieczności wyrabali tam trochę drzew, ładował drzewem ręczne sanki, które od kogoś pożyczył i przywoził nam na nich drzewo na opał. Nie było to, ściśle biorąc, całkowicie honorowo, ale bardzo zdrowo. Leśniczym w tej partii lasów był pan Hankiewicz, stryjeczny brat towarzysza Mikołaja Hankiewicza¹³⁰, którego poznałem przed kilku laty we Lwowie i z którym żyłem w przyjaźni. Gdy leśniczego Hankiewicza o konieczności wyrabiania kilkunastu drzew zawiadomił, zauważyłem, że nie przywiązywał do tego zbytnej wagi. Zjawił się raz w lesie na naszej robocie i choć widział sanki naładowane drzewem, nic nie mówił.

A drzewo było nader pożądane, bo zimno było w tym domku z kamieni powiązanych gliną takie, że przysłane przez teściów na moje imieniny 3 butelki wina austriackiego zamarzyły w naszym mieszkalnym pokoju. Sople lodu winnego z hukiem wysadziły korki. Z oszczędności kupiliśmy wszystkiego 1 metr drzewa grabowego od jakiegoś bardzo biednego Żydka. Chudy jak szczapa. Błady, kaszlący, wyglądał zupełnie na gruźlika w ostatnim stadium. Zachodził do nas kilka razy pytając, czy jeszcze nie kupimy drzewa? Przyznał, że głoduje, nie ma co jeść, zarobiłby, gdybym dalej drzewo u niego kupował. W owych miesiącach byłby to zbytek, na który nie było nas stać. Zosia poczęstowała go szklanką herbaty i kromką chleba. Ale nie przyjął, bo nasze naczynia uważa za trefne, a on przecież pobożny Żyd, żyje ściśle wedle zakonu. Wkrótce potem zmarł. To bohaterstwo biednego, schorowanego, fanatycznego Żyda było dla mnie lekcją na całe życie. Nauczyło mnie szacunku i absolutnej tolerancji dla ludzi wszystkich wyznań, mających szczere przekonania religijne.

Większość mieszkańców Skały, miasteczka prawie sześciotysięcznego, stanowili Żydzi. Współwyznawcy z innych miast nazywali ich chasydami, tak jakby to była jakaś sekta. Brat Weingeistowej, Jägendorf miał dość obszerne domostwo naprzeciw naszego mieszkania. Z naszych okien widać było, co się w jego domu dzieje i vice versa. W wieczór piątkowy mieszkanie było zawsze na szabasową kolację uroczyście oświetlone. Wieczorem przed spoczynkiem, zapraszali naszą Kasię do gaszenia świec szabasowych.

¹³⁰ Mikołaj Hankiewicz (1869–1931) – ukraiński działacz polityczny, założyciel Ukraińskiej Partii Socjal-Demokratycznej.

W grudniu nastąpiła kilkudniowa odwilż. Olbrzymie zwały śnieżne zamieniły się na tamtejszej tłustej, lekko zamarzniętej ziemi w prawie bezdenne błoto. Bez butów do kolan nie można było ryzykować przejścia w poprzek ulicy. W czasie tej odwilży i opanowania dróg komunikacyjnych przez wszechwładne błoto odbyła się wielka uroczystość, gdy do Skały zajechał z Husiatyna rabin cudotwórca. Po rebe¹³¹ wyjechała gwardia konna, naprędce złożona z młodzieży żydowskiej, jadącej oklep na zbiedzonych, chudych szkapach, prowadzonych na cuglach nie rzemiennych tylko sznurkowych i popędzanych kijami. Powóz pożyczył Kozierowski. Orkiestra czekała na końcach żydowskiego miasta, tj. koło drutów w poprzek drogi przeciągniętych, których pobożnym Żydom nie wolno było w sobotę przekraczać. Wszystko czeka w napięciu. Naraz zahuczała orkiestra, Żydzi podnieśli niemożliwy wrzask, banderia¹³² galopuje, rebe w powozie widnieje na przedzie, a za nim mnóstwo furmanek wypełnionych wiernymi. Przed pojazdem rabina liczne grono poważnych kupców skalskich, brodatych, pejsatych, w lisich czapkach, jedwabnych czarnych chałatach, białych pończochach i czarnych pantoflach podrygiwało po tym beznadziejnym błocie, śpiewając i płasząc, jak ongiś król Dawid¹³³ przed Arką Przymierza. Gdy rebe wjeżdżał w granicę zabudowań, asystujący mu mąż zarzucił worek na jego głowę, aby snać¹³⁴ jaka niewiasta nie obraziła go swym pożądlwym, wiadomo, nieczystym, wzrokiem.

Rebe stanął kwaterą u Jägendorfa, akurat naprzeciw naszego mieszkania, tak, że widzieliśmy dokładnie cały ceremoniał zdejmowania worka, powitania i czołobitności. Gdy wieczorem zaprosili Kasię do gaszenia świec, rebe znowu zasłonił swoją twarz chustką, aby wzrok „nieczystej” niewiasty nie spoczął na jego obliczu i aby on jej nie widział. Zapewne chodziło o uniknięcie wpływów złego ducha. Wiadomo: Matka Ewa skusiła raz i odtąd zawsze kusi Adamitów. Ale nasza Kasia się postawiła: „Jeżeli mam gasić światło, chcę choć widzieć tego cudotwórcę z bliska. A gdy go nie zobaczę, to nie będę świec gasić”. Trzeba było dopiero perswazji Zosinej, żeby ostatecznie poszła świece gasić, nie widząc cudotwórcy.

¹³¹ Rebe (hebr. mój mistrz) – tytuł grzecznościowy, kierowany do rabina lub nauczyciela w chederze.

¹³² Banderia – konny oddział eskorty honorowej, orszak konny.

¹³³ Król Dawid (ok. 1040–ok. 970 r. p.n.e.) – postać biblijna, król Izraela.

¹³⁴ Snać (przest.) – widocznie.

2.

Tadzio Kobyłański sąsiadem. Żak na obiedzie. Szukam pająka. Wraca Herschko Weingeist. Awantura przy wyjeździe ze Skały.

Linia kolejowa miała się odgałęziać we wsi Wagnanka pod Czortkowem od linii kolejowej państwowej Stanisławów–Husiatyn. Z Wagnanki biegła na południe przez miasteczka Jezierzany, Borszczów w kierunku do Mielnicy.



Fot. 3. Czortków – widok ogólny, koniec XIX w.
Źródło: polona.pl

Była projektowana jako normalnotorowa kolej lokalna o przeciętnej szybkości pociągów 25 km na godzinę. Z folwarku Teresin pod Borszczowem odnoga, 14 km długa, wiodła do Skały. Połowę tej odnogi tworzył los 13 z siedzibą w Teresinie. Kierownikiem budowy był tam mój przyjaciel Tadzio Kobyłański¹³⁵, który za moim przewodem, po zdaniu ostatecznego

¹³⁵ Tadeusz Kobyłański (1870–1932) – student Wydziału Inżynierii Szkoły Politechnicznej we Lwowie w latach 1888–1893, następnie inżynier przy budowie linii kolei państwowych w Galicji.

egzaminu, zgłosił się do pracy w kierownictwie tarnopolskim. Mój skal-ski los miał numer 14. Granica obu losów wypadła w lasach ordynackich na granicy gminy iwankowskiej. Kobylański był tedy moim najbliższym sąsiadem. On złożył nam pierwszą wizytę w Skale w dniu moich imienin (30 listopada). Zachowując tradycyjne formy, przywiózł na wiązanie topkę (kilogram soli, warzonki, kształtu podłużnej doniczki z wyciętym krzyżem, wziętym z herbu Potockich) soli i dość spory bochenek chleba, upieczony przez panią Słonecką, żonę dzierżawcy folwarku teresińskiego, u którego mieszkał. Ten prezent bardzo nas ucieszył, bo chleb i sól były nam bardzo, a bardzo potrzebne, choć bynajmniej nie w symbolicznym znaczeniu.

W początku grudnia objeżdżał Żak, mój bezpośredni zwierzchnik, całą przestrzeń czortkowskiej sekcji. Był to bardzo dobry inżynier, bardzo sumienny pracownik, nieleniący się żadnej pracy. Taktowny, zrównoważony, niezarożumiały, niepanoszący się, spokojny, prawie mógłbym powiedzieć flegmatyczny, był wprost idealnym szefem. Stosunek z nim przypominał mi bardzo Biuro Drogowe Wydziału Krajowego, w ulepszonym wydaniu. Szef był po prostu starszym kolegą, opiekujący się młodszymi. Żadnej pompy, żadnego ceremoniału nie uznawał, a jednak swoją wolę umiał przeprowadzić. Pamiętałem szczupłego, nad miarę wysokiego (1,85 m), z dużą czarną brodą inżyniera, budującego najpiękniejszy w Polsce most w Jaraczu nad Prutem, z czasów naszej wycieczki naukowo-pijackiej po nowo budowanej linii kolejowej ze Stanisławowa na Węgry. Poznałem go trochę lepiej i osobiście i z opinii o nim inżynierskiego kasyna u Fischerowej w Trembowli, a zwłaszcza z wysokiego szacunku, jaki przejawiał dla niego Margasiński.

Żak, idąc z Teresina, zaglądnął do mej roboty w polu. Razem wróciliśmy do Skąły do domu na obiad. Tam mieliśmy wszystkiego dwa krzeselka, więc Zosia zaimprovizowała kanapę z dużej paki na książki. Położyła na nią jej wieko, nakryła je jakimś kocem i posadziła nań honorowego gościa. Skromny obiad urozmaiciło odtajane wino imieninowe. Zabawialiśmy się rozmową, aż Żak wpadł w ferwor i zaczął coś opowiadać, ilustrując gestami swoje słowa, gdy się mocno poruszył na swojej „kanapie”, wieko się zsunęło do paki, za nim dywanik, za dywanikiem Żak, kolanami zaczepiwszy brodę, a nogami wywracając stół. Trzask, hałas, tłuczące się szkło, przerażenie, a potem śmiech na widok sterczącej z paki głowy i nóg mego szefa. Na szczęście, wyładowując w swoim czasie pakę, wyjąłem z niej sumiennie wszystkie gwoździe, więc nic mu się stać nie mogło. Z trudem wydobyliśmy długą gidzię¹³⁶ z tej pułapki. Później, ile razy był u nas w domu, a zdarzało się to dość często, zawsze zastrzegał się, że nie siądzie na żadnej kanapie. Woli krzeselka.

¹³⁶ Gidia (pot.) – tyczka.

Po wyjeździe Żaka, w jeden świąteczny dzień, zabrałem się do czyszczenia, powierzonego mi, uniwersalnego instrumentu. Podczas czyszczenia lunety, jednym przypadkowym ruchem starłem z soczewki krzyż (siatkę) z nitki pajęczej. Chcąc go odnowić, szukałem w mieszkaniu pająka. Daremna praca. Zosia, urządzając nasze mieszkanie, bardzo starannie wymiotła wszystkie pajęczyny razem z pajakami. Posyłam Kasię do Weingeistki [s], by od niej „pożyczyła” pająka. Kasia bardzo się zdziwiła, ale poszła. Wraca bez pająka za to z Weingeistową. Tę pytam, czy nie ma u niej pajaków? „Was-issues? [Was ist das?]” zapytuje. Byłem w kłopotcie. Owad nie owad, robak nie robak, pajak należy do gromady pajęczaków. Zatem pajak to pajak! I tłumacz tu zoologię komuś, kto nie ma o niej najmniejszego wyobrażenia, a sam masz mało o niej pojęcia. Opisuję, jak to stworzenie wygląda, że robi pajęczynę, siatkę, w którą wpadają muchy. To jej niczego nie wyjaśnia, przyrody nie obserwowwała. Dopiero gdy wziąłem ołówek i narysowałem pająka (o rozmiarach oczywiście powiększonych), oświadczyła z całą pewnością siebie, że czegoś podobnego nigdy z życia nie widziała i jak Skała Skałą żaden podobny twór w niej nie przebywał. (Musiał być dzielny rysownik!) Uciekam się do ostatniego argumentu. Płacę za każdego dostarczonego pająka centa! To podziało. Pobiegła po brata, kupującego i sprzedającego wszystko. Można zarobić! Miałem z Jägendorfem tę samą rozmowę, co z jego siostrą. Z tym samym wynikiem. „W całej Skale nie znajdzie Pan żadnego pająka”, oświadczył mi z całą powagą na widok mego rysunku. Błysnęła mi myśl, że może po niemiecku dogadam się z nimi. „Jak to być może”, pytam, „by pająka – eine Spinne – nie było w Skale?”. Teraz nagle oboje wykrzyknęli z radością: „A spen!¹³⁷ A spen! Sigit! Będzie, będzie, ile Pan chce? Po cencie za sztukę?”. Zaczęła się procesja wyrostków, nanieśli mi pajaków aż za dużo, bo już trzeci zrobił mi na cyrkuł pożądaną nitkę, którą mogłem na lunetę założyć. Naprawiona siatka była nawet cieńsza od poprzedniej, jako że zimowa nitka pajęcza jest chudsza od letniej.

W połowie listopada wrócił Herszko Weingeist, syn naszej gospodyni, z więzienia z opinią bandyty. Wpadł na mnie z pyskiem, że nie uznaje mnie za lokatora, bo nie wynająłem od niego mieszkania w domu, w którym 7/12, a więc więcej niż połowa, jest jego własnością. Będzie tedy tu mieszkał, czy mi się to podoba czy nie. Stąd się nie ustąpi. Narwał się. Nic nie mówiąc, wziąłem go za bary, wyrzuciłem za drzwi i zamknąłem je zasuwką. Ponieważ stukał i bombardował kijem w drzwi, powiedziałem spokojnie, by się w tej sekundzie oddalił, bo strzelam do drzwi z rewolweru, którego zresztą nie miałem. Poskutkowało. Spokorniał i zaczął prosić: „Mróz srogi

¹³⁷ Prawdopodobnie Autor próbował zapisać fonetyczne brzmienie wyrazu „pajak” w języku jidysz, czyli *shpin* (שפין).

na dworze, nie ma się gdzie podziąć, prosi, bym mu pozwolił choć kilka dni, nim znajdzie pomieszczenie przytulić się w domu”. Wobec zmienionego tonu i ja zmięknęłam. Siedliśmy w kuchni na ławce i powoli doszli do porozumienia. Skarżył się, że matka go krzywdzi, nic mu ze spadku ojcowskiego nie daje na utrzymanie, a Żydzi go bojkotują, bo nie jest chasydem. Coś było w nim bandyty, ale coś Meira Ezofowicza¹³⁸. Po naradzie z Zosią zgodziliśmy się na jego propozycję, by zamieszkał w stryszkach nad sienią, do którego było wejście w połowie wysokości naszej ściany kuchennej. Przez naszą kuchnię będzie do siebie wchodził raz na dobę i tak samo wychodził. W czasie jego tam pobytu my będziemy zamykali go na tym stryszku. Tak się też i działo. O siódmej rano wyruszył ze swej jaskini, a o piątej wieczorem wracał do niej zawsze z jakimiś tobołami. W czasie ostrych mrozów piekielnie zimno musiało być na tym stryszku, mimo słomy, w którą się zagrzebywał. Prawie co wieczora słyszeliśmy tego rodzaju stereotypowe rozmówki Herszka z Kasią. Zaczynało się od prośby Herszka, aby mu pozwoliła zagrześć się trochę przy piecu kuchennym. „Siedź złodzieju w swej budzie! Ja się boję bandyty i złodzieja! Jeszcze u nas co skradniesz” – odpowiadał głos Kasi. „Panno Kasiu, proszę mnie puścić, bo ja jestem uczciwy złodziej, a taki nigdy nie kradnie w domu, w którym mieszka”. „A przecież co wieczór przynosisz do domu skradzione rzeczy!” „Nie są to skradzione, tylko moje własne, które od matki tu sobie znoszę!” „A za coś siedział?” – pyta Kasia. „Tylko za politykę – jednego nożem szturchnąłem i za to dostałem pięć miesięcy”. „A jednak matkę okradasz! Siedź złodzieju, nie puszczę Cię!” „Panno Kasiu, proszę się zlitować! Proszę mnie puścić, tu bardzo zimno”. Te rozmówki kończyły się zawsze puszczaniem Herszka do kuchni, w której posiedział dwie, trzy godziny wieczorne, po czym drapał się na nocleg na swój stryszek.

W polu pracowałem forsownie. Krótki dzień roboczy przedłużałem rozjaśnianiem ciemności płonącymi gałęziami i udało się pracę skończyć na tydzień przed Wilią. Zabraliśmy się do odjazdu. Oczywiście w takim momencie całe urządzenie mieszkania zostało przewrócone do góry nogami, wszędzie porozkładany sprzęt domowy, bielizna, ubrania, książki, papiery. Herszko cały czas stał w kuchni, pilnując drzwiczek na swój strych. Żydzi znajomi i nieznajomi co chwila wpadają do mieszkania, zaglądają do kuchni, ale na widok Herszka co prędzej znikają. Zaczyna mnie to niecierpliwić. Naraz wejściem do kuchni wpada jakiś młody Żydek, coś poszeptał z Herszkiem i obaj wybiegają z domu. W pół minuty po ich wyjściu wpada do kuchni Weingeistka z Jägendorffem i kilkoma brodacami, którzy po przyniesionej drabince weszli na Herszkowy stryszek i wszystko, co tam było wynieśli

¹³⁸ Meir Ezofowicz – bohater powieści Elizy Orzeszkowej pod tym samym tytułem, wydanej w 1878 r.

do domu Jägendorfa. Cisza. Tylko okna z przeciwka wypełnione głowami, patrzącymi co to będzie. Jednak bali się Herszka! W jakiś czas potem wpada do kuchni jak wicher Herszko, za chwilę jest na strychu, skąd z rozpaczą w oczach zsuwa się na dół i przyskakuje do mnie z krzykiem, jak mogłem pozwolić, by go tak obrabowano.

Rozgardiasz, naturalny przy każdej wyprowadzce, spotęgowały jeszcze te awantury żydowskie, ci kręcący się bez ceremonii obcy ludzie wśród tobołów i przygotowanych do pakowania rzeczy. A jeszcze ten Herszko, robiący na poczekaniu ze mnie stróża swoich czy nie swoich rzeczy. Wyładowałem na nim całą od godziny hamowaną złość. Odesłałem go z pretensjami do stu diabłów, napędziłem do matki i wuja. Wspomnieniem tej gwałtownej, ale groteskowej sceny, zakończyły się nasze miodowe miesiące w Skale nad Zbruczem.

3.

Kłusujemy w Czortkowie na zające. Noce czwartkowe. Reforma wyborcza. Zwycięstwo socjalistów w Krakowie i Lwowie. Wiec przedwyborczy w Czortkowie hofrata Krynickiego. Rabin czortkowski. Komisja obchodowa. Borkowski unicestwia doprowadzenie kolei do Mielnicy.

Święta spędziliśmy z rodzinami we Lwowie. Po czym, wracając w kierunku Tarnopola, wpadłem z żoną do Perepelnik. Morowa zadymka zatrzymała nas tam dwa dni. W Tarnopolu spędziliśmy ze szwagrem Zosi doktorem praw Włodzimierzem Kozickim¹³⁹, sędzią, jeden dzień. Mieliśmy wracać, dopiero co, bo w pierwszej połowie grudnia, otwarto linię kolejową do Kopyczyniec (budowa zaczęta w marcu 1896; otwartą została dla ruchu 10/12 tego roku. Z powodu osiadania nasypów, czasami przerywano ruch na parę dni. Ale tych przerw było na ogół niewiele). Pech chce, że rano spóźniliśmy się na pociąg, co nas zmusiło pojechać fiakrem¹⁴⁰ do Czortkowa. Podróż dała nam się porządnie we znaki, bo przebyliśmy pełnych 75 km w odzieniu odpowiednim do jazdy w ogrzewanym wagonie kolejowym, ale nie w otwartej dorożce. Porządnie przemarznięci dobiliśmy jednak tak wcześnie do Czortkowa, że zdążyłem stawić się w biurze, wprawdzie po południu, ale jednak tego samego dnia, w który to się winno było stać.

¹³⁹ Włodzimierz Kozicki (1860–1933) – prawnik, zatrudniony w c. k. służbie sądowej. Z racji wykonywanego zawodu zamieszkiwał w różnych miejscowościach Galicji Wschodniej, m.in. w Brzeżanach, Kołomyi, Przemyślanach, Lwowie, Samborze i Tarnopolu.

¹⁴⁰ Fiaker – dorożka.

W zimie opracowaliśmy szczegółowe plany naszej linii. Straszono nas wciąż, że w lutym odbędzie się komisja obchodowa. Tymczasem w lutym spadły duże śniegi, chwyciły lute¹⁴¹ mrozy, komisję odroczonego do wiosny, a więc do czasu znośnej, choć błotnistej pory. Mieliśmy czas wykończyć najpilniejsze plany.

W styczniu namówił mnie Tadzio Kobylański na kłusowniczą wyprawę po zające. Saniami, w noc księżycową, pojechaliśmy drogą bitą. Z sań mieliśmy strzelać żerujące na i przy drodze koty. Trafiliśmy dobrą noc, bo i księżyc jasno świecił, i śnieg leżał, i sanna była przetarta, i temperatura się przełamywała. Mróz zelżał, ale jeszcze nie tajało. Po trzech godzinach jazdy wróciliśmy z sześciu kotami. Gdy drugi raz spróbował tego sposobu w Samborze, wróciłem bez rezultatu, nie widząc nawet zwierzyny.

Zosia zaprowadziła u nas wieczory czwartkowe. Koledzy schodzili się – po wieczery – koło 8 lub 9 wieczorem do nas. Bawiliśmy się wesoło i beztrosko do 2, względnie 3 rano. Oprócz kolegów biurowych bywali w czwartki Czekońscy, czasem przyjechał Władek Sadłowski¹⁴² (architekt, nagrodzony pierwszą nagrodą na konkursie na projekt dworca kolejowego we Lwowie. Profesor politechniki) przyjaciel i kolega z techniki i inni. Poza czwartkami był częstym gościem koncypient¹⁴³ adwokacki tow. dr Zygmunt Leser¹⁴⁴. Z nim i Metzgerem śledziliśmy przebieg zażartej walki wyborczej toczącej się, od początku tego roku, w całym kraju. Wybory do parlamentu! Taafe¹⁴⁵, u zmięczeniu swego premierostwa, po długich latach polityki „prze-trwania – dla której Niemcy austriaccy uknuli nowy wyraz: „Fortwusteln” (dosłownie znaczy: dalej zająć kielbaski <parówki>) – zdobył się na krok stanowczy i znacznie rozszerzył prawo wyborcze do parlamentu. Dotychczas wyborców grupowano w czterech kuriach. On dodał piątą kurię powszechną dla tych wszystkich pełnoletnich (24 lata) mężczyzn, którzy nie mieli prawa wyborczego w innych kuriach i co najmniej od pół roku mieszkali w okręgu wyborczym. Ten jego projekt stał się ustawą, obowiązującą przez 10 lat, od 1897 do 1907 roku. Odtąd ordynacja wyborcza do izb posłów parlamentu austriackiego przybrała następującą postać: W I kurii (wielkiej własności obszarnej) wybierali posłów obszarnicy. W II członkowie izb handlowych i przemysłowych. W III (miejskiej) ci mieszkańcy miast, którzy opłacali $\frac{2}{3}$ przypisanych w danym mieście podatków bezpośrednich.

¹⁴¹ Lute (przest.) – srogie.

¹⁴² Wspomniany w tekście projekt dworca we Lwowie zrealizowano w 1904 r.

¹⁴³ Koncypient (przest.) – początkujący urzędnik, referent biurowy.

¹⁴⁴ Zygmunt Leser (1868–1918) – adwokat i działacz socjalistyczny, członek PPSD.

¹⁴⁵ Edward von Taaffe (1833–1895) – austriacki polityk, premier Austrii w latach 1879–1893. Podjęta przez rząd Taafego próba reformy doprowadziła do jego upadku.

W IV (chłopskiej) głosowali właściciele małych posiadłości, płacący podatki bezpośrednio. Ich synowie, o ile nie byli zahipotekowani jako właściciele, prawa wyborczego nie posiadali. W IV i V kurii wybory były pośrednie. Prawyborcy wybierali wyborców (stąd czerpał wzór W. Sławek¹⁴⁶ do swej ordynacji wyborczej z r. 1935!), a ci dopiero posła. Jednak z tej zasady zrobił Taaffe wyłom w 15 okręgach piątej kurii, obejmujących wielkie miasta (przebieg postępowszy [s] od Sławka!). Tedy w piątej kurii w okręgu lwowskim i krakowskim były wybory bezpośrednie. We wszystkich polskich okręgach piątej kurii postawili polscy socjaliści swoich kandydatów. Ruscy socjaliści popierali ruskich radykałów względnie polskich socjalistów. W okręgu krakowskim kandydował znakomity mówca i świetny publicysta Ignacy Daszyński¹⁴⁷. We Lwowie walczył o mandat szewc z fachu, malarz z talentu, który samouctwem zdobył dużą inteligencję – Jan Kozakiewicz¹⁴⁸, z czarną czupryną, czarną brodą, w czarnej koszuli, czarnym ubraniu, czerwonym krawacie i szerokim czerwonym pasie. Ten zresztą łagodny i pocziwy człowiek wyglądał straszliwie rewolucyjnie, ale tylko wyglądał. Nie tylko nie był rewolucyjnym działaczem, ale nawet nie był organizatorem partyjnym. Po rozwiązaniu parlamentu, gdy nie było mowy o ponownym postawieniu jego kandydatury, miał na tyle rozumu i taktu, że wyjechał do Stanów Zjednoczonych. Sondowałem opinię o nim wśród tamtejszej Polonii, zwłaszcza u socjalistów. Zupełnie pokrywała się z tu nakreśloną sylwetką jego działalności. Spotkałem go w Kołomyi po jego powrocie do kraju. Pracował w Kasie Chorych. Mimo nie najgorszych warunków, nie tylko nie potrafił ugrunтовać tam organizacji pepesowskiej, ale wyrobił sobie u towarzyszy naszych opinię zawady w organizacji. Takim był we Lwowie przed i w czasie swego posłowania.

Jednak wówczas jego wybór posłem napełnił nas radością i dumą. Tak samo jak opowieść przywieziona na jedną z naszych nocy czwartkowych przez kol. inż. Szmosza¹⁴⁹. Pełen entuzjazmu opowiadał, że całe mieszczaństwo krakowskie jak oszalałe biega na wszystkie zgromadzenia

¹⁴⁶ Walery Sławek (1879–1939) – polityk, przywódca obozu sanacyjnego (BBWR) w II Rzeczypospolitej, jeden z najbliższych współpracowników Józefa Piłsudskiego, trzykrotny premier, marszałek sejmu, podpułkownik Wojska Polskiego.

¹⁴⁷ Ignacy Daszyński (1866–1936) – polityk socjalistyczny, poseł do austriackiej Rady Państwa, przywódca galicyjskiej PPSD, po odzyskaniu niepodległości marszałek Sejmu w latach 1928–1930 i wielokrotny poseł.

¹⁴⁸ Jan Kozakiewicz (1857–1927) – działacz socjalistyczny, publicysta związany z galicyjską PPSD. W 1897 r. uzyskał we Lwowie mandat do austriackiej Rady Państwa. W 1901 r. wyjechał do Argentyny, następnie do Stanów Zjednoczonych. Do Polski powrócił w 1923 r.

¹⁴⁹ Być może mowa o Marcusie Schmoschu, inżynierze pracującym przy budowie linii kolejowych we wschodniej Galicji.

przedwyborcze, byle tylko słyszeć złotoustego Ignacego Daszyńskiego! Tłok na licznych jego wiecach taki, że publiczność przychodzi na dłuższy czas przed zapowiedzianym początkiem wiecu, aby tylko dostać się do środka Ujeżdżalni pod Kapucynami¹⁵⁰. Nie ma mowy o tym, by ktokolwiek inny mógł zostać posłem z Krakowa i okolicy aniżeli Daszyński. Opowiadał to człowiek bardzo daleki od polityki, a zwłaszcza od socjalizmu. Więc zwycięstwo Daszyńskiego nie zaskoczyło nas niespodziewanie. Boć wobec tej i tego rodzaju opowieści o nastrojach krakowskich uważaliśmy zwycięstwo partii w Krakowie za osobisty sukces Daszyńskiego. Natomiast wynik lwowskich wyborów był, w naszych oczach, wyłącznie triumfem idei socjalizmu.

I w Czortkowie nadarzyła się sposobność do wydobycia szpady na bój z panującym czarno-żółtym prądem konserwatywnej szlachetczyzny, w najciaśniejszym tego słowa znaczeniu. Rządowym kandydatem czortkowskiego okręgu wyborczego piątej kurii był sędzia hofrat L. Krynicki¹⁵¹, moskalofil, zwany dla przyzwoitości „starorusinem”. Popierali go obszarnicy, a poza nimi cała administracja polityczna, od pałacu spod kawek¹⁵² począwszy, poprzez starostwa idąc, a na szynkarzach i trafikantach (sprzedawcy wyrobów monopolu tytoniowego) kończąc. Jego kontrkandydatem był dr med. Roman Jaroszewicz¹⁵³, polityk stojący, spośród radykałów ruskich, najbliżej socjalizmu. Prawyborcy po części już wybrali, a po części mieli dopiero wybrać wyborców, których łącznie miało być około 900. Nastraszenie [s], kupienie [kupowanie] głosów, przymknięcie niewygodnych wyborców łatwiejsze jest z grona 900 wyborców niż gdyby ich było 50 000, tj. tyle ile prawyborców. Takim był i jest jedyny właściwy cel wszelakich wyborów pośrednich. Na razie Jaroszewicz urządzał wiece i dzień po dniu przemawiał do chłopów po wsiach, do mieszczan w miastach i miasteczkach. To zmusiło rząd, że skłonił i pana radcę dworu, by bodaj w powiatowych miastach swego okręgu pokazał się wyborcom. Odbыл się taki wiec i w Czortkowie.

Koczowniczy żywot, jaki prowadziłem od 10 miesięcy, pozbawił mnie prawa wyborczego, które wymagało co najmniej półrocznej osiadłości w danym okręgu. Tego jednak nie miałem na czole wypisanego, więc z towarzyszami partyjnymi kolegami zjawiłem się na wiecu p. Krynickiego. Kobietom, niemającym wówczas żadnych praw wyborczych, wstęp na zgromadzenia

¹⁵⁰ Ujeżdżalnia „pod Kapucynami” – obszerny, parterowy budynek mieszczący się na rogu ulic Kapucyńskiej i Straszewskiego w Krakowie.

¹⁵¹ Właśc. Lucjan Kryńczyk – kandydat Centralnego Komitetu Wyborczego, organizacji skupiającej najważniejsze polskie siły polityczne w Galicji, w okręgu wyborczym Borszczów–Zaleszczyki–Czortków–Husiatyn–Trembowła–Skalat.

¹⁵² Takim mianem określano budynek Namiestnictwa we Lwowie.

¹⁵³ Roman Jaroszewicz – kandydat Krajowego Russkiego Wyborczego Komitetu, Russko-Ukraińskiej Partii Radykalnej i Socjalno-Demokratycznej Partii Galicji.

przedwyborcze był bardzo utrudniony, przeto Zosia nie poszła. Krynicki mówił jak półanalfabeta polityczny. Trochę o konstytucji, trochę o nowej ordynacji wyborczej, a najwięcej o jakiejś wniesionej przez siebie na poprzedniej sesji interpelacji w sprawie kolczykowania świń czy czegoś podobnego takiego. Gdy już wykrztusił wszystko, co miał przygotowane, zażądał głosu Leser. Konsternacja – urzędnik starostwa Myszka Chołoniewski¹⁵⁴, ów młodszy mój kolega z niemieckiego gimnazjum, piorunuje go swoim monoklem. To Lesera nie peszy. Zapytuje kandydata o jego pogląd na wprowadzenie prawdziwie równego, tajnego, powszechnego i bezpośredniego prawa wyborczego do parlamentu. Krynicki wymigał się od odpowiedzi, mówiąc, że to sprawa jeszcze bardzo odległa, w tej kadencji na pewno nie będzie rozstrzygana, więc nie ma sobie czym głowy zaprzętać. Właściwie miał słuszość. Teraz ja ruszyłem do ataku z innymi pociskami. Najpierw wyłuszczyłem trudności, napotymane przy dążeniu do upaństwowienia głównych linii kolejowych, będących w rękach prywatnych. Chodzi o upaństwowienie kolei: „południowej Wiedeń–Triest”, „północno-zachodniej Wiedeń–Drezno”, z odnogą do Berna i w kierunku Wrocławia i wreszcie „kolei północnej Wiedeń–Kraków”. Trudności sprawiał wielki kapitał (Rotszyldowie¹⁵⁵), który wciągnąwszy do spółki członków rodziny cesarskiej, stał się bardzo trudnym do pokonania. Wbrew najżywotniejszym interesom ludności i państwa, głównymi arteriami komunikacyjnymi rządzą ludzie prywatnego kapitału, dbając tylko o wysokie taryfy, dające im wysokie zyski. Sprawa była poruszona na końcowych posiedzeniach rozwiązanego parlamentu, nieskończona i jako sprawa piekąca wejdzie na pewno, jedna z pierwszych, pod obrady nowej izby. Zapytałem kandydata o jego stanowisko w tej sprawie. Mogłem na ten temat dużo, nawet dobrze mówić, bo ludzie znający na wylot te stosunki i ich najtajniejsze zakamarki dostarczyli materiałów wiedeńskiemu socjalistycznemu dziennikowi: „Arbeiter Zeitung”¹⁵⁶, gdzie wyczytałem szereg doskonałych artykułów na ten temat. Oczywiście zgodnie z moim przypuszczeniem, Krynicki nie miał o tych sprawach zielonego pojęcia, do czego się zresztą całkiem szczerze i bez ogródek przyznał. Zrobił mnie na poczekaniu „znakomitym znawcą” tego zagadnienia, z którym on, niekolejarz, równać się nie może. Odpowiedziałem mu w dwóch zdaniach: „Skoro Pan się nie zapoznał z tym kapitalnym tematem prac parlamentarnych, to

¹⁵⁴ Mowa o Tomaszu Chołoniewskim, urodzonym w 1870 r. w Kawsku, uczniu III gimnazjum we Lwowie w latach 1882–1886.

¹⁵⁵ Rotszyldowie (Rothschild) – wywodząca się z Niemiec rodzina żydowska, zajmująca się bankowością i finansami w całej Europie od ponad dwóch wieków.

¹⁵⁶ „Arbeiter Zeitung” – organ austriacki socjaldemokratów założony w 1889 r. przez Viktora Adlera.

po co w ogóle Pan kandyduje?”. W tym miejscu przewodniczący szybko wiec zamknął. Wiecownicy rozeszli się. Odchodząc, słyszałem rozmówki nieznanym mi osobom, że „ten młody inżynierek kolejowy jednak pognębił starego hofrata”. Mieliśmy satysfakcję, że wysiłek nasz nie był strzałem w próżnię, bo ostatecznie wygrał Jaroszewicz, zyskawszy coś 470 głosów, podczas gdy na moskalofilskiego radcę dworu zdołano skupić (raczej kupić i spędzić) zaledwie 430 wyborców.

Atrakcją Czortkowa, rozgłosem otoczona, najczęściej zwiedzana była siedziba słynnego w całej okolicy rabina cudotwórcy. Rabin Friedman¹⁵⁷ kupił przed 30 latami od hrabiny Borkowskiej¹⁵⁸ ładny pałac, stojący w starym parku. Park był dostępny dla publiczności, o ile rabin z niego nie korzystał. Koło pałacu kręciło się dużo młodych Żydów, jednakowo ubranych, w chałatach¹⁵⁹ i jarmułkach, nieogolonych, z pejsami. Robili wrażenie jakby duchownego, mojżeszowego seminarium. Mimo wspaniałej zewnętrznej oprawy gmachu i parku, dużo brudu i widoczne na każdym kroku niechlujstwo nie świadczyło dobrze o kulturze cudotwórcy ani jego reżyserów.

Komisja obchodowa naszej kolei, 3 razy zapowiadana i 3 razy odkładana, odbyła się jednak w marcu 1897 r. Każdy z nas, a więc i ja, byłem ciceronem¹⁶⁰ na moim losie. Prowadziłem komisję, objaśniałem spływy wody, przejścia i przejazdy przez tor, miejsca, gdzie i jakie staną budynki, dostęp rolników iwankowskich do części ich pól, odciętych szynami od zabudowań wiejskich. W polu poszło wszystko gładko. Trudności zaczęły się dopiero w kancelarii ordynackiej, do której weszła cała komisja dla spisania protokołu oględzin trasy kolejowej. Z chłopami, wójtami, burmistrzami, Wydziałem Krajowym nie było żadnych pieepałek¹⁶¹. Naprawdę sztorcem stanął tylko marszałek powiatu borszczowskiego hr. Borkowski¹⁶², obszarnik mielnicki. Wobec wszystkich członków komisji, chłopów, mieszczan, obszarników, urzędników, przez cały czas pisania i podpisywania protokołu, a potem jeszcze na kolacji u Gołuchowskich, starał się Kosiński przekonać Borkowskiego, by zgodził się na przedłużenie linii kolejowej do samej Mielnicy, apelował do

¹⁵⁷ Dawid Mosze Friedman (1827–1904) – rabin, przedstawiciel rodziny chasydzkich cadyków z Różyna i Sadogóry, określany mianem cudotwórcy.

¹⁵⁸ Maria z Sadowskich Borkowska (zm. 1895) – w 1865 r. sprzedała pałac w starym Czortkowie Dawidowi Mosze Friedmanowi, który urządził tam swoją siedzibę.

¹⁵⁹ Chałat – długie okrycie wierzchnie, rodzaj płaszcza noszony przez Żydów w Europie Wschodniej.

¹⁶⁰ Ciceron – przewodnik oprowadzający po zabytkach.

¹⁶¹ Pieepałki – kłopoty i przeszkody.

¹⁶² Mieczysław Ignacy Dunin-Borkowski (1833–1906) – hrabia, poseł do galicyjskiego Sejmu Krajowego i austriackiej Rady Państwa, wieloletni marszałek rady powiatowej w Borszczowie, od 1897 r. członek Izby Panów w austriackiej Radzie Państwa.

jego interesu osobistego, do interesu obywateli miasteczka Mielnicy, którego obywatelem był przecież pan Borkowski, do jego godności marszałkowskiej, do jego sumienia obywatelskiego, do jego patriotyzmu. Mówił jak dziad do obrazu, a obraz, tj. hr. Borkowski, odpowiadał: „Póki żyję, póki mam jakie takie wpływy, póki jestem obszarnikiem, póki jestem marszałkiem powiatowym, póty nie dopuszczę, by kolej dochodziła do Mielnicy”. I nie doszła. On umarł i pogrzebion jest. Może nie ma już obszaru dworskiego w Mielnicy, nie ma marszałków powiatowych, ale jego zakłęcie trzyma. 44 lata minęły od tego czasu. Linia kolejowa kończy się we wsi Iwanie PUSTE, położonej o 5 km na północ od Mielnicy. Przez cały ten okres czasu [s] każdy jadący koleją do lub z Mielnicy, przeklinał i przeklina do dziś upór ówczesnego marszałka powiatowego, durnego kuta, pana na Mielnicy i okolicy *cum Boris, gais, grandesibus et Quibusdam aliis rebus*¹⁶³ – hr. Borkowskiego. Z horyzontu widzenia durnego kuta, był to właściwy człowiek na właściwym miejscu, na durnokuckim stolcu marszałkowskim, tym bardziej, że przewróciła mu w głowie lwowska owacja w 1894 r. z muzyką i „Jakiel cugiem”¹⁶⁴ (pochód z pochodniami). Nie przyjął bowiem zaproszenia na galowy obiad cesarski [...] w czasie bytności Franciszka Józefa I we Lwowie z okazji imienin carskich. Z tego powodu dwór demonstrował na cześć hr. Borkowskiego. Swoją drogą zachwycił mnie wtedy także upór, spokój i wytrwała, doskonała argumentacja mego szefa Kosińskiego. Zarazem przeszedłem pierwszą pogładową, praktyczną lekcję szkodliwości rządów obszarniczych dla kraju.

¹⁶³ *Boris, gais, grandesibus et Quibusdam aliis rebus* (łac.) – bo borów, gajów olbrzymich [?] i kilku innych rzeczy.

¹⁶⁴ Z jęz. niemieckiego *der Fackelzug* – pochód z pochodniami.

Rozdział IV

SKAŁA NAD ZBRUCZEM

(DZIŚ SKAŁA PODOLSKA)

1.

Mieszkamy w niewykończonym baraku. Odbiór progów w Turylczu. Ciąg robotników. Barabi. Akordanci. Czas pracy i zarobki.

Zaczęła się wiosna. Pobyt w Czortkowie dobiegał końca. W przetargu rozpisany po skończeniu prac przez komisję obchodową i udzieleniu koncesji akcjonariuszom na budowę tej kolei – zwyciężyła w całości firma: „Blau, Epstein i Lieberman”. Dostała wszystkie ośm [osiem] losów. Lieberman z cichego stał się głośnym współnikiem. Przedsiębiorca Gamski¹⁶⁵ kończył na gwałt, dość ślamazarnie wykonywaną dotąd, budowę domów mieszkalnych, „baraków”, dla nas inżynierów, prowadzących budowę losów. Stawiano je tam, gdzie nie było można znaleźć odpowiedniego mieszkania, pomieszczenia na biuro i na rządowy pokój gościnny. Nazwę „baraków” dostały te domy tylko dlatego, że były z drzewa, a nie murowane. Były one podpiwniczone, z brusów¹⁶⁶ drewnianych na podmurowaniu kładzionych i starannie wiązanych, wewnątrz wyprawione i pomalowane, gontami kryte, z porządnymi piecami, podwójnymi oknami, jednym słowem, solidne drewniane domy, wchodzące w skład budynków stacyjnych. Przeznaczone były na mieszkania dla przyszłych pracowników kolejowych.

¹⁶⁵ Być może mowa o Franciszku Gamskim (zm. 1908), przedsiębiorcy budowlanym z Przemysła, wieloletnim radnym tego miasta i zastępcy burmistrza.

¹⁶⁶ Brus – grube drewno budowlane.

Typ baraku obejmował jedno większe trzypokojowe mieszkanie z kuchnią i 4 pokoje kawalerskie, dwa na dole i dwa na poddaszu. My zajęliśmy trzy pokoje z kuchnią. Jeden parterowy użyto na biuro, a drugi na pokój gościnny dla przejeżdżających przez Skałę urzędników kolejowych. Baraki, jeżeli ich wojna nie spaliła, stoją do dziś dnia tj. 45 rok.

Czas naglił. Nie doczekawszy się wykończenia baraków – jakoś najnie-sporzej¹⁶⁷ szło Gamskiemu w Skale – trzeba się było na los sprowadzić. Trudność przewiezienia rzeczy i mebli usunął lwowski fachowiec, który spakował nasze mieszkanie w ciągu jednego dnia. Od niego nauczyliśmy się pakować i potem w czternastu przeprowadzkach robiłem to razem z Zosią. Nabraliśmy w tym takiej wprawy, że po ułożeniu w skrzyniach książek, biblioteki, urządzenie domowe dla trzech pokoi z kuchnią, strychem, piwnicą i komórką pakowaliśmy i załadowali na chłopskie wozy, lub do wagonów kolejowych, w ciągu 24 godzin.

W końcu kwietnia przybyliśmy, w beznadziejnie słotny dzień, do nieskoń-czonego domu. Dwa do trzech tygodni trwało wykańczanie budowy. W dwa miesiące potem stanęły już i sztachety. Tymczasem podłogi groziły załama-niem. Trzeba je było zrywać, by je podsypać, w niepodpiwniczonych częściach baraku, ziemią. W końcu lipca barak był ostatecznie wykończony. W półtora roku po zaczęciu! Świetny przedsiębiorca! Ani słowa! Biuro trzeba było za-raz urządzić i zaraz zabierać się do pracy. Urządzenie domu spadło prawie całkowicie na Zosię, tak samo jak zakładanie ogrodu koło baraku. Była to wielka, bardzo kłopotliwa robota wobec spóźniającego się ogroduzenia.

Na dobitkę pomnożyła chaos, wynikający z równoczesnego wykańczania baraku i naszego w nim mieszkania, niespodziewana delegacja po odbiór progów (podkładów) kolejowych do lasów (prawdziwego Słoneckiego, mi-lionera) w Turylczu i Muszkatówce. Te wsie leżą w odległości 2 do 2 i ½ mili na południowy zachód od Skały, tuż za Borszczowem. Nie leniłem się do żadnej pracy, ale naprawdę ta delegacja była mi bardzo nie na rękę. Zamieszkałem tam w prawdziwym, zbitym z desek baraku, w kancelarii przedsiębiorstwa wyrębu lasu i wyrębu progów. Przez dwa dni odbierałem pracowicie i dość ostro poustawiane stosy progów (po 100 sztuk). Prędko zorientowałem się, że stosunkowo duży procent dębiny był niezdrów. Czy dęby za długo stały, czy gleba była nieodpowiednia, nie wiem, nie znam się na tym. Faktem było, że dużo towaru było z gnijącego drzewa. Odbierałem próg za progiem, ce-chując zdrowe znakiem austriackich kolei państwowych KKSTB¹⁶⁸, odrzuca-

¹⁶⁷ Najnie-sporzej – od niesporo – powoli, niesprawnie.

¹⁶⁸ KKSTB (niem. Kaiserlich-Königliche Staatsbahnen) – Cesarsko-Królewskie Koleje Pań-stwowe, przedsiębiorstwo zajmujące się sprawami związanymi z budową i taborem kolejowych w Austro-Węgrzech.

jąc niezdrowe. Przedsiębiorca, czy jego urzędnik, sprytny Żydek, daremnie namawiał mnie, żebym odbierał ryczałtem całe stosy, sprawdzając tylko głowy progów. Twierdził, że tak odbierają urzędnicy dyrekcji kolejowych, bo jeżeli głowa jest zdrowa to i próg musi być dobry. Nie odpowiedziałem na to i robiłem swoje, tak jak zacząłem. Przedsiębiorca zauważył, że zajęty progami nie staram się zorientować w lesie i idę za nim ślepo do tych stosów, do których mnie poprowadzi. Zebrał tedy wybrakowane już progi, ustawił z nich nowe stosy i trzeciego dnia po południu wiedzie mnie do takiego stosu. Ale mnie nie nabrał. Zorientowałem się, że to są już odrzucone progi, wyduśiłem z robotników przyznanie, że przez całą noc braki znosili i stosy z nich ustawiali i zrobiłem odpowiednią awanturę. Przedsiębiorca robi skruszoną minę, przyznaje się do błędu i uroczyście zaklina, że już nigdy więcej... i prowadzi mnie do drugiego, również z braków zestawionego stosu. Naumyślnie oglądam powoli próg za progiem i odrzucam całą setkę. Gdy to samo zaczął robić z trzecim stosem, tj. odrzucać wszystkie progi, przedsiębiorca zrozumiał moją złośliwość, wszak robotników przerzucających na darmo ciężkie progi musiał tak czy tak płacić, zaproponował przerwanie odbioru. Wie, czego chcę, więc postara się zestawić dla mnie same zdrowe progi. Zgodziłem się na przerwanie odbioru w tej części lasu i wróciłem do baraku. Niedługo nadchodzi ten macher i zaczyna, jakby nigdy nic rozmowę. W toku rozmowy kładzie przede mną 200 guldenów z prośbą o względność przy odbiorze. Przerwałem – powiem uczciwie: z radością – moje tam urzędowanie i odbiór. Natychmiast nocą wróciłem do Skąty. Opis zajścia, ofiarowanie łapówki, posłałem do Czortkowa. Wskutek tego Kosiński zarządził, że odtąd każdy inżynier prowadzący budowę będzie odbierał progi na swoim losie, a nie w lesie. Przedsiębiorca, dostarczający progi wyszedł na tym gorzej, bo wzrosły niepomniernie koszty transportu, tam i z powrotem, wybrakowanych progów. Ja – prócz doświadczenia życiowego – zyskałem to, że mogłem i coś planów przygotować, i Zosi pomóc wieczorami w urządzeniu mieszkania. Na razie zamieszkaliśmy jeden pokój na pięterku.

Lieberman zaangażował Tadeusza Kościuka¹⁶⁹, jako swego inżyniera, na moim losie. Był to lwowski obywatel i lwowski technik, doskonały budowniczy domów, doświadczony, przewidujący organizator robót, człowiek uczciwy, prawdomówny. Roboty ziemne, mosty, niezwykle fundamenty, roboty pomiarowe mało go interesowały i mało się na nich rozumiał, podobnie jak ja wówczas na budowaniu domów. Początkowo patrzyliśmy na siebie z całą nieufnością młodocianego wieku (on był o jakie 7 do 8 lat ode mnie starszy) na opak, po omacku, z daleka – jak się wtedy mawiało. Ale w końcu

¹⁶⁹ Tadeusz Kościuk (1861–?) – inżynier, absolwent Wydziału Inżynierii Szkoły Politechnicznej we Lwowie.

budowy stosunki nasze ułożyły się całkiem dobrze i szczerze. W parę dni po pojawieniu się Kościuka, w połowie czerwca, przybył do Skały, przydzielony mi do pomocy na dwa miesiące, młody technik Mianowski.

Od najwcześniejszej wiosny, długo przed zaczęciem robót, zaczął się formalny ciąg, wzdłuż przyszłej budowy, robotników, a po części włóczęgów. Dzień w dzień kilku, kilkunastu, a czasem kilkudziesięciu „podróżnych” zachodziło do baraku, pytając o robotę, nierzadko prosząc o wsparcie, nierzadko groźnym tonem. Ci „barabi” budzili swoim wyglądem, głosem i gestami, postrach, w rzeczywistości mało uzasadniony, wśród miejscowej ludności. Z ust do ust krążyły przesadne wieści o kradzieżach, bójkach, napadach bandyckich, morderstwach przez nich rzekomo dokonywanych. Prawdziwa agencja JPP (JPP znaczy: „jedna pani powiedziała”).

Nazwa „barabów” przyłgnęła przede wszystkim do fachowych robotników ziemnych, pracujących łopata, taczkami i wózkami, na szynach, jacy się wyrobili spośród chłopów powiatu kolbuszowskiego i sąsiednich, leżących w widłach rzecznych między Wisłą a Sanem. Znani i poszukiwani byli w całym świecie. Po skończeniu jednej budowy z dużymi robotami ziemnymi, więc przeważnie kolejowej, wędrowali do drugiej i tak dalej, nieraz przez całe życie. Niemieccy inżynierowie nazywali ich „krukami kolejowymi” (Bahnrabe), że niby jak kruki ciągną za koleją. Od nich ochrzczone w Galicji nazwą „barabów” wszystkich napływowych robotników, pracujących nad budową kolei, dróg, regulacją rzek. Czasem nazywano ich Barabaszaami. W ustach ludności miejscowej była to nazwa pogardliwa, ale inaczej traktowali ją sami barabi. Prawo do noszenia tej nazwy przyznawali tylko tym spośród siebie, którzy przewędrowali co najmniej przez trzy budowy. Pretekstem do tego barabskiego tytułu mógł rościć sobie także tylko ten inżynier, który pracował przy trzeciej budowie kolei. Barabi na ogół odnosili się do mnie z całą życzliwością i zaufaniem, tak samo jak ja do nich. Jeden baraba, chcąc mi wyrazić swoje serdeczne uczucia, powiedział, przy końcu robót w Skale, w formie komplementu: „Pan inżynier jest już właściwie barabą. Pan do nas pasuje”. Byłem z tego bardzo dumny.

Budowę mego losu zaczęła nejgerowska partia barabów. Akordant Neiger, stary baraba, budował już jakie dwadzieścia lat koleje. Zapamiętałem jego oryginalną postać z linii Stanisławów–Woronienka. Pracował w Trembowli na losie Żaka, a potem u Pelca. Tam go poznałem. Miał w swej partii samych barabów, stale z nim, uczciwym człowiekiem, od lat pracujących. Żyd, który nie umiał mówić gwarą niemiecką, zwaną jakby na ironię: „językiem żydowskim”, ale za to sepleniał i mazurował niczym rodowity Mazur i mówił śliczną polszczyzną. Niedługo po nim, przy dużych robotach ziemnych, zaczęli pracować bukowińscy Lipowani, specjaliści od robót ziemnych wózkami konnymi. Przyjechali do pracy konikami na swoich wózkach.

Z Leżajska, słynącego z pierwszorzędných murarzy, nadiągnęła partia murarska pod wodzą majstra Komornickiego, też bardzo porządnego człowieka i doskonałego fachowca. W tej partii pracował świetny wprost murarz, bardzo inteligentny człowiek i światły patriota Kwieciński. Z okolic Jarosławia nadjechała grupa cieśli. Spod Krosna przybyła partia kamieniarzy w liczbie 7 robotników, Chrobaków. Wszystko rodzina, sami bracia. Nabierając przybyszów, pokazywałem im jako osobliwość skalskiej budowy kamienie toczone przez „Robaki”.

Dla mnie zaczęła się gorączkowa praca. Uciążliwa, zabierająca w lecie 14 do 16 godzin. W ogóle czas pracy na budowie był nieludzką długą. Ustawa pozwalała pracować od wschodu do zachodu słońca. W lecie czas pracy dochodził do 16 godzin na dobę. Nieco łagodził tę mordęgę system akordowy, panujący na budowie. Gdy robotnik się zmęczył, schodził z roboty lub kładł się spać. To nie wywoływało protestu ze strony przedsiębiorcy – akordanta, wszak robotnik nie pracował za dzienną zapłatę. Akordantami nazywano podprzedsiębiorców, którzy przejmowali od głównego przedsiębiorcy pewne roboty do wykonania za umówioną cenę jednostkową, a więc w akordzie. Akordant miał na swym odcinku pracy partię robotników 30 do 70, płaconych przez niego akordowo. Oczywiście na akordancie zarabiał przedsiębiorca, bo płacił mu mniej niż od nas dostawał. Na robotniku zarabiał akordant, bo i on jemu płacił mniej od tego, co mu się od przedsiębiorcy należało. Ile w tym zarobku przedsiębiorców 1 i 2 stopnia było wynagrodzenia za ich pracę kierowniczo-organizacyjną, a ile zysku kapitalistycznego, tj. wyzysku robotnika, można by w każdym poszczególnym wypadku obliczyć z matematyczną dokładnością przez szczegółową analizę cyfr i prac wykonywanych. Byłbym to z całą pasją zrobił, gdybym miał materiały cyfrowe. Uczciwi akordanci zarabiali na ogół niewiele więcej od swych dobrych robotników.

A przedsiębiorcy? Przeważnie zarabiali dużo. Choć pracowałem też na losie, na którym przedsiębiorca bardzo dużo stracił. Co prawda z własnej głupoty.

Na dniówkę pracowała wszystkiego jedna partia robotnicza głównego przedsiębiorcy nad wykończeniem robót, sprzątaniem placu budowy, wyładowaniem materiałów budowlanych, wykonywaniem robót, które trudno było oddać w akord, lub które akordant porzucił, nie skończywszy. Marzeniem przedsiębiorcy było nieprowadzenie żadnych robót we własnym zarządzie dniówkowo płatnymi robotnikami. Różnica cen jednostkowych, płaconych przez nas przedsiębiorcy, a przez niego akordantom, nie mogła być, z natury rzeczy, wielką. Przetarg publiczny obniżał bardzo ceny jednostkowe. Ale że taki Lieberman miał 8 losów, budowę prawie 75 km długą, mała nawet różnica dawała mu w sumie wielki zysk. Wszak pracowało

u niego co najmniej 3000 robotników! Ale akordantom robót ziemnych nie wystarczała sama różnica cen akordowych i płac. Starali się uszczknąć, co się da, robotnikom przy obliczaniu objętości wykopanej przez nich ziemi. Fachowcy, tj. barabi i lipowani, rachowali „kubiki” (metry sześciennie) swojego wykopu lepiej niżby to Pitagoras¹⁷⁰ albo Newton¹⁷¹ potrafił. Ale chłopci z Iwankowa i Skały, niemający pojęcia o obliczaniu brył, dawali się łatwo oszukać i okradać.

2.

Bronię robotników przed nieuczciwymi akordantami. Przedsiębiorca Lieberman o „Kadetach”. Herszko Weingeist staje do roboty. Pierwsza awantura z Liebermanem o pęknięte płyty kamienne. Machalski Maks. Dobre następstwa awantury.

Początkowo, przejęty swymi obowiązkami, ważnością odpowiedzialności, wglądałem [s] we wszystko, w każdą najdrobniejszą czynność odnoszącą się do budowy. A ponieważ ludzie nie lubią, by im zbyt patrzono na palce, wywoływało to kwasy i zatargi. Nie minął pierwszy miesiąc budowy, a ja zrozumiałem, że mnie obchodzą, a właściwie obchodzić powinny, tylko te prace, o których w kontrakcie z przedsiębiorcą była mowa i których opis wykonania wchodził w część składową kontraktu. Skoro przestałem wglądać [s] w roboty, obchodzące wyłącznie przedsiębiorcę, zapanowała między mną a robotnikami i wielu akordantami o wiele lepsza harmonia, która wzrastała w miarę tego, gdy zgodnie z moimi przekonaniem społecznymi nie pozwalałem nieuczciwym akordantom oszukiwać robotników.

Sprawdziłem obliczenie pierwszemu robotnikowi, który się udał do mnie z zażaleniem na swego „pracodawcę”, akordanta, którego podejrzewał o oszukańcze obliczenie ilości kubików. Obliczywszy z możliwą dokładnością objętość jego roboty, dałem mu na piśmie cały wymiar, obliczenie i wynik ostateczny. Okazało się, że akordant Kornhaber, oczko w głowie Liebermana, chciał robotnikowi ukraść przeszło 12% jego pracy. Odtąd w każdy dzień po wypłacie nie miałem spokoju. Konsekwentnie sprawdzałem wypłaty każdego skarżącego się robotnika. Robiłem to chętnie, przekonany, że tą drogą oduczę akordantów od oszukiwania niedoświadczonych robotników. Nauczyli się i robotnicy, i akordanci. Spodziewanym wynikiem

¹⁷⁰ Pitagoras (572–497 r. p.n.e.) – grecki matematyk i filozof.

¹⁷¹ Isaac Newton (1642/1643?–1727) – angielski matematyk, fizyk i filozof.

mej pracy było, że po 3 miesiącach skargi ustały. Zaś niezamierzonym skutkiem był fakt, że akordanci zażądali od przedsiębiorcy podwyższenia im cen jednostkowych. Lieberman ciskał się, złościł, ale musiał ustąpić. Stąd pochodziła jego wściekłość na mnie, bo moją kontrolę obliczeń akordanckich – nie bez słuszności – uważał za moralną przyczynę zmniejszenia się jego zysków na moim losie. Toteż, skarżąc się na mnie Kosińskiemu, ostrzegał go: „Z tymi kadetami nie wybuduje pan nadradca kolei!”. Za tych „kadetów” i ja byłem dodatkowo zły na niego. Nie darowałem mu ich, jak się to jeszcze pokaże. Kosiński nie ronił mi z tytułu tych skarg żadnych uwag, bo stosowana przeze mnie ochrona robotników była ogólnikowo przewidziana w „Przepisach dla prowadzących budowę”.

W początku robót zgłosił się do mego biura znajomy nam Herszko Weingeist z prośbą o pracę. Przyzwyczajony, że Żydzi zgłaszali się do pracy wyłącznie na stanowiska pracowników biurowych, magazynierów lub nadzorców, dałem mu nudnie stereotypową odpowiedź, żeby się zgłosił ze swoją ofertą do przedsiębiorcy, względnie jego zastępców, inż. Kościuka, Akiwy Goldschlaga¹⁷² (znanego nam z poprzedniego tomu), ewentualnie do akordantów. Jednak on mi wyjaśnia, że właśnie akordant nie chce mu jako Żydowi wydzielić miejsca pracy ani dać łopaty, taczek i desek. On chce pracować jak robotnik, nie nastawnik. Do mnie przychodzi ze skargą na akordanta. „Ale chyba wiecie” – mówię do niego – „że porządek roboczy na budowie wyznacza jako dni pracy sześć dni w tygodniu, a jako dni wypoczynku niedzielę i święta rzymsko- i greckokatolickie. Jak tedy będzie z Waszym szabasem i świętami żydowskimi?”. „Trudno” – odpowiada – „muszę z czegoś żyć. Chcę uczciwie żyć z pracy. Jak trzeba, będę pracował w soboty i mniej ważne święta żydowskie”. Zająłem się nim szczerze. Pracował przy stacji, naprzeciw okien mego biura. Widziałem go aż do końca budowy latem i zimą wozącego taczkami ziemię. Z początku szło mu niesporo¹⁷³, ale że chłop był z niego na schwał, wkrótce nabrał wprawy i wyglądu typowego baraby. Po skończeniu tej budowy poszedł do drugiej, trzeciej i dalej. Jako doświadczony baraba został z czasem kolejomistrzem. Na razie w Skale zjawiał się u mnie co niedzieli, z rana, zabierając gazety z całego tygodnia. A że u mnie były tylko socjalistyczne pisma polskie i niemieckie, wkrótce stał się socjalistą i jak mi powiedział, dumny jest z przezwiska, jakie mu Żydzi w Skale nadali. Jak z góry zapowiedział, pracował w soboty, a odpoczywał w niedzielę. Toteż gdy w sobotę po robocie wracał do domu, biegła za nim gromada wyrostków żydowskich, obrzucała grudami ziemi, błotem, kamieniami wśród

¹⁷² Akiwa Goldschlag (1872–?) – członek Bratniej Pomocy, absolwent Wydziału Inżynierii Szkoły Politechnicznej we Lwowie.

¹⁷³ Niesporo (przest.) – tu w znaczeniu: z trudnością, niełatwo.

okrzyków: „Herszko socjalik!”. Ten to przydomek czy przezwisko przylgnęło do niego i z niego był zadowolony. Na szczęście dom Weingeistów stał nie daleko budowanej stacji, więc Herszko niewiele sobie robił z tych nagabywań. Z tego też powodu ustały po pewnym czasie te czepiania się. Jeszcze się w życiu z Herszkiem spotkałem. O czym potem.

Z Liebermanem miałem dużo drobnych utarczek. Trzy z nich przybrały rozmiary prawie że awantur, bo na skutek jego skarg przyjeżdżali do ich rozpatrzenia – niejako do sądu nade mną – moi przełożeni.

Powodem pierwszej awantury były płyty kamienne, mające nakryć mostek o jednym mt. [?] światła, ale dość długi, bo blisko 18 metrów. Ten przepust, przed wjazdem na stację, był zbudowany w sześciometrowym nasypie. Płyty miały 1,50 m długości i bodaj 25 cm grubości. Zaglądając we wszystkie kąty i zakamarki budowy, obejrzałem sobie starannie i płyty przywieszane do przykrycia tego przepustu. Zauważyłem na kilku sztukach cieniuchne, ledwo dostrzegalne, włoskowate rysy w poprzek płyt. Te pęknięcia mogły być spowodowane albo niedbałym przewozem, albo nieoględnym wyrzucaniem ich może w kamieniołomie, a może z wozów na miejsce budowy. Zaraz zwróciłem uwagę Kościukowi, by zawczasu zamówił inne, a pęknięte albo usunął z budowy, albo ich zdrowych części użył gdzie indziej. Wykonanie przepustu było pilne, ponieważ miała nad nim przechodzić robocza kolejka dla przewozu ziemi z przekopu na nasyp stacyjny. Wagony miał ciągnąć „samowarek”, tj. wąskotorową maszynę parową. Z tego powodu kilka razy przypominałem Kościukowi sprawę wymiany płyt. Zasłaniał się Liebermanem: „Meldowałem Liebermanowi. Załatwienie tej sprawy wziął na siebie”. Dość, że przepust wymurowany czekał na brakujące płyty, mające zastąpić wybrakowane przeze mnie. Gdym po kilku dniach niebytności w tym miejscu budowy poszedł raz oglądnąć stan prac nad przepustem, zobaczyłem przepust wykończony i ziemią zasypany. Właśnie zaczęto kłaść tor pod maszynkę. Wchodzę do przepustu i widzę, jak drobne z trudem wypatrzone ryski przybrały pod ciężarem ziemi takie rozmiary, że można było w nie prawie palec włożyć. Robię ostrą wymówkę Kościukowi, dlaczego wbrew memu zakazowi, przykryto tymi wybrakowanymi płytami przepust? On odpowiada, że płyty założył na wyraźny rozkaz Liebermana, który tu był, sam płyty oglądał i stwierdził, że pęknięcia są moim przywidzeniem, zapowiedział, że telegrafuje do kierownictwa ze skargą na moje sekatury¹⁷⁴ wstrzymujące budowę. Sam ułożył depeszę i Goldschlag zaniósł ją na pocztę. Dowiedziawszy się o tym, popełniam złośliwość i nie uświadamiam Kościuka, co znalazłem w przepuście. Ani Kościuk, ani Goldschlag nie domyślili się, aby skontrolować w przepuście stan dzisiejszy płyt. Liczyłem na to, jak

¹⁷⁴ Sekatura (przest.) – nękanie.

również na to, że na skutek depeszy Liebermana, lada dzień, albo Kosiński, albo Żak przyjadą i że płyty jeszcze dzień, dwa lub trzy wytrzymają.

Jakoż przyjechała dwuosobowa komisja – zastępca Kosińskiego inż. Maks Machalski¹⁷⁵ (zwany „Maksiem”) (dla odróżnienia od jego brata „Maury-sia”¹⁷⁶, który był zastępcą kierownika budowy kolei, nieco później zorganizowanego Biura Kolejowego Wydziału Krajowego) i Lieberman. Wchodzimy na stację. Lieberman jako preludium wylewa na mnie szereg skarg w drobnych sprawach, robiąc nastrój, kulisy dla uzasadnienia twierdzenia, że go prześladują. Maksio musiał te skargi już nieraz słyszeć, bo przerywając jego rozlewno-żałobliwą jeremiadę¹⁷⁷, pyta: „A gdzie te, wedle p. Moraczewskiego, pęknięte płyty?”. „Zaraz do nich dojdziemy” – odpowiadam. Schodzimy z nasypu do wylotu przepustu, jako że tam było nieco wyżej, więc wygodniejsze niż u wlotu wejście do niskiego i ciasnego kanału. Zapalam latarkę naftową pierwszy włączę do przepustu i stąpając ostrożnie, aby się nie „skaleczyć” – robotnicy na poczekaniu zrobili z przepustu ustęp – otwieram pochód. Za mną Maksio, za nim Lieberman, dalej Kościuk, akordant, dwaj figuranci. Ciasno, nisko, mokro, śmierdzi łajno, prawie na czworakach posuwamy się naprzód. Cofnąć się nie można, trzeba całą drogę przebyć. Płyty się już wygięły do środka. Już nawet ja zaczynam się bać, czy nie zawała się na nas w tej kamiennej rynnie. Gdy Maksiowi oświeciłem latarką pierwszą, grożącą zawaleniem płytę, zachnął się, odruchowo cofnął się, uderzył plecami o Liebermana, ten o Kościuka, Kościuk o akordanta i tak dalej. Widząc to, dodaję mu odwagi, mówiąc: „Panie radco, trzeba iść naprzód, niepodobna się odwrócić”. Pękniętych płyt było coś ośm [osiem], przykrywały sam środek przepustu. Przyznam się, że duch we mnie wstąpił, gdy wyszedłem cało z tej grozy, a przy tym kloaki, na świeże powietrze. Wszyscy inni wyszli śmiertelnie bladzi. Pierwsze słowa Maksia były do mnie: „Po coś nas pan tam prowadził? Mogliśmy wszyscy zginąć!”, a do Liebermana: „Te płyty muszą być natychmiast wymienione. Wszystko się zawali. Ruch kolejki wstrzymać zaraz!”. Odpieram zarzut: „Trzeba mi było wierzyć, że nigdy nikogo nie czepiam się bezpodstawnie, niesłusznie. Wszak to pan radca właśnie pytał mnie, gdzie są te pęknięte płyty!”. „Pan ma rację, przepraszam pana” – mówi Maksio do mnie – „ale dlaczego pan, panie Lieberman, skarży się telegraficznie na pana Moraczewskiego, nie mając do tego najmniejszych podstaw?”.

¹⁷⁵ Maksymilian Machalski (1842–?) – urodzony w Wojniczu w Galicji. Studiował w Instytucie Technicznym w Krakowie. Był również studentem nadzwyczajnym na Wydziale Filozoficznym Uniwersytetu Jagiellońskiego w latach 1862/1863 i 1863/1864.

¹⁷⁶ Maurycy Machalski (1844–?) – urodzony w Wojniczu w Galicji. Studiował w Uniwersytecie Jagiellońskim w roku akademickim 1861/1862. Prawdopodobnie uczył się, podobnie jak brat, w Instytucie Technicznym w Krakowie.

¹⁷⁷ Jeremiada (przest.) – lament, narzekanie.

Lieberman jeszcze nie ochłonął ze strachu i zmęczenia po przejściu kanału. Wyjąkał: „Ja przecież o pęknięciu nie wiedziałem, płyt nie kazałem zakładać!”. Wtedy byłem jeszcze cholerykiem. Wpadłem w pasję. Krew mi uderzyła do głowy na to bezczelne kłamstwo. Wrzeszcząc do niego: „Ty stary łotrze! Depeszowałeś ze skargą na mnie o te płyty, a teraz nic nie wiesz i ręce umywałeś!”. Rzucam się na niego. Lieberman w nogi. Ja za nim. Maksio łapie mnie za poję surduta. Nie oglądając się za siebie, walę pięścią rękę trzymającą mnie za surdut. Chwyt ustaje, ale ta chwila wystarcza Liebermanowi. Strach dodaje mu sił i ten 60-letni człowiek w sarnich susach pędzi co tchu do partii robotników, którzy z odległości kilkudziesięciu kroków przypatrywali się procesji wyłaniającej się z jamy, a słysząc moje krzyki, zaprzestali pracy, zbili się w kupę i zbliżali się ku nam. Pędzę za wrzeszczącym pomocy Liebermanem. Nie dogoniłem. On pierwszy dopadł do barabów, schował się za nich. Lecę tuż za nim, ale wstrzymują mnie łopaty i czagany robotników skierowane do mej piersi. Za mną biegną figuranci, akordant, Kościuk, Machalski i siłą pohamowali moje usiłowania sprania łgarza. Prawdziwie sensacyjna chryja! Przez tydzień na budowie mówiono o tym. Z igły zrobiono widły. Fama doniosła, że zbiłem po pysku Liebermana. Niestety, to nie odpowiadało rzeczywistości. Bo w istocie wziąłem wtedy jedną z początkowych lekcji udzielanych mi dość hojnie przez życie. Życie nauczyło mnie, że nawet gdy cholera człowieka bierze, trzeba trzymać się w garści i panować nad sobą. Więcej się wtedy osiągnie. Wtedy tam oprzytomniałem, przypomniawszy sobie przysłowie, które później w Galicji przybrało formę: „*Nec Herkules contra Frau Hules*”¹⁷⁸.

Do baraku towarzyszyli mi z jednej strony Maksio, z drugiej Janek Wajda. Maksio zaklinał, perswadował, namawiał, żebym się hamował, że w kierownictwie znają Liebermana na wylot, uchodzi tam za notorycznego kłamcę, czego najlepszym dowodem brak reakcji Kosińskiego na jego rozliczne na mnie skargi. Jednak firma ma we Wiedniu plecy silne, bo jest więcej niż w połowie finansowana przez wiedeński bank Blaua, a reszta przez krakowskiego Epsteina. Lieberman nie usunie się z budowy. Łatwiej usunąć mnie, inżyniera prowadzącego budowę losu. „Niech pan swoje robi, ale bez irytacji, to pan pewnie wygra i dalej doprowadzi niż awanturami”. Choć w skutek opinii kolegów nauczyłem się lekceważyć Maksia za jego uniżony serwilizm przed swoim szwagrem Kosińskim, jednak w duchu musiałem mu przyznać słusność. Tym bardziej, że z powodu mego uderzenia – rękę miałem ciężką i mocne uderzenie, wyrobione włoską szkołą szermierki – ręka musiała go jeszcze wciąż boleć, a on mi tej „niesubordynacji” nie wypomniał. Więc

¹⁷⁸ Parafraza sentencji łacińskiej *nec Hercules contra plures*, czyli w dosłownym tłumaczeniu „nawet Herkules nie pomoże przeciw wielkiej liczbie”.

choć przy każdej telefonicznej rozmowie z Kosińskim kłaniał się do telefonu i miny stroił pochlebne do nieobecnego, wziąłem sobie do serca jego gadanie.

Z tej pierwszej wielkiej awantury wyszedłem zwycięsko. Nie tylko dlatego, że kierownictwo przekonało się dowodnie, iż słuszność była po mojej stronie, ale także dlatego, że Lieberman zaczął się mnie po prostu fizycznie bać. Odtąd znacznie rzadziej pokazywał się w Skale, a o ile musiał, przybywał w licznej asyście. Ja byłem z tego dumny, a Kościuk też był zadowolony, bo lubił solidną robotę, a Liebermana korciło partactwo, jako że dawało większe zyski. W nieobecności Liebermana właściwe prowadzenie robót ziemnych, przepustów, mostów, fundamentów ja ująłem w ręce, a Kościuk stawianie budynków. Budował je jak sam uważał, licząc się tylko z inż. Kremerem¹⁷⁹ z naszego kierownictwa. Był to architekt, drugi zastępca Kosińskiego, referent nowo stawianych budynków. Syn profesora filozofii i estetyki na uniwersytecie krakowskim, znanego pisarza Józefa Kremera¹⁸⁰, był bardzo wymagającym zarówno w czasie samej budowy, jak i przy wykańczaniu domów. Człowiek wysokiej kultury, z wielkim smakiem i wyrobionym poczuciem piękna, był więcej artystą niż urzędnikiem. Kościuk spodobał się mu, bo zarekomendowała go solidna robota i znajomość planów. I on spodobał się Kościukowi, bo ten wyrafinowany esteta był poza tym także bardzo doświadczonym i praktycznym budowniczym, od którego można się było wiele nauczyć.

3.

Abraham Buga jako przemytnik.

W parę dni po ogrodzeniu naszego baraku, znaleźliśmy rano na trawniku worek czymś wypchany. W środku odkryliśmy samowar mosiężny, łyżeczki, cygarniczki i drobną biżuterię srebrną (z Tuły), herbatę w rosyjskim opakowaniu i tytoń rosyjski. Na pewno jakiś przemytnik, ścigany przez naszych „terebelulków”, uciekając drogą koło baraku, wrzucił worek z przemycanym towarem do naszego ogrodu. Schowałem worek w domu. W parę godzin po tym odkryciu pojawia się stary, wysoki, nieco schylony Żyd z dużą siwą brodą, pejsami, w chałacie i pyta o worek. Zaczynam dochodzenie. Bez błędu wymienia całą zawartość worka. Nie ulega wątpliwości, że stojący przede mną człowiek ma z tym workiem tyle

¹⁷⁹ Prawdopodobnie mowa o Józefie Kremerze (1848–1906).

¹⁸⁰ Józef Kremer (1806–1875) – filozof i historyk sztuki, prekursor psychologii, profesor filozofii w Uniwersytecie Jagiellońskim. Trzykrotny dziekan Wydziału Filozoficznego, rektor tejże uczelni w latach 1870/1871.



Fot. 4. Agenor Gołuchowski (1812–1875)
– namiestnik Galicji
Źródło: polona.pl

wspólnego, że mogę mu go wydać. Drocę się z nim, [że] worek odeślę do straży skarbowej (terebelulków), a on niech się uda do poborcy p. Englerta¹⁸¹ i u niego wylegitymuje jako właściciel worka. Żyd patrzy na mnie, nie wie czy mówię serio, czy z niego kpię, ale zdobywa się na otwartość i przyznaje, że trudni się przemysłem, że straż skarbowa stale go o to podejrzewa, że zatem nie może tam iść po odbiór swego towaru. Będzie miał stratę. Jest biedny, ma mały zarobek, wynajmuje plecy, które za umówioną zapłatą przenoszą towar przez granicę i odnoszą mu do domu. Worek wrzucono do baraku z musu, nie można go było inaczej ocalić. Ostatecznie oddałem mu worek, zastrzegłszy się, że to był pierwszy i ostatni wyjątkowy wypadek. Nie chcę stać się jego mimo-wolnym współnikiem, względnie nie chcę wyjść na pomocnika czy ochraniacza przemytników. Ten jedyny raz lituję się nad biednym

(on wtedy był o wiele bogatszy ode mnie, o czym nie wiedziałem) starcem, nie chcę go narazić na stratę, ale drugi raz nie będę się litował.

Zabrał worek i poszedł. Mimo mej zapowiedzi jeszcze kilkadziesiąt razy znajdował się worek w ogrodzie i tyleż miałem wizyt Abrahama Bugi, bo tak się ów Żyd nazywał. Rozgadał się. Marzył i wzdychał do tych dawnych, dobrych, minionych czasów, za starego hrabiego (premiera Agenora Gołuchowskiego¹⁸²), który w Skale ustanowił „kontumację”¹⁸³. Wtedy kwitł handel, miasto się podniosło, ludzie mieli zarobek. Skała była wówczas jedną

¹⁸¹ Władysław Englert – poborca podatkowy w Skale.

¹⁸² Agenor Gołuchowski starszy (1812–1875) – polityk, minister spraw wewnętrznych Austrii w latach 1859–1861, namiestnik Galicji.

¹⁸³ Kontumacja (przest.) – kwarantanna.

z nielicznych miejscowości na pograniczu rosyjskim, przez które był dozwolony przepęd bydła z zaboru rosyjskiego do Galicji. Bydło, które po pewnym postoju (kontumacja) przeszło zwycięsko oględziny weterynarzy, pędzono do najbliższej stacji kolejowej, w której ładowano je do Wiednia.

Dawniej, a zwłaszcza w okresie trwania kontumacji, kwitł w Skale przemysł w wielkim tego słowa znaczeniu. Buga opowiadał o przeprawach przez granicę przemytu na stu i więcej wozach, osłanianych przed austriackimi granicznymi (GRENZ – JÄGER) przez bandy uzbrojonych przemysłników. „Hej to było życie!” – mówił stary przemysłnik – „gdy człek na koniu, z szablą u boku, a karabinem przez plecy, wypatrywał nieprzyjaciela! Bywało nas w bandzie 60 i więcej konnej straży przemysłniczej, zaprawionej do walki, złożonej z zabijaków spod ciemnej gwiazdy, ale serdecznych przyjaciół i wiernych towarzyszy broni”. Z dumą pokazuje blizny, odrąbane w boju palce, przestrzelone płuco, rozplątany łeb, poranioną nogę. W ramieniu kula tkwi do dziś. „Ale się dużo zarabiał. Złoto płynęło przez rzekę, nie woda. Toteż się wody nie piło z kamratami, ale wina, jakich pewnie i u grafa Gołuchowskiego w piwnicach nie ma. Może majątek z kamratami przepiłem. Bywało – podsyłamy granicznemu fałszywą wiadomość i wyprawimy do Trójcy na przynętę dwa, trzy wozy z podległym towarem i małą eskortą. A wielki prawdziwy transport przejeżdża w Burdakowcach spokojnie i bezpiecznie granicę, daleko od miejsca, do którego granicznymi ściągali. A my przed nim”. Przemysł był tak dobrym interesem, dopóki szedł w dwie strony, do Rosji i z Rosji. Granica rosyjska była słabo obsadzona i przez austriackich przemysłników przekupywana. Walki toczyli tylko z austriacką strażą. Interes zaczął się psuć, gdy Rosja obsadziła granicę obwieszczykami tak gęsto, że przemysł do Rosji stał się prawie niemożliwym. Jeszcze szedł wielki przemysł, ale mniej zyskowny, bo jednostronny, tylko do Austrii. Ale i ten ustał. Gdy w Skale zwinięto kontumację, przestała być ona ośrodkiem handlowym dla dużej połaci kraju. Dobiła ją kolej, doprowadzona do granicy rosyjskiej, do Husiatyna, wtedy i Żydki skalskie tam się przeniosły, a z nimi przemysł. Dziś do Skały przemycą się tylko tyle, ile chłop na plecach lekko uniesie, a i to co drugi dzień. Do Rosji idą tylko pęcherze ze spirytusem. Za plecy płaci się jednego guldena. Jaki może być na tym zarobek? A jakie jest ryzyko? Gdy straż skarbową austriacką złapie przemysłnika (to się jej co prawda nieczęsto trafia, bo jest nieliczną), zabiera mu worek. Czasem go biją, czasem zderzą z niego surduta lub czapkę. Butów przemysłnik nie nosi, bo rzekę w bród przechodzi. A przemysł udaje się tylko do czasu opadów śnieżnych. Buga w danym razie daje mu inny surduta lub czapkę, płaci za basarunek¹⁸⁴. Całe

¹⁸⁴ Basarunek (daw.) – chłosta.

ryzyko ponosi przedsiębiorca, nie przemycający. Ten skrót opowiadania Bugi o kryzysie i upadku tak „ważkiej gałęzi handlowej”, jaką był i jest przemysł, udało mi się tylko raz z niego wydobyć. Uważał to za tajemnicę swego przedsiębiorstwa handlowego.

Po wypiciu dwóch, trzech wódek (przynosił swój kieliszek, bo też chasyd. „Ale pan inżynier mnie nie zdradzi przed Żydami?”) z lubością powracał do owych lat z okresu „burz i pędu”, do czasów swej epoki przemysłowej. Opisywał epizody walk zwycięskich i pobitych. Jak bili, zwyciężali i jak bywali bici i rozpraszeni. Jak znowu się zbierali i znów szli na boje w obronie przemysłu i z zawziętością w sercu dla pomszczenia poległych kamratów. Te opowiadania 80-letniego starca, jeszcze krzepkiego, wprowadzały nas w inny świat, daleki, a jednak bliski, wysłuchany z opowiadań ojca, mego wuja Edwarda Brudzewskiego¹⁸⁵ (Rotmistrz Nałęcz w 1863 r.), wyczytany z opisów zmagania narodu przed 35 laty [s]. Zacierała się postać starego chasyda z siwą brodą, pejsami i wyłaniało widzenie rycerza. Prawda, cel walki nie był opromieniony wielką ideą, raczej wprost przeciwnie, więc trudno mówić o bohaterstwie, ale walka jest zawsze walką, odwaga odwagą, krew przelana w boju czerwoną, narażanie życia narażaniem życia, a to budzi podziw i każe szanować rycerza, patrzącego w oczy śmierci.

Ja, a jeszcze bardziej Zosia, mieliśmy słabość do tego dawnego, młodego, walczącego Bugi. I szczerze z nim współczuliśmy, gdy ten stary zabijaka przyszedł raz do nas, już w następnym roku, złamany, szlochający. Umarła jego druga żona, z którą żył przeszło trzydzieści lat, szczęśliwie i zgodnie. Przyszedł się z nami pożegnać. Interesy zdał synowi, a sam jedzie umierać do Palestyny, świętej ziemi izraelskiej. Tam niech spoczną jego prochy. Nam dziękuje za okazane serce, za to, że uważaliśmy go za człowieka, że mógł się przed nami szczerze wywnętrzać. Dziś go nikt nie rozumie. My jedyni. Zosia się spłakała. Ja byłem głęboko wzruszony. Pożegnaliśmy go. Poszedł. Chyba na zawsze!

W dwa tygodnie potem znalazł się worek w naszym ogrodzie. „Kto to? Syn Bugi? Co? Skąd? Dość tego pomagania przemysłowi!” – mówimy do siebie. Aż tu zjawia się nie syn, a sam stary Abraham Buga, spokojny, zrównoważony, nawet staranniej ubrany: „Nie jest worek” – pyta od razu kucharki. Ta leci po Zosię. „A cóż Buga tak prędko wrócił z Palestyny? Musi nam opowiedzieć o tym kraju”. „Nie pojechałem. Namówili mnie, ożeniłem się!”

¹⁸⁵ Edward Brudzewski (1838–1908) – ziemianin, uczestnik powstania styczniowego, właściciel majątku Korabniki.

I po staremu zbierał worki. Kupowaliśmy od niego samowary, łyżeczki, herbatę, tytoń i wozili prezenty przyjaciółom i znajomym. Raz chciał nam wepchnąć dość duży, bo na 12 szklanek, mosiężny samowar. Jakoś nie mieliśmy ani potrzeby, ani ochoty, ani budżetu. Nie skusiła nas nawet niezwykle niska cena, za którą go nam ofiarował, odszedł nie bardzo zadowolony; pocieszał się tym, że pójdzie do hrabiego Józia (Gołuchowskiego) („Wielki” Agenor Gołuchowski, premier, któremu pomnik postawiono w jezuickim ogrodzie we Lwowie, miał trzech synów: Agenora, ministra spraw zagranicznych i ordynata skałskiego, Adama¹⁸⁶, pana na Husiatynie, późniejszego marszałka krajowego, zresztą dobrego gospodarza i groszoro ba i Józefa¹⁸⁷, właściciela dóbr strusowskich, słynnego ze skąpstwa), który dopiero co przyjechał do Skały, ale to skąpiec, nie zechce dać nawet tych 5 złotych reńskich, za które chciał nam ze swoją stratą sprzedać. Po godzinie wraca rozpromieniony, rozradowany, śmiejący się i kpi: „To mi się udało z hrabią Józiem! Zapłacił mi 12 guldenów! Aż to głupiec! Dał się tak nabrać!”. I śmieje się do rozpuku. Zosia się oburzyła i moralizuje go: „Czy to ładnie tak oszukiwać i jeszcze cieszyć się i śmiać z tego! Czy tak uczy wasz zakon? Gdzie sumienie?”. „Pani inżynierowa nie zna hrabiego Józia! Przecież on taki skąpy, że jego żona, taka węgierska grafini Esterhazy¹⁸⁸, porzuciła go, bo skąpił jej szynki rano do herbaty, a przecież ona wniosła mu posagu prawie dwa miliony złotych r.[eńskich], więc starczyło chyba na szynkę! Jak stara hrabina dała wczoraj jego dawnej mamce 10 złr., to on mamce te pieniądze odebrał i w zamian dał jej jednego. Uważał, że matka dała jej za dużo. Takiego miło jest oszukać i wziąć od niego dwa razy tyle, ile mnie samego ten samowar kosztował”.

Co się ze starym stało, nie wiem. W pożegnaniu, urządzonym przez miasto na moją cześć, udziału nie wziął. Jego syn uchodził przed dziesięciu laty za najbogatszego, po Gołuchowskim, obywatela miasta. Był bankierem i kupcem. Czy chadzał prostymi drogami, czy przemycił, czy parął się lichwą? Nie wiem.

¹⁸⁶ Adam Gołuchowski (1855–1914) – polityk konserwatywny, poseł na Sejm Krajowy, marszałek krajowy Galicji od 1912 r.

¹⁸⁷ Józef Gołuchowski (1861–1917) – ziemianin, właściciel pałacu w Strusowie k. Tarnopola.

¹⁸⁸ Żoną Józefa Gołuchowskiego była Bianka Daum ab Erdod-Palfy. Mieli jedną córkę Marię (1895–1966), która wyszła za mąż za hr. Piotra Dunin-Borkowskiego (1890–1949).

4.

Stosunki towarzyskie. Kosiński nalega na wizytę u Gołuchowskich. Opieram się. Gołuchowska przybywa do nas. Nieco o Gołuchowskich.

Przez barak przewijało się mnóstwo osób. Prawie tydzień nie minął, by ktoś nie przyjechał z przyjaciół, rodziny, kolegów lub przełożonych i urzędników kolejowych. Najczęściej bywał i najdłużej u nas przesiadywał Tadzio Kobylański. Raz przywiózł go jego brat Kazimierz czwórką, starannie dobraną z winogradzkiej stadniny. Jeździliśmy z Zosią do niego do Teresina, gdzie spotykaliśmy wcale nieciekawego jego gospodarza Słoneckiego, ale za to bardzo wartościowego i sympatycznego inż. Margasińskiego, który z ramienia przedsiębiorstwa prowadził na teresińskim losie roboty. Tadzik był dobry chłop z kośćcami, ale inżynier był z niego nietęgi. Byłem bardzo rad, że Margasiński jest z nim razem, a nie kto inny, bo ten budował solidnie bez względu na to, czy mu kto umiał patrzeć na palce czy nie. Pomagałem trochę Tadziovi, bo wypracowałem mu kilka planów przepustów i przejazdów. Margasiński dawał mu dużo praktycznych wskazówek. Zwłaszcza przy ciężkim fundamencie 5-metrowego sklepionego mostu na jakimś bezdennie bagnistym potoku, niedaleko granicy Iwankowa. Tadzio coraz wyraźniej myślał o żeniaczce, co natchnęło panią Kozierowską i Zosię myślał swatania go.

Bywali u nas koledzy z całej linii: Wychowski¹⁸⁹ (Szymańkowczyki należały do Szwajcara Plattnera, który tam założył sad morwowy, hodował jedwabniki i wyrabiał jedwab. Miał młodą żonę. Po śmierci starego Plattnera, Wychowski ożenił się z wdową i wszedł w posiadanie tego majątku). Z Morfem przyjeżdżali ze Szymańkowczyk, Schmosch z Jezierzyna, Aba Fischler z Metzgerem z Kozaczyny, a Teodor Loegler¹⁹⁰ z Borszczowa. I my jeździliśmy do nich. Ale te stosunki, z natury rzeczy, jako wymagające dużo czasu były i dalsze, i rzadsze. Co prawda odwiedziny te były najmiłsze. Budowa tak zajmowała i cały nasz czas, i prawie wszystkie nasze myśli, że trzeba było wielkiego wysiłku, aby w towarzystwie o czymś innym mówić, czym innym się zająć. W gronie kolegów nie było tego przymusu. Będąc między sobą, mówiliśmy prawie wyłącznie o pracy, o postępie robót,

¹⁸⁹ W oryginale Wyhowski. Stanisław Wychowski urodził się w 1872 r. w Czerniowcach. W latach 1890–1895 studiował na Wydziale Szkoły Politechnicznej we Lwowie, a następnie pracował jako inżynier kolei państwowych przy budowie linii kolejowych w Galicji.

¹⁹⁰ Teodor Loegler – urodzony w Tarnowie, studiował na Wydziale Inżynierii Szkoły Politechnicznej we Lwowie, a następnie pracował przy budowie linii kolejowych, m.in. w Stanisławowie i Tarnopolu.



Fot. 5. Ruiny zamku w Skale

Źródło: polona.pl

o trudnościach, o niezwykłych i zwykłych zdarzeniach związanych ściśle z budową. Ona wchłaniała nas w siebie. Rzadko w który wolny dzień można było pracę zawiesić na kołku i jechać do sąsiadów. Wprawdzie i Zosia wciągnęła się po trosze w ten wir budowy, ale przecież rodzaj jej pracy był inny i te nieustanne rozmowy na jeden i ten sam temat nie mogły jej tak interesować, jak nas inżynierów. Toteż zawiązała bliskie stosunki z panią Kozierowską i jej córką Olą. Bardzo się polubiły. Prawie co wieczór schodziły się to u nas, to u nich. Ona była wcale miłą, dobrą, niegłupią kobietą, a przy tym doskonałą, praktyczną gospodynią. To małe grono kobiet powiększyło się, gdy w Skale osiadł dr med. Krzyształowicz¹⁹¹ z młodą żoną i gdy do swego kompletu wciągnęły także aptekarzową Piotrowską¹⁹². Sam aptekarz miał dużą wartość jako człowiek, szkoda że gruźlik, przedwcześnie zmarł (w czasie naszego pobytu w Skale). Na tych towarzyskich zebraniach bywali także i mężczyźni. Nieraz prowadziliśmy poważne rozmowy¹⁹³ na tematy przeze mnie lub Zosię poruszone. Jedna zażarta kłótnia zabrała nam kilka wieczorów, na temat dopuszczenia kobiet do szkół średnich i do wyższych

¹⁹¹ August Krzyształowicz, od 1898 r. lekarz w Skale.

¹⁹² Piotrowska – żona Mariana Piotrowskiego, właściciela apteki w Skale.

¹⁹³ Rozmowy – rozmowy.

studiów. My, pani Kozierowska i Piotrowska zawzięcie kruszyliśmy kopie w obronie równouprawnienia kobiet w dziedzinie nauk. Zwalczali namiętnie dążenia kobiet dwaj bracia Rogalscy, szwagrowie Piotrowskiego, z których jeden skończył medycynę, a drugi prawo i dr Krzyształowicz. Powtarzali głupie, ale rozpowszechnione wówczas przekonanie, że kobiety jako lekarze będą mordować, a jako aptekarze truć chorych. Irytowała mnie ta tępota naszej inteligencji, więc zakończyłem dyskusję nowiną, wy czytana w „Arbeiterce”, że austriackie ministerstwo oświaty przedłożyło parlamentowi projekt ustawy, robiącej wyłom w dotychczasowej praktyce i otwierającej, w pewnych warunkach, kobietom dostęp do studiów wyższych. W r. 1901 na uniwersytecie lwowskim studiowało już 66 kobiet.

Ku niezadowoleniu p. Kozierowskiej bywaliśmy także w Iwankowie u leśniczego Hankiewicza i w Cyganach u bardzo wykształconego i nowocześnie myślącego parocha Hlibowieckiego (?). Poza tym mieliśmy często gości urzędowych. Najważniejszym z nich był Kosiński. Zachowywał zawsze należyty odstęp, więc pewną sztywność, która mimo woli przypominała mi powiedzenie lwowskiego profesora Jaegermana¹⁹⁴ o dyrektorze miejskiego urzędu budowlanego inż. Hochbergerze (moim wuju): „Ten pruski ład sztok...”¹⁹⁵. Wuj, bardzo wysoki, bardzo szczupły, bardzo sztywnie wyprostowany człowiek, mimo swego niemieckiego nazwiska, był gorącym polskim patriotą. Pochodził istotnie spod zaboru pruskiego. Zaś Kosińskiego można był nazywać „Ladstokiem”, ale tylko w moralnym znaczeniu. Fakt, że ktoś pochodził z Poznańskiego mógł tylko w ustach inteligentnego „batiara” lwowskiego być równoznacznym z „prusactwem”. Kosiński przyjeżdżał czasem przed południem i zostawał u nas na obiad, ale częściej pod wieczór i nocował. Za każdy razem idąc na spoczynek, pytał mnie, czy nie mam dzisiejszych gazet. Mogłem mu ofiarować tylko: „Naprzód”¹⁹⁶, „Arbeiter Zeitung”, „Krytykę”¹⁹⁷ i „Neue Zeit”¹⁹⁸. „Same socjalistyczne” – powiada – „dziękuję”. Zapewne było mu to niekoniecznie przyjemnie, że jestem socjalistą, ale z tego powodu nigdy nie robił mi żadnych trudności ani nieprzyjemności. Uważał to za rodzaj fizycznego niedomagania. Miał do mnie dwie, zgoła innej natury,

¹⁹⁴ Józef Jaegerman (1843–1927) – profesor Politechniki Lwowskiej, radny miejski, działacz społeczny, współtwórca Towarzystwa Politechnicznego we Lwowie.

¹⁹⁵ Od niemieckiego *der Ladestock* – wycior, służący jako pomoc przy ładowaniu broni.

¹⁹⁶ „Naprzód” – organ prasowy PPSD, wydawany w Krakowie od 1892 r. Jako dziennik ukazywał się od 1900 r.

¹⁹⁷ „Krytyka” – miesięcznik społeczno-literacki ukazujący się w latach 1896–1914 (z przerwą w 1898 r.) początkowo we Lwowie, następnie w Krakowie, ideowo związany z ruchem socjalistycznym (PPSD).

¹⁹⁸ „Die Neue Zeit” – czasopismo wydawane w latach 1883–1923, organ niemieckiej Socjaldemokratycznej Partii Niemiec (SPD). Od 1890 r. ukazywał się jako tygodnik.

pretensje. Jedną było to, że nie sprawiłem sobie munduru, przepisanego dla urzędników kolejowych. Zrobiłem to dopiero w r. 1904. Druga sprawa była cięższą i trudniejszą. Wymagał, abym z żoną poszedł z czołobitną wizytą do Gołuchowskich. Tłumaczyłem mu, jak umiałem, że za wysokie progi na moje nogi, że młody inżynierek kolejowy nie może bywać, na zasadach równości, u kilkakrotnego milionera, pana na 12 000 morgów, najpiękniejszego czar-noziemiu, w dodatku „ekscelencji” ministra spraw zagranicznych. Serwili-stą nie jestem, nie mam w sobie za grosz uniżoności. Między mną socjalistą a takim magnatem nie ma i nie może być nic wspólnego, natomiast dzieli nas całe morze poglądów. Kosiński zirytowany tymi moimi argumentami raz odburknął: „Ja Pana Jędrzeja Cholewę Moraczewskiego i Panią Zofię z baronów Gozdawów Gostkowskich dlatego dałem do Skąty, aby dogodzić hrabiemu ekscelencji. «Hrabina Matka»¹⁹⁹ już kilkakrotnie upominała się o Waszą wizytę”. Nic nie odpowiedziałem, ale nie poszedłem. Kosiński żył, jednak na mój upór nie miał lekarstwa. Kto inny je znalazł.

W którąś niedzielę, w październiku, zajeżdża przed barak powóz Gołuchowskich. Wysiada starsza pani. Pokazuje się, że to była właśnie „hrabina matka”. Powiada do mnie: „Nie chciała przyjść góra do Mahometa, przyszedł Mahomet do góry. Teraz będziecie musieli mnie rewizytować!”. Z rozmowy przy herbacie wyszło na jaw, że ta z Baworowskich Gołuchowska, była rodzoną siostrą znanego poety, bibliofila, znawcy sztuki i zbieracza Wiktora Baworowskiego²⁰⁰, odludka, który na cele społeczne (fundacja Baworowskich we Lwowie) oddał cały swój majątek i wszystkie swoje zbiory. Ona podzielała wiele jego zapatrywań społecznych i w czasie rozmów często się na niego powoływała, co było trochę dziwne w ustach głęboko wierzącej katoliczki, bo brat jej Wiktor, skończył przed trzema laty [s] samobójstwem. Być może, że na tle tego samobójstwa wyrósł jej antyklerykalizm. Bardzo czytana, okazała się o wiele lepiej poinformowana o całości zagadnień społecznych, od wszystkich, z którymi w Skale mieliśmy do czynienia. Jej wiadomości o programie partii socjalnych sięgały tylko do upadku Komuny Paryskiej²⁰¹, tj. do końca 1871 r., nowszych prądów socjalistycznych nie знаła. Liczyła, że się o nich dowie ode mnie, wszak p. Kosiński mówił jej, że jestem zagorzałym socjalistą.

¹⁹⁹ Maria Karolina z Baworowskich Gołuchowska (1823–1906) – żona Agenora Gołuchowskiego starszego.

²⁰⁰ Wiktor Baworowski (1825/1826?–1894) – bibliofil, poeta i tłumacz, założyciel Biblioteki Baworowskich we Lwowie.

²⁰¹ Komuna Paryska – rewolucja paryska trwająca od 18 marca do 28 maja 1871 r. Przyczyną zrywu ludności były pogarszające się materialne warunki życia i przegrana Francji w wojnie z Prusami.

Później zjawił się u nas jej drugi syn Adam Gołuchowski, który przez czas ministrowania Agenora czuwał nad gospodarstwem w skalskim kłuczu. Zgoła od matki odmienny typ. Umiał czytać, pisać i mówić po polsku, niemiecku i francusku, tudzież rachować. To ostatnie nawet bardzo dobrze, bo stale mnożył swój majątek i szybko zaokrąglął klucz husiatyński, który po jego śmierci (w stanie bezżennym) przypadł w całości Agenorowi. Do szkół nie chodził. Wykształcenia szkoły średniej nie miał. Nie przeszkodziło to wyborowi go marszałkiem krajowym. Umiał tylko tyle, ile nauczył się z gazet konserwatywnych: „Czasu”²⁰², „Przeglądu” [?], „Gazety Narodowej”²⁰³ i miesięczników: „Przeglądu Powszechnego”²⁰⁴ (jezuicki) i „Przeglądu Polskiego”²⁰⁵ (stańczykowski). Tedy cała jego wiedza była i bardzo powierzchowna, i jednostronna, i chaotyczna. Za to wszystko to, co go jako obszarnika powinno obchodzić, znał świetnie, poczynawszy od chorób zwierząt domowych, a na kursach giełdowych kończąc. Podłoże było w nim dobre (może po matce?), ale nawarstwienie interesem klasowym sprawiło, że np. w dobrach skalskich płace zimowe z młócek, tj. robotników najmowanych do młócenia zboża, wynosiły 8 do 12 centów za cały dzień roboczy. Zatkąło mnie, gdym to w rejestrach gospodarczych Kozierowskiego wyczytał i gdym wysłuchiwał jego wyjaśnienia, że młodzi do 18 roku życia dostają 8 centów, starsi kawalerowie 10, a żonaci 12! Akordowy robotnik przy naszej budowie zarabiał w zimie przeciętnie: 1,50 złr., a więc 15 razy więcej niż najemnik w ordynackich dobrach! Wobec takiego wyzysku sił roboczych przestałem się dziwić wzrostowi fortuny Gołuchowskich. Z najstarszym „hrabią synem” ministrem Agenorem zetknąłem się w początku lata 1898 r. O czym później.

5.

Mogiła w Iwankowie. Zamek w Skale. Straż ogniowa skalska.

T rasa naszej kolei przechodziła, na gruntach chłopskich w Iwankowie, obok dość dużej mogiły, porosłej wiśniowymi drzewami wieku lat trzydziestu, wedle mego niemiarodajnego szacunku. Był to regularny nasyp o kwadratowej podstawie. Bok kwadratu miał mniej więcej 8 do 10 metrów długości. Nasyp otoczony rowem pół metra głębokim.

²⁰² „Czas” – konserwatywny dziennik krakowski. Ukazywał się w latach 1848–1934.

²⁰³ „Gazeta Narodowa” – dziennik ukazujący się we Lwowie w latach 1862–1915.

²⁰⁴ „Przegląd Powszechny” – miesięcznik społeczno-kulturalny ukazujący się w latach 1884–1953 (z przerwami w latach konfliktów zbrojnych) i wydawany przez jezuitów. Wznowiony w 1982 r. ukazuje się do dziś.

²⁰⁵ „Przegląd Polski” – miesięcznik o tematyce kulturalno-społecznej ukazujący w Krakowie w latach 1866–1914. Powołany do życia i redagowany przez krakowskich konserwatystów.

Ziemią z rowu usypano właśnie tę mogiłę. Wszyscy, których o cel, czas i pochodzenie mogiły pytałem, zgodnie twierdzili, że leżą w niej chłopci iwankowscy zmarli przed 50 laty na cholereę grasującą w tamtych stronach w okresie powstania węgierskiego²⁰⁶.

Partia Neigera, kopiąc rowy, musnęła wykopem mogiłę, wybierając z niej może 10 m³ ziemi, jakąś jedną czterdziestą część jej objętości. Neiger dał mi znać, że znaleziono w niej dziwne, niespotykane przedmioty. Robotnicy zaczęli gorączkowo szukać złota, zakopanego skarbu czy czegoś podobnego takiego. W rzeczywistości znaleźli wyroby z krzemiennej epoki. Ślicznie wypolerowana ostra siekiera, także dłuto, młot, czyli kula kamienna, przedziurawiona, niewyroblony nóż, oto przedmioty z tego rowu. W całej okolicy krzemienia nie było. Niewątpliwie, to rzekomo choleryczne cmentarzysko okazało się prahistoryczną mogiłą z okresu krzemienia. Zajęty budową nie miałem czasu na wyszukiwanie archeologa. Dałem znać naszej sekcji w Czortkowie, a znalezione przedmioty schowałem w biurze. Kusiło mnie, by korzystając z okazji, rozkopać ten kurhanik. Ponieważ jednak nie wiedziałem, jak się do tego brać, żeby jego nie zepsuć, dałem spokój i wstrzymałem dalsze na nim roboty. Czy potem kto rozkopał ten kurhan? Nie wiem. Później dowiedziałem się, że cała tamtejsza okolica obfituje w wyraźne ślady przedhistorycznej kultury, właśnie w tego rodzaju mogiłki, kurhany i jaskinie. Wyroby krzemienne skradli mi oficerowie austriaccy w 1916 r. kwaterując w naszym stryjskim mieszkaniu.

Innym, acz nie tak starożytnym, zabytkiem Skały były ruiny zamku, jednej z tych fortalicji stróżującej na wschodniej granicy Rzeczypospolitej i mających ją chronić przed napadami Wołochów, Tatarów, Turków. Na wzgórzu, górującym nad całą okolicą, stały jeszcze brama wjazdowa, dwie baszty, części zamku i resztki murów otaczających forteczkę. Już to ruiny nie nasuwają nigdy miłych wspomnień ani myśli. Zawsze to obraz śmierci rzeczy martwej, budowy z kamienia co prawda, ale w której kiedyś tkwiła dusza, serce, mózg. Kiedyś, gdy te mury żyły, mówiły głosami komendanta, krzyczały głosami załogi czy choćby więźniów katowanych w podziemiach. Huczał w nich głos hetmana Chodkiewicza²⁰⁷, który tu się zatrzymał, idąc naprzeciw armii tureckiej na potrzebę chocimską w 1621 r.²⁰⁸ Mury brzmiały

²⁰⁶ Powstanie węgierskie – powstanie stanowiące część wydarzeń Wiosny Ludów 1848–1849, wybuchło na wieść o ruchach rewolucyjnych w Paryżu i Wiedniu.

²⁰⁷ Jan Karol Chodkiewicz (1560–1621) – wielki hetman litewski, jeden z najwybitniejszych dowódców wojskowych w XVII w. Zmarł podczas oblężenia Chocimia przez wojska tureckie 24 września 1621 r.

²⁰⁸ Bitwa pod Chocimiem – bitwa pomiędzy oddziałami polsko-litewsko-kozackimi a armią turecką pod dowództwem sułtana Osmana II, trwająca od 2 września do 9 października 1621 r., zakończona zwycięstwem wojsk Rzeczypospolitej.

nieraz rozgwarem bitewnym oblegających i broniących zamku, okrzykami triumfu palących zamek Włochów i Turków, zdobywającego go Rakoczego²⁰⁹ i jękami rozpaczy mordowanych polskich jego obrońców.

Teraz pozostał po zmarłym zamku tylko szkielet, zarys fundamentów i te jak piszczele wystające nad ziemią muru, i te gacki, i sowy, gnieźdzące się w tkwiących jeszcze na powierzchni ścianach, i te drzewa, i krzewy na zwaliskach rosnące, i te mchy, i perze, porastające brukowany podwórzec zamkowy. Chodziliśmy po tych ruinach zamku Lanckorońskich²¹⁰, przerebionego za ostatniego króla na pałac, który w kilka lat po jego odrestaurowaniu przez Adama Tarłę²¹¹ spłonął od uderzenia piorunu i już nie został odbudowany. Wprowadzaliśmy w te ruiny gości naszych z tym samym uczuciem pietyzmu, z jakim się zwiedza cmentarze.

Widok z zamku jest rozległy na północ, wschód i południe. W północnej stronie widniał bliski zameczek w Zbrzyziu, na lewym brzegu Zbrucza. A za nim, het! Daleko! Zamki Kalinowskich w Sidorowie i Husiatynie. Na wschodzie majaczyły miasteczka i wsie prawie do samego Kamieńca Podolskiego. Zaś na południu dostrzec można ruiny zamku Humieckich w Kudryńcach nad Zbruczem i nieco na południowy zachód Kąckich w Krzywczu. Za Kudryńcami widziało się oczyma duszy dawną turecką granicę Rzeczypospolitej i jej posterunki obronne w zamku żwanieckim na lewym brzegu Zbrucza, przy jego ujściu do Dniestru i w Okopach Św. Trójcy, tam nad Dniestrem, ale na prawym brzegu Zbrucza i część Wału Trojana od Zbrucza do Dniestru. Chocimska twierdza po drugiej stronie Dniestru stała już na brzegu mołdawskim.

Przejdę teraz do innych starożytności skalskich. *De sublimé au ridicule*²¹² straż ogniowa! Poznałem jej działalność, sprawność i technikę, gdy wybuchł pożar w jednym z domów i choć nie było wiatru zajęło się od ognia jeszcze kilka innych budynków. Studni w Skale nie było. Mieszkańcy czerpali wodę z wodociągu, bo tak nazywano konia ciągnącego beczkę z wodą z jaru rzecznoego na płaskowzgórze, na którym stało miasteczko. Wedle obowiązującego

²⁰⁹ Jerzy II Rakoczy (1621–1660) – książę Siedmiogrodu. Po podpisaniu traktatu w Radnot w grudniu 1656 r., na mocy którego dokonano rozbioru Rzeczypospolitej, na początku następnego roku najechał ziemie Rzeczypospolitej.

²¹⁰ W 1706 r. Lanckorońscy przestali być właścicielami zamku w Skale.

²¹¹ Adam Tarło (zm. 1770) – generał major wojsk koronnych, starosta skalski i brzegowski. Odrestaurował zamek w Skale i wybudował zamek w Zbrzyziu.

²¹² *De sublimé au ridicule* (franc.) – od wzniosłości po śmieszność. *Du sublime au ridicule il n'y a qu'un pas* (od wzniosłości do śmieszności tylko jeden krok) – słowa, które miał wypowiedzieć Napoleon podczas odwrotu spod Moskwy w 1812 r.

przepisu, w każdym domostwie miał być zbiornik z wodą do gaszenia ognia w razie potrzeby. Najczęściej tym zbiornikiem była zakopana w ziemię śledziówka, w której było z reguły dużo śmiecia i na dnie trochę wody. Za to każdy właściciel domu istotnie posiadał sikawkę. Otóż do ognia przybiegła cała banda żydowskich wyrostków z sikawkami w ręku. Sikawka, szumne słowo! W rurze drewnianej był tłok z wystającą rączką. To wszystko. Po prostu duża dwu-, a może trzylitrowa lewatywa z drzewa. Strażak w jarmułce na głowie, w patynkach²¹³ na nogach, z wystającą z tyłu z rozporka koszuliną, biegł z tą sikawką do beczki z wodą. Jeden ruch tłokiem wstecz i, o ile woda była w beczce, sikawka [była] pełna. Biegł z nią jak najbliżej ognia. Jeden ruch tłokiem naprzód i sik! Woda wytryskała z lewatywy. Zgrabny strażak nie raz siknął wodą i na całe dwa metry! Z reguły w miejsce, w które nie trzeba było. Nadjeżdżał wodociąg, przywoził świeżą wodę. W czasie ognia mnożyła się ilość wodociągów, bo gospodarze też mieli obowiązek dowożenia wody. Sikanie, jak w Dyngus, trwało tak długo, dopóki spaliło się do cna wszystko, co się w ogóle mogło spalić. Jeżeli wiatru nie było, straż ogniowa po wysikaniu kilkuset sikawek wracała zadowolona ze swego dzieła, w każdym razie z przeświadczeniem należycie, sumiennie spełnionego obowiązku obywatelskiego. I słusznie. Chłopcy szli w ogień po bohatersku. Lewatywowe sikawki ich nie obciążają. Gdyby Morgenbesser²¹⁴ widział ten sprzęt straży ogniowej skalskiej na pewno uwieczniłby go w swej nieśmiertelnej *Obronie Sokołowa* (pisaney przed pół wiekiem).

W czasie budowy kolei, z napływem barabów, oni objęli czynności straży ogniowej i gasili ogień nie tak archaicznymi narzędziami. Niewiele było pożarów, ale w czasie jednego z nich któryś z naszych robotników wyniósł z palącego drewnianego domu kołyskę z żywym dzieckiem. A swoją drogą, w kilka lat po otwarciu linii kolejowej, mimo tak dzielnej straży ogniowej, spłonęło całe miasteczko. Odbudowano je, wedle planu regulacyjnego, opracowanego w Biurze Drogowym Wydziału Krajowego przez inż. Mikołaja Czajkowskiego, znanego już nam z poprzednich wspomnień.

²¹³ Patynki – buty na grubej podeszwie nakładane na miękkie pantofle przy wychodzeniu na zewnątrz.

²¹⁴ Aleksander Morgenbesser (1816–1893) – poeta i pisarz, autor żartobliwego poematu pt. *Obrona Sokołowa: śpiew bohaterski w IX pieśniach* napisanego w 1854 r.

6.

Przygoda na grobli. Wizyta w Zbrzyziu i Gusztynie. Wyprawa do Kamieńca Podolskiego.

Na Zielone Świąta, chyłkiem, bez urlopu uciekliśmy z losu na dwa dni do Lwowa, dla widzenia się z moją babką Franciszką²¹⁵. Cel został osiągnięty, bez żadnych następstw. Wróciwszy, zastaliśmy mieszkanie w największym porządku. Tylko w jadalni widoczne były na podłodze ślady jakiejś nieczystości. Kucharka zapewniała, że rano tego nie było, że winowajcą mógł być tylko kot, który wszedł do pokoju przez otwarte okno. Istotnie, kot był w pokoju i na mój widok przyszedł łasić się do mnie. Zosia prędką i zdecydowana, zanim zdołałem przeszkodzić, chwyciła kociaka i mimo że się wydzierał i miauczał, nabiła... nabiła. Nie chcąc patrzeć na karanie ulubionego stworzenia, podniosłem oczy do góry. O dziwo! Na suficie były te same ślady, co i na podłodze. Wskazuję je Zosi i pytam ją o zdanie, w jaki sposób mógł kot sufit zanieczyścić? Śledztwo wykazało, że winowajcą była jedna butelka z konserwami grochowymi, stojąca na kredensie. W cieple zaczęła fermentować, wysadziła korek i wystrzeliła swoją zawartość na sufit. Co tam nie przyłgnęło, spadło na podłogę i skrupiło się na kotku. Z całym patosem, wzorem naszej królowej francuskiej węgierki, wołałem do Zosi w imieniu kota: „Kto mu cierpienia, kto mu łyzy osuszy?”.

Pierwszego sierpnia pojechaliśmy do Zbrzyzia. Ciągnęła nas tam chęć zobaczenia tego zameczka i potrzeba odwiedzenia właścicieli Zbrzyzia pp. Kazimierzostwa Kozickich²¹⁶. On był rodzonym bratem Zosinego szwagra Włodzimierza. Przepustki do przejazdu granicy dostaliśmy z łatwością. Gorzej było z przepuszczeniem po nas koni dworskich stamtąd. Tedy konie miały na nas czekać po tamtej stronie Zbrucza.

Jedyna w Skale oficjalna komunikacja między dwoma zaborami wiodła po kamiennej grobli, zbudowanej w poprzek rzeki, dla doprowadzenia wody na młyn ordynacki i utrzymywanej przez dwór skalski. Kilkundniowe deszcze podniosły wysoko stan wody w rzece, grobla znalazła się pod wodą, a w jednym miejscu na nurcie wielka woda wyrwała z grobli kilka wielkich kamieni, tworząc w jej nawierzchni dość duży wybój. O przejściu suchą nogą przez groblę nie było mowy, trzeba było skalskim fiakrem wziąć tę przeszkodę.

²¹⁵ Franciszka z Zakrzewskich Moraczewska (1821–1898) – babka Jędrzeja Moraczewskiego.

²¹⁶ Kazimierz Dunin-Kozicki został współwłaścicielem majątku w Zbrzyziu w wyniku małżeństwa z Adelą Gradowską, córką Oktawiana, właściciela części Zbrzyzia. Wcześniej Dunin-Koziczcy byli właścicielami (lub współwłaścicielami) Zbrzyzia do pierwszej ćwierci XIX w.



Fot. 6. Kamieniec Podolski, koniec XIX w.
Źródło: polona.pl

Wjechać na groblę wjechaliśmy w porządeczku. Miłe były złego początki. Oczywiście woźnica wjechał akurat w wybój, dorożka się przechyla, przednie koła w powietrzu, tylne w dziurze, ślizgają się. Lada chwila wysypie się cała zawartość pojazdu do rzeki. Bez namysłu skaczę do wody. Zapadam się po pachy. Podtrzymuję tylną oś wozu. Woźnica skacze na groblę i chwytając przednie koło. Jeszcze ktoś przybiegł z pomocą i prowadzi konie, trzymając je przy pyskach. Wspólnymi siłami naprostowaliśmy dryndę, wydobyli ją z dziury i ocalili Zosię przed gruntowną kąpielą. Mokry, ociekający wodą wsiadłem do dworskiego powozu. Trochę jadąc nim, trochę biegnąc obok niego, osuszyłem nieco mój wizytowy strój. Przejechaliśmy przez osiedle.

Nie wiem, czy Zbrzyź²¹⁷ był wsią czy miasteczkiem, natomiast wiem, że był obrzydliwy. Trakt, którym jechaliśmy, rozszerzał się w samym osiedlu, tworząc bardzo wydłużony prostokąt. Jeden rząd domów po jednej, drugi po drugiej stronie drogi czy rynku. Dom przy domu w bardzo małych odstępach. Ani jednego drzewka, krzewu, kwiatka, trawy, żadnej zieloności, żadnych ogrodzeń, żadnych sztachet. Nic, tylko parterowe domy, brzydkie, beznadziejnie jednakowe, szare, tu i ówdzie szyld nad drzwiami. Rynek

²¹⁷ Zbrzyź był w owym czasie miasteczkiem położonym na pograniczu Rosji z Galicją.

– jedna wielka kałuża, którą właśnie „zakład czyszczenia miasta”, względnie jego dwaj pracownicy, słońce i wiatr, suszyli.

Człęk odetchnął estetycznie, gdy wjeżdżał do dworu przez starą wjazdową bramę zamkową, dobrze utrzymaną i widział park dworski, otoczony murem fortecznym, dyskretnie zakrytym porastającymi go pnączami. Dwór tkwił w starym, jeszcze żywym, niezrujnowanym zameczku, a może w jego obronnej bramie. Mury przeszło metrowej grubości i gdzieś tam widoczne plamy wilgoci świadczyły o wieku budowli. Wysokie, stare drzewa zasłaniały widok z zewnątrz na zamek i baszty, a późniejszy, może nawet niedawny, dach nadawał zamkowi inny, odmienny charakter od tego, jaki ta strażnica całości Rzeczypospolitej miała przed 200 laty [s]. Osuszeni, ugoszczeni, bez przygód wróciliśmy nazajutrz rano do Skały. Woda na Zbruczu opadła, nawierzchnia grobli wyłoniła się z wody, przeszliśmy po niej suchą nogą, oglądając dziurę, w której jeszcze wczoraj można się było potopić. W tydzień potem wybraliśmy się do ciotki Włodka Kozickiego p. Fabrycju-szowej, właścicielki wsi Gusztyn, sąsiadującej z kluczem skałskim. Jej córka, wówczas jeszcze niezamężna, miała w okolicy opinię „emancypantki”, bo paliła papierosy, jeździła konno, polowała. Akurat osławiono ją tylko za jej stronę zewnętrzną. Tymczasem istotna jej emancypacja polegała na tym, że sama prowadziła całe gospodarstwo na guszyńskim dworze. Była rządcą i ekonomem, i leśniczym. Przypominała trochę bohaterkę z *Resurrecturi*²¹⁸ Kraszewskiego. Ratowała majątek przed ruiną. Stąd można było rozpoznać w niej coś ze społecznicy, jako że ordynat skałski czyhał jak pająk na muchę, na sposobność zaokrąglenia swej fortuny ich posiadłością. Fabrycju-szówna broniła się z uporem przed tą ostatecznością i do września 1939 r. nawet skutecznie. Co się stało po zajęciu Galicji Wschodniej przez bolszewików? Nie wiem.

Ciągnęło nas do Kamieńca Podolskiego, tej najsilniejszej fortecy na południowym wschodzie Polski, której nawet największy polski geniusz woj-skowy Jan Sobieski nie potrafił wyrzucić Turkom. Jakże być w Skale, a nie zwiedzić o 4 mile odległego Kamieńca? Więc w drugiej połowie września pojechaliśmy trzema pojazdami. Droga z początku normalnej szerokości zamieniała się w trakt o podłożu bagnistym w słotę, a pełnym kurzu, prochu i pyłu w posuchę, zawsze wyboistym, zawsze nierównym. Na skutek jakichś instynktownych, niepisanych, na pewno przedhistorycznych przepisów wszyscy jeździli, powiedzmy, lewym jego szlakiem tak długo, dopóki klimat

²¹⁸ *Resurrecturi* – powieść obyczajowa Józefa Ignacego Kraszewskiego o losach XIX-wiecznej rodziny szlacheckiej.

(wiatr i słońce) nie wygładziło trochę wybojów na prawym brzegu traktu. Wtedy ciąg wozów przerzucił się na prawo, potem po jakimś czasie na środek i znów na lewo. I tak *da capo al capo*²¹⁹. Miejsca było dość, bo szerokość drogi dochodziła do 30 metrów.

Miasto, a raczej widok na miasto, zrobił na nas olbrzymie wrażenie. Rozbudowane jest na wysokim wzgórzu, oblanym ze wszystkich stron Smotryczem i otoczonym jego głębokim jarem. Pętlica²²⁰ Smotrycza jest wąska na jakie 60 do 70 metrów. Stojąc na grzbiecie pętlicy, ma się oryginalny widok. Z jednej strony wody płyną na północ, a z drugiej, w tej samej rzece, na południe. Ma się wrażenie, że te w przeciwnie strony płynące, mijające się wody są tuż, tuż obok siebie. Brzegi Smotrycza po stronie miasta są skaliste. Wydaje się, jakby z wody sterczała skalista wyspa, na której rozsiadło się miasto. Nad gardzielą pętlicy przerzucili Turcy murowany wiadukt, zwany niesłusznie „mostem”, a słusznie „tureckim”. Most turecki prowadzi z miasta do fortecy, tej właśnie, której bronił Wołodyjowski z Hasslingiem czy Ketlingiem²²¹ (jak go nazwał Sienkiewicz). W rzeczywistości, biskup kamieniecki Lanckoroński²²², stolnik Rzewuski²²³ i podstarości Als poddali, czwartego dnia walk oblężniczych²²⁴, miasto i fortecę sułtanowi Mahometowi IV²²⁵, a broniący zamku oficerowie wysadzili prochy w zamku. Turcy odbudowali fortecę po jej zajęciu, a koła wojny nie zdruzgotały jej potem. Więc nie sterczy jako ruina, ale staruszka trzyma się rześko i mieści w swych murach magazyny i składy koszarujących w mieście wojsk rosyjskich.

Do fortecy wjeżdża się przez bramę pod wykutą z kamienia koroną polską, wieńczącą tarczę, na której dziś widnieją inicjały któregoś z carów, a dawniej, może nawet nie tak bardzo dawno – była płaskorzeźba orła polskiego. W tej najsilniejszej na wschodzie naszej fortecy, napadły nas hurmem

²¹⁹ Właśc. *da capo al fine* (wł.) – rozpoczynać od nowa.

²²⁰ Pętlica (przest.) – pętla.

²²¹ Wołodyjowski, Kettling – bohaterowie powieści Henryka Sienkiewicza pt. *Pan Wołodyjowski*. Pierwowzorem postaci Kettlinga był major artylerii w służbie Rzeczypospolitej, Hejking, dowódca artylerii w Kamieńcu Podolskim w 1672 r., podczas wojny polsko-tureckiej. Z kolei postać Jerzego Michała Wołodyjowskiego Sienkiewicz wzorował na osobie pułkownika Jerzego Wołodyjowskiego (1620–1672). Hejking i Wołodyjowski zginęli podczas wybuchu prochu w Zamku Górnym w Kamieńcu Podolskim 26 sierpnia 1672 r., tuż po poddaniu twierdzy Turkom.

²²² Wespazjan Lanckoroński (1612–1677) – biskup kamieniecki od 1670 r., sekretarz królewski.

²²³ Kazimierz Franciszek Rzewuski (?–1683) – stolnik podolski.

²²⁴ Oblężenie zaczęło się 18 sierpnia 1672 r. i zakończyło poddaniem twierdzy 26 sierpnia.

²²⁵ Mehmed IV (1642–1693) – sułtan imperium osmańskiego w latach 1648–1687.

tłumy Połowców²²⁶, dobywających jej bezskutecznie, w czasach omal nie-przedhistorycznych, a potem wojsk Batukana²²⁷, rozbijającego mury zamku jakimś „tatarskim czołgiem”, zdobywającego gród i Tatarów, rządzących się w niej wiek cały jak u siebie w domu. Dalej pułki wojsk litewskich, pod wodzą wielkiego Witolda²²⁸, odbierającego Kamieniec Koriatowiczom²²⁹. A zaś Wołosi daremnie głowami wałą w skały nad Smotryczem, zaś Polacy po zdobyciu twierdzy fortyfikują i umacniają tak, że skutecznie odpiera wszystkie najazdy tatarskie i nawały kozackie przed, za i po epoce Chmielnickiego²³⁰. Sułtan turecki Osman²³¹ ruszył w 1621 [r.] spod Chocimia na Kamieniec, ale cofnął się przed tym orlim gniazdem „Przez rękę Boga ufortyfikowanego”, mówiąc, „co Bóg zbudował, niech Bóg zburzy! Ja nie będę”. Majaczyły się nam cienie bohaterskich oficerów, wysadzających zamek w powietrze, bo nie mogli znieść hańby poddania miasta Turkom i postać bohaterskiego jenerała Kątskiego²³², w chwili gdy wydiera zdającemu mu fortecę oficerowi tureckiemu z ręki zapalony lont i trzyma, dopóki mu się w rękę nie spalił, aby prochy snąć²³³ zamku nie wysadziły w powietrze. A za tymi bohaterami snuje się ponure widmo ostatniego polskiego komendanta, targowiczanina jenerała Złotnickiego²³⁴, który bez boju oddaje w r. 1793 tę ważną fortecę Moskałom w zamian za przyznanie mu rangi jeneralskiej w armii rosyjskiej i za order Aleksandra Newskiego!²³⁵ Wielkość! Małość! Podłość! Wstyd!

Zadumał się człowiek nad dziwacznym ustrojem dawnej Rzeczypospolitej. Jar Zbrucza, zasiany gęsto fortecami, w oparciu o potężną fortecę kamieniecką mógł być skuteczną tamą przeciw zagonom bandy tatarskiej, wyruszającej przez 200 lat, ze śmiesznie małego gniazda krymskiego na rabunek i niszczenie 15 razy ludniejszej Polski. Ale te zamki i zameczki nie tworzyły przemyślanego, jednolitego systemu obronnego, były tylko

²²⁶ Połowcy – turecka grupa etniczna zamieszkująca w średniowieczu stepy Europy i Azji.

²²⁷ Batu-Chan (1205–1255) – władca mongolski, wnuk Czyngis Chana. Dowodził Złotą Hordą, która w 1236 r. rozpoczęła inwazję na Europę Wschodnią, podbijając Ruś. W 1240 r. Mongołowie zdobyli Kijów, a w 1241 r. pokonali wojska Henryka II Pobożnego pod Legnicą.

²²⁸ Witold Kiejstutowicz (1354/1355–1430) – brat stryjeczny króla Władysława Jagiełły, od 1401 r. wielki książę litewski.

²²⁹ Koriatowicze – ród pochodzenia litewskiego, którego siedzibą był Kamieniec Podolski.

²³⁰ Mowa o powstaniu kozackim przeciw Rzeczypospolitej w latach 1648–1654, dowodzoną przez hetmana zaporoskiego Bohdana Chmielnickiego (1595–1657).

²³¹ Osman II (1604–1622) – sułtan imperium osmańskiego w latach 1618–1622.

²³² Marcin Kazimierz Kątski (1635–1710) – wojewoda krakowski, generał artylerii konnej, brał udział we wszystkich kampaniach wojennych Jana III Sobieskiego.

²³³ Snąć (przest.) – przypadkiem, czasem.

²³⁴ Antoni Polikarp Złotnicki (1750–1830) – konfederat targowicki i przeciwnik Konstytucji 3 Maja, dowódca twierdzy Kamieniec Podolski, generał major wojsk rosyjskich.

²³⁵ Order Aleksandra Newskiego – wysokie odznaczenie w imperium rosyjskim ustanowione przez Piotra Wielkiego.

wytworem albo fantazji, albo poczucia obywatelskiego obowiązku, albo własnego interesu jednostek. Indywidualizm polski wzniosł te fortece i ten sam indywidualizm unicestwił ich siłę obronną. Polska nie oprzytomniała nawet wtedy, gdy papież część świętopietrza²³⁶ przeznaczył na fortyfikowanie Kamieńca.

W samym mieście jeszcze widnieją resztki murów obronnych, jeszcze widnieją baszty przerobione przez Turków z kościołów. Kościoły i klasztory dominikanów, franciszkanów, trynitarzy, bazylianów, Ormian przypominają czasy polskie, meczet i smukła prześliczna wieżyczka minaretu²³⁷ czasy tureckie, baniaste kopuły, nasadzone ni przypiął, ni przyłatał na barokowe kościoły, czasy moskiewskie.

Miasto liczy 35 000 mieszkańców, z których 50% wyznaje handel, 30% prawosławie, a 20% rzymski katolicyzm. Prawie dzisiejszy typ miasta na wschodnich kresach. Do miasta zajechaliśmy bez przeszkód. Na 7 wieczór trzeba było być z powrotem, bo o tej godzinie Mucha zamykał tamożnię²³⁸ i przejazd przez granicę. Długo nie można było bawić w mieście, więc w kilka godzin po przyjeździe zatrąbiłem na odwrót. Obładowani samowarami, herbatą, tytoniem i innymi zakazanymi sorbetami, rachatłukumami²³⁹, cukierkami usadowiliśmy się w pojazdach. W pierwszym dworskim powozie Kozierowskich jechały panny: Maryla Skałkowska (wyszła za mąż za Sadłowskiego, brata mego kolegi Władysława), koleżanka i przyjaciółka Zosi, Dziunia Gostkowska²⁴⁰ (zamężna z Kazimierzem Brudzewskim²⁴¹, moim ciotecznym bratem), siostra Zosi i Ola Kozierowska. Na kozle siedział stary stangret dworski, który w swym życiu kilkadziesiąt razy przebywał tę drogę i znał ją najlepiej ze wszystkich furmanów i nas tam będących. Trochę się w Kamieńcu zaproszył, ale miałem nadzieję, że jazda wywieje mu z głowy zadymkę. Za nim ruszyli wózkiem węgierskim Tazio Kobylański i Paszkowski (nie pamiętam o nim żadnych szczegółów). Straż tylną tworzył fiakier skalski, w który siedziały dwie siostry, Helena Kozicka, Zosia i ja. Zresztą mieliśmy najgorsze konie. Nie dziwiło nas tedy ani niepokoiło, że bardzo wcześnie straciliśmy z oczu poprzedzające nas pojazdy. Do tamożni (rosyjska komora graniczna) zajechaliśmy dość wcześnie przed porą zamykania przejazdu.

²³⁶ Świętopietrze – danina na rzecz papieżstwa.

²³⁷ Minaret – wieża meczetu.

²³⁸ *Tamożnia* (ros.) – urząd celny.

²³⁹ Rachatłukum – słodki wyrób cukierniczy, charakterystyczny dla kuchni Półwyspu Bałkańskiego i Bliskiego Wschodu.

²⁴⁰ Wanda z Gostkowskich Brudzevska (1877–1912) – siostra żony Autora *Wspomnień*.

²⁴¹ Kazimierz Brudzewski (1870 lub 1874–1912) – inżynier, absolwent Politechniki Lwowskiej, syn Edwarda i Zofii z Moraczewskich.

Naczelnik tamożni, z pochodzenia Tatar – jak świadczył jego bilet wizytowy „Murza A. Mucha” – był żonaty z Polką. Po polsku mówił dobrze i chętnie. Jadąc tam, wstąpiłem do niego z prośbą o względy, gdybyśmy się w drodze powrotnej spóźnili o parę minut. Był bardzo uprzejmy i przyrzekł nie być zbyt rygorystycznym przy zamykaniu tamożni i przejazdu. Teraz od niego dowiadujemy się, że z trzech pojazdów tylko nasz wrócił. Co prawda jadąc tam, zauważyłem rozstaj w jednym miejscu drogi, na którym można było zabłądzić, o ile ktoś nie bardzo znał drogę. Mocno zaniepokojeni czekamy w tamożni. Tuż przed porą zamknięcia granicy nadjechał wóz z kawalerami. Wjechali w niewłaściwą drogę, akurat w zauważonym przeze mnie rozstaju. Jednak zawczasu zorientowali się. Wrócili do Skały przez Orynin. Powóz z pannami dawno stracili z oczu, zapewne też popłynęły fałszywym torem, a podchmielony woźnica nie zmiarkuje prędko, że źle jedzie. Kobyłański został w tamożni, zaś my, o kazionnej²⁴² godzinie, przejechaliśmy groblą granicę obu państw zaborczych. Daliśmy się zrewidować przez austriacką straż celną, tj. pokazali[śmy] jej fotografie Kamieńca tam nabyte, nie wspominając o samowarach, herbacie, tytoniu i tak dalej. Austria nie ustanowiła cła na fotografii, a my nie zapłaciliśmy cła ustanowionego od innych rzeczy kupionych w Kamieńcu. Tedy wszystko się pięknie wyrównało. Terebelulki puścili nas bez ściągnięcia z nas cła od wszystkich rzeczy, które do oclenia były.

Udany przemyt nie rozwiązał naszej troski o zaginiony powóz z trzema pannami. Niepokoiłiśmy się nie na żarty, bo blisko tamożni nie było żadnej osady, w której można by przenocować, zresztą jednodniowe przepustki graniczne nie pozwalały szukać noclegu w najbliższej wsi. Na szczęście niepokój nie trwał długo. W dwie godziny po nas zajechał przed barak powóz ze wszystkimi pozostałymi poza kordonem wycieczkowiczami. Niezwykle uprzejmy Mucha sam otworzył rogatkę i mimo sprzeciwu obwieszczyków wpuścił ich na groblę. Stangret był jednak gruntowniej zalany aniżeli przypuszczałem, tak, że w pewnym momencie Marylka Skałkowska siłą wydarła mu lejce i bat, zawładnęła kozłem i wróciła na właściwą drogę. Dopiero wyjechawszy na należyty trakt, oddała władzę nad końmi w jego choć pijane, ale bądź co bądź sprawne dłonie.

Panie Kozierowskie wraz z Zosią zabrały się do swatania Kobyłańskiego. Wybraliśmy się tedy w pierwszej połowie listopada do pp. Dłuskich w Łanowcach. U nich mieszkała kuzynka D., z którą chciano Tadzia swatać. Cel główny chybił, powiódł się mój uboczny – poznanie jak najwięcej ludzi, typów, stosunków.

²⁴² Kazionny (pot.) – państwowy, rządowy, skarbowy.

W końcu listopada, a może w początku grudnia, odbył się w Borszczowie obchód listopadowo-mickiewiczowski, urządzony wspólnymi siłami przez nas inżynierów. Miałem mieć odczyt. Po nocnej wielkiej zadymce śnieżnej jechaliśmy saniami do Borszczowa. Woźnica zapowiadał, że droga będzie z „hykałkami”. Nie wiedziałem, co to znaczy. Dopiero przejechawszy półtora mili po onych „hykałkach”, grożących co chwila zboczeniem do Rygi²⁴³, zrozumiałem trafność tej nazwy. Szosa gęsto obsadzona drzewami owocowymi. Śnieg, zadęty między drzewami, dochodził na drodze do metrowej wysokości. Zaś w miejscach, w których pnie drzew wstrzymywały śnieg, nie było go prawie całkiem na drodze, goła szosa! Co chwila sanie wznosiły się metr w górę i spadały metr w dół, do góry i na dół, do góry i na dół, do góry i na dół, i ta huśtawka trwała pięć kwadransów! Otóż macie hukałki. Tematu do odczytu dostarczyła mi książka Smoleńskiego²⁴⁴ *Przewrót umysłowy w Polsce w XVIII wieku*. Drastyczne przykłady zacofania, będącego wynikiem metody i programu nauczania w szkołach jezuickich, wywołały zgorszenia publiczności i oburzenie na prelegenta. Jak się wtedy zaczęło, tak pozostało do dnia dzisiejszego. Do oburzenia na mnie już się zdołałem przyzwyczaić.

7.

Dworskie polowanie. Pomiary dla wodociągu z przeszkodami. Przemysłownik. Na stacji i w przekopie lotny piasek. Druga utarczka z Liebermanem.

„**H**rabina matka”, dowiedziawszy się ode mnie, że trochę w życiu polowałem, chcąc zrobić mnie przyjemność, spowodowała, że zostałem zaproszony na pięciodniowe polowanie w lasach ordynackich. Działo się to w początku okresu polowań, tj. w drugiej połowie listopada lub w początku grudnia. W polowaniu brali udział jako myśliwi hrabiowie Starzeńscy²⁴⁵ (ona z domu Gołuchowska, siostra ordynata), Adam Gołuchowski, nadleśniczy Gottwald, który prowadził polowanie, leśniczy Mańkiewicz i ja. W tym całym towarzystwie miałem najtańszą, prawdopodobnie najgorszą dubeltówkę (kosztowała 25 złr.). Ale tego dnia, przy nadzwyczajnym spotkaniu, udawały mi się nadzwyczaj szczęśliwe strzały. W niejednym miocie

²⁴³ Jechać do Rygi (eufem.) – wymiotować.

²⁴⁴ Władysław Smoleński (1851–1926) – historyk, przedstawiciel tzw. historycznej szkoły warszawskiej, profesor w Cesarskim Uniwersytecie Warszawskim, członek Akademii Umiejętności i Towarzystwa Historycznego we Lwowie.

²⁴⁵ W oryginale Starżyńscy. Mowa o urodzonej w 1850 r. Zofii Marii Klementynie z Gołuchowskich i jej drugim mężu, ziemianinie Henryku Starzeńskim (1856–1922).

nikt nie strzelał z wyjątkiem mnie. Ja strzelałem w każdym, prawie bez pu-deł. Więcej niż połowa ubitych kotów obciążyła moje sumienie. Starzeńska była z czegoś niezadowolona, wciąż konferowała z Gottwaldem, jakby mu coś wyrzucała. Dopiero gdym posłyszał jego wyjaśnienia, że starsza pani hrabina tego zażądała, domyśliłem się, że to o mnie chodziło. Akurat w miocie wyszedł na mnie, w odległości 30 kroków, lisiura i rozglądał się, którądy zwiać. Był to jedyny lis, który został na rozkładzie. To moje powodzenie do reszty zirytowało Starzeńską. Mityguje ją Adam. Nie słyszę, co krzyczy, bo byłem na końcu linii myśliwych. Gdym doszedł bliżej, ucichł jej krzyk. Po drodze przeprosza mnie Gottwald i wyjaśnia, że Starzeńska jest niemożliwie zazdrosną o każdy strzał, że irytuje ją moje spotkanie, gniewają moje celne strzały, więc ze złości sama źle strzela i pudłuje, co jej się dotąd rzadko zdarzało. Z tego powodu robi mu wymówki w bardzo podnieconym tonie. Korzystam z tego i ofiaruję się, w tym miocie iść na skrzydle. I na tej flance położyłem rogacza. Starzeńska robi już głośną awanturę Gottwaldowi. Wieczór się zbliża. Bierzemy ostatni miot. Z wyrafinowaną złośliwością zapowiadam nadleśnemu, że bez obrazy, idę z nagonką. Oczywiście wysforowałem się na dobrych kilkadziesiąt kroków przed linię nagonki z postanowieniem strzelania do wszystkiego, co pod lufę podpadnie. Los chce, że trafił mi się wspaniały dublet do rogaczy. Można sobie wyobrazić wściekłość Starzeńskiej, gdy Adam ogłosił mnie tego dnia królem polowania. Inni prócz kotów żadnej innej zwierzyny nie położyli. Oczywiście dość opryskliwie odmówiłem udziału w następnych czterech dniach łowów. Za to w całej okolicy rozeszła się o mnie wieść jako o znakomitym myśliwym i niechybnym strzelcu. Więcej w Skale nie polowałem. Czasem jeździłem z Tadeuszem Kobylańskim strzelać kaczki na teresińskich jeziorach leśnych. Drugą osobą bardzo zadowoloną, że na polowaniu miałem największy rozkład, była matka Starzeńskiej, „Hrabina Matka”.

Trudności dobrania się do wody gruntowej w Skale zmusiły nas do prowadzenia wody ze Zbrucza wodociągiem, który miał dostarczyć wodę skalskiej stacji wodnej. W jesieni wytyczyłem półtora kilometra długą trasę rur wodociągu i robiłem pomiary rzeki dla znalezienia najodpowiedniejszego miejsca na umieszczenie zbiornika, tj. punktu wyjścia wodociągu. Zdjąłem jeden przekrój przez całe koryto, jestem właśnie w trakcie zdejmowania drugiego. Na lichu zbitej, ledwo kupy się trzymającej tratwie stoimy w samym środku rzeki, ja ustawiam łatę niwelacyjną na dnie rzeki (przy instrumencie, na brzegu, mój pomocnik inż. Michał Finkelstein), gdy z wikliny

wyłania się objeszczyk konny²⁴⁶, celuje do mnie z karabinu i woła: „Nie wolno!”. Krzyczę do niego, że jestem jeszcze na austriackiej rzece, a do Finckelsteina, by prędko czytał łatę. To się szczęśliwie stało tak, że zdołaliśmy uciec z tratwą przed trzema objeszczkami, którzy wjechali w rzekę z zamiarem pochwylenia tratwy i przeciągnięcia jej na swój brzeg.

Prawdę powiedziawszy, pomiar przekroju przez całą szerokość rzeki miał więcej teoretyczne niż praktyczne znaczenie. Zamierzałem, bodaj w przybliżeniu, zorientować się o objętości wody przepływającej przez koryto rzeki, przy niskim stanie wody, w miejscu, w którym miał stanąć zbiornik wody, osadnik i początek rurociągu. Moja interwencja u Muchy nie pomogła. Komendantem objeszczyków był rotmistrz, stacjonujący w Zbrzyziu. Mucha szepnął mi na ucho, że bez łapówki niczego u niego nie wskóram. Łapówki ani chciałem, ani mogłem dawać. Ostatecznie obeszło się bez tego zdjęcia. Wodociąg doszedł do skutku, doskonale pracował i pracuje do obecnej chwili, jeżeli go ręka ludzka w czasie wojny nie zniszczyła. Zdjęcie byłoby zaspokoilo moją fachową ciekawość i zaoszczędziło nam trochę trudności w czasie komisji obchodowej 2 grudnia [1897 r.]. Niektórzy z jej uczestników ani rusz nie chcieli wierzyć, że mimo działania naszego wodociągu nie „zbraknie wody w Zbruczu”. A może udawali tylko obawę przed tego rodzaju „straszliwym” następstwem wodociągu? Nie mając więcej zdjęć ani dokładnych pomiarów nie mogłem z całą pewnością określić, jaki procent przepływającej Zbruczem wody pochłonie zbiornika stacji. Mając jednak przekrój połowy rzeki (w czasie niskiego stanu wody) wraz z bardzo niedokładnym, najprymitywniejszymi środkami zrobionym pomiarem szybkości przepływu, mogłem blagować²⁴⁷, że do wodociągu nie zabierzemy nawet 7% wody z rzeki w czasie największej posuchy. Te błaga rozwiąza obawy u jednych, a drudzy przestali udawać, że boją się wysuszenia Zbrucza, skoro najwyżej 6 parowozów, w ciągu 24 godzin, nabierze zeń wody na czterogodzinne jazdy. W końcu komisja załatwiła wszystko, tak jak nam było potrzeba.

Przy tych pomiarach zauważyłem, że na dużej przestrzeni, w górę i dół naszego zbiornika, rzeka płynie po skalistej płycie, prawie monolicie, gładkim jak posadzka. Tylko gdzieniegdzie są w nim szczeliny, co pewien odstęp, stopnie. Gdzieniegdzie gromadzi się i osadza muł błotnisty, który większa woda porozpycha z miejsca na miejsce, przesuując brody, a tym samym i szlaki przemysłowe.

²⁴⁶ *Objeszczyk* (ros.) – strażnik graniczny w Rosji w XIX i XX w.

²⁴⁷ Blagować – kłamać.

A właśnie w czasie pomiarów na rzece mieliśmy ciekawe widowisko. Przemysłownik z workiem na plecach, prototypem plecaków, siadł w łozinie²⁴⁸ na rosyjskim brzegu, zdjął spodnie, umocował je sobie sprytnie na głowie i z dużym kijem w rękę, jak św. Krzysztof, zesunął się do wody. Rzekę przebiegł biegiem. Na naszym brzegu nie zwolnił kroku. Niestrudzenie biegł naprzód, w czasie biegu wdziewając spodnie, z podziwu godną zgrabnością. Dostrzegł go patrolujący strażnik celny, próbował zatrzymać krzykiem, a gdy to nie skutkowało, zdjął karabin i strzelił w parę sekund po chwili, w której plecy z workiem zanurzyły się w końskim zębie²⁴⁹. Strażnik pobiegł za nim, próbował zabiec mu drogę, ale gonił wiatr. Wrócił na swoją ścieżkę wzdłuż rzeki, narzekając na bezczelność „tych ludzi”. Oczywiście worek leżał u nas na trawniku, koło baraku.

Na wiosnę 1898 r. miałem nowe większe starcie z Liebermanem i znowu wyszedłem z niego zwycięsko. W czasie robót ziemnych trafiliśmy, zarówno w przedstacyjnym przekopie, jak i na samej stacji w fundamencie pod stację wodną, na mokry, lejący się piasek. Wstrzymałem pogłębianie przekopu i napisałem sprawozdanie do Czortkowa. Scharakteryzowałem napotkany przez nas mokry piasek jako „*Treibsand*”²⁵⁰. Przypominam, że wewnętrzna, urzędowa korespondencja między władzami kolei państwowych odbywała się w Austrii, a więc i w Galicji po niemiecku, zarówno w czasie, gdy ministrem kolei był Niemiec Banhans²⁵¹, jak i wtedy, gdy został nim eksceleńcja Głębiński²⁵², wódz polskich narodowych demokratów. Biurokracja rozpanoszyła się wtedy tak dalece, że choć nasza walka z tym piaskiem była piękną koniecznością, bo każdy dzień zwłoki pociągał za sobą straty, w tysiące, a może i więcej złr., jednak nie miałem prawa wydać jednego czy dwóch złr. na urzędową depeszę.

Do lotnego piasku przyjechał Kosiński, Żak i Lieberman. Stanęliśmy nad jamą, w której od trzech czy czterech dni próbowano – bezskutecznie – wykopać fundament pod stację wodną. Lieberman, jak zwykle, zarozumiały, nadęty, pyskawy, wszystko lepiej wiedzący, kpi ze mnie: „W Galicji jest lotny piasek tylko w Kalwarii Zebrzydowskiej. Nigdzie indziej go nie ma. Ten młody inżynier nie ma o tym pojęcia i niepotrzebnie zaalarmował Pana

²⁴⁸ Łozina – zarośla wierzbowe.

²⁴⁹ Koński ząb – odmiana kukurydzy.

²⁵⁰ *Treibsand* (niem.) – ruchome piaski.

²⁵¹ Anton von Hansban (1825–1902) – austriacki polityk i urzędnik państwowy. Jako minister handlu odpowiadał również za transport kolejowy.

²⁵² Stanisław Głębiński (1862–1941) – polityk endecki, prawnik, publicysta, profesor ekonomii, poseł do galicyjskiego Sejmu Krajowego, minister kolei w rządzie austriackim od stycznia do czerwca 1911 r. W II Rzeczypospolitej poseł do Sejmu Ustawodawczego, minister wyznań religijnych i oświecenia religijnego w drugim rządzie Wincentego Witosa.

Nadradcę, przedstawiając zwykły mokry piasek jako «lotny». Tymczasem stoimy i patrzymy, jak trzech robotników wybiera łopatami błoto z dziury. Co wybiorą, nowe nadpływa jak woda. Po półgodzinnej pracy nic się w jamie nie zmieniło, mimo że robotnikom pot lał się z czoła. Kosiński zwraca się do Liebermana: „Więc to nazywa pan zwykłym mokrym piaskiem?”. „Tak jest” – powtarza uparcie swoje – „po prostu mokry piasek. Woda opadnie, piasek wyschnie i będzie można na nim fundować”. „A pan co na to?” – zwraca się Kosiński do mnie. Zaczynam wywód twierdzeniem, że przy najniższym stanie wody zaskórnej piasek nie wyschnie i budynków na nim stawiać nie można. W naturze spotyka się lotny piasek suchy, *Flugsand*²⁵³ i lotny piasek mokry, *Triebsand*. W polskim języku zarówno określenie „lotny piasek”, jak i „kurzawka” odnoszą się do obu tych rodzajów. Tu mamy do czynienia z *Triebsandem*. Podałem charakterystykę jednego i drugiego, uzasadniającą twierdzenie, że kurzawka, nad którą stoimy, jest właśnie nazywanym przeze mnie rodzajem.

Przekopie[?] dziesięciu robotników zaczęło przy nas kopać boczne rowy. Co wykopali, napłynęło nowe błoto i tak bez przerwy. Beznadziejna praca. Kosiński zawyrokował: „Dość panie Lieberman i w tej sprawie, «ten młody inżynier» ma słuszość. Jego wykład, poparty doświadczeniem, całkiem mnie przekonał. Nie będę się z panem spierał o nazwę. Chodzi o budynki i przekop. Wykopu dalej nie pogłębiać. Boczne rowy przekopu umocnimy palikami i deskami. Budynków stacyjnych na tym piasku nie postawimy. Musimy palisadami szczelnie przebić się przez ten piasek do gliny, opoki lub kamienia i na nich oprzeć fundamenty. A na spód... Co by pan radził?” – zwraca się do mnie. „Beton” – odpaliłem bez namysłu. Skrzywił się. Nie wierząc w solidną robotę przedsiębiorców, unikał betonu. „Kiedy się Panu betonu zachciewa, damy go pod popielnikami. Jeden z was będzie przez cały czas betonowania stał i czuwał nad prawidłowym jego wykonaniem. Zaś pod obrotnicę damy mur cyklopowy na zaprawie cementowej itd.”.

Na skutek tego lotnego piasku przekroczyliśmy w przekopie przed stacyjnym dozwolone granice spadku. Zamiast 16‰ wjeżdża się na stację spadkiem 20‰, w dodatku lukiem o promieniu 225 m, a nie 250 m, który był nieprzekraczalną granicą na linii między stacjami. To odchylenie od planów i koncesyjnych warunków budowy było specjalną, urzędową tajemnicą kierownictwa budowy Tarnopol II.

Kosiński był bardzo zadowolony, że jego „kadet” pobił na czysto fachowym polu nawet tak doświadczonego wygę inżynierskiego, jakim, bądź co bądź, był stary Lieberman.

²⁵³ *Flugsand* (niem.) – lotne piaski.

8.

Pierwszy maj. Finkelstein. Fotografuję. Budowa mostu drogowego na Zbruczu. Wizyta w tamozni u Murzy Muchy. Niepodległa Polska.

Praca na budowie trwała od świtu do zmroku. Jednak my inżynierowie musieliśmy nieraz dłużej pracować. W zimie pracowaliśmy od 10 do 12 godzin. Inaczej nie bylibyśmy gotowi z wypracowaniem planów, z których się w sezonie budowało. Zaś w lecie nasz dzień roboczy dochodził stale do 16 godzin. Wskutek tak gorączkowej pracy właściwie na nic innego czasu nie było. Chciało się swoją robotę zrobić jak najlepiej, jak najprędzej, budowę wykonać jak najsolidniej i najoszczędniej. Nie z nakazu, nie z myślą o nagrodzie czy awansie, ale po prostu człowiek pokochał budowę, widział w niej swoje własne dzieło i ugrzązł po uszy.

Tylko coś z zewnątrz, coś mocnego było w stanie oderwać moje myśli od budowy i skierować je w inną stronę. Całkiem świadomie i celowo, aby nie stracić ostatniego wężła z innymi przejawami świata, aby nie sfilistrzyć, aby zachować giętkość umysłu, zmuszałem się codziennie do przeczytania dziennika. Takim mocnym wstrząsem był dla mnie fakt gotowania się w czasie niebywałych szykan administracyjno-policyjnych świata robotniczego do obchodu 1-go Maja. Nasuwało się pytanie – znów nawrót do budowy – czy nasi robotnicy w Skale wezmą się do tego. Jakby w odpowiedzi, na parę tygodni przed pierwszym maja, przybył do Skały i zawitał do mego biura nieznany mi człowiek, jak się pokazało, agitator partii socjalistycznej ze Stanisławowa. Z robotnikami budowy zamierzał zorganizować obchód święta robotniczego. Prosił o pomoc. Dałem mu nazwiska mądrzejszych, świadomszych [s] robotników, objaśniłem, gdzie ich szukać, załatwiłem nocleg w domu Weingeista i dałem pieniędzy na życie. Czy co zrobił w Skale poza przychodzeniem do biura po pieniądze, nie wiem. Przyniósł mi koncept afisza pierwszomajowego, w którym zawiadamia, że przemawiać będą i pochód prowadzić posłowie socjalistyczni, Ignacy Daszyński i Jan Kozakiewicz. „Przecież oni tu nie przyjadą”, powiedział po przeczytaniu projektu jego afiszu. „Wiem o tym doskonale! Nawet się do nich nie zwracałem. Cóż jednak robić? Gdybym napisał, że ja będę przemawiał, nikt ani na zgromadzenie nie przyjdzie, ani w pochodzie udziału nie weźmie” – odpowiada mi z całą otwartością. „Po pierwsze jest to oszustwo”, tłumaczę mu, „a po drugie, takie ogłoszenie zniesławia naszych towarzyszy posłów. Nikt nie przypuści, by ktoś ośmielił się ogłaszać ich nazwiska bez ich wiedzy. Ogół będzie mniemał, że albo posłowie ich oszukali, albo w ostatniej chwili cofnęli się przed daleką jazdą do małej miejsciny w durnym kącie!”. Nic nie

pomogło. Dowodził, że zawsze tak robią w Stanisławowie i dobrze jest! Postawiłem sprawę ostro. Odmówiłem pieniędzy na afisz z tymi nazwiskami, a że on nie zgodził się na ich opuszczenie, skończyło się na niczym. Wyjechał. Święto majowe nie odbyło się w Skale.

Wspomniałem już o moim nowym pomocniku inż. Finkelsteinie, w miejsce odwołanego Mianowskiego. Kolega Michał miał głowę pełną pomysłów, dużo fantazji i coś niecoś sentymentu społecznego. A że był człowiekiem pracowitym, rzetelnym, niegłupim z natury i wykształconym, więc żyliśmy ze sobą w wielkiej przyjaźni. Kupiłem od niego aparat fotograficzny i po kilku jego wskazówkach zacząłem fotografować grupy naszych robotników. Sport fotograficzny ówczesny nie był wcale tak łatwy i wygodny, jakim stał się dzisiaj. Ale był też w całym tego słowa znaczeniu przyjemnością. Wywoływanie, utrwalanie i suszenie klisz, robienie odbitek, ich cieniowanie, robienie diapozytywów²⁵⁴, cała technika powiększania zdjęć, a nawet fabrykacja własnych papierów dla powiększanych odbitek, wymagały specjalnego kąta na laboratorium fotograficzne, w którym prawdziwy amator rozkoszował się wynikami swej pracy. Praca dzisiejszego amatora fotografa zaczyna się od nałożenia w biały dzień rolki. Potem się pstryka i zanoszi zużyte rolki do fachowego laboratorium, w którym za tyle a tyle od sztuki zrobią za amatora to, co jest najmilszym w tym sporcie. Finkelstein zarzucił fotografię, bo zajął się betonem, w nim chciał się specjalizować, jako że była to wówczas całkiem nowa gałąź przemysłu budowlanego. (Finkelstein, po skończonej budowie tej kolei, pojechał na praktykę robót betonowych do Paryża. Po doświadczeniu kilku lat pracy we Francji przeniósł się do Kanady do Montreal, gdzie jest wielkim przedsiębiorcą w przemyśle betonowym. Znany tam jako inż. M. Morton. Odwiedził mnie w New Yorku, w czasie mego pobytu w Stanach Zjednoczonych w 1922 r.).

Sensacją było pojawienie się w Skale drogowego inżyniera powiatowego, który miał zadanie wybudowania na rzece mostu drogowego do Rosji. W czasie swych odwiedzin w baraku opowiedział mi ów inżynier historię tego mostu. Agenor Gołuchowski (senior), na usilne naleganie skalan, przed dwudziestu kilku laty [s], przeprowadził, jako premier austriacki, układ z rządem rosyjskim o handel graniczny w Skale nad Zbruczem. W myśl układu miały oba państwa, wspólnym kosztem wybudować tu most na Zbruczu i utworzyć swoje urzędy celne tak, aby handel między obu państwami w tym miejscu granicznym nie napotykał ani na przeszkody komunikacyjne ani na trudności celne. Plan i kosztorys drewnianego mostu, na drewnianych jarzmach, zrobiony w Galicji, został zatwierdzony przez międzynarodową

²⁵⁴ Diapozytyw – przezroczysty pozytywny fotograficzny używany do wykonywania form drukowych.

komisję, która wybrała miejsce przekroczenia mostem rzeki. Od tego czasu Rosja utworzyła i wybudowała na swoim brzegu tamożnię, tuż koło przysłego mostu. Austria też zorganizowała urząd celny, ale przezornie umieściła go w wynajętym od dworu budynku. Tylko mostu nie było. Austria połowę sumy kosztorysowej wstawiła do budżetu. Rosja swoją połowę wysłała do Austrii. Niestety, tych kilka tysięcy rubli gdzieś się po drodze zawieruszyły. Powiem po prostu: zostały skra... Nie! Tak nie można. Trzeba inaczej – zostały użyte na cel inny aniżeli ten, na który były przeznaczone. Moskale uważali, że wszystko jest w porządku, zgodnie z umową. Urzędy są, pieniądze obie strony w równych częściach przeznaczyły na budowę. Skarb rosyjski nawet je już na most wydał. Ale to stanowisko rządu Jeho imperatorsko.... itd. nie zastąpiło mostu. Jego surogatem stała się kamienna grobla, zbudowana przez ordynację i po niej odbywa się bardzo niepewnie, z trudnościami, spowodowanymi kapryśkami rzeki, słaby ruch graniczny.

Gdy Agenor (Agenorowicz) Gołuchowski został austriackim ministrem spraw zagranicznych, znów natarli na niego współobywatele skalscy o most i ruch graniczny. Ze swej strony p. minister nacisnął ambasadora rosyjskiego we Wiedniu. Skutek był ten, że rząd rosyjski zgodził się wyasygnować, po raz drugi, przypadającą nań połowę kosztu mostu. Czy i co p. Agenor dał za to Rosji? Pewnie się nigdy nie dowiemy. Wątpię, by Rosja takie rzeczy robiła za darmo, dla chęci dotrzymania umowy.

Tym razem pieniądze rosyjskie nie zawędrowały na rozstajne drogi. Wpłynęły w całości do naszego Wydziału Krajowego, ponieważ droga od mostu do szosy miała być drogą powiatową. Na szczęście kosztorys sprzed iks laty [s] okazał się wystarczającym, jako że wówczas był robiony na wyrost, wszak i tak połowa miała wsiąknąć do kieszeni w prywatnych portkach. Zafrapował nas – z technicznego punktu patrzenia – antyczny plan mostu, nieekonomicznie projektowany, z przesadnie wielkimi wymiarami jego części składowych, co znowu wynikało z ówczesnej metody obliczania belek. Prawdopodobnie w obopólnym interesie strategii wojskowej miał stanąć cały most z drzewa. Taki most był nie tylko narażony na zniszczenie przez lody, wody, ogień, ale także kosztowny do utrzymania. Wszystkie względy przemawiały za mostem kamiennym, zwłaszcza na tym świetnym skalistym podłożu na dnie rzeki. Kamień i piasek, do takiej budowy, były na miejscu.

Razem poszliśmy oglądać miejsce pod przyszły most, tuż obok wlotu naszego rurociągu. Rzeczywiście miejsce zostało dobrze wybrane, bo między skałami znalazła się przecie[ż] szczelina, akurat tak szeroka, że można było wbić w nią pale jarzm mostowych. Inżynier wziął się ostro do roboty i wykończył w całości most jeszcze przed otwarciem ruchu na naszej linii kolejowej. Ale i most musiał zaczekać na odbiór i otwarcie przez międzynarodową

komisję, opóźnioną z powodu niewykończenia drogi dojazdowej do mostu. Coś w miesiąc po moim wyjeździe ze Skały most został oddany do publicznego użytku.

Widząc gotowy most, lichy skusiło mnie przejść przezeń z wizytą do pp. Muchów. Drogą przez most oszczędziliśmy pół mili drogi. W oznaczony dzień i godzinę weszliśmy z Zosią, pod drągiem zamykającym wejście, na most i przeszli przez niego bez żadnych przepustek. Sam Murza czekał nas na rosyjskim brzegu. Po obiedzie, zakrapianym niesmaczną, bo słabą 25% wódką, piłą jednak z wielkim amatorstwem przez gospodarza Tatara, wracaliśmy do Skały. Muchowie odprowadzili nas i wprowadzili na most, i wrócili do siebie zadowoleni, że objeszczycy nie szykanowali ich gości. Tymczasem na galicyjskim brzegu czatował na nas strażnik skarbowy, który ku naszemu przerażeniu oświadczył, że most nie jest jeszcze otwarty dla ruchu, że o tym świadczy drąg zamykający wejście, że obowiązkiem straży jest czuwanie, by nikt przez most nie przechodził na prawy galicyjski brzeg rzeki. Normalna droga wiedzie, zgodnie z przepisami i rzeczywistością, jeszcze wciąż przez groblę, a potem przez urząd celny austriacki. On nie ma nawet prawa rewidowania nas, czy nie mamy czegoś do oclenia, a odprowadzić do urzędu celnego mógłby dopiero, gdy zostanie zluzowany, co nastąpi za 8 godzin. Wszystko było prawdą, logicznym, słusznym, więc zrobiwszy w tył zwrot wracamy na rosyjską stronę do Muchy. Zamiast niego stał już konny objeszczyk z karabinem w ręku i jednym groźnym: „*Nie Izja!*”²⁵⁵. Zamknął nam tę drogę odwrotu. Wracamy do naszego terebilulki (terebić – tyle co „trzebić”, lulka – tyle, co „tytoń”. Razem taki, co trzebi tytoń). Na wszelkie moje tłumaczenia, legitymowania się, pozostał głuchym. Legitymacji nie chciał oglądać i swoje powtarzał: „Groblą do urzędu celnego!”. Nam, zamkniętym między dwoma państwami zaborczymi, nie pozostało nic innego poza zajęciem pozycji w środku mostu, w równej odległości od obu cerberów granicznych. Siedliśmy na krawężniku i bambałamkając [s] nogami, uznaliśmy siebie obywatelami Niepodległej Rzeczypospolitej Polskiej. Pierwszy raz doznałem uczucia wolnego Polaka w wolnej Polsce. A choć scena była groteskową, jednak niezwykle miłą i dobrze utkwiała nam w pamięci. W czteroprzymiotnikowym głosowaniu (kobiety jeszcze prawa głosowania nie miały) zostałem jednogłośnie wybrany prezydentem republiki, która trwała dwie godziny. Nie wiem, czy strażnikowi znudziło się stanie na przyczółku mostowym, czy w innym celu chciał odejść, a może prędzej kończył się jego dzień służbowy niż za 8 godzin, dość, że zmiękł, otworzył drąg i bez dalszych szykan puścił nas, markotnych, że się tak prędko skończyło, do domu.

²⁵⁵ *Nie Izja!* (ros.) – nie wolno!

9.

Obchód w Skale 100-lecia urodzin Adama Mickiewicza. Minister Gołuchowski a poczekalnia 1. klasy. Jego przybycie do biura. Droga dojazdowa do mostu na Zbruczu. Strajk robotników. 3-cia awantura z Liebermanem.

Maj 1898 roku wyznaczono, w naszym kraju, na obchód stuletniej rocznicy urodzin Adama Mickiewicza. W kwietniu zaczęliśmy przygotowania do urządzenia uroczystości w Skale. Najstarszy z Chrobaków zamówił okazynie płytę z czarnego marmuru, na której nasi kamieniarze ofiarowali [się] wyrzeźbić napis, a Kwieciński wyraził chęć wmurowania tablicy na urządzie gminy lub na kościele. Ta samorządna ofiarność naszych robotników stała się właściwą pobudką do całej akcji w Skale. Zebrał się tedy komitet mieszany z inteligentów, robotników i mieszczan. Nie brakło w nim i nas inżynierów. Przewodniczył dr Krzyształowicz. Z pieniędzy uzbieranych między sobą komitet zapłacił [za] płytę murowaną, ja ułożyłem napis, Chrobaki go wyrzeźbili, a Kwieciński wmurował tablicę [na] zewnątrz kościoła. Wszystko szło zgodnie z wyjątkiem dwóch spraw. Zaraz na początku rozegrała się walka o dopuszczenie kobiet do pracy w komitecie. Walczyłem o to jak lew rykający²⁵⁶ i kitą machający, ale zostałem przegłosowany. Nawet robotnicy głosowali przeciw. Konieczność równouprawnienia kobiet nie doszła jeszcze do komórek mózgowych olbrzymiej większości mężczyzn... i kobiet też! Potem pokłóciliśmy się o cel, na jaki należałoby, przewidywany dochód z obchodu, obrócić. Krzyształowicz gardłował za Towarzystwem Szkoły Ludowej²⁵⁷, ja znów za mającym, z okazji obchodu, powstać we Lwowie Towarzystwem Uniwersytetu Ludowego im. A. Mickiewicza²⁵⁸. Za Krzyształowiczem była prawie cała inteligencja, z kierownikiem szkoły powszechnej Jouganem²⁵⁹ (bratem mego gimnazjalnego katechety) na czele i mieszczaństwo, za mną robotnicy i inżynierowie. Skończyło się kompromisem. Datki zebrane do puszkę prześle się Towarzystwu Szkoły

²⁵⁶ Rykać (przest.) – ryczeć.

²⁵⁷ Towarzystwo Szkoły Ludowej (TSL) – organizacja założona w Galicji w 1892 r. mająca na celu szerzenie oświaty szkolnej i pozaszkolnej, szczególnie wśród ludności polskiej. Towarzystwo zakładało szkoły, biblioteki i czytelnie, organizowało kursy doszkalające i kursy dla analfabetów, zajmowało się wydawaniem dzieł przeznaczonych dla ludu polskiego. Działo do 1939 r., początkowo w zaborze austriackim, następnie w II Rzeczypospolitej.

²⁵⁸ Towarzystwo Uniwersytetu Ludowego im. Adama Mickiewicza – stowarzyszenie mające na celu upowszechnianie oświaty, przede wszystkim wśród chłopów i robotników, poprzez organizowanie odczytów i kursów oraz tworzenie bibliotek.

²⁵⁹ Henryk Jogan – nauczyciel kierujący w pięcioklasowej szkole w Borszczowie.

Ludowej, a czysty dochód z wieczorku muzykalno-wokalnego oddamy Uniwersytetowi Ludowemu. Gdyby takie towarzystwo nie powstało, i te pieniądze wpłyną na Szkołę Ludową. Mogłem się na to zgodzić, bo miałem pewną wiadomość, że Uniwersytet Ludowy powstanie, tj. że statut zostanie zatwierdzony, mimo że to był ciężki rok dla socjalistów, z powodu wprowadzonego później (28 czerwca) stanu wyjątkowego, niebywałego zaostreżenia cenzury i szykan policyjnych.

Uroczystość zaczęła się nabożeństwem. Proboszcz wygłosił kazanie, sławiąc Mickiewicza jako głęboko wierzącego i praktykującego katolika. Poparł tę rzymskokatolicką apoteozę kilku cytatami z dzieł wieszczów. W południe ruszył z placu budowy stacji pochód do kościoła, przed którym ustawiono stół, otoczony chorągwiami cechów i bractw kościelnych. Z niego przemówił dr Krzysztalowicz. Tematem była narodowa struna u Mickiewicza. Na tle kilku odczytanych miejsc z jego dzieł przedstawił go mówca jako *par excellence*²⁶⁰ narodowca – dziś powiedziałby „endeka”. Potem Kwieciński i Chrobak odślonili bardzo ładną, bo skromną tablicę, a ja sfotografowałem ten moment. O zmierzchu odbył się w największej sali wieczerek muzykalno-wokalno-deklamacyjny. Między muzyką a deklamacją wygłosiłem odczyt, w którym, odczytując niektóre artykuły Adama z „Tribune des Peuples”²⁶¹, zaliczyłem go w poczet pierwszych polskich socjalistów, można by rzec, pepesowców²⁶².

Nazajutrz na budowie spytał mnie Kwieciński: „Niech mi pan inżynier szczerze powie – kim był naprawdę Mickiewicz? Klerykałem, narodowcem czy socjalistą? Słuchałem wczoraj wszystkich waszych wywodów i teraz dopiero nie wiem, co mam o nim myśleć?”. Języka w gębie nie zapomniałem, ale czy Kwieciński zrozumiał moje wyjaśnienia – tej pozornej tylko sprzeczności – nie jestem pewien. Nie da się zaprzeczyć, że jednak nasze trzy przemówienia, wygłoszone tego samego dnia, niemal do tych samych ludzi, mogły wywołać zamęt w pojęciach uczestników obchodu. Czysty dochód z wieczoru był dość znaczny. Pierwsze pieniądze, a jedyne, jakie w związku z tym jubileuszem wpłynęły do kasy Uniwersytetu Ludowego, były te nasze ze Skały.

Powracam teraz – w owym czasie nie mogło być inaczej – do budowy kolei. Otóż kłopotu narobił nam minister Gołuchowski. Projektując dworzec, nie przewidziano osobnej poczekalni pierwszej klasy. W ogóle, na całej

²⁶⁰ *Par excellence* (franc.) – w najwyższym stopniu.

²⁶¹ „La Tribune des Peuples” – międzynarodowy dziennik polityczny „Trybuna Ludów” wydawany w Paryżu od 15 marca do 10 listopada 1849 r., redagowany przez Adama Mickiewicza.

²⁶² Polska Partia Socjalistyczna (PPS) – partia utworzona w 1892 r. w Paryżu przez członków polskich organizacji lewicowych. Działała na ziemiach polskich do 1948 r.

naszej linii kolejowej przewidziano wspólną poczekalnię dla pasażerów pierwszej i drugiej klasy. W Skale też. To się nie spodobało ordynatowi, ministrowi spraw zagranicznych i największemu akcjonariuszowi „wschodniogalicyskich kolei lokalnych” w jednej osobie. Zgodnie z życzeniem ministra, zrobiliśmy na dworcu małą przeróbkę, która dała nam trzy poczekalnie: jedną trzeciej klasy, drugą drugiej, przez którą było wejście do poczekalni pierwszoklasowej. Tu trzeba dodać, że dworzec stał po prawej stronie osi kolejowej, na zboczu, w wysokim nasypie. Przed zasypaniem ziemią wymurowaliśmy fundamenty i piwnice tak wysokie, że mieszkańcy Skały, odwiedzający masowo w soboty i niedziele budującą się stację, widząc mury bez drzwi i okien, sterczące do 6 metrów, a więc na prawie dwa piętra nad ziemię, z niepokojem pytali, którędy się do tego budynku będzie wchodzić? Wcale ich nie uspakajało moje wyjaśnienie, że budujemy tak dla łatwiejszej kontroli biletów pasażerskich. Bardzo wygodne drabiny ułatwiają wchodzenie i schodzenie z dworca. Z czasem, ziemię wybraną z wykopu po lewej stronie osi zasypaliśmy i fundamenty, i piwnice. Nasyp prawie był gotów, gdy minister zażądał osobnej poczekalni pierwszej klasy. Kierownictwo, licząc się z kosztami i czasem, zaprojektowało tę nową poczekalnię w ten sposób, aby nie trzeba było niczego nowego dobudowywać, tj. nie rozkopywać nasypu. Tu drzwi zamurowano, tam wybito i cała zmiana w dwa dni już gotowa.

Jednego upalnego dnia letniego wchodzi do mego biura jakiś podstarzały jegomość w kapeluszu na głowie, z laską w rękę i nie przedstawiając się ani witając, mówi: „Chciałbym widzieć plany dworca na stacji”. Mało mnie szlag nie trafił ze złości. Domyśliłem się, że to chyba „ekscelencja pan minister”, więc zduszając swoją pasję, mówię na pozór spokojnie acz przesadnie powoli, cedząc słowa przez zęby: „Inteligentny człowiek, wchodząc do biura, zdejmuje kapelusz i bodaj jednym słowem pozdrawia urzędnika, z którym ma sprawę załatwić. A że pan żąda ode mnie zdradzenia tajemnicy urzędowej, jaką są wszystkie plany budynków w tej granicznej stacji kolejowej, muszę wiedzieć, kim pan jesteś?”. Minister zgłupiał na moją przemowę, zdjął kapelusz, mówi: „dzień dobry” i przedstawia się. To mnie uspokoiło.

Po tym starciu rozmowa potoczyła się spokojnie. Gołuchowski siadł, a gdy mu wytłumaczyłem cały rozkład dworca i zmiany, jakie w nim przeprowadziliśmy, zaproponował, abyśmy poszli na stację. Oglądając poczekalnię, oświadczył stanowczo, że w żaden sposób nie zgodzi się ani na to, by wchód do pierwszej klasy odbywał się przez poczekalnię drugiej klasy, ani *vice versa*. Poczekalnia pierwszej klasy musi być sama dla siebie.

I przeprowadził swoje żądanie. Dobudowaliśmy, dołatali[śmy] nową izbę, więc trzeba było rozbabrać nasyp aż do rodzimego gruntu, wybrać fundament i ciągnąć mury. Działo się to najwyżej na cztery miesiące przed

otwarcie linii, więc musiało być piorunem zrobione, przeto była to na pewno najdroższa tego typu poczekalnia nie tylko w Galicji i Lodomerii wraz z Wielkim Księstwem Krakowskim, Zatorskim, Oświęcimskim z przyległościami, ale w ogóle w całej monarchii rakusko-węgierskiej.

Minister nie obraził się na mnie za daną mu lekcję grzeczności. Może nawet przeciwnie. W czasie swego trzydniowego pobytu w Skale, codziennie przychodził do mnie. Przede wszystkim wybraliśmy się nad Zbrucz do wodociągu, położonego w całości na gruntach ordynackich, wzdłuż prywatnej drogi i do mostu drogowego. Ministra zaciekawił właśnie budowany most. „Którędy wydostaną się ludzie i wozy z tego mostu do miasta?” – pyta mnie. „Przecież stoimy na drodze, którą można wyjechać z mostu w świat” – odpowiadam. „Tak, tylko że to nie jest publiczna droga, ale moja prywatna, gospodarcza. Dotąd nikt ze mną o niej nie mówił. Oni most oddadzą do użytku publicznego, a ja drogę zamknę rogatekami i strażą obstawię. Nikt nią nie przejdzie ani przejedzie”. W tej chwili przypomniał mi ten majątkowy magnat momenty przejazdu buty u prawdziwych całą głębią magnatów w dawnej Rzeczypospolitej. Zdało mi się, że ministrowi nie przystało przejawianie takiego swego stanowiska przed nieznanym sobie człowiekiem, jakim dla niego byłem. Skończyło się mniej groźnie i bardziej po obywatelsku. Wydział Krajowy porozumiał się z nim i wyszutrował²⁶³ drogę. To go zadowoliło i oddał ją bez sprzeciwu na publiczny użytek. Ale właśnie sprawa dojazdu opóźniła nieco uruchomienie mostu.

Oprowadzałem go po całej linii kolejowej. Miejscami, gdzie już leżały szyny, jeździliśmy wózkami roboczymi. Nic więcej charakteryzującego osobę ministra nie zapamiętałem. Odjeżdżając, wstąpił do Tarnopola w sprawie poczekalni. Mimochodem wyraził Kosińskiemu pochwałę mej osoby. Naturalnie Kosiński powtórzył mi to w Skale z wielkim swoim zadowoleniem i dumą. Tym łatwiej wygrałem mój ostatni, pozornie najgroźniejszy konflikt z Liebermanem.

Rzecz miała się tak: na całej linii leżały już szyny. Pozostało tylko podbicie ich szutrem (szabrem), który ze sztucznego szutrowiska rozwożono pociągami po linii. Ta praca wymagała większej liczby sił roboczych, o które trudno było, bo akurat dwór rozpoczął kopanie kartofli. Jednego jesienno-poranku otworzył się nam z okien baraku widok jakby barwnym kwieciami zasianego olbrzymiego łańcucha dworskich parabol. Były to krase²⁶⁴ spódnice i chusty młodych²⁶⁵ i migające postacie parobczaków, pracujących w liczbie

²⁶³ Wyszutrować (przest.) – wysypać szutrem, czyli drobno pokruszonym kamieniem przeznaczonym do usypywania nawierzchni drogowych.

²⁶⁴ Krase (przest.) – piękne, czerwone.

²⁶⁵ Młodycia (przest.) – młoda kobieta.

około pół tysiąca nad wykopaniem ziemniaków. Dwór płacił im wyjątkowo „dużo”, po 60 centów dziennie. To nasza budowa tak podwyższyła płace.

Szutrówkę i szutrowanie oddał Lieberman w akord Kornhaberowi. Ten całkiem prostym sposobem odciągnął z pracy na dworskim potrzebną mu ilość robotników. Przelicytował dwór, obiecując płacić jednego reńskiego za dniówkę. Naturalnie Kozierowski zaraz przybiegł do mnie ze skargą na tę licytację. Dobrze trafił! Poradziłem mu, by płacił 1złr. i 5 centów, to odbierze robotników Kornhaberowi. Dwór mej rady nie posłuchał.

Po dwóch tygodniach szutrowania nadszedł nareszcie dzień zapłaty. W niedzielę rano zaczął Kornhaber wypłacać po... 60 centów! Oszustwo na gładkiej drodze! Powstaje piekielna awantura. Jakimś cudem udało się Kornhaberowi uciec z życiem i kasą do Borszczowa do Liebermana. Robotnicy szturmują biuro Kościuka! Ten, ratując siebie, prowadzi ich do mnie. Kilkuset wściekłych robotników i robotnic z wielkim hałasem ciągnie do baraku. Wychodzę przed dom na ich spotkanie. Tłum otacza mnie i Kościuka. Wszyscy krzyczą naraz. A ja naprawdę nie wiem, o co chodzi. Udało mi się jednak zapanować swoim głosem nad tłumem. Wymogłem ciszę. Jeden z robotników opowiedział mi stosunkowo spokojnie i rzeczowo całą sprawę. Bezczelność przedsiębiorstwa oburzyła mnie. Obietnice Kornhabera i jego przelicytowanie dworu znałem autentycznie ze skargi Kozierowskiego. Na gorąco, z całym przekonaniem przyznałem robotnikom słuszność. Starałem się ich uspokoić przyrzeczeniem, że z mej strony zrobię wszystko, aby zostali tak zapłaćeni, jak zostali do pracy zgodzeni. Spokojem w tym wypadku pewniej wygrają niż gwałtami. Dobrze byłoby, aby jeden z nich, umiejący pisać, spisał imiona i nazwiska wszystkich pracujących przy szutrowaniu i przy każdym nazwisku dopisał ilość przepracowanych dniówek. Ja bym takiego wykazu potrzebował dla zorientowania się, ile pieniędzy potrzeba na wypłatę. Ze swej strony przyrzekłem, że zwrócę się do kierownictwa budowy w Tarnopolu o pomoc, względnie pieniądze. To ich wprowadzie nie zadowoliło, ale przecież uspokoiło. W nocy zamiast pieniędzy od przedsiębiorstwa nadeszła żandarmeria. Pod opieką jej kogucich piór wrócił Kornhaber do Skąły. Obiecał we wtorek wypłacić po 80 centów za dniówkę. Robotnicy nie dali się skusić. W poniedziałek zaczął się strajk. Szutrówka stanęła. Część robotników, słabszego ducha, skłonna była zadowolić się 80 centami. Delegacja tych właśnie przysłała do mnie w poniedziałek wieczorem po poradę. Odpowiedziałem, że radzić im nie będę, bo są pełnoletni, więc powinni sami o sobie decydować. „Ja na Waszym miejscu, gdybym był przekonany, że należy mi się 1 złr., nigdy bym nie wziął 80 centów. Wy jednak róbcie, jak uważacie sami, jak Wam odpowiada”. Zrozumieli mnie dobrze, po wypłatę nie poszli. Mimo mego ostrożnego stanowiska, gruchnęło

wśród nich, że rządowy inżynier radzi upierać się przy swoim żądaniu. Kornhaber telefonuje o tym Liebermanowi, Lieberman Kosińskiemu i trzeciego dnia strajku znowu zbiera się na stacji sąd nade mną. Jak zwykle zebrali się Kosiński, Żak, Lieberman, Kornhaber, wszyscy inni akordanci, inżynierowie Kościuk, Goldschlag, Finkelstein i ja. Nieodzowni figuranci. Ściągnęła także na stację garść strajkujących robotników.

Lieberman, trzęsąc się z irytacji (wszak chodziło co najmniej o 2000 guldenów), oskarża mnie, że znany jestem jako socjalista, że dlatego przez cały czas budowy zwalczałem przedsiębiorstwo, widząc w nim przedstawicielstwo nienawistnego kapitału. Teraz wywołałem strajk robotników w czasie najniekorzystniejszym dla jego firmy. Wszak zbliża się termin, w którym w myśl kontraktu roboty mają być ukończone. Przedsiębiorstwu za każdy dzień opóźnienia tego terminu grożą wysokie kary pieniężne. Stary baraba Kornhaber chciał płacić za dniówkę o 33% ponad miejscowe płace, bo po 80 centów za dniówkę, zamiast płaconych przez dwór 60 centów. Ale p. Moraczewski nie pozwolił robotnikom brać pieniędzy, dopóki nie dostaną 1 złr. za dzień. Niesłychana płaca! Tym wywołał strajk. Resztę szczegółów o przebiegu zajścia niech p. Kornhaber opowie. Ledwo z życiem uciekł z rąk podjudzonych robotników. Zmieszany Kornhaber bał się i Liebermana, i robotników, i mnie. Nie dodał niczego istotnie nowego do prokuratorskiej mowy Liebermana.

Kosiński zwraca się do mnie: „No dobrze! A co pan na to?”. „Jeżeli mnie wolno”, odpowiadam, „będę tylko zadawał pytania”, a widząc z kiwnięcia głowy Kosińskiego jego zgodę, pytam Kornhabera: „Po ile dwór płacił przy kopaniu ziemniaków?”. „Po 60 centów” – odpowiada. „A Pan wiele obiecał za dniówkę?” – wykręcał się jak piskorz od odpowiedzi. Przyciskam go do muru. Bezskutecznie. Aż mi dopomógł Kosiński. Huknął na niego: „Zaraz mówić prawdę albo pan nigdy więcej przy żadnej budowie kolei pracy nie znajdzie!”. Kornhaber wiedział, że tę pogrózkę może Kosiński, bez wielkich zachodów, urzeczywistnić, więc wykrztusił: „Obiecałem 1 złr. za dniówkę, ale p. Lieberman...” – nie skończył, spiorunowany wzrokiem przedsiębiorcy. „Panie kolego”, pytam Kościuka, „czy panu wiadomo, że to ja namawiałem robotników do strajku?”. „Wypłaty nie wzięli i sami z siebie zastrajkowali. Absolutnie nikt ich do strajku nie namawiał”, odpowiada spokojnie. „Skończyłem pytania i nie mam niczego więcej do powiedzenia”, mówię Kosińskiemu. Ten pyta jeszcze Kornhabera: „Ma pan co do dodania?”. Milczenie.

Pierwszy raz zobaczyłem Kosińskiego wyprowadzonego z równowagi: „Panie Lieberman! Jeszcze dzisiaj wypłacisz pan robotnikom to, co im obiecał pański człowiek Kornhaber, tj. po 1 złr. za dniówkę. Jeżeli dziś nie będzie wypłaty, jutro wypłaci robotników p. Moraczewski na pański rachunek.

To jedno. A drugi, nieuczciwością z pańskiej strony jest wykorzystywanie faktu, że p. Moraczewski jest socjalistycznych zapatrywań i próbowanie zużycowania tego w celu oszukania robotników. Dotąd szanowałem pana jako doświadczonego inżyniera, doskonałego praktyka i starego barabę. Od dzisiaj przestałem pana szanować jako człowieka!". Odwrócił się tyłem do niego, ostentacyjnie podał rękę Kościukowi, czego dotąd nie czynił. Poszliśmy do baraku.

Wieczorem wypłacił Kornhaber po 1 złr. za dniówkę. Strajk się skończył. Następną wypłata wyniosła również po 1 złr. za dniówkę. I tak zostało aż do zakończenia szutrowania. Jedynym echem tej sprawy było odezwanie się Kosińskiego do mnie w baraku: „Nie jestem socjalistą, ale na pańskim miejscu, postąpiłbym tak samo”. Wolno mi chyba było sądzić, że to był właściwy człowiek na właściwym miejscu.

10.

Otwarcie ruchu. Mój grzech. Oszukuję Rybickiego. Obiad u Gołuchowskich. Miasto żegna mnie. Toast na cześć cesarza.

Budowa dobiegła końca. Jeszcze czekał nas jeden egzamin. Pomiar długości i wysokości linii kolejowej w naturze, tj. we środku między leżącymi już szynami kolejowymi, był zarazem kontrolą naszych pomiarów i wytyczeń, robionych późną jesienią 1896 r. na moim losie różnice w niwelacji i pomiarze długości nie osiągnęły wielkości dozwolonego błędu. Zatem egzamin wypadł bardzo dobrze.

W październiku 1898 r., w 16 miesięcy po zaczęciu budowy, nastąpiło otwarcie ruchu. Domy mieszkalne dla urzędników ruchu i cła były gotowe. Na parę dni przed otwarciem znalazł się w nich cały urzędniczy personel. Trzeba było opróżnić i nasz barak. Mając czortkowskie doświadczenie, zapakowaliśmy we dwójkę z Zosią cały nasz dobytek i przy pomocy Wajdy i furmanów załadowaliśmy go na chłopskie wozy. Wprawdzie kolej była wybudowana, ale ruch na niej nieotwarty, przeto rzeczy nasze pojechały drogą kołową do Czortkowa, gdzie załadowaliśmy je do wagonów kolejowych. Zosia pojechała za nimi do Lwowa, ja zamieszkałem gościnny pokój w naszym baraku.

Otwarcia dokonał delegat Generalnej Dyrekcji Kolejowej z Wiednia (przemieniona później na ministerstwo kolei żelaznych), inż. Stanisław Rybicki²⁶⁶, późniejszy dyrektor kolei państwowych we Lwowie. Między nim

²⁶⁶ Stanisław Rybicki (1856–1940) – inżynier kolejowy, pracownik austriackiej państwowej służby kolejowej, od 1890 r. naczelnik Biura Wschodniego w Ministerstwie Kolei, od 1905 r. dyrektor Austriackich Kolei Państwowych we Lwowie.

a Kosińskim były jakieś tarcia. Z tego powodu otwarcie nowo wybudowanej kolei nie było czczą paradą, tylko dość surową inspekcją budowy. Z Rybickim przybyli delegaci Namiestnictwa, Wydziału Krajowego, obu wydziałów powiatowych, dyrektor kolei ze Stanisławowa, oprócz tego tarnopolskie kierownictwo budowy, sekcja czortkowska i borszczowska, i wszyscy prowadzący budowę inżynierowie, i przedsiębiorstwa. Razem przeszło 30 osób.

Pociąg składał się z maszyny, tendra²⁶⁷ i dwóch wagonów osobowych. Rybicki kontrolował ugięcia mostów i na wyrwyki, tu i ówdzie, promienie łuków i wielkości spadków. Inżynierowie, prowadzący budowę, jechali w granicach swych losów, na parowozach obok maszynisty, aby służyć mu jako przewodnicy i aby regulować szybkość jazdy tak, by pociąg osiągnął przeciętną szybkość 25 km na godzinę. Kosiński w mundurze, kosym okiem²⁶⁸ patrzył na nasze fraki, które ubraliśmy wszyscy nieposiadający uniformów.

W lesie iwankowskim, na granicy mego losu, zluzowałem z parowozu Kobyłańskiego, który przeszedł do wagonu. Ciężkie i długie pociągi szutrowe, które nawiozły dużo kamienia na największą, na całej linii stację w Skale, doskonale wymagały mój odcinek linii. Pewien swej linii, nie orientując się w szybkości jazdy, ciągle przynaglałem maszynistę do przyspieszenia jazdy. Dopiero w przekopie przed stacją nieco go zahamowałem. Gdy stanęliśmy na miejscu spojrzałem na zegarek. W osiem i pół minuty przejechaliśmy 7 i ćwierć km, wypadło co najmniej 50 km na godzinę! Bodajże cię! Trochę przeholowałem! Na stacji tłum publiczności.

Z wagonu wybiega mały, chudy, ale mocno ugalowany człeczyzna, czerwony jak burak i wygrażając mi rękoma, wsiada od razu, wobec wszystkich, na mnie z pyskiem: „Jeżeli pan się nosi z zamiarami samobójczymi, wieszaj się pan, strzelaj, truj! Ale sam! Nie ma Pan prawa narażać nas wszystkich, 30 osób na śmierć! Trzeba wariata albo samobójcy, żeby po takiej lokalce jechać z szybkością 50 km na godzinę, tj. z szybkością pośpiesznego pociągu! Na pierwszej lepszej krzywiźnie powinniśmy się byli wykoleić!”. Właściwie miał słuszość. Domyśliłem się, że to był Rybicki. W czasie tego kazania wyszło całe bractwo z wagonów. Kosiński nic nie mówił, tylko skubał wąsik, co u niego było znakiem zadowolenia. Był rad z tego, że Rybicki się irytował i że tak szybka jazda, bez wypadku, najlepiej udowodniła, że linia całkiem gotowa do otwarcia. Rybicki zły, poszedł kontrolować spadek i promień łuku, którym się zjeżdżało z przekopu na stację. Z obowiązku poszedłem z nim i niby to z przesadnej gorliwości ustawiłem tyczki i trzymałem łatę niwelacyjną, podczas gdy on stał przy instrumencie. Udało mi się tak szczęśliwie

²⁶⁷ Tender – wagon o specjalnej konstrukcji przeznaczony do przewożenia węgla.

²⁶⁸ Kosym okiem – z ukosa, krzywo.

zrobić swoje cygaństwo, że Rybicki nabrał przekonania, iż donos do Wiednia na nasze grzechy w tym miejscu, a więc przekroczenie dopuszczalnych norm krzywizny i spadku, był fałszywy. Ten wynik pomiarów kontrolnych tak zdziwił Kosińskiego, że spytał mnie, czy istotnie tak jest, jak pomiar Rybickiego okazał. Odpowiedziałem mu trzema słowami: „Ja zastępowałem figuranta!”. Więcej nie pytał.

Na stację wyległo całe miasteczko. Burmistrz przygotował mowę, ale nie wiedział, kiedy ma ją wygłosić, bo otwarcie zaczęło się awanturą, a potem pomiarem. Wszyscy stali na peronie, czekając dłużej niż pół godziny na koniec kontroli. Nareszcie nadszedł Rybicki, bąknął pod nosem, że od jutra może się rozpocząć normalny ruch pociągów i to była cała uroczystość. Burmistrz swej oracji nie palnął, dwaj proboszcze też nie. Gołuchowscy zaprosili dygnitarzy na obiad, a nasza banda inżynierska ruszyła do miasta oblać wykonane dzieło. Mnie się nie udało, bo za mną pogonił Kosiński i sprowadził do Gołuchowskich. Może był ze mnie specjalnie zadowolony za kawały tego dnia, a może zrobił to dlatego, że bywaliśmy u Gołuchowskich. Uroczystym, pompatycznym, a ogromnie przez to nudnym obiadem zakończył się dla mnie ten dzień otwarcia linii kolejowej Hadyńkowce–Iwanie Puste i Teresin–Skała. Musiałem wysłuchać mów na cześć „Najjaśniejszego Pana”, rządu, generalnego dyrektora kolei, marszałka krajowego itd. Nawet był toast na cześć tych, co tę kolej budowali – inżynierów i robotników.

Pracy w Skale jeszcze nie skończyłem. Byłem w trakcie mierzenia wykonanych robót ziemnych celem rozliczenia się z przedsiębiorstwem. Przy tej sposobności rozkoszowałem się ukończoną pracą. Od tej mroźnej, wietrznej i śnieżnej jesieni, w której tyczyłem na śniegu oś linii kolejowej, nie minęły nawet dwa lata, a w miejscu tych z trudem zabijanych palików, tej w śniegu wydeptanej śnieżynki, lśniły stalowe szyny na wyrównanym podłożu. Porośnięte trawą, całkiem zielone nasypy, wykopy, rowy, przejazdy przez linię, gotowe mosty i mostki, budynki zamieszkałe, stacja, wodociąg to wszystko powstało w tych dwóch latach. Widok tego dobrze skończonego dzieła był najwyższą nagrodą za pracę mózgu i mięśni, za trud, za nieprzespane noce, niepokoje, walki i zmagania się z naturą i ludźmi. Byłem obecny przy szczegółowym odbiorze (kołaudacji) linii przez organa dyirekcji kolejowej. Im zależało na stwierdzeniu jak największej sumy braków, niewykończeń i niedociągnięć, aby tą drogą zgromadzić jak największy fundusz na koszty utrzymania, które, ze względu na świeżość robót ziemnych, są zaraz po otwarciu ruchu stosunkowo bardzo znaczne. Starłem się te braki redukować, aby zbyt wysoki ich ekwiwalent pieniężny nie rzucał złego światła na solidność naszej pracy.

Ale przecież każda rzecz z wyjątkiem kija, ma swój koniec. Więc i ja szybko kończyłem pracę, spiesząc się do kochanego Lwowa. Niespodziewanie,

deputacja rady gminnej zaprasza mnie na uroczyste pożegnanie mojej osoby przez miasto. Przy tej sposobności oblali mnie komplementami od stóp do głów. Byłem tym zaskoczony. Wszak żadnego z moich ówczesnych kolegów władza samorządowa nie żegnała. Nie było tego zwyczaju. Nic dziwnego, że to zaproszenie trochę mi w głowie przewróciło. Rozparła mnie duma, a może próżność. Coś we mnie chyba jest takiego, co mnie wyróżnia spośród kolegów, czymś góruję chyba nad nimi. Coś mnie podniosło w oczach mieszczan, może mój stosunek do robotników albo udział w gaszeniu pożarów, czy względność przy wykupie gruntów pod kolej, może wybudowanie dużej, pięknej stacji, lub urządzenie uroczystości mickiewiczowskiej, a może to wszystko razem sprawiło, że tylko ja stałem się godnym uroczystego żegnania przez miasto, a moi koledzy z Jezierzan, Borszczowa, Korolówki nie.

Jakie były pobudki mieszczan, takie były, a ja stawiałem się w pięknym dniu jesiennym, w oznaczonej porze, na dziedzińcu ruin zamkowych. Gdym ujrzał stoły pełne szynki, kiełbas, parówek, polędwicy, wędzonki (boczk), głowizny, salcesonu, studzieniny²⁶⁹, chleba, masła, sera, chrzanu, musztardy, piwa i wódki, „duma znikła z duszy mej!”. Błysnęło mi przez myśl podejrzenie, że ten bankiet nie dla mnie, że ja jestem tylko doskonałym pozorem, udatną sposobnością dla mieszczan wyzerki i wypitki na koszt miasta.

Ławy w około ustawionych i zastawionych stołów obsiadło do stu biesiadników. Siadłem i ja z o wiele rzadszą miną. Na początek asesór gminy dr Krzyształowicz wygłosił uroczysty spicz²⁷⁰ na moją cześć. Czego tam nie było? A wszystko naj... naj... naj... Gdyby nie sceptycyzm, kielkujący we mnie na widok leżących na stołach rozmaitych postaci zwłok, widocznie na tę uroczystość zakłutego wieprza, zachłysnąłbym się z zarozumiałości. Po nim stał burmistrz, pocciwy mieszczanin, Rusin, który zresztą [w] swoje przemówienie na moją cześć wplótł także przypomnienie o czekającej miasto uroczystości obchodu pięćdziesięcioletniej rocznicy zniesienia pańszczyzny przez „Najjaśniejszego Pana”. Ale zawsze powiedział parę ciepłych słów pod moim adresem. Jeszcze wówczas nie rozgorzała walka między „Lachami a Ukraińcami” (Ukraińców jeszcze nie było w Galicji Wschodniej). Została wszczęta parę lat później przez obozy endecko-szowinistyczne obu narodów. Więc Rusin mógł, nie narażając się na zarzut zdrady, uznać we mnie, Polaku, porządnego człowieka. Z kolei Żyd, wiceburmistrz, w polskim przemówieniu, wypił moje zdrowie. A że przemówienia te nie były ani długie, ani górnolotne, więc nie naprzód ułożone, na powrót czułem nalot dumy. Dziwna rzecz, jak łatwo ludzi brać pochlebstwem, zarówno tych mało, jak [i] na pozór bardzo doświadczonych.

²⁶⁹ Studzienina – zimne nóżki.

²⁷⁰ Tak w oryginale, od ang. *speech* – przemówienie.

Biesiadnicy jedli i pili, ile mogli, tylko szczęki chrzęszczały, tylko talerze brzęczały, tylko gardła gulgotały. A ja przeżuwałem przemowy, coraz bardziej się wzruszam i nareszcie wstaję, trącam nożem o szklanekę i zaczynam wygłaszać moją pierwszą, publiczną mowę agitacyjną. Od pięciu lat byłem socjalistą. Warunki, w jakich się znalazłem, nie pozwalały mi na czynny udział w życiu partii. Tym silniej trawił mnie zapal apostołowania nowego ładu społecznego. Czułem w sobie wielką siłę przekonania, zdawało mi się, że byle tylko jasno, zrozumiale, bez uczonych zwrotów, w czystej polszczyźnie rzecz przedstawić, muszę wszystkich przekonać i dla idei pozyskać. Tedy nie mówiąc o ewolucji, o proletariacie, o burżuazji, kapitale, nadwartości, w ogóle nie wzywając terminologii z tak zwanego żargonu socjalistycznego, mówiłem o przemianach zachodzących w życiu społecznym, o robotnikach, o mieszczańach, o wielkich bogaczach, o wielkich majątkach i wielkiej nędzy, o niesprawiedliwym rozdziale bogactw, o pracy wytwarzającej wszystkie dobra i o bogaczach ciągnących zyski z pracy robotnika. Własny głos, gestykulacja, cisza słuchających i pogłos wśród ruin zamku spotęgowały mój zapal. Wyrzucałem z siebie słuchaczom wszystko, co w głębi mej mózgowicy było dobrego, mądrego, szlachetnego, wzniosłego. Mniemałem, że mój żar uczuć musi się udzielić obecnym, musi ich zapalić, porwać, zatrząść do trzewi i w tej Skale skały poruszyć. Blisko półgodzinne przemówienie zakończyłem toastem na cześć ludu pracującego i na cześć dnia, w którym lud będzie bez reszty rozporządzał całym wynikiem swej pracy. Skończyłem. Siadłem.

Naprzeciw mnie siedział stary siwobrody Żyd. Wygląd patriarchy Habakuka²⁷¹ czy Nehemiasza²⁷². Wstał, uciszył wszystkich: „Sza! sza! sza!”. Błysnęła mi tryumfalna myśl: „A więc przekonałem! W każdym razie poruszyłem nawet tego «Jonasza»²⁷³, skoro skłoniłem go do mówienia!”. A ów „patriarcha” mówi: „Panie inżynierze! Szkoda pańskiej pięknej mowy, szkoda serca, bo pan z serca mówił. Oni nie rozumieją tego, co pan mówił. W myśl pańskiego przemówienia wnoszę okrzyk: Najmiłościwiej nam panujący cesarz Franciszek Józef I²⁷⁴ niech żyje! Naj żywie! Lebe hoich! Hoich! Hoich! Hoich!”.

Niby oblany lodowatą wodą i jakby zбитy po mordzie wyjechałem ze Skali. Ten mi dał dobrą szkołę!

²⁷¹ Habakuk – prorok ze Starego Testamentu.

²⁷² Nehemiasz – postać biblijna, bohater *Księgi Nehemiasza*, części Starego Testamentu, uważany za jednego z reformatorów judaizmu.

²⁷³ Jonasz – prorok izraelski żyjący w VIII w. p.n.e., opisany w *Księdze Jonasza*.

²⁷⁴ Franciszek Józef I (1830–1916) – od 1848 r. cesarz Austrii i król Węgier (koronowany w 1867 r.).

Rozdział V

LWÓW

1.

Obrachunek. Niepewna przyszłość. Praca w Uniwersytecie Ludowym im. A. Mickiewicza. Gorzycki. Libański. Powszechne wykłady Uniwersytetu Lwowskiego. Nasza audyencja z O. Dawidem u Bobrzyńskiego. Praca Zosi.

Pełne życia, gwaru, ruchu, niespodzianek, walk i ciężkiej pracy, najromantyczniejsza strona zawodu inżynierskiego – sama budowa – zakończyła się na jakiś czas. We Lwowie zaczęło się obliczanie należności przedsiębiorstwu, obliczanie wszystkich kosztów budowy, porządkowanie i wykańczanie ostatecznych planów wykonanych budowli. Więc biuro przed i po południu od tej do tej godziny. Naraz przeszliśmy z życia nieregularnego, ale z okresu radosnej twórczości, pełnej fantazji, w monotonną, poszufladkowaną pracę biurową. Śniadanie trzeba jeść o tej godzinie, bo biuro..., obiad o tej, bo biuro... A że z ulicy św. Antoniego, przy której znaleźliśmy niezgorsze i nie za drogie mieszkanie, był szmat drogi do biura, tedy trzeba było ciągle się spieszyć. Cały czas pobytu we Lwowie ganiałem po ulicach. Wprawdzie nikt nie pilnował naszej punktualności w odsiadывaniu stołków biurowych, przecież pędziła nas samych chęć jak najszybszego wykończenia obrachunku. Chcieliśmy się pozbyć z biura Liebermana i w przeważnej części niesympatycznych jego inżynierów (do których ani Margasińskiego, ani Kościuka nie zaliczam), a po wtóre sami chcieliśmy poznać finansowy wynik naszej pracy. Mieliśmy całkowitą pewność, że budowa została solidnie

wykonaną. Uzupełniłoby dodatnią ocenę wartości naszej pracy, gdyby z ob rachunku wynikało, że budowaliśmy także oszczędnie. Zresztą zaprawieni w czasie budowy do ciężkiej pracy, nie potrafiliśmy w biurze próżnować. Wprost przeciwnie. Zapanował między nami jakby wyścig, kto w ciągu dnia roboczego, najwięcej, a dobrze, tj. bez błędu, przepracuje. To mnie skłoniło do szukania ułatwień, środków pomocniczych w obliczaniu – mówmy po imieniu – w dodawaniu, odejmowaniu, mnożeniu i dzieleniu. Maszyna do rachowania nie była jeszcze u nas rozpowszechniona, używano tylko tablic do mnożenia Zimmermana, w dwóch tomach, bardzo niewygodnych do pracy. Ale właśnie w tym roku pojawiły się na rynku księgarskim świeżo w Niemczech wydane, znakomicie ułożone i wykonane tablice do mnożenia. Duża tabliczka mnożenia od 1×1 do 999×999 (Ułożył ją arch. Henseling. Na karcie tytułowej ogłosił, że każdemu, kto w jego tablicach znajdzie błędną cyfrę, zwraca zapłaconą za nią cenę «6 mk». Znalazłem jeden taki błąd. W odpowiedzi przysłał mi odpis notarialnego zaświadczenia, że obiecaną kwotę już zapłacił pierwszemu, który błędną cyfrę znalazł). Nawet znalazłem małą, bardzo prymitywną, prawie kieszonkową maszynkę do dodawania, którą się równie szybko jak szczotami, a pewniej i bez żadnego wysiłku pracowało. Tymi ułatwieniami imponowałem potem w Dalmacji szybkością i pewnością moich obliczeń. Na razie we Lwowie każdy, kto z kolegów chciał, mógł z nich korzystać.

Prawdziwą troską napawała nas niepewność przyszłości. Wobec braku kredytów na nowe budowy kolejowe w kraju zanosilo się na to, że nasz ze spół będzie rozpędzony, że część [z] nas zostanie przerzuconą poza Galicję, a reszta ugrzęźnie w sekcjach konserwacji dyrekcyj kolejowych. Mieliśmy trochę nadziei w Kosińskim, że przecież wydłubie pieniądze na budowę i zatrzyma wyrobiony już personel inżynierski. Jego twierdzenie, że nic mu nie wiadomo, tłumaczyliśmy sobie tak, jak to zazwyczaj bywa, gdy każdy chce wierzyć w to, czego sobie życzy. Na razie pocieszał nas obietnicą renumeracji, o ile okażą się prawdziwe oszczędności. Ta obietnica niewiele na nas działała, bo starsi, bardziej doświadczeni inżynierowie zapewniali nas, że renumeracje nigdy nie wypadły hojnie. A pobory nasze – z dodatkami – były tak wysokie, że prawie wszyscy mieliśmy odłożone oszczędności i na pieniądze nie byliśmy łakomi.

Cały dzień pracowałem na wyścigi nad obrachunkiem. W południe fotografowałem. Za to wieczorami zanurzaliśmy się z Zosią w robotę społeczną. Zabrałem się do pracy w Towarzystwie Uniwersytetu Ludowego im. A. Mickiewicza. Prezesem zarządu był dr Kazimierz Gorzycki²⁷⁵, wybitny historyk,

²⁷⁵ Kazimierz Gorzycki (1865–1912) – historyk, uczeń Ksawerego Liskego, nauczyciel gimnazjalny i działacz socjalistyczny.

uczony i sumienny badacz, niestety przedwcześnie zmarły. Zdecydowany socjalista, bardzo porządny człowiek, sumiennie w towarzystwie pracował. Widomą firmą, reklamowym członkiem zarządu był inż. Edmund Libański (pseudonim Wiktor Tusza, pierwotne nazwisko Bernard Mondschein). Głowa pełna pomysłów i fantazji, doskonały, lekki, encyklopedyczny prelegent, trochę poeta, trochę dramaturg, trochę beletrysta, niezły publicysta, przerzucał się łatwo z jednej krańcowości, w drugą. Z Żyda klerykał, z klerykała ateista, z ateisty socjalista, z socjalisty demokrata... a co dalej? Nie wiem. Skok z Czytelni Katolickiej, z obozu arcybp. Teodorowicza²⁷⁶ i prof. Thulliego do Uniwersytetu Ludowego, a więc do obozu Gorzyckiego, Mokłowskiego²⁷⁷, Urbanowicza²⁷⁸ i innych, był rekordowym w owych czasach. A że przy tym niezmordowanie jeździł po całej Galicji i polskim Śląsku, z wykładami [o] geologii, astronomii, o najnowszych zdobyczach techniki, telegrafii, telefonii, fonografii, o wycieczce na Marsa, o *Dzwonie zatopionym* Hauptmanna²⁷⁹ itd., piszący broszurę o uniwersytetach ludowych, o swoich wrażeniach z wykładów stał się znakomitą reklamą Uniwersytetu Ludowego. Każdy, kto się zetknął z tą instytucją, słyszał jego nazwisko. Walki o Towarzystwo Uniwersytetu były po części walkami o Libańskiego. Co prawda największy wrzask powstał dookoła osoby dr. med. Wacława Moraczewskiego²⁸⁰ (pochodził z Królestwa, nie krewny. Jeszcze inna grupa Moraczewskich żyła i żyje na Litwie). Znakomity lekarz, pierwszorzędný znawca literatury powszechnej i polskiej, świetny wykładowca, naraził się na gwałtowne ataki w prasie za parę słów krytyki literackiej pod adresem Henryka Sienkiewicza. „Ale świętości nie szargać, bo trza [s], aby święte były”²⁸¹.

Libaniu zwracał na siebie uwagę nie tylko działacze oświatowych. Ściągali do niego liczni, nieraz na pół zwariowani wynalazcy. Drzwi się u niego nie zamykały, tylu ich do niego przychodziło. Nieraz wynalazki były bardzo rozweselające. Poza guzikami, szelkami, zamkami, „perpetuowymi mobilami”, sterami balonowymi, automatycznymi sprzęgłami do wagonów

²⁷⁶ Józef Teodorowicz (1864–1938) – duchowny obrządku ormiańskiego, od 1901 r. arcybiskup, polityk, poseł na Sejm Ustawodawczy, senator w II Rzeczypospolitej.

²⁷⁷ Kazimierz Mokłowski (1869–1905) – architekt i publicysta, działacz socjalistyczny i członek PPSD.

²⁷⁸ Mowa o Bogdanie Urbanowiczu, aktywnym działaczu Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza.

²⁷⁹ Mowa o utworze pt. *Dzwon zatopiony. Poemat bajeczny w 5 aktach*, napisanym przez niemieckiego dramaturga i pisarza Gerharda Hauptmanna (1862–1946).

²⁸⁰ Wacław Moraczewski (1867–1950) – lekarz, chemik, profesor i rektor Akademii Medycyny Weterynaryjnej we Lwowie.

²⁸¹ Słowa wypowiedziane przez Stańczyka w *Weselu* Stanisława Wyspiańskiego (1869–1907), pisarza, poety i malarza, tworzącego w okresie Młodej Polski.

kolejowych, frapujący swą prostotą był pomysł robienia z węgla diamentów. Trzeba tylko obrobić z węgla kulę kolczastą na wzór zielonej łupiny z dzikich kasztanów, zatknąć ją na piorunochronie wysokiej wieży i poddać działaniu piorunów. Połowę czystego zysku z tej „piorunowej” fabryki, po uruchomieniu jej przy pomocy Libańskiego, ofiarował hojny wynalazca do jego dyspozycji. Inny wynalazł rodzaj sprężyn dla tabetyków²⁸², które przymocowane do łydek i nakręcone pomagałyby im w chodzeniu, podrzucając, w wymierzonych odstępach czasu, nogami. Wynalazca nie obmyślił jednak sposobu zatrzymania działania mechanizmu. Na pytanie Libańskiego, co miałyby zrobić tabetyk posługujący się tym aparatem, gdy musi stanąć na miejscu, a sprężyna raz nakręcona, jeszcze działa, odpowiedział bez namysłu: „Stojąc na miejscu podrepce nogami do chwili, w której sprężyny przestaną działać!”. Wziąłem się do wykładów geologii. Ułożyłem tekst cyklu wykładów. Sfotografowałem z dzieł naukowych potrzebne obrazy do latarni, rzucającej obrazy na płótno (*Skiptikon*)²⁸³. Latarnię z palnikiem acetylenowym sprowadziłem z Dreżna (w Polsce nikt ich wtedy nie robił). Kinematografów jeszcze wtedy w Galicji nie znano. Wykładałem w sali stowarzyszenia stolarzy „Zgoda” na Łyczakowie 3. Nie powiem, abym sobie tymi wykładami zyskał rozgłos. Sam z siebie byłem niezadowolony. Miałem wrażenie, że słuchacze też. Dużo było ziewających, co oczywiście nie podniecało prelegenta.

Dokooptowany do zarządu Towarzystwa, objąłem w nim, po Ruebenbauerze²⁸⁴, czynności skarbnika i trochę uporządkowałem finanse. Mieliśmy trudności, niewygodę, a nawet wydatki z powodu braku lub z powodu nieodpowiednich sal wykładowych. Zarząd Towarzystwa zwrócił się w lutym 1899 r. do władz miejskich, tj. do prezydenta miasta dr. Godzimira Małachowskiego²⁸⁵ jako prezesa miejskiej Rady Szkolnej Okręgowej, o udzielenie pozwolenia na wieczorne wykłady popularne w salach miejskich szkół ludowych. W jakiś czas po upływie sezonu wykładowego podało nam prezydium Rady Szkolnej Okręgowej²⁸⁶, tj. pp. Małachowski i inspektor szkolny Fąfara²⁸⁷, do wiadomości pismo c. k. Rady Szkolnej z odmową:

²⁸² Tabetyk – osoba cierpiąca na porażenie rdzenia kręgowego.

²⁸³ *Skiptikon* (gr.), inaczej latarnia magiczna – przyrząd optyczny używany do rzucania na ekran powiększonych obrazów.

²⁸⁴ Karol Ruebenbauer (1871–?) – syn prawnika i działacza, prezes Bratniej Pomocy w latach 1892–1896, inżynier mieszkający we Lwowie.

²⁸⁵ Godzimir Małachowski (1852–1908) – prawnik, polityk, poseł do galicyjskiego Sejmu Krajowego i austriackiej Rady Państwa, prezydent Lwowa w latach 1896–1905.

²⁸⁶ Lwowska Rada Szkolna Okręgowa była częścią administracji szkolnej w Galicji.

²⁸⁷ Julian Fąfara – nauczyciel matematyki w szkołach galicyjskich, m.in. we Lwowie, członek Towarzystwa Pedagogicznego i inspektor szkolny.

„A to z powodu, iż w program tych wykładów wchodzi też dzieje najnowsze i kwestie bieżące, których przedstawienie mogłoby odebrać charakter naukowy, względnie pouczający tak, że wykłady mogłyby raczej być uważane za pogadankę społeczną i polityczną, która w budynkach szkolnych odbywać się nie może”. Nadto znajdują się między prelegentami tacy, którzy nie dają poręki, że przedmiot traktować będą obiektywnie i naukowo. Zamiast łatwej krytyki, tego rodzaju powodów odmowy, podam komentarz. W roku 1897 r. sale szkół ludowych stały otworem dla zgromadzeń przedwyborczych rządowych kandydatów na posłów 3 i 5 kurii do parlamentu. W 1899 r., już po otrzymaniu tego pisma przez Towarzystwo, w salach szkół ludowych odbywały się – oczywiście za zgodą władz szkolnych – wiece przedwyborcze, do rady miejskiej, kandydatów z listy prorządowej. Przedmiotem przemówień na tych wiecach były, z natury rzeczy, wyłącznie „kwestie bieżące” polityczne i społeczne, a mówcy nie tylko nie dawali „poręki, że przedmiot traktować będą obiektywnie i naukowo”, a wprost przeciwnie, pewnikiem było, że ich mowy będą czysto „subiektywne”, a poruszane tematy, poziom uczestników i cel zgromadzeń wykluczały z góry „naukowe” ujęcie przedmiotu.

Po prostu chodziło o podkopanie Towarzystwa, szkodzenie i utrudnianie jego pracy, ponieważ było prowadzone przez grono niezależnych umysłów i przez ludzi z lewicy politycznej i społecznej.

Przeciwdziałając szybkiemu wzrostowi i rozwojowi Towarzystwa, rząd zorganizował „wykłady powszechnie Uniwersytetu Lwowskiego”. Zabronił naszym prelegentom, zależnym od władzy (profesorom szkół średnich i ludowych), wykładania w naszym Towarzystwie, a polecił wykładanie w swojej instytucji. Płacił dobrze za wykłady. My nie. Sale szkół ludowych oddał, wkrótce potem, do rozporządzenia „wykładów powszechnych”. Prelegentami byli, po największej części, profesorowie szkół średnich. Poziom wykładów, po wypruciu z nich momentów społecznych, zrównał się prawie zupełnie z poziomem nauki w szkołach ludowych. Toteż wówczas ich wspańiałe sale wykładowe świeciły pustkami, podczas gdy nasze, mieszczące się po zakamarkach podwórz [s], były stale przepełnione. Odmowa sal była następstwem względów konkurencyjnych.

Profesorowie uniwersytetu St. Głębiński i Lud. Ćwikliński²⁸⁸ starali się zaciemnić i zatuszować pobudki nadużycia poważnej firmy Uniwersytetu Lwowskiego do brzydkiej walki konkurencyjnej, społecznej z nadużyciem

²⁸⁸ Ludwik Ćwikliński (1853–1942) – filolog klasyczny, profesor w Uniwersytecie Lwowskim, dziekan Wydziału Filozoficznego i rektor tejże uczelni (1893/1894). W latach 1899–1902 był posłem do austriackiej Rady Państwa. Od 1902 r. mieszkał w Wiedniu i pracował m.in. w Ministerstwie Oświaty. W latach 1917–1918 był ministrem oświaty w rządzie austriackim.

władzy przez rząd. P. Głębiński na pierwszej konferencji wykładów powszechnych twierdził, że jedynym powodem odmowy sal szkolnych Uniwersytetowi Ludowemu było zaniedbanie jego zarządu przez nieprzedłożenie programu wykładów. P. Ćwikliński, członek Rady Szkolnej Krajowej, o wiele uczciwiej powiedział, że nic o odmowie nie wiedział i nie miał na nią wpływu. Zwłaszcza to ostatnie było bardzo prawdopodobne, bo „Ćwikiełka” – tak znajomi tego filologa nazywali – nie potrzebował robić Greka, gdyż sam był do pewnego stopnia „grecką” fujarą.

Chcąc sprawę jasno postawić i mimochodem przygwoździć prawdziwość profesora Głębińskiego, wybrałem się, wraz z bardzo czynnym członkiem zarządu i wielkiej wartości ideowcem, tow. Oswaldem Dawidem, do Namiestnika i do wiceprezesa Rady Szkolnej Krajowej, prof. Michała Bobrzyńskiego²⁸⁹, jednego ze świeczników stańczykerii [s] krakowskiej. Nominalnym prezesem Rady Szkolnej Krajowej był Namiestnik, istotnie kierował sprawami oświatowymi wiceprezes.

Namiestnik p. Leon Piniński²⁹⁰ przyjął nas 20 października 1899 r., ale nie wdając się w istotę sprawy, odesłał nas do Bobrzyńskiego. Ten koniecznie w nas wmawiał, że na nasze nowe podanie z 7 czerwca Rada Szkolna wysłała pisemną odpowiedź. Jednak stanowcze zaprzeczenie, udokumentowane aktami i stwierdzone przez jego kancelarię skłoniły go do przyznania nam słuszności.

Po tej potyczce zaczęła się rzeczowa rozprawa. Na zapytanie, czy zgodzi się na udzielenie naszemu towarzystwu sal gimnastycznych na wykłady z nauk przyrodniczych i technicznych. Odpowiedział stanowczo – „ze względów higienicznych, nie można pozwolić, aby dzieci uczyły się w salach szkolnych, w których dzień naprzód, wieczorem, zbierali się rozmaici ludzie, bo przecież wykłady panów są dla wszystkich dostępne. Ja bym do takiej szkoły mego syna nie posłał”. Uważaliśmy tę odpowiedź za żart, może nie tak niewinny, jak grzeczny, zwróciliśmy jego uwagę, wersalskim tonem, że przecież odbywały się i odbywają w tychże salach co roku liczne zgromadzenia, nawet przedwyborcze, na których bywają ludzie rozmaici, bynajmniej niedezynfekowani. Ponadto z powodu braku budynków szkolnych,

²⁸⁹ Michał Bobrzyński (1849–1935) – historyk, prawnik jeden z założycieli tzw. krakowskiej szkoły historycznej, konserwatysta. Wielokrotny poseł do Sejmu Krajowego i Rady Państwa. W latach 1891–1902 pełnił funkcję wiceprezesa Rady Szkolnej Krajowej. Był namiestnikiem Galicji w latach 1908–1913. W 1917 r. został ministrem dla Galicji w rządzie monarchii.

²⁹⁰ Leon Piniński (1857–1938) – profesor prawa i rektor Uniwersytetu Lwowskiego, polityk konserwatywny. Był posłem do Rady Państwa (1889–1898) i Sejmu Krajowego (1894–1898). W latach 1898–1903 sprawował urząd namiestnika Galicji.

po 60–70 dzieci uczy się w małych salkach prywatnych domów po 4–5 godzin dziennie, a po wyjściu jednej partii dziatwy przychodzi druga, tego samego dnia, co chyba jest urągówiskiem higieny. Zresztą przypomniał mi się, że Towarzystwo prosi tylko o sale gimnastyczne w godzinach wolnych od ćwiczeń i zobowiązuje się po każdym wykładzie salę dezynfekować pod nadzorem lekarskim.

Zamiast oburzyć się na naszą natarczywość p. Bobrzyński, w wyszukanie uprzejmych słów, komplementował nas, że wysoce ceni naszą wytrwałość w dążeniu do „swoich” celów, ale i on ma „swoje cele” na oku. Przyznał się ze skromnością, właściwą lepszym ludziom, że do naszego „stronnictwa nie należy”. Rozumiejąc „higieniczne względy” p. wiceprezydenta, z natężeniem całej uwagi notowaliśmy w pamięci jego następujące „złote” słowa: „Rada Szkolna Krajowa musi być «bezstronna» i nie może stawać po żadnej stronie w tym sporze pomiędzy wami a waszymi przeciwnikami”. Zwróciliśmy jego uwagę, że tu chodzi o wykłady z nauk przyrodniczych i technicznych, które przecież i nasi przeciwnicy uznają bezspornie za stojące poza wszelkimi walkami partyjno-politycznymi. Wobec tego p. Bobrzyński przyznał: „Panowie macie dużo zwolenników, którzy agituja gorąco za wami, ale macie zaciętych przeciwników, macie większą część prasy przeciw sobie, macie przeciwników, nawet w osobach wielu profesorów uniwersytetu, którzy do mnie umyślnie w tej sprawie przychodzili (czyżby Głębiński?), trudno, żebym się nie liczył z takimi głosami”.

Usiłowaliśmy jeszcze zbić zarzut co do przeciwnej prasy, ale p. wiceprezydent, uczyniwszy nam jeszcze zarzut, że myśmy winni, jeżeli namyśla się, czy ma udzielić sal „komu innemu” (rozumie się wykładom powszechnym) na cele podobne naszym, pożegnał nas, przyrzekając pisemną odpowiedź. O pisemnej odpowiedzi nic mi nie wiadomo. P. Bobrzyński „namyślał się” i udzielił „wykładom powszechnym”, bez skrupułów higienicznych, sal szkolnych. W każdym razie przyznaję mu odwagę cywilną odsunięcia pozorów i podanie nam istotnych powodów odmowy. Zawsze lepiej mieć do czynienia z otwartym przeciwnikiem niż z faryzeuszem. Bobrzyński mimo woli odkrył przyłbicę z Głębińskiego, odsłaniając przed nami oblicze człowieka unikającego starannie drogi prawdy. Pana wiceprezydenta spotykałem prawie zawsze po drugiej stronie barykady, mimo tego muszę przyznać, że charakter miał. Umiął się także przeciwstawić władzom wojskowym i rządowi austriackiemu w czasach trudnych i niebezpiecznych, bo w czasie wojny światowej. Ale w roku 1899 dumny byłem, że udało mi się wydobyć z niego niesfałszowaną prawdę i wygrać mój pierwszy dyplomatyczno-polityczny pojedynek.

W tejże zimie Żelaszkiewicz²⁹¹, Hausner i kilku towarzyszy robotników zaczęło wydawać satyryczno-humorystyczne pismo w duchu socjalistycznym. Chętnie przyjąłem w nim udział. Pismo dostało nazwę: „Cięgi”. Pisywałem dość pilnie, w każdym numerze były moje kawały, nie tyle dowcipne, ile złośliwe. Zaczęliśmy pismo bez żadnych środków pieniężnych, zatem z góry było skazane na śmierć głodową. Podtrzymywał je Kornel Żelaszkiewicz, który skądś wydobywał pieniądze na nie (potem się okazało skąd)²⁹². Rysowników mieliśmy domorosłych, rysujących podobnie jak pierwsi chrześcijanie w rzymskich katakumbach. Dzieł pędzla znakomitego ilustratora „Pioniera” nie można było odtwarzać w „Cięgach”, piśmie przeznaczonym dla szerokich mas, niebędących owymi wybranymi duchami względnie strajkującymi inżynierami Biura Drogowego, dla których obrazy Libania były objawieniem. Po moim wyjeździe ze Lwowa „Cięgi” wychodziły dalej, jednak po objęciu przez Hausnera kierownictwa robót gdzieś na końcu miasta, pismo przestało wychodzić. Podobno zmarło na suchoty kieszeniowe.

Zosia w tym czasie, wraz z gronem kobiet postępowych i socjalistek, pomagała organizować pracę kulturalno-oświatową wśród klasy robotniczej, zwłaszcza wśród robotnic. Ściąganie ich na wykłady Uniwersytetu Ludowego czy do lokali organizacji robotniczych nie było rzeczą łatwą. Proletariacki świat kobiecy prawie nie odczuwał potrzeby kształcenia się, słuchania wykładów, czytania, jednym słowem, pracy umysłowej.

Troska o byt, praca w gospodarstwie domowym i przy dzieciach wypełniały żonom robotników cały czas. Robotnic poza fabrykami tytoniu, służbą domową, modniarstwem, białym szyciem i handlem prawie nie było. Nawet procentowo ilość najemnych robotnic w porównaniu z ogółem kobiet, należących do klasy robotniczej, była znikomo małą. Kto poruszy żony robotników, ten zdobędzie bez reszty cały proletariacki miast i miasteczek. Do tej ogromnej pracy uświadamiania kobiecej części robotniczego świata zabrała się wówczas Zosia razem z Czajkowską, Mokłowską²⁹³, Krauzową²⁹⁴, Libańską, Vorzimmerową²⁹⁵ i Diaman-

²⁹¹ Kornel Żelaszkiewicz (1865–1935) – kamieniarz, działacz socjalistyczny i jeden ze współzałożycieli PPSD, dyrektor lwowskiej Kasy Chorych robotników budowlanych. Podczas I wojny światowej walczył w Legionach Polskich.

²⁹² W 1904 r. K. Żelaszkiewicz został aresztowany za defraudację funduszy Kasy Chorych, której był dyrektorem.

²⁹³ Zofia Mokłowska z d. Hiszpańska (1874–1940) – od 1892 r. żona Kazimierza Mokłowskiego.

²⁹⁴ Mowa o Marii Goldstein, która w 1894 r. poślubiła Kazimierza Kelles-Krauzę. Zanim wyszła za mąż mieszkała w Radomiu i tam uczęszczała do gimnazjum.

²⁹⁵ Róża z Altenbergów Vorzimmer (ok. 1870–1942) – żona Jakuba Vorzimmer (1868–1940), siostra lwowskiego księgarza i wydawcy Alfreda Altenberga (1877–1924). Po ślubie rozpoczęła studia na Uniwersytecie Lwowskim i zaczęła działać w PPSD. Małżeństwo Vorzim-

dową²⁹⁶ (Czajkowska, żona Mikołaja, inż. Biura Drogowego, Krauzowa, żona Luśni²⁹⁷, Vorzimmerowa Różia z domu Altenberg i Hermina Diamandowa z domu Lazarus wychowywały się w zakładzie panny Wiktorii Niedziałkowskiej we Lwowie, stąd koleżanki Zosi).

Temu społecznemu działaniu, do dzisiaj jeszcze niewykonanemu, poświęciła Zosia pracę społeczną najdłuższego okresu swego życia. Wówczas był to pierwszy epizod tej roboty, zresztą krótkotrwały, gdyż pobyt nasz we Lwowie trwał ledwo jeden rok. Zebrania, poświęcone omawianiu i działaniu w tej sprawie, odbywały się w sobotnie, jesienne, zimowe i wiosenne wieczory na przemian u nas, u Czajkowskich, Libańskich i Diamandów.

2.

Proces przeciw A. Aleksandrowiczowi. Trudności uprzemysłowienia kraju. L. Graeve, Stanisław Szczepanowski. Jego nędza w Galicji w cyfrach. Szczepanowski jako polityk, jako przemysłowiec. Bankructwo. Franciszek Zima. Proces. Czyn firmy „Wolski – Odrzywolski”. Marchwicki. „Monitor” Breitera. Orłowściana i inni. Stojalowski skarży.

Rok 1899 obfitował w tak liczny szereg sensacyjnych procesów kryminalnych, że zaczęto przebąkiwać, w świecie naszych najserdeczniejszych, o polskiej „panamie”. Najczęściej były to procesy przeciw istotnym złodziejom grosza publicznego, nieraz dźwięczały w nich echa Wystawy Krajowej 1894 r., nieraz były tylko skutkiem nieszczęśliwego zbiegu wypadków, a nieraz wynikały z pędu do uprzemysłowienia kraju.

W poprzednich latach, siedząc przez cały czas rozprawy wśród publiczności, bardzo uważnie śledziłem przebieg kryminalnego procesu, wytoczonego ludziom uczciwym, porządnym, winnym albo z powodu ślepego zaufania do ludzi od siebie sprytniejszych, albo tak oddanych idei spółdzielczości, że dla niej weszli w konflikt z kodeksem karnym. Była to rozprawa o upadłość wytwórczej spółdzielni szewskiej we Lwowie. Dyrektorem spółdzielni był Adolf Aleksandrowicz²⁹⁸ (ojciec mego kolegi i przyjaciela

merów rozpadło się ok. 1907. Była matką Henryka (1898–1990), ze związku z ukraińskim socjalistą Mikołajem Hankiewiczem, historyka i profesora Uniwersytetu Wrocławskiego i Jagiellońskiego, który w 1924 r. zmienił nazwisko na Wereszycki.

²⁹⁶ Hermina (Sydonia) Lazarus Diamandowa (1872–1950) – działaczka socjalistyczna i publicystka, żona Hermana Diamanda (1860–1931) polityka socjalistycznego, członka PPSD, posła do austriackiej Rady Państwa, posła w okresie II Rzeczypospolitej.

²⁹⁷ Luśnia, Michał Luśnia – pseudonim Kazimierza Kelles-Krauzego (1872–1905) – socjologa, filozofa, publicysty i działacza socjalistycznego, członka Polskiej Partii Socjalistycznej.

²⁹⁸ Adolf Aleksandrowicz – szewc, właściciel realności we Lwowie, w latach 1871–1879 i 1883–1888 był członkiem IV Sekcji lwowskiej Rady Miejskiej.



Fot. 7. Stanisław Szczepanowski
około 1890 r.

Źródło: polona.pl

Staszka Aleksandrowicza), cechmistrz szewski, przez 17 lat zasiadający w Radzie Miejskiej, demokratą, patriotą, jeden z najwpływowszych polityków „Strzelnicy” (bractwa kurkowego), tej politycznej organizacji lwowskich rękodzielników. Obok p. cechmistrza, postawnego, o wyglądzie senatorskim starszego pana, siedział na ławie oskarżonych mały, nikły niepozorny człeczyna, księgowy tej spółdzielni (nazwiska nie pamiętam). Wina Aleksandrowicza polegała tylko na tym, że nie znając się na księgowości, zupełnie zaufał swemu księgowemu, który przez kilkadziesiąt lat był jego czeladnikiem i którego znał jako nieposzlakowanie uczciwego człowieka. Zaś księgowy, szewc, a przy tym prawie znakomity samouk-buchalter, tak się przejął ideą spółdzielczości, że w niej szukał ratunku przed groźnym – w jego mniemaniu – upadkiem całemu galicyjskiemu szewskiemu

rękodziełu, wskutek konkurencji florisdorfskiej fabryki obuwia Fraenkla. Sądził, nie bez słuszności, że tylko masowy wyrób obuwia w spółdzielni, może na miejscu, taniością ówczesnego robotnika szewskiego, skutecznie walczyć z maszynowym wyrobem przywożonym spod Wiednia. Zarząd spółdzielni popełnił z samego początku błąd zasadniczy. Albo sprzedawał swoje wyroby za tanio, albo płacił za robotę za drogo. To zresztą na jedno wyszło. Od razu zaczęto pracować z niedoborem. Spostrzegł to księgowy, ale bojąc się, że przez zmianę kalkulacji odstraszy członków i podkopie ideę, nie podniósł tej sprawy. Liczył, że dotrze do czysto szewskich miasteczek, w których praca była najtańszą i tamtejszymi wyrobami wyrówna niedobór. Tymczasem to zaprowadziło go jeszcze dalej. Chcąc pozyskać szewców z tych małych miast dla spółdzielni, fałszował bilanse, wykazywał nadwyżki, które Walne Zgromadzenie skwapliwie, mimo jego sprzeciwów i ostrzeżeń, rozdzielało członkom jako dywidendę. Zestawienie bilansowe fałszował najprymitywniejszym sposobem, bo rozchody przesuwiał na rok następny, a dochody z następnego roku wcielał do sprawozdawczego. Pensji za swoją

pracę ani on, ani Aleksandrowicz nie pobierali. Nie brali również dywidendy. Lokal stowarzyszenia nic nie kosztował, bo mieścił się w mieszkaniu Aleksandrowicza. Oskarżeni na spółdzielni nie zyskali ani grosza. Włożyli w nią swoją pracę. Właściwie nikt nie był poszkodowany. Członkowie, pobierając przez kilka lat dywidendy, wybrali do cna swoje udziały. Nikt się [nie] wzbogacił, nikt nie zubożał. A jednak fałszowanie bilansów było, a jednak niedobór był, a jednak instytucja upadła. Więc dyrektor i księgowy znaleźli się przed kratkami. Księgowy rozbrajał wszystkich swoim uczciwym przyznaniem się do winy i braniem jej w całości na siebie. Zawodowi rzeczoznawcy sądowi nie mogli się połapać na manipulacjach księgowego, samouka. Cały dzień musiał im pozycję za pozycją tłumaczyć i jak łopatą w głowę wkladać, co i jak pokręcił. Zrozumieli go sędziowie trybunału, rozumieli przysięgli, rozumiała publiczność, a w samym końcu zaprzysiężeni sądowi księgowi też. Tacy to byli rzeczoznawcy! Zdaje mi się, że obaj oskarżeni zostali uznani winnymi i zasądzeni na kary więzienia. Aleksandrowicz, moim zdaniem, całkiem niesłusznie. Prawo nie może wymagać od człowieka, który nigdy w życiu buchalterią się nie parał, aby się na niej lepiej rozumiał od uczonych, fachowych, sądowo zaprzysiężonych księgowych.

Po tej wycieczce w niezbyt daleką przeszłość, wracam do procesów w ostatnim roku XIX stulecia. Ich podłoża ideowego, o ile było.

W swoim czasie rząd austriacki systematycznie, celowo, najbrutalniejszymi sposobami niszczył przemysł galicyjski tak, by po nim nawet śladu nie pozostało. Jedynie dymią kominy młynów, tartaków, gorzelni (własność prywatna), kominy w salinach i fabrykach tytoniowych (własność państwowa). Rząd austriacki spośród 92 warzelnii soli, które w Galicji zostały spośród 26, które istniały jeszcze w początku XIX wieku, utrzymał w ruchu zaledwie 9, zresztą nic, a przynajmniej śmiesznie mało, w nie wkładał. Po zawarciu ugody ze stańczykami, po uchwaleniu przez sejm galicyjski rezolucji do „stóp tronu”, zakończonej słynną formułką: „Przy Tobie Najjaśniejszy Panie stoimy i stać chcemy”, rząd oficjalnie zmienił front, zniósł wszelkie prawne szykany, zakazy, hamulce, obostrzenia, specjalne opłaty, wewnętrzne cła. Żadna ustawa ani rozporządzenie nie stały w poprzek uprzemysłowieniu kraju. Jedynie kapitał wiedeński, jedynie przemysł niemiecko-czeski, swoistymi sposobami przeciwdziałał próbom gospodarczego ożywienia Galicji. Własne kapitały krajowe zaczęły się dopiero tworzyć, a kapitał, skupiony w Wiedniu i Pradze, był dla Lwowa i Krakowa kilkakrotnie droższy niż dla niemieckich prowincji austriackich. Natomiast towar, dostarczany Galicji z fabryk wiedeńskich i czeskich, był zawsze taniej sprzedawany od wyrobionego w Galicji. Nawet chleb sprowadzany z mechanicznej piekarni na Morawach, miał wielki zbytek we Lwowie.

Kapitalistom austriackim pomagali nieoficjalnie, ale skutecznie, urzędnicy ministerialni. Obszarnicza szlachta polska, mająca wówczas całą władzę polityczną w kraju w swoich rękach, a prócz tego wybitny udział w rządzie centralnym, nie doceniała wagi tej pierwszorzędnej dla kraju sprawy. Jej chodziło o niskie płace robotników, przede wszystkim rolnych, o niedopuszczenie do życia politycznego ni chłopów, ni robotników, o niepopieranie przez Wiedeń politycznych dążeń Rusinów. To im zapewniał Wiedeń, a za to ona nie wglądała za kulisy ministerstw wiedeńskich. Ta bezceremonialna, ciasna klasowość, krótkowzroczność i nieumiejętność wyzyskania na korzyść kraju politycznej mocnej pozycji naszych polityków obszarniczych w Wiedniu była istotną pobudką zażartej walki ze „szlachetczyzną”, prowadzoną przez naszą partię.

Rzecz jasna, że naturalne i prawne podstawy, umożliwiające rozwój wielkiego przemysłu u nas, zachęcały różnych ludzi do pokuszenia się o sławę i bogactwo. Skarby leżały na ulicy. Zdawało się, że tylko umiejętnie rękę wyciągnąć, że tylko schylić się trzeba trochę, aby drzwi Sezamu otwały się przed ryzykantem.

Jednym z pierwszych ryzykantów był poznańczyk Ludwik Graeve²⁹⁹, wysoki, bardzo pańskie robiący miny, bardzo pewny siebie, bardzo zasobny w kapitały, bardzo budzący zaufanie do siebie, bardzo wiele szumu robiący w kraju. Wydzierżawił i odnowił wapienniki w Pustomytach³⁰⁰, gdzieś kupił drzewostan i pobudował tartaki, gdzieś wywiercił szyby naftowe i zbudował rafinerię i gdzieś jeszcze założył kilka mniejszych przedsiębiorstw. Wkrótce jednak okazało się, że był to nie pan, tylko giermek kapitału bez kapitału, hochsztapler wyższego stylu. Skończyła się cała jego działalność na krótko przed opisywanymi właśnie czasami, wielkim trzaskiem, „krachom”, jak wtedy mówiono, no i procesem. Co prawda nie bardzo nadwyreżył fundusze publiczne. Przeważnie straty poniosły osoby prywatne. Pozostał po nim opinii swąd, odbudowane wapienniki w Pustomytach i w mej rodzinie świeży szwagier, bo jego buchalterem i zarządcą Pustomyt był poznańczyk Antoni Raszewski³⁰¹, rodzony brat Gustawa³⁰², wówczas oberlejtanta pruskiego z munduru i przekonań, a potem generała wojsk polskich z munduru. Antoni ożenił się z moją starszą siostrą Anielą. Po ślubie porzucił Graevego, jeszcze przed jego bankructwem, a za posag żony i nieco swoich pienię-

²⁹⁹ Ludwik Graeve (1857–1920) – ziemianin, fabrykant, prawnik, właściciel majątku w Sławkowie koło Orchowa, poseł do Reichstagu Cesarstwa Niemieckiego w latach 1884–1920.

³⁰⁰ Pustomyty – wieś w powiecie lwowskim, w 1887 r. założono tam dwa piece do wypalania wapna.

³⁰¹ Antoni Raszewski urodzony w 1860 r. był mężem Anieli Moraczewskiej (1869–1909).

³⁰² Gustaw Raszewski (1857–1931) – ziemianin, działacz społeczny i rolniczy, właściciel majątku Jasień w Wielkopolsce, prezes Związku Kółek Rolniczych w Wielkopolsce.

dzy kupił mająteczek leśny Rusocice pod Strzeliskami Nowymi. W niepodległej Polsce został w Poznaniu zarządcą tej części dawnego Burgu cesarskiego, w którym utworzono rodzaj muzeum i zachowano reprezentacyjne pokoje.

W bieżącym 1899 roku rozegrał się wielki 40 dni trwający proces, prawie można by powiedzieć dramat, Stanisława Szczepanowskiego i Franciszka Zimy³⁰³. Szczepanowski, również poznańczyk, zrobił drugą po Graevem, o wiele głębszą, o wiele poważniejszą i lepiej pomyślaną próbę uprzemysłowienia Galicji. Po 13-letniej pracy w przemyśle i dziennikarstwie angielskim, przesiąknięty tamtejszymi metodami wrócił do Polski, by wypróbować angielski system pracy na galicyjskim podłożu. Zaczął szumnie i górnie, ale dobrze. W 1887 r. napisał, a w następnym roku puścił w świat

swoją słynną (właściwie swoją jedyną wartościową) książkę *Nędza Galicji w cyfrach*, w której, operując umiejętnie, bo bardzo popularnie, oficjalnym materiałem statystycznym, przedstawił stan gospodarczy kraju w przerażająco czarnych barwach. Ogół inteligencji, siebie do niego zaliczam, nieobeznany ani z istotnym stanem kraju, ani przyzwyczajony do studiowania statystyki, zdębiał z przerażenia. Książka naprawdę poruszyła sumienia. Konserwatyści, a zwłaszcza ich stańczykowska elita, w dużej mierze odpowiedzialni za nędzę kraju, ruszyli swoje najlepsze pióra dla zbicia i odparcia wymowy cyfr przytoczonych i nasuwających się z nich wniosków, zarówno wyciągniętych przez autora, jak i niewyciągniętych. Przez 20 lat cała opozycja, krytykująca rządy obszarnicze, dobijająca się równouprawnienia politycznego, powoływała się stale na to dzieło Szczepanowskiego. Dziś, mówiąc o nim z perspektywy półwiekowej, można mu wiele zarzucić. Przede wszystkim to, że autor, czerpiąc cyfry z okresu głębokiego kryzysu gospodarczego, szalejącego wówczas w Austrii, a najsilniej w Galicji, nie uwzględnił tego w swoich wnioskach. W tym czasie kryzys dał się Rzeszy



Fot. 8. Franciszek Zima, 1894 r.

Źródło: polona.pl

³⁰³ Franciszek Zima (1827–1899) – powstaniec styczniowy, bankier, dyrektor Galicyjskiej Kasy Oszczędności we Lwowie.

Niemieckiej wiele słabiej we znaki niż Austrii, a w Anglii i Francji ledwo był dostrzegalny. To była jedna z bardzo ważnych przyczyn niewspółmierności stosunków galicyjskich w porównaniu z innymi krajami. Być może – powiem nawet – bardzo prawdopodobnie po uwzględnieniu skutków kryzysu utrzymałby się także najbardziej targający nerwami naszymi wniosek Szczepanowskiego – „każdy Galicjanin pracuje za ćwierć, a je za pół człowieka”, ale tego należało dowieść także dla lat niekryzysowych. Słusznie zarzucano jego książkę, że zlekceważył w niej rolę polityki i polityków, bo dotychczasowa oficjalna polityka krajowa, uprawiana przez Koło Polskie w parlamencie i sejmie miała wybitny, a niesamowity wpływ na ten stan kraju, jaki Szczepanowski bardzo plastycznie zobrazował. Dalej błędził, nie uznając w ruchach ludowym i robotniczym pierwszorzędnych momentów wychowawczych, a więc mających olbrzymie znaczenie w procesie odrodzenia naszego narodu.

Z tego jego głównego dzieła wypływał wniosek, że najpierwszym warunkiem odrodzenia Galicji jest jak najszerze rozwinięcie przemysłu, górnictwa, rolnictwa, handlu i bankowości, i wyzwolenie, przy pomocy szczerze narodowego wychowania, po części wzorowanego na angielskiej pedagogii [s], właściwego polskiego charakteru. Przeciwstawiał zakorzenionej u nas biurokracji, podsycanemu antysemityzmowi i narastającemu socjalizmowi rozumny samorząd, celową asymilację Żydów, podniesienie stopy życiowej robotników. Jego zdaniem produkcja nabiałowa należycie, technicznie i handlowo postawiona, przyniesie krajowi o wiele więcej niż mogą dłań zrobić wszyscy ministrowie polscy i cała praca Polaków w parlamencie wiedeńskim.

Ta książka wysunęła go, obok Romanowicza³⁰⁴, na czoło demokratów, zwłaszcza na terenie parlamentu wiedeńskiego (Romanowicz w tym czasie w parlamencie nie zasiadał). Tu okazała się olbrzymia dysproporcja między jego dziełem a zasadami powyżej streszczanego programu. Gdybym go nie znał osobiście, łatwo mógłbym, tak jak wielu współczesnych, zarówno socjalistów (nie wyłączając Daszyńskiego), jak konserwatystów, uważać go za blagiera. Ale nie. Ten człowiek święcie wierzył w to, co pisał. A to, co pisał, nie wyglądało na błagę, skoro było oparte na faktycznych danych. Przypominało raczej coś w rodzaju listów apostoelskich.

Swoją pracę parlamentarną zaczął pozornie świetnie. Gdy generalny referent budżetu zrzucił się z referatu w parlamencie, bo jego stronnictwo

³⁰⁴ Tadeusz Romanowicz (1843–1904) – literat, działacz demokratyczny, powstaniec styczniowy, poseł do galicyjskiego Sejmu Krajowego i Rady Państwa (od 1901 r.).

przeszło do opozycji, objął jego czynności poseł Szczepanowski. W 24 godziny potem, wygłosił w Izbie Posłów świetny referat budżetowy, który zadziwił cały polityczny świat austriacki pełnią nowych myśli, spostrzeżeń i wniosków. Ale ten szczytowy punkt jego pracy parlamentarnej przyczynił się, wbrew jego wnioskowi w *Nędzy Galicji*, do umacniania ogólnego mniemania, że punkt ciężkości pracy politycznej leży w Wiedniu, nie we Lwowie. W kilka miesięcy później, zapisał najgorszą kartę swej pracy poselskiej, broniąc z trybuny parlamentarnej, jako referent, wprowadzenia, przez rząd hr. Thuna³⁰⁵, stanu oblężenia w Czechach. Reszta jego działalności parlamentarnej świadczyła wprawdzie o niezmordowanej pilności i wielkich jego zdolnościach, ale bynajmniej ani nie przystała szczeremu demokracji, ani pasowała do programu wysuniętego w *Nędzy Galicji*.

Tak samo jak w polityce źle było, gdy ten propagator czystej idei zszedł na grunt praktyczny w przemyśle. Czegokolwiek się dotknął, finansowości, polityki, wychowania, przemysłu, krytyki literackiej, wszędzie wnosił nowe myśli, pomysły twórcze, nieraz prawie genialne. W dziedzinie przemysłu, górnictwa, handlu dostrzegał siły, powiązania, źródła rozwoju, których inni nie dostrzegali. A motorem jego niezmordowanej pracy nie była chęć wzbogacania się, zysku, jedyna „przewodnia idea” w świecie kapitalistów, ale niejasna, nieskrystalizowana myśl przekazania materialnych wyników swej pracy narodowi. Czy, gdyby zdobył majątek, nie wystąpiłaby u niego ta dysproporcja między ideą a czynem, tak rażąca w jego działalności politycznej? Trudno osądzić, jak to zwykle bywa, gdy stawiamy sobie pytanie: „Co by było, gdyby było?”. W przemyśle był to marzyciel, poeta, nie kapitalista.

Znałem go osobiście, bywałem w jego domu, jego dzieciom opowiadałem bajeczki, więc piszę o nim z własnego głębokiego przekonania. A że niczego, żadnej pomocy materialnej, ani żadnego posiewu moralnego (nie zawdzięczam specjalnie Szczepanowskiemu faktowi, że chęć skontrolowania liczb statystycznych przez niego przytaczanych, naprowadziła mnie do studiowania statystyki. Każda inna praca, oparta na danych statystycznych wywarłaby ten sam skutek) nie mam mu do zawdzięczenia, z jego *Nędzą galicyjską* nie zgadzałem się nigdy, a poznałem go, będąc już całkiem przekonany socjalistą. Przeto jestem całkiem niezainteresowanym świadkiem. Brakowało mu zdolności organizatorskich i wykonawczych. Ten brak go zabił, gdy się wziął do organizowania przedsięwzięcia i pracowania w nich jako dyrektor.

³⁰⁵ Franz von Thun und Hohenstein (1847–1916) – prawnik, polityk i dyplomata. Dwukrotny gubernator Czech (1889–1896, 1911–1915), premier Austrii w latach 1898–1899.

Najszczęśliwszą była jego praca w nafcie. Do wiertnictwa naftowego znalazł dwóch tęgich pomocników w osobach swego szwagra Kazimierza Odrzywolskiego³⁰⁶ i siostrzeńca inż. Wacława Wolskiego³⁰⁷. Pomagał im przybyły z praktyki w Argentynie inż. Zeitleben³⁰⁸. W rafinerii peczeniżyńskiej doskonałą pomocą był młody chemik inż. Różański. Niekoniecznie szczęśliwe miejsce wybrał pod swoją rafinerię nafty w Słobodzie i Peczeniżynie, w których szyby szybko się wyczerpały, a wybudowana rafineria wymagała koniecznie surowca, który trzeba było sprowadzać z zagłębia borysławsko-schodnickiego (200 km). Lepsze były jego kopalnie schodnickie. Na ogół przemysł naftowy już wtedy wymagał wielkich wkładów na wiercenie szybów i był połączony z wielkim ryzykiem, choć bowiem pochodzenie olejów skalnych było właściwie już wyjaśnione, zawsze jednak trudno było z geologicznego uwarstwienia wnioskować o położeniu w głębi zbiorników ropy. Zgadywano. Starsi wiertacze opowiadali mi o wielkich szczęściarzach w trafianiu na obfite źródła Szkocie Mac Garvey'u³⁰⁹ i Polaku Wł. Długoszu³¹⁰. Posługiwali się czasem różyczką, a czasem, kręcąc się w kółko, wyrzucali na chybił trafił, nie wiedząc w którą stronę, kamienie lub czapkę i gdzie one padły, zaczęli wiercić.

³⁰⁶ Kazimierz Odrzywolski (1860–1900) – przemysłowiec naftowy, współwłaściciel kopalni naftowej w Schodnicy pod Boryslawem. Jego żoną była Zofia Wolska, siostra Heleny, żony S. Szczepanowskiego. Był wydawcą dziennika „Słowo Polskie”.

³⁰⁷ Wacław Wolski (1865–1922) – inżynier i wynalazca, jeden z pionierów przemysłu naftowego w Galicji, związany z Ligą Narodową i Stronnictwem Demokratyczno-Narodowym. Finansował wydawanie „Słowa Polskiego”, bliski znajomy Jędrzeja Moraczewskiego. Był siostrzeńcem Stanisława Szczepanowskiego, przedsiębiorcy naftowego i pierwszego wydawcy „Słowa Polskiego”.

³⁰⁸ Jan Zeitleben (1860–?) – był absolwentem Wydziału Maszyn Szkoły Politechnicznej we Lwowie, następnie inżynierem i przedsiębiorcą naftowym. W Schodnicy założył zakłady wydobywcze. Był członkiem Wydziału Krajowego Towarzystwa Naftowego we Lwowie, Rady Nadzorczej Galicyjskiego Towarzystwa dla Magazynowania Towarów Naftowych i wspólnikiem spółki Rurociągowej Produktów Naftowych w Schodnicy. Był również właścicielem majątku Zahajce. Po agresji sowieckiej w 1939 r. został wraz z rodziną wywieziony w głąb ZSRR, dalsze jego losy pozostają nieznane.

³⁰⁹ William Henry Mac Garvey (1843–1914) – Kanadyjczyk, przemysłowiec, pionier przemysłu naftowego w Galicji, od 1884 r. prowadzący odwierty na terytorium Galicji. W 1895 r. założył Galicyjsko-Karpackie Towarzystwo Naftowe, które stało się wkrótce jednym z najważniejszych przedsiębiorstw naftowych w Austro-Węgrzech. Stale rozwijając przedsiębiorstwo, budując nowe kopalnie, stał się czołowym przemysłowcem naftowym w Austrii.

³¹⁰ Władysław Długosz (1864–1937) – przemysłowiec naftowy, polityk i działacz społeczny. W 1908 r. związany z Polskim Stronnictwem Ludowym (PSL), następnie PSL „Piast”. Z ramienia ruchu ludowego był posłem do Sejmu Krajowego i Rady Państwa. Był ministrem dla Galicji w rządzie austro-węgierskim w latach 1911–1913. Od 1917 r. aż do śmierci był prezesem Krajowego Towarzystwa Naftowego. W okresie II Rzeczypospolitej był senatorem w Sejmie I kadencji. W 1896 r., jako kierownik zatrudniony w Galicyjsko-Karpackim towarzystwie Naftowym, odkrył bogate złoża ropy naftowej w Boryslawiu, w 1898 r. w Humniskach, następnie w 1902 r. w okolicach Bitkowa i Tustanowic.

Szczepanowski własnych kapitałów nie miał. Jego przedsiębiorstwa finansował dyrektor lwowskiej Kasy Oszczędności Franciszek Zima pieniędzmi tej kasy. Ostatecznie, mimo ryzyka, byłby ze swoimi przedsiębiorstwami naftowymi wybrnął z długów. Ale mózg jego, skierowany ku uprzemysłowieniu kraju, uparcie pracował nad znalezieniem znacznej ilości węgla we wschodniej Galicji. Gdyby mu się to udało, sprawa przemysłu stałaby na bardzo mocnym gruncie. Najlepszy węgiel brunatny znajdował się w Myszynie koło Kołomyi. Kopalnia była tam bardzo marnie założoną. Sądząc, że to jest przyczyną małej produkcji Myszyń, Szczepanowski kupił tę kopalnię i drugą małą, ale rokującą nadzieję w Dziurynie nad Rybnicą. Oczywiście za pieniądze Kasy Oszczędności. Rozbudował je należycie górniczo, a prócz tego porobił wiercenia próbne na pokładach węglowych w Ispasie, Chomczynie, Smolnej, Trościańcu i Wierzbowcu. Wkład w kopalnię węgla był niewspółmiernie wysoki w porównaniu do ich wytwórczości. W Dziurynie, niepodobna było, bez wielkich dalszych wkładów, opanować wody. Na dalsze wkłady nie dostał pieniędzy, więc załała kopalnię i pieniądze w nią dotychczas włożone. Zaś początkowa miąższość warstwy węgla w Myszynie, dochodząca nawet do 95 cm po wyczerpaniu, przeszła we warstwy poprzerywane łupkami i ilami tak, że wchodząca w rachubę grubość pokładów zmalała do przeciętnej 40 cm. W tych warunkach geologicznych nie tylko trudno było marzyć o wielkiej produkcji węgla, ale nawet o jej opłacalności.

Transport ropy z kopalni do stacji kolejowych wymagał albo kosztownej budowy rurociągów, albo zbiorników łatwych do przewozu końmi, więc beczek. Szczepanowskiego zachwycił, przedstawiony mu wynalazek wyrzynania beczek z pnia drzewnego w jednym kawale. Całe beczki robiła maszyna. Nie wypróbował wartości tego wynalazku, zbudował fabrykę. Jednak beczki zsychały się, pękały, ropa się z nich wylewała. Wynalazek należało zaliczyć do serii owych proponowanych Libańskiemu „piorunowych” fabryk! Cały wkład w budowę tej fabryki został bezpowrotnie stracony. Te niepowodzenia przedsiębiorstw firmy „St. Szczepanowski i Sp.” pociągnęły za sobą olbrzymi niedobór. Dochody nie wystarczały na opłatę procentów Kasie Oszczędności. Ratowanie pozorów za pomocą zaciągania nowych pożyczek wyłącznie na opłatę procentów, musiało się raz urwać i urwało. Szczepanowski zbankrutował, pozostawiając kilka milionów złr. długów w Kasie bez pokrycia. Znalazł się na ławie oskarżonych.

Wraz z nim stanął przed sądem Franciszek Zima. Poznałem go w czasie mej współpracy z powstańcami z 1863 r. – mówiąc urzędowo – z komitetem obywatelskim, zarządzającym obchody narodowe. My młodzi patrzyliśmy zawsze z wysokim szacunkiem na tego dzielnego żołnierza walk zbrojnych

o niepodległość, który [stał na czele] najpoważniejszej krajowej instytucji finansowej. Jego osoba, jego gorący patriotyzm, przepiękna przeszłość żołnierska, przebyta dla Polski tułaczka, udowodniona moc charakteru i oparta na tym opinia nieposzlakowanej uczciwości przyciągała jak magnes oszczędności drobnych ciułaczy do Kasy. Za jego dyrektorstwa stan wkładów oszczędności podniósł się sześciokrotnie. Roczny przyrost oszczędności przekraczał 1 500 000 złr. Z Kasy robił się coraz poważniejszy zbiornik kapitałów, a Zima stał się najpoważniejszym włodarzem galicyjskich kapitałów. Od r. 1874, przez 25 lat, zasiadał na stołku radzieckim m. Lwowa, a w r. 1891 został honorowym jego obywatelem.

Gdyby akt oskarżenia zarzucał mu tylko ryzykowne użycie składanych oszczędności na finansowanie przedsiębiorstw Szczepanowskiego, ideowca i przemysłowca w jednej osobie, to choćby go sądy zasądziły, choćby wkładkowiec [s] ponieśli straty, zostałaby po nim dobra pamięć i wielkie imię. Bo gdyby tak w Myszynie i Dziurynie udało się rozwinąć wielkie kopalnie węgla, Zima zamiast na ławie oskarżonych, zostałaby wyniesiony, wśród entuzjastycznych „Hosanna!”, do panteonu współtwórców rozwoju gospodarczego kraju. A gdy się nie powiodło, mogły sądy go krzyżować, ale my współcześni sędzić byśmy musieli jego najlepsze zamiary. Gdyby... gdyby... gdyby... gdyby miał czyste ręce!

Ale ich nie miał. Choć liczył lat 72, a może właśnie dlatego, potrzebował na piękne twarzyczki, na Panią Furmanową, wiele więcej pieniędzy niż ich posiadał. Srebrne wanny dla różnych kokot z towarzystwa chłoneły jego oszczędności i wiele ponadto. Starcza namiętność zrobiła z niego złodzieja. Z Kasy czerpał dużo. Kilkaset tysięcy. Proces dotykał dość blisko naszą rodzinę, bo akt oskarżenia zarzucał Zimie między innymi udzielenie znacznej pożyczki na majątek Rusocice, pomimo zadłużenia go [po]nad wartość. Jak już wspominałem, Rusocice były własnością małżeństwa Raszewskich, a więc mojej siostry. Akt oskarżenia w tej sprawie nie mylił się. Pożyczka była wyrzuconym pieniądzem. Kasa Oszczędności na Rusocicach straciła na czysto przeszło 68 000 koron, przepuszczonych przez Antoniego Raszewskiego.

Ponury ten proces rozjaśnił jednak przepiękny czyn uczniów, przyjaciół, a przy tym krewnych Szczepanowskiego. Firma K. Odrzywolski i W. Wolski ofiarowała wszystkie swoje doskonale rozwijające się przedsiębiorstwa na pokrycie długów Szczepanowskiego w Kasie. Zdobyli swój kilkumilionowy majątek nie przy pomocy kapitałów publicznych ani wskutek wyzysku robotników. Po prostu mieli szczęście. W grze o ropę wyciągnęli wielki los. Wkład kilkudziesięciu tysięcy złr. w wiercenie szybu w Schodnicy oddał im w ręce od razu milionową wartość, gdyż trafili na niegłęboki, a obfity

zbiornik ropy. Gospodarując ogłędnie zdobytym w tym szybie kapitałem, mogli na nim oprzeć swe dobrze przemyślane i świetnie zorganizowane przedsiębiorstwa. Pierwsi w całej Galicji wprowadzili u siebie dziewięciogodzinny czas pracy (zamiast powszechnie stosowanego dwunastogodzinnego). Ich firma płaciła robotnikom najwyższe w całym kraju płace. W Schodnicy założyli szkołę ludową i oddali jej kierownictwo doskonałym, przesiąkniętym nowoczesnymi, wolnomyślnymi prądami, pedagogom: Zygmuntowi Meyerowi, a potem Stanisławowi Słoninie. Organizatorem i kalkulatorem przedsiębiorstwa był Wolski, społecznikiem Odrzywolski. Nawet założony przez nich lwowski dziennik „Słowo Polskie”³¹¹ w krótkim czasie stanął na własnych nogach, mimo szczerze demokratycznego kierunku.

Szczepanowski wciągnął ich do przemysłu naftowego. Pracując u niego, zapoznali się z geologicznymi, technicznymi i handlowymi warunkami pracy w nafcie, w lot zrozumieli, czego potrzeba i jakie są braki. Ich firma, powstała po przebyciu praktyki, dążyła, w myśl nauk Szczepanowskiego, do zaspokojenia potrzeb i wypełnienia luk w tym rodzącym się, wielkim przemyśle naftowym. Toteż widząc cierniową drogę, bardzo przez nich cenionego człowieka, widząc jak konserwa z cichym zadowoleniem śledzi pogrom ognistego ich oskarżyciela, jak ludzie wartościowi, uczciwi zaczęli rzucać kamieniem potępienia na Szczepanowskiego, oszołomieni wysokością straty poniesionej przez kapitał publiczny i runem³¹² wkładających na Kasę Oszczędności, Odrzywolski i Wolski oddali cały majątek swej firmy na pokrycie strat. Stopniowa likwidacja ich przedsiębiorstw przyniosła Kasie na czysto około dwa miliony złr. Resztę pokrył kraj.

Bohaterzy tego procesu wkrótce zeszli z widowni. Zima skończył samobójstwem³¹³. Ale wszechmocna opinia lwowska twierdziła, że został w więzieniu otruty, bo w pewnym stadium procesu zapowiedział, że nie będzie się krępował i wyjawiał całą prawdę. Jak fama niosła, miał być w tę sprawę wmieszany Badeni³¹⁴ (premier) i w jego interesie leżała śmierć Zimy. Należałoby sądzić, że skoro w 42 lata po tych zdarzeniach wieść ta nie została potwierdzoną, chyba nie była prawdą tylko plotką, puszczoną przez przyjaciół Zimy. W niespełną pół roku po procesie (31 października 1900) umarł Szczepanowski w Nauheim. Choroba płuc i serca. Nie chciał dać się pokonać

³¹¹ „Słowo Polskie” – dziennik wydawany we Lwowie w latach 1895–1946, późniejszy organ Narodowej Demokracji.

³¹² Run – tu w znaczeniu masowego, wywołanego paniką zgłaszania się do banków w celu wycofania pieniędzy i papierów wartościowych.

³¹³ Franciszek Zima zmarł w areszcie we Lwowie 4 sierpnia 1899 r., dzień po przedstawieniu mu aktu oskarżenia. Przyczyny śmierci nie zostały wyjaśnione.

³¹⁴ Kazimierz Badeni (1846–1909) – hrabia, prawnik i polityk, namiestnik Galicji w latach 1886–1895, premier Austrii w latach 1895–1897.

przez polski klimat. Zimą i latem, w domu i na dworze chodził zawsze jednakowo ubrany w długim, czarnym, zapiętym anglezie³¹⁵, bez futra, kożucha czy choćby płaszcza. A klimat go powalił. Prawie równocześnie zginął niespodziewanie (2 listopada 1900 r.) Odrzywolski, zakaziwszy się przy wycinaniu nagniotka.

Potem nastąpił proces dra Zdzisława Marchwickiego³¹⁶. Zarzucano mu, że nie był ani doktorem, ani Zdzisławem, ani Marchwickim, tylko zwyczajnym Antkiem Marchewką z Powiśla w Warszawie. Jak było tak było, ale był to niezwykle zdolny człowiek, prawdziwie podziwienią [podziwu] godny hochsztapler, największy, jakiego w życiu spotkałem. Ten Antek z Powiśla – jeśli istotnie nim był – został dyrektorem galicyjskiego Banku Kredytowego. Od r. 1886, a więc przez 13 lat, był radnym miasta Lwowa, od r. 1891 jego wiceprezydentem, zaś od r. 1895 honorowym obywatelem nadpełtwińskiego grodu³¹⁷. Posłem sejmowym został w 1889 r., a w 1895 r. cesarz zamianował go członkiem Izby Panów. I on szukał szczęścia, chwały, zaszczytów w dziedzinie rozbudowy gospodarstwa krajowego. Podjął skarb na ulicy leżący (może raczej należałoby napisać zamknięty w kasie banku?). Jako dyrektor Wystawy Krajowej w 1894 r. nadał jej szeroki rozgłos, prawdziwie wielki rozmach, może większy od jej treści, tj. okazów. Choć faktem jest, że rok wystawy był przełomowym między *Nędzą Galicji* a jej odrodzeniem.

W cyklu tych procesów żadna dzielnica Polski nie została pominięta. Przed kratkami we Lwowie stanęli poznańscy Graeve i Szczepanowski, Królewski Marchwicki i Galicjanie Aleksandrowicz, Zima i dalsza plejada. Marchwicki robił na mnie, mimo dużej, starannie utrzymanej brody, mimo namaszczonego sposobu mówienia, mimo głoszonych objawień na temat: „Bóg, ojczyzna, cesarz, rodzina i własność prywatna”, wrażenie purchawki. I rzeczywiście. Ten złodziej własności publicznej, bo okradający bank, w którym był dyrektorem, rozrósł się do rozmiarów dyktatora finansowego magistratu lwowskiego, najważniejszego obywatela, witającego we Lwowie cesarza, honorowego obywatela Lwowa i lorda austriackiego. Nadeptnięty przez prokuratora pękł i dał poecie impuls do napisania: „raz w raz wstaje wielka postać, że ino jej skrzydeł dodać, rok w rok w każdym pokoleniu i raz wraz przepada, ginie, jakby czas jej przepaść właśnie”³¹⁸.

³¹⁵ Anglez – surdut.

³¹⁶ Zdzisław Marchwicki (1842–1912) – polityk galicyjski, wiceprezydent Lwowa, poseł do Sejmu Krajowego w latach 1889–1901, honorowy obywatel miasta od 1894 r., dyrektor Banku Krajowego, a następnie Galicyjskiego Banku Kredytowego.

³¹⁷ W uznaniu zasług przy organizacji Wystawy Krajowej w 1894 r.

³¹⁸ S. Wyspiański, *Wesele*, akt I.

Ten proces był obrzydliwy.

Na tle tych pogromów wielkości galicyjskich, zdobył duży rozgłos lwowski tygodnik Ernesta Breitera³¹⁹ „Monitor”³²⁰. Wykrył, względnie piętnował, nadużycia, oszustwa, złodziejstwa. Przez kilka lat był postrachem dla ludzi z nieczystym sumieniem, zwłaszcza urzędników. Socjaliści, odnosząc się z dużą dozą uprzedzenia do osoby redaktora, wietrzyli w tym piśmie organizację szantażystów. Sposób przedstawiania faktów przez Breitera najzupełniej usprawiedliwiał podejrzenia ludzi czystych rąk. Swe oskarżenia o czyny sprzeczne z kodeksem karnym często gęsto obsypywał pikantnym pieprzykiem rzekomo prywatnego życia swej ofiary. Bardzo często okazały się monitorowe skandale i skandaliki wyssanymi z palca, a przynajmniej, zaskarżony przez opieprzonych Breiter, nie zdołał ich udowodnić przed sądem. Z biegiem czasu sprawa publicznej moralności zeszła w „Monitorze” na drugi plan, a kronika skandaliczna wysunęła się na czołowe miejsce. „Monitor” zszedł wtedy już tylko na szmatę szantażową i stracił publiczne znaczenie. Ale w roku, o którym piszę i w następnym był „Monitor” w swej najlepszej formie. Każdy jego numer budził niesamowitą grozę, gdy przed oczyma opinii publicznej (jeśli ma ona oczy?) przesunął galerię pozornych podpór ładu społecznego, a w rzeczywistości złodziei grosza publicznego i prywatnego i pchał ich przed kratki sądowe. Nie wszyscy ci dostali się do więzienia, którzy na to zasługiwali. Tak udało się Kieszkowskiemu³²¹, stańczykowi, który okradał Floriankę³²², ale przy pomocy stronnictwa uciekł przed procesem za granicę. Tak samo zwiął ze Lwowa gorący klerykał Józef Orłowski³²³, któremu winienem parę słów poświęcić, bo jakimś koniuszkiem wplótł się w moje życie. Orłowski to typ szui spod ciemnej gwiazdy, ubrany w szaty pobożnisia, spowiadający się przykładowie co tygodnia

³¹⁹ Ernest Breiter (1865–1935) – działacz socjalistyczny, publicysta, założyciel i redaktor „Monitora”, poseł do Rady Państwa. Po I wojnie światowej poparł rząd Zachodnioukraińskiej Republiki Ludowej, a następnie zamieszkał w Wiedniu.

³²⁰ „Monitor” – tygodnik ukazujący się we Lwowie w latach 1895–1914.

³²¹ Henryk Kieszkowski (1821–1905) – ziemianin, współzałożyciel i długoletni dyrektor Towarzystwa Ubezpieczeń Wzajemnych w Krakowie, poseł na galicyjski Sejm Krajowy w latach 1878–1881. Po oskarżeniu go o defraudację 200 tys. guldenów w 1896 r. zrezygnował z funkcji dyrektora.

³²² Towarzystwo Wzajemnych Ubezpieczeń Florianka – towarzystwo ubezpieczeniowo-finansowe założone w Krakowie pod koniec lat 50. XIX w.

³²³ Józef Kazimierz Orłowski (1862–1943) – dziennikarz, działacz polityczny, współpracownik organizacji polonijnych w Stanach Zjednoczonych, od 1917 r. jeden ze współpracowników Ignacego Jana Paderewskiego. W latach 1889–1893 był redaktorem „Kuriera Polskiego” w Krakowie. Wydawanie gazety pociągnęło za sobą długi, których Orłowski nie był w stanie spłacić. W latach 1899–1903 pracował jako adwokat. Dwa lata później, za niespłacone długi, został skreślony z listy adwokatów i skazany na 4 lata więzienia. Po skróceniu kary, w 1907 r., wyjechał do Stanów Zjednoczonych Ameryki, gdzie związał się z tamtejszą Polonią.

[s] i ligający³²⁴ krzyżem w kościele, gdy go ludzie widzieli. Stąd ulubieniec na wzór stawiany przez naiwnych, a głośnych księży. W swoim czasie ten drab, protegowany przez ks. Gorazdowskiego, zjawił się w domu moich rodziców, najwidoczniej jako konkurent do ręki i posagu mej siostry Anieli. Wtedy jeszcze studiowałem na Politechnice i coś zasłyszałem, że jakiś Orłowski został uznany niehonorowym przez sąd obywatelski. Po rzuceniu w domu oskarżenia tego pana, zacząłem szukać dowodów przeciw niemu. Idąc cierpliwie po nitce, znalazłem kłębek w domu p. Henryka Sawczyńskiego³²⁵, znanego historyka, urzędnika Wydziału Krajowego. Ten zaprowadził mnie przed sporą szafę biblioteczną, na której napis „Orłowsciana” mówił o treści. Pełna była wyłącznie aktów, dokumentów, zeznań, protokołów, wyroków sądów honorowych, obywatelskich, orzeczeń sekundantów, odnoszących się do Orłowskiego. A z każdego papieru wynikało jasno, [że] Józef Orłowski jest człowiekiem bez czci i wiary, skończonym łajdakiem, notorycznym złodziejem, który kradł od najwcześniejszej młodości, potem w gimnazjum, na uniwersytecie aż do dnia tego pierwszego lepszego aktu, który właśnie miałem w ręku i który to stwierdzał ponad wszelką wątpliwość. Tak mówił każdy dokument. Niektóre z tych papierów piętnowały go jako szubrawca, zdolnego do wszelkich zbrodni, o ile mógłby z nich czerpać korzyści. Moi rodzice oczywiście wymówili mu dom. Mimo potężnych skrzydeł kościelnych, które go chroniły przed prokuratorem, musiał ostatecznie uciekać do kraju, który był wówczas ucieczką grzesznych, do Stanów Ameryki Północnej. Aby nie wracać do tego indywiduum, dodam, że po kilku latach musiał i stamtąd uciekać przed kryminałem. Licząc na krótką pamięć ludzką, na pomoc naiwnych swych dawnych protektorów, na swoje zdolności odgrywania komedii nawróconego grzesznika, otworzył we Wiedniu kancelarię adwokacką, objął redakcję jakiegoś tygodnika i... i... wrócił do Galicji. Doktor praw, adwokat wiedeński, redaktor, kandydował do parlamentu w 1900 r., potem do sejmu z Bochni i Wadowic, zawsze jako rycerz, broniący rodziny, kościoła i prywatnej własności przed bezbożnymi, rozbijającymi rodzinę i chcącymi rozdrapać prywatną własność socjalistami. Ze swego zawodowego stanowiska był szczerym. Nie miałyby z czego kraść, gdyby prywatnie nie byli bogaci. Przytulił się do ks. Stojałowskiego³²⁶, który upadł był bardzo

³²⁴ Ligać (gwara galicyjska) – położyć się.

³²⁵ Henryk Sawczyński (1861–1923) – prawnik, historyk, urzędnik Wydziału Krajowego. Był również wykładowcą historii i literatury polskiej w Akademii Rolniczej w Dublanach.

³²⁶ Stanisław Stojałowski (1845–1911) – ksiądz, działacz społeczny, wydawca czasopism dla ludu – „Wieńca” i „Pszczółki” – walczył o rozbudzenie świadomości społecznej i narodowej chłopów w Galicji, nazywany „prekursorem ruchu ludowego”.

nisko, którego otaczały same kreatury typu Orłowskiego. Wziął go pod swoje skrzydła hr. Wojciech Dzieduszycki³²⁷, ale nie wytrzymał, gdy Orłowski, sfałszowawszy weksle, okradł go na kilkadziesiąt tysięcy. Jednak hr. Wojtek, przed sądem ze względów na... na..., z względzików dla... dla... machnął ręką na stracone tak czy tak pieniądze i ta kradzież uszła złodziejowi na sucho. Orłowski aż do śmierci żył z tego, co ukradł. Nie był wprawdzie c. k. uprzywilejowanym złodziejem (takiego poznałem 10 lat później w Borysławiu), bo ostatecznie cztery lata kryminału odsiedział. Ale stało się to znacznie później, w kilka lat po omawianym okresie.

W tym roku wyszły na jaw kradzieże popełniane w następujących instytucjach publicznych: 1) Galicyjska Kasa Oszczędności (Lwów), 2) Towarzystwo Kredytowe Ziemskie (Lwów), 3) Bank Kredytowy (Lwów), 4) Towarzystwo Wzajemnych Ubezpieczeń – Florianka (Kraków), 5) Towarzystwo Oficjalistów Prywatnych (Lwów), 6) Zakład dla Ociemniałych, 7) Wielicka Kasa Oszczędności. Oprócz wymienionych przesunęli się przed sądem złodziej adwokat Kratter³²⁸ i inni z grona pracowników umysłowych: Leszczyński, Halecki, Cieszkowski, Starzeński, Krzyżanowski, Czecz de Lindenwald i 20 innych.

Bolałem nad tymi złodziejstwami, przeważnie osławiającymi w świecie kochany Lwów, nad liczbą procesów, nad ich skupieniem w jednym prawie czasie. Jedyną, trochę sadystyczną pociechą była okoliczność, że im kto bezczelniej kradł, im więcej wydawał na metresy, kokoty i kurwy, tym głośniej bronił ładu społecznego, tym goręcej piorunował na socjalistów, niszczących rodzinę, religię i własność prywatną.

Nie opisuję tych procesów, bo ich specjalnie nie śledziłem.

Interesowały mnie natomiast trzy procesy o zniesławienie, wytoczone przez ks. Stojałowskiego, przeciw: 1) redaktorowi „Dziennika Polskiego”³²⁹ Barańskiemu-Ostaszewskiemu³³⁰, 2) redaktorom „Kurier Lwowski”³³¹

³²⁷ Wojciech Dzieduszycki (1848–1909) – hrabia, polityk konserwatywny, filozof, wykładowca, pisarz, członek Koła Polskiego w Wiedniu, minister do spraw Galicji.

³²⁸ Fryderyk Kratter – znany lwowski adwokat, oskarżony o oszustwa finansowe i defraudację pieniędzy klientów.

³²⁹ „Dziennik Polski” – pismo ukazujące się dwa razy dziennie we Lwowie w latach 1869–1918, początkowo związane z tzw. stronnictwem mameluków (utylitarystów, zadowolających się dotychczasowymi rezultatami walki o autonomię).

³³⁰ Kazimierz Ostaszewski-Barański (1862–1913) – dziennikarz, publicysta, historyk, współwłaściciel i redaktor „Dziennika Polskiego”.

³³¹ „Kurier Lwowski” – dziennik wydawany we Lwowie w latach 1883–1935, związany z ruchem ludowym.

i „Przyjaciela Ludu”³³² Rewakowiczowi³³³ i Wysłouchowi³³⁴, 3) redaktorom „Przeglądu Wszechpolskiego”³³⁵ Ernestowi Adamowi³³⁶ i Popławskiemu³³⁷. Procesy rozegrały się wiosną tego roku. W sądzie role się zmieniły. Przyparty do muru oskarżyciel Stojałowski musiał bronić się przed zarzutami oskarżonych, że wszedł w stosunki z organem żandarmów rosyjskich „Dniwnikiem Warszawskim”³³⁸, że posyłał mu korespondencje, brał za nie honorarium, jednym słowem, że schronił się pod skrzydła opiekuńcze jenerała żandarmów, osławionego Broka³³⁹. Ale się nie obronił.

Te procesy wykończyły, w naszych oczach raz na zawsze, ks. Stojałowski. Interesuje fakt, że akurat wszechpolacy, zwani później endekami, demaskowali moralne i materialne zaprzękanie się Stojałowskiego Rosji. Niedługo potem, jeden z ich przywódców w Galicji Wschodniej, Jan Zamorski³⁴⁰, przyskrzynił nie do tego Stojałowskiego, jakim był w swych latach burz i popędu, ale właśnie tego, który rozkoszował się rublami rosyjskimi (ks. Rublarz). Ta zmiana frontu endeckiego jest jednym z przejawów na gorąco chwyconego politycznego salto mortale!

³³² „Przyjaciela Ludu” – tygodnik przeznaczony dla chłopów, wydawany przez Bolesława Wysłoucha. Początkowo ukazywał się we Lwowie, od 1903 r. w Krakowie (do 1933 r.), a w latach 1946–1947 w Warszawie.

³³³ Henryk Rewakowicz (1837–1907) – polityk związany z ruchem ludowym, publicysta i redaktor, powstaniec styczniowy, wiceprezes i od 1897 r. prezes Stronnictwa Ludowego (od 1903 r. Polskiego Stronnictwa Ludowego).

³³⁴ Bolesław Wysłouch (1855–1937) – polityk i działacz ruchu ludowego w Galicji, redaktor czasopism przeznaczonych dla ludu, redaktor naczelny „Kuriera Lwowskiego” w latach 1887–1919. W II Rzeczypospolitej senator.

³³⁵ „Przegląd Wszechpolski” – czasopismo społeczno-polityczne wydawane w latach 1895–1905, organ prasowy narodowych demokratów.

³³⁶ Adam Ernest (1868–1926) – prawnik, działacz społeczny i polityczny, działacz Czytelni Akademickiej, prezes Związku Młodzieży Polskiej „Zet” w Galicji Wschodniej, działacz Sokola, jeden z założycieli Towarzystwa Szkoły Ludowej, prezes w latach 1921–1926. Związany z polskim ruchem narodowym. W II Rzeczypospolitej poseł (1919–1922) i senator (1922–1926).

³³⁷ Jan Ludwik Popławski (1854–1908) – polityk, publicysta, ideolog obozu narodowo-demokratycznego, członek Ligi Narodowej.

³³⁸ „Warszawski Dniwnik” – dziennik rosyjski wydawany w latach 1864–1915 w Warszawie, organ władz Królestwa Polskiego.

³³⁹ Nikołaj Petrowicz Brok (1839–1919) – generał lejtnant, naczelnik Warszawskiego Okręgu Żandarmerii w latach 1896–1897.

³⁴⁰ Jan Zamorski (1874–1948) – nauczyciel, działacz społeczny i polityczny, aktywny członek Towarzystwa Szkoły Ludowej, poseł do Rady Państwa w latach 1907–1918 i do Sejmu Krajowego w Galicji (1913–1914). W II Rzeczypospolitej poseł do Sejmu.

3.

Przygoda z wołami. Urlop w Veldes z Kozickimi. Dr Włodzimierz Kozicki. Kuracja u Riklego. Wycieczka do Wochein. Trochę o Słoweńcach.

Na wiosnę namówiłem Zosię do jazdy na rowerze. Z nastaniem cieplejszej pory próbowaliśmy, w wolne od pracy dni, dobroci różnych podlwowskich dróg. Ku utrapieniu mało wprawnej rowerzystki, wszystkie te drogi były pod psem. Wytrawny rowerzysta, wzdłuż każdej drogi znajdzie sobie drobną, wąską ścieżynę, wydeptaną przez pieszych, którą dobrze pojedzie. Ale początkująca, jeszcze niewyzwolona czeladniczka tego „nogodziela”, potrzebuje szerokiego miejsca dla swych wybuchowych ruchów kierownicą. Zdarza jej się, że z rozpaczą w sercu jedzie naprzeciw tramwajowi i wybucha do motorowego głosem, w którym drga strach: „Na bok! Na bok!”. A szarmancki lwowski motorowy rozkłada ręce i odpowiada: „O pani! Chciałbym z całego serca, ale nie potrafię!”.

Mimo tych i podobnych wypadków zaryzykowaliśmy kilka wyjazdów w przepiękne okolice Łyczakowa, do Czortowskiej Skały, na Żupana, do browaru Grunda. Jeździliśmy za żółkiewską rogatkę do Krebsa (pod śpiwającym rybiem) na raki, szosą zamarstynowską, obok karczmy zwanej „pod zasranym prześcieradłem”, drogą górecką do Zimnej Wody, drogą na Zniesienie. Najdalszą wycieczkę zrobiliśmy stryjskim gościńcem. Zbliżyliśmy się do Dniestru, jadąc w stronę Żydaczowa. Po drodze zjechaliśmy ze szosy na naddniestrzańskie pastwiska, na których pały się nieprzeliczone stada wołów. Na pewno kilka tysięcy sztuk. Jechaliśmy powoli. Widok tak wielkiej masy pasących się siwych wołów z długimi, prawie poziomymi rogami był dla nas zupełnie nowy, niespodziewany. Trudno było od niego się oderwać. Ale i nasz widok zafrapował woły, psy, a nawet konnych pastuchów. Cała rogata armia wraz z kawalerią rustlianą [?] i szczekająca straż obróciła się frontem ku nam i zaczęła flegmatycznie, powoli, potem nieco nerwowiej [s], następnie szybciej i jeszcze prędzej zbliżać się do nas. Pierwszy raz w życiu włosy stanęły mi dębem na głowie... ze strachu. Czapka mi spadła. Nie miałem czasu jej podnieść. „Jazda jak najszybciej przed siebie! Jedź jak najszybciej możesz! Ile masz sił!” – mówię do Zosi, nie podnosząc głosu, ale z całym naciskiem. Sam jadę za nią. Jej tempo jest za wolne. Coś się w rowerze popsło, bo do mnie woła, że tylko z największym wysiłkiem porusza pedałami. A woły już wzięły największy pęd i gnają na nas. Już pastuchy zaczynają je hamować. Boję się, że nie uciekniemy. Równam się

z Zosią, chwytam lewą ręką jej kierownicę i ciągnąc jej maszynkę, przyspieszam naszą rejteradę. Ledwo, ledwo, dzięki naszej szybkości i pracy pastuchów udało się nam uciec przed wołami podziwiającymi niewidzianych dotąd ludzi na kołach.

Po zbadaniu roweru okazało się, że w łożysku pękły dwie kulki stalowe i tarły się z innymi. Odtąd przed każdą dalszą wycieczką sportową rewidowałem łożyska maszyn. Skróciliśmy planowaną podróż i w Mikołajowie wsiedliśmy do pociągu. Koleją wróciliśmy z tej pełnej wrażeń wycieczki do domu.

Przyszłe nasze losy były ciągle pod znakiem zapytania. Kończyliśmy obrachunek, a nikt z nas nie wiedział, co się stanie z kierownictwem i jego personelem. Kredytów na nowe budowy jak nie było, tak nie było. Wezwanie mnie na 14-dniowe ćwiczenia wojskowe było Kosińskiemu na rękę. Otrzymawszy na nie 14 dni urlopu, odbyłem „chlubnie i zaszczytnie” (jak to już opisałem)³⁴¹ ćwiczenia w Stanisławowie, zarobiwszy na nich na czyasto trzy dni urlopu. Nasza sekcja obrachowała Liebermana, a po skontrolowaniu tej pracy przez kierownictwo, rozeszliśmy się z tym przedsiębiorcą – jak się okazało – na zawsze. Jeszcze czekała nas, niewielka już, robota skończenia planów wykonawczych linii kolejowej i jej budowli. Nasz szef, oddalając moment odpowiedzi na pytanie: „co potem”? wbrew swemu zwyczajowi, zaczął hojnie szafować urlopami wypoczynkowymi. Otrzymałem w sierpniu 4-tygodniowy urlop.

Wybraliśmy się do Veldes – po słoweńsku: „Bled” – o 60 km na północny zachód od stolicy Krainy, Lublany. Od miesiąca bawili tam Koziccy ze swymi dwoma odroślami³⁴², zagrożonymi gruźlicą, odziedziczonej po młodo zmarłej matce, pierwszej żonie Kozickiego. Zosia spieszyła do swej ukochanej starszej siostry i ja chętnie tam jechałem zarówno ze względu na towarzystwo Kozickich, jak i w chęci poznania kraju mało u nas znanych Słoweńców, a także słynnego zakładu leczniczego.

Mój szwagier dr Włodzimierz Kozicki, starszy ode mnie o 10 lat, prawnik, pracował w sądownictwie. Typ rzadkiego u nas wówczas, ale mnożącego się naprawdę, niezawisłego sędziego, człowieka z charakterem. Wyroki wydawał wyłącznie na podstawie swego przeświadczenia o winie czy niewinności obwinionych, lub słuszności strony. Nikt, ani z władz jego

³⁴¹ Zob. J. Moraczewski, *Wspomnienia. Ludzie, czasy i zdarzenia. Część pierwsza. Młodość i praca inżynierska. Tom 1. Lata nauki 1870–1896*, opracowanie, wstęp i komentarz I. Florczak, Łódź 2018.

³⁴² Mowa o synach Włodzimierza Kozickiego z pierwszego małżeństwa z Marią z d. Sochanik (1870–1892): Jerzym Kozickim (1890–1952) – inżynierze naftowym, przedsiębiorcy, działaczu społecznym i polityku oraz Tadeuszu Kozickim (1891–1972).

przełożonych, ani innych, ani nikt z krewnych czy przyjaciół nie miał najmniejszego wpływu na jego orzeczenie. Każdego sądu, w którym pracował, bronił słowem i własnym przykładem przed uleganiem postronnym wpływom. Rozumiał i śledził walkę o wyzwolenie, toczoną przez robotników i przez chłopów polskich i ruskich. Motywy jego wyroków uwalniających bojowników tej walki, oskarżonych przez prokuratorów, wyrobiły mu opinię „czerwonego sędziego”. Sam nieposzlakowanej uczciwości był biczem na sędziów łapowników albo ulegających starostom, obszarnikom, klerowi, partiom politycznym. Demokrata w każdym calu, umiał jednak wobec tych, którymi gardził, albo których znał jako ludzi słabego charakteru, „stroić pańskie miny”, zachować wielki odstęp i nie używając słów, okazywać typom marnych sędziów, tonem i ruchami swoje uczucia, znał go z tego dokładnie cały personel sądu, w którym pracował. Te właśnie jego pańskie miny miał na myśli jeden z jego kancelistów (rodzaj Strońcia), gdy przy jakiejś sposobności, wygłaszając spicz na jego cześć, wyraził się o nim „prawdziwy hochsztapler”. Rozumiał dosłownie „wysoko stąpający, chodzący z partesą”, a wypadło inaczej. Inny znów, również nierozumiejący dokładnie znaczenia cudzoziemskiego wyrazu, mówiąc o nim w superlatywach, wymieniając cały szereg jego „naj-ów”, palnął: „nieomal gentlemen”. Kozicki, śmiejąc się, sam mi o tych dwóch lapsusach swoich wielbicieli opowiadał. Z wielu rozmów z nim nabrałem wysokiego mniemania o sądownictwie w ogóle, a galicyjskim w szczególności. Nie było łatwą sprawą przekonać mnie do sądownictwa, gdyż tkwiło mi w myśli opowiadanie p. Szymona Padlewskiego³⁴³ o Mazarakim, który był sędzią w Zborowie. Ten z reguły wszystkie spory między chłopami, nie wyłączając spraw karnych, kończył polubownie, orzekając: „Po połowynu!”. Jako przykład cytował p. Szymon znaną mu sprawę o wóz, który Petro „ukradł” w Perepelnikach Iwanowi. Po wysłuchaniu oskarżenia i obrony, po oględzinach skradzionego wozu, Mazaraki orzekł: „Po połowynu”. Iwan udał naiwniaka: „Proszu wysokoho suda, czy mnie przypadnie «prered» czy zad mojego wozu?”.

Włodkowi uwierzyłem, że to była miniona przeszłość. Zaszczepioną przez niego wiarę w niezależność i sprawiedliwość sądów przyniosłem do Niepodległej Rzeczypospolitej. Polska rzeczywista rzeczywistość rozwiązała całkowicie moje przekonania o wysokim społecznym i prawnym poziomie sędziów.

Tym wyżej utrwaliła mi się w pamięci postać sędziego Kozickiego. Mój szwagier w swej osobie łączył wysokie wykształcenie z wszelkimi zaletami

³⁴³ Szymon Padlewski – wraz z żoną Melanią był właścicielem Perepelnik, majątku, w którym Jędrzej Moraczewski spędzał wakacje w okresie studenckim. Zmarł w 1897 r.

towarzyskimi. Uprawiał turystykę, łowiectwo, jazdę na rowerach, szermierkę, dobry pływak, łyżwiarz, kawalerzysta, strzelec, tancerz. Umiał pracować jako ślusarz, stolarz, tapicer, rymarz, jednym słowem i do tańca, i do śrubsztaka. W Brzeżanach kończył gimnazjum i należał do starszego pokolenia „Brzeżańców”, tj. patriotów tego grodu, uznających wraz z Juliuszem Słowackim³⁴⁴ cały urok piękności brzeżańskiego.

Za jego namową zacząłem na sobie doświadczać skutków skondensowanego działania powietrza, słońca i wody. W szablonowym skrócie kuracja systemem Riklego tak się odbywała. O 3 rano zaczynała się w górach kąpiel powietrzna. O tej porze ciepłota wahała się między +5°C a +7°C. Szklanka zimnego mleka, chleb razowy z miodem wystarczały na ranne śniadanie. Po pięciogodzinnym włóczeniu się nagusów po górach, powrót do domu i dalszy ciąg snu. Koło południa, na tarasie³⁴⁵ zakładowej na jeziorze, godzina kąpeli słonecznej. Temperatura dochodziła do +45°C. Głowa w cieniu, a ciało wystawione przez 45 minut na działanie promieni słonecznych. Bestie działały tak skutecznie, jak ogień na prosię tkwiące na rożnie. Pacjent przypiekany promieniami obracał się z boku na bok, na wznak i na brzuch, aż nareszcie służący kąpielowy zawijał go w gruby koc i układał na słońcu jeszcze na kwadransik. Pot lał się strumieniami z mumii w koc zawiniętej tak, że prawie zawsze przemoczył na wskroś koc. Z terasy schodziło się do wanny z ciepłą wodą. W czasie przepisanego nacierania ciała przez dwóch masażystów, ciepła woda odpływała, a zimna z wodociągu dopływała. Wychodziło się z masażu w chwili, w której ciepłota wody w wannie była taka sama, jak w wodociągu. Pacjent dostawał się pod zimny tusz. Po wytarciu do sucha wracał do domu na posiłek. Po południu hydropatia, podobna do kneippowskiej³⁴⁶. W dni pochmurne zamiastką kąpeli słonecznych była sucha łaźnia rzymska. Tych dni pochmurnych prawie że nie było. Tylko w tamtych, względnie podobnie położonych okolicach, w których złączenie alpejskiego powietrza z klimatem nadmorskim daje w ciągu doby różnicę ciepłoty od +5 do 45°C, można tego rodzaju kurację przeprowadzić. Próbowaliśmy stosować ją w Dalmacji. Nie było rannego chłodu. Próbowaliśmy w karpackich połoninach. Nie było gorącego słońca.

Ranne przedświtowe wyprawy w Alpy należały do najrozkoszniejszych wycieczek górskich. Chodziliśmy we czwórkę, tj. Włodek, ja i obaj młodzi Koziczcy. Czasem po południu wyprawialiśmy się w szóstkę łodzią na jezioro,

³⁴⁴ Mowa o poemacie pt. *Jan Bielecki*. Juliusz Słowacki (1809–1849) – poeta i dramaturg, jeden z trzech wieszczów romantyzmu polskiego.

³⁴⁵ Terasa – płaski, poziomy próg na zboczu doliny rzecznej.

³⁴⁶ Mowa o metodzie hydroterapii wprowadzonej przez Sebastiana Kneippa (1821–1897) – bawarskiego księdza katolickiego, zwolennika higienicznego trybu życia i ziołolecznictwa.

na wyspę. Najczęściej jechaliśmy we czwórkę bicyklami „Cestą w okrug Wezera” lub chadzaliśmy do prześlicznego, chłodnego wąwozu czy kanionu skalistego rzeki Rothwein³⁴⁷. Pionowe ściany w tym „Rothweinklamie”³⁴⁸ tak się w kilku miejscach do siebie zbliżyły, że wykuto w nich ścieżynkę lub wbito żelazne chodniki, aby można było przejść obok zimnej, pieniającej się i szumiącej strugi wodnej.

Nasza czwórka, tj. Koziccy i my, wybrała się na rowerach do jeziora bocheńskiego³⁴⁹ odległego o 3½ mili od Veldes. Duże jezioro, w dzikiej oprawie, przylega wprost do turni południowego zbocza Tryglawu, najwyższego szczytu Alp Julijskich, pokrytego wiecznym śniegiem. Droga prześliczna, miejscami wznosi się nad Sawą i jedzie się nad przepaścią, a miejscami wiedzie tuż nad rzeką tak, że zda się, iż wystarczy tylko rękę schylić, by łapać w niej pstrągi. Jechaliśmy dużymi lasami i szerokimi, starannie uprawianymi dolinami nadrzecznymi. Chłopskie zabudowania podobne do podhalańskich, tylko mniej ręką ludzką zdobne. Dachy drankami³⁵⁰ kryte i kamieniami gęsto przyciśnięte. Pola należycie wyzyskane. Uderzył mnie brak miedzy rozgraniczających posiadłości. Zamiast nich dwusążniowy pas łąki, która w razie potrzeby służyła jako droga, a którą sąsiadujący gospodarze kosili każdy swoją część. Na sianokosy i żniwa wszyscy pracujący w polu, tak młodzi jak starzy, tak mężczyźni jak kobiety, już wtedy jeździli na rowerach. Widok tych rowerzystów i rowerzystek z kosami, grabiami, widłami, sierpami na lewym ramieniu był dla nas zupełnie nowy i niespodziewany. Domy tak gęsto zarosłe pnączami, że prawie ścian nie widać, były urocze. Wśród pnących róż, winogrodu, bluszczu, klimatysu³⁵¹ osobliwością nie spotykaną były krzewy pnących goździków, porastających gęsto piętrowe domy. Zapach kwitnących róż, goździków, klimatysów był na werandach tych domów wprost odurzający. Okna obsadzone skrzynkami pełnymi fiołków alpejskich (cyklamenów), które w tamtym kraju bardzo mile pachną, budziły zazdrość każdego amatora kwiatów. Niestety, próby przesiedlenia pachnących goździków zawiodły, bo rośliny te, znalazłszy się w zupełnie odmiennym klimacie, wyradzały się w zwykłe nasze goździki ogrodowe.

Na każdym kroku widać bardzo wysoką kulturę tego narodu. Przykro nam było, że próby porozumienia się ze Słoweńcami w innym, a nie międzysłowiańskim języku szwabskim, spełzły na niczym. My ich języka, a oni

³⁴⁷ W Słowenii w okolicach Bledu w wąwozie Vintgar przepływa rzeka Radovna, dawniej zwana również Rothwein.

³⁴⁸ Rothwein Klamme – wąwóz Rothwein.

³⁴⁹ Mowa o jeziorze Bohinj.

³⁵⁰ Dranka (przest.) – drewniana listwa.

³⁵¹ Klimatys (łac. *Clematis*) – powojnik.

naszego nie rozumieli. Chłopi, oczywiście po niemiecku ani w żąb. Z nimi rozmawialiśmy z polska po słoweńsku, na migi. Słoweńcy, osiadli w Veldes, musieli umieć po niemiecku, bo przez pół roku żyli z bardzo licznych gości, prawie samych Niemców i Słoweńców. Na długim, ale stosunkowo wąskim jeziorze bocheńskim, trochę przypominającym nasz polski staw gąsienicowy³⁵², znaleźliśmy bezpieczną – jak się nam wydawało – łódź. Wziąwszy do rąk, znalezione w wodzie żerdzie, wypłynęliśmy na głębiny. Po dłuższej jeździe łódź nabrała tyle wody, że trzeba było skierować ją do najbliższego brzegu. Szczęśliwie wypłynęliśmy na płytkie miejsce, w którym łódka, prawdę powiedziawszy, zatonała. Wody było nieco wyżej kolan, więc choć rozbitki [s], wesoło brnęliśmy do brzegu. Miny nam się wydłużyły, po trafieniu na lodowato zimny prąd wody, spływającej z lodowca tryglawowego. Rozgrzał nas długi marsz bezdrożami między wodą a turniami. Jezioro dało się nam dobrze we znaki, toteż porządnie zmęczeni wracaliśmy rowerami do Veldes. Zwłaszcza nasza niewyszkolona rowerzystka mordowała swoją maszynę eksplodującymi ruchami. Jednym takim wybuchem, dla objechania małej kałuży, skierowała się prosto na hejta i zjechała po prawie prostopadłej ścianie, porosłej drobnymi krzakami, w przepaść. Łatwo pojąć nasze uczucia w tej chwili! Alarm, krzyki, gorączkowe ruchy. Gdzie i jak kto mógł, zbiegliśmy w dół. Szczęśliwym trafem, może zgodnie z przysłowiem, Zosia wpadła na krzaki, nie zabiła się, nie połamala, nie utonała. Z tego zboczenia do Sawy wyszła potłuczona, zadrapana, obdarta przez ciernie, ale cała. Rower też. Po uspokojeniu nerwów, pokrzepieniu ciała i napełnieniu żołądków ruszyliśmy w dalszą drogę i bez przygód dotarliśmy do Veldes.

Nie silę się na opis tego letniego salonu południowych Słowian. Trzeba być tam u stóp Tryglawu, pokrytego białą czapką śniegu, własnymi oczami podziwiać lazur jeziora, patrzeć na wiejski kościółek z wieżyczką, wystający z wysepki na środku wody, słyszeć płynący z jeziora dźwięk dzwonu kościelnego, oglądać przepych ogrodów otaczających jezioro. Na skale, nad jeziorem wisi zamek obronny z murami, wieżami, basztami, strzelnicami, chyba średniowiecznych Raubritterów³⁵³ niemieckich. Uzupełnia nasz entuzjazm do Veldes powietrze alpejskie i młodość, umocniona przez kurację, czyszczącą krew i przyspieszającą przemianę materii. Z żalem opuszczaliśmy z Zosią ten uroczy zakątek, by ostatni tydzień urlopu wyzyskać na zwiedzenie Triestu i Wenecji.

³⁵² Mowa o jednym z jezior polodowcowych w Tatrach Wysokich.

³⁵³ *Raubritter* (niem.) – rycerz, rozbójnik.

4.

Wycieczka do Triestu i Wenecji. Ukończenie obrachunku. Jedziemy do Spalato. Spotkanie w Wiedniu z Daszyńskim. Morska choroba.

Mój awans lipcowy na komisarza budowy przyniósł nie tylko powiększenie dochodów o 300 złr. rocznie (1300), ale także prawo bezpłatnej jazdy pierwszą klasą dla mnie i dla żony kolejami austriackimi i zagranicznymi, należącymi do międzypaństwowej konwencji kolejowej. To kusiło do zwiedzania obcych krajów. Więc ruszyliśmy w podróż, jak prawdziwi turyści. Pierwszy raz morze ujrzałem, dojeżdżając do Triestu. Z okien wagonu zrobiło na mnie wrażenie dużego, znacznie powiększonego stawu gródeckiego³⁵⁴. Dopiero w samym Trieście widok bezbrzeżnego morza i jego nieposzlakowanego szafiru wywarł wstrząsające wrażenie, niedające się opisać ani z niczym porównać.

Chyba żaden czytelnik tych wspomnień z mego życia, pisanych z „niemal wisielczym humorem” (wisielczy to tak, humor to nie, wszak zacząłem pisać 21 września 1939 r.) nie będzie wymagał ode mnie inżyniera, a nie literata, bym mu beletrystycznie opisał naszą podróż i zwiedzanie miasta. Zresztą może sobie ten nieszczęsny czytelnik rościć jakie chce pretensje do mnie, nie dam mu banalnego – na inny mnie nie stać – opisu gorączkowego życia w triesteńskim porcie, skupiającym w sobie jedną trzecią część wywozu z Austrii, ani pałacu Revoltello³⁵⁵, który był wtedy zamknięty, ani „cudu na morzu” Miramare³⁵⁶, jak nazywano dość daleko od miasta stojący pałac z białego marmuru, oblany z trzech stron wodami Adriatyku, ongiś własność tragicznego Maksymiliana Habsburga³⁵⁷, cesarza meksykańskiego z nieprawdziwego zdarzenia. Nie będę znikąd kradł opisu najpiękniejszego w świecie miasta Wenecji, z jej rynkiem, Campanellą³⁵⁸, św. Markiem, Marią della Salutą³⁵⁹, pałacem Dożów, mostami westchnień, opustoszałymi

³⁵⁴ Zapewne mowa o stawie w Gródku (od 1906 r. Gródku Jagiellońskim), mieście położonym w województwie lwowskim.

³⁵⁵ Pałac Revoltello – pałac zbudowany w 1858 r. Jego właścicielem był baron Pasquale Revoltella, który zapisał budynek miastu. Od 1872 r. mieści się w nim galeria sztuki.

³⁵⁶ Pałac w Miramare został wybudowany w latach 1856–1860.

³⁵⁷ Arcyksiążę Ferdynand Maksymilian Habsburg (1832–1867) – brat cesarza Austro-Węgier, Franciszka Józefa I, w latach 1864–1867 cesarz Meksyku.

³⁵⁸ Campanile di San Marco – dzwonnica św. Marka, najwyższa budowla w Wenecji, symbol miasta.

³⁵⁹ Mowa o XVII-wiecznej bazylice Santa Maria della Salute.

pałacami, bogatymi kościołami, pięknymi pomnikami, ulicami, brukowanymi słoń wodą morską, po których krążą vaporetty³⁶⁰ w miejsce tramwajów i gondole zamiast fiaków, a w którym to mieście rolę gołębi i komarów odgrywają z powodzeniem prawdziwe gołębie i komary w niesamowitej ilości.

Włóczyliśmy się po Wenecji jak nieprzytomni przez całe 14 godzin. Ale raz trzeba było przecież zanocować. W hotelu, dla wieczornego chłodu, otworzyłem okno w naszym pokoju, zaświeciłem światło i siedliśmy do wieczery. W nocy był bal. Komary tak nas obsiadły, że żadne siatki na łózkach nie pomogły. Mimo zmęczenia oka nie zmrużyłem przez całą noc. I znowu cały dzień uganiał się po mieście, jeździli vaporetami, gondolami, chodzili piechotą po placach targowych z rybami, jarzynami, owocami, przechodziliśmy po architektonicznie ślicznych sklepionych mostach dla pieszych, zwiedzaliśmy sale w pałacu dożów i pałac królewski. Postanowiłem nocować w Weronie dla wydarcia łupu komarom. Do hotelu pod Złotym Gołębiem (Colombo d'oro) przyjechaliśmy o samej północy. Komarów nie zastaliśmy, pluskwy były nieobecne, spaliliśmy jak zabici. O szóstej rano wyjazd z Weron, by złapać pociąg i wrócić do Wenecji jeszcze na 10 godzin. Czekala nas niespodzianka za sześciogodzinny, z góry tak zapowiadany czas naszego pobytu w hotelu, rachunek wynosił 24 lirów, *id est*³⁶¹ 12 złr. tyle, ile poza hotelem wydaliśmy przez dwa dni w Wenecji. Oburzony byłem na to zdzierstwo, ale nie miałem rady, bo trzeba było spieszyć do pociągu. Pomstując, wyzywając i klnąc, zapłaciłem rachunek, postanawiając starannie omijać Colombo d'oro w Weronie i szerzyć mu należną opinię w kraju. Wieczorem, po przebumblowaniu³⁶² w Wenecji, powrót do Lwowa.

„Wszędzie dobrze, a w domu najlepiej”. Tej prawdy, rzekomo „ludowej” mądrości, doznaliśmy wtedy na sobie i zawsze po powrocie z obczyzny do Polski. Trudno wysławić rozkosz wzruszenia, gdy po długiej podróży zagranicznej usłyszysz się na stacjach znane wołanie: „Świ...ża wo...da! świ...ża wo...da! Czego innego wówczas na stacjach nie roznoszono. I znów potem przechodził człowieka taki miły dreszczyk, gdy po przejechaniu Zimnej Wody-Rudna, pociąg wjeżdżał już w nasz, dobrze znany, lwowski smrodek!

Sytuacja w kierownictwie zaczęła się wyjaśniać. Okazało się, że na 1900 r. kredytu na nowe budowy kolejowe nie ma i nie będzie. Jak Bóg i Wiedeń pozwolą, na następny 1901 [r.] może się coś znaleźć. Po powrocie z urlopu, wykończyłem, do połowy października, co było do zrobienia i w biurze zaczęło się baraszkowanie, politykowanie, a gdyby nie wstyd,

³⁶⁰ Vaporetto – tramwaj wodny.

³⁶¹ *Id est* (łac.) – to jest.

³⁶² Przebumbłować (przest.) – tracić czas na próżnowaniu, przetrwonąć coś.

zapanowałby modny wówczas wist licytowany (to samo, co brydż). W polityce zaskoczył nas wszystkich wybuch, w październiku, wojny bursko-angielskiej³⁶³, a zwłaszcza klęski zadawane potężnej Anglii przez dzielnych żołnierzy i śmiałych wodzów, Cronjé'go³⁶⁴, Bothę³⁶⁵, de Weta³⁶⁶ i miniaturowej kolonii holenderskiej. Przypominały się dzieje powstania listopadowego, kiedy to małe Królestwo Kongresowe rzuciło się na dwadzieścia kilka razy większego przeciwnika i biło go raz za razem, aż skry leciały. Sympatie nas młodych były niepodzielnie po stronie Burów. Dawno żadne zdarzenie polityczne nie wywarło takiego wrażenia, jak ta wojna. Triumf siły ducha nad liczbą! Dla Polaków objawienie! Nawet świeża, bo zeszłoroczna dawka pruskich 100 milionów marek, rzucona przez rząd Wilhelma II³⁶⁷ na spętowanie germanizacyjnej pracy Komisji Kolonizacyjnej³⁶⁸ w zaborze pruskim nie wstrząsnęła tak silnie naszymi nerwami. Byliśmy o tyle spokojni, że widzieliśmy marne dla Niemców wyniki kolonizacyjne poprzedniej, również 100-milionowej piguły. Postęp niemczyzny zgoła nie odpowiadał ani wielkością włożonych na nią kapitałów, ani nadziejom i chęciom hakatystów (tak nazywano od pierwszych zgłosek założycieli Towarzystwa Ochrony Zagrożonych/?/)³⁶⁹ wschodnich kresów pruskich, a to obszarników Hansemanna³⁷⁰, Kennemanna³⁷¹ i Tiedemanna³⁷²).

Ostateczne rozstrzygnięcie naszych losów zakończyło tych kilka dni próżnowania i politykowania. Kierownictwo z bardzo szczupłym zespołem

³⁶³ Mowa o tzw. II wojnie burskiej, czyli konflikcie zbrojnym pomiędzy burskimi republikami Transwalu i Orani (płd. Afryka) a imperium brytyjskim w latach 1899–1902.

³⁶⁴ Pieter Arnoldus Piet Cronjé (1836–1911) – generał wojsk burskich w wojnach burskich.

³⁶⁵ Louis Botha (1872–1919) – wojskowy i polityk, jeden z dowódców burskich podczas II wojny burskiej. W 1910 r. został pierwszym premierem Związku Południowej Afryki, utworzonej z pokonanych przez Brytyjczyków ziem burskich, Transwalu i Orani.

³⁶⁶ Christiaan Rudolf de Wet (1854–1922) – wojskowy i polityk burski, uczestnik dwóch wojen burskich.

³⁶⁷ Wilhelm II Hohenzollern (1859–1941) – ostatni cesarz niemiecki i król Prus w latach 1888–1918.

³⁶⁸ Komisja Kolonizacyjna – instytucja utworzona w 1886 r. przez władze niemieckie, mająca na celu wykup ziemi w Wielkopolsce z rąk polskich i sprowadzanie osadników z innych ziem Rzeszy Niemieckiej.

³⁶⁹ Mowa o niemieckim Związku dla Popierania Niemczyzny na Ziemiach Wschodnich (Hakata), organizacji utworzonej w 1894 r., której celem była szeroko rozumiana germanizacja ziem zaboru pruskiego.

³⁷⁰ Ferdynand von Hansemann (1861–1900) – ziemianin pruski, współzałożyciel Hakaty.

³⁷¹ Hermann Kennemann (1815–1910) – ziemianin pruski i działacz polityczny, współzałożyciel Hakaty.

³⁷² Henryk von Tiedemann-Seeheim (1840–1922) – ziemianin pruski i działacz polityczny, współzałożyciel Hakaty i jej wieloletni przewodniczący.

będzie robić studia nad trasami dalszych linii kolejowych. Część personelu przeszła do dyrekcji kolejowych, część porozrzucano po budowach kolejowych w innych prowincjach austriackich. Ja miałem się przesiedlić do Spalato, do tamtejszego kierownictwa budowy wąskotorowej kolei Spalato–Sinji–Arzano. Moim najbliższym sąsiadem miał zostać znowu Tadzio Kobylański, który wraz z Mińskim³⁷³ miał budować kolej z Triestu, wzdłuż północno-zachodniego wybrzeża Istrii do Pirano, a stąd w głąb kraju do Montony i na powrót nad morze do portu w Parenzo.

Trzeba było żegnać Lwów, towarzyszy, przyjaciół, kolegów, rodzinę, rezygnować z pracy w Uniwersytecie Ludowym, pakować swoje „penatowe lary”³⁷⁴ i ruszać w kraj daleki za morze.

Rozpoczęliśmy drogę rzemiennym dyszlem³⁷⁵. Pierwszym postojem był Gródek, skąd pojechaliśmy do Szeptyc, wsi nabytej niedawno przez adw. T. Skałkowskiego, ojca Marylki. Stamtąd wpadliśmy do Sambora do Kozickich. Od nich 5 listopada droga prowadziła nas przez Przemyśl do Wiednia. Zwiedzając Wiedeń, w parlamencie natknęliśmy się na Ignacego Daszyńskiego. Siadł z nami w kawiarni i przy kawie i polityce wywnętrzył się, że zamierza przemienić tygodnik „Naprzód” na codzienne pismo, tylko brak mu na to... drobnych. Obiecałem przysłać mu wszystkie moje oszczędności, złożone w czasie budowy. Zmiarkowałem, że nie bierze bardzo na serio mej ofiary, choć na wszelki wypadek zostawił mi adresy. I po dwóch miesiącach, 7 listopada rano, znów ujrzał nas Triest. Na dworcu czekał Tadzio Kobylański, wyelegantowany z bukietem róż. Cały dzień zszedł na łożeniu z nim i Mińskim po mieście. Nareszcie otwały się podwoje pałacu Revoltello z bardzo piękną galerią obrazów i rzeźb. Ujrzałem tam pierwszy obraz ruchomy, liczący zresztą kilkaset wiosen. Przez małe okienko w ścianie, otoczone ramą obrazową, widać było cały ruch uliczny, dzięki odpowiednio skierowanemu systemowi zwierciadeł.

Rano 8 listopada siedzieliśmy w nieskazitelnie białym, pośpiesznym, pięknym parowcu Lloyda: „Graf Wurmbrand”³⁷⁶. Jakiś czas kręcił się w porcie, po czym przeraźliwie zagwizdał, zahuczał, zaryczał, pierdnął, wypuścił kłęby pary, odlał się i majestatycznie odpłynął. Pasażerów w I klasie było niewielu, najwięcej Niemców i Czechów. Morze ciche jak staw, dzień mglisty.

³⁷³ Prawdopodobnie mowa o Adamie Mińskim, urodzonym w Krakowie w 1865 r., absolwencie Wydziału Inżynierii Szkoły Politechnicznej we Lwowie, pracującym jako inżynier przy budowie państwowych linii kolejowych.

³⁷⁴ Właśc. penaty i lary (żart.) – dobytek i dom rodzinny.

³⁷⁵ Podróżować rzemiennym dyszlem – podróżować, często zbaczając z drogi i zatrzymując się po drodze.

³⁷⁶ „Graf Wumbrand” – jeden z najnowocześniejszych w owym czasie parowców austriackich.

Słońce zaświeciło dopiero w Poli. Z oparów mgły wyrosło przed nami duże miasto. W oczy rzucały się jaśniejące w promieniach słońca, zewnętrzne, doskonale utrzymane mury rzymskiej areny. W porcie wojennym mnóstwo okrętów, otoczonych półkolem miasta. Wysiadać nie było czasu. Wurmbrand spieszył się w najburzliwszą część Adriatyku na południowy zachód od Półwyspu Istriańskiego³⁷⁷. Jednak na drodze z Quarneroło lekki wiaterek rozkołysał morze, co nie przeszkodziło nam [w] zjedzeniu smacznego obiadu z apetytem. Za to około szóstej wieczorem napadła nas najprawdziwsza burza z błyskawicami, piorunami, potokami dżdżu i silną wichurą. Co chwila, przez okienko w kajucie, pojawiało się na przemian raz niebo raz woda. Naturalnie pojechałem prawidłowo do Rygi. Okazało się, że stosowanie recept rzekomo doświadczonych podróżnych, jak jedzenie śliwek, picie koniaku, leżenie na wznak z głową w dół przechyloną nic nie pomogło. Trzeba było oddać morzu to, co się na morzu zjadło, po prostu przebyć morską chorobę. Burza prędko przeminęła, morze się uspokoiło, więc i wycieczka ryska szybko się skończyła. Nasz parowiec wylądował w Spalato o 1 w nocy, po 16 godzinach podróży morskiej.

Zajechaliśmy do „Hotel de la Ville”³⁷⁸.

³⁷⁷ Istria – półwysep w południowej Europie, w północnej części Morza Adriatyckiego.

³⁷⁸ Brak fragmentu tekstu.

Rozdział VI

SPALATO

1.

Statystyka narodowościowa Dalmacji. Wessnitzer, Gebhardt i inni koledzy z kierownictwa. Mieszkamy nad morzem w porcie. Widok morza.

Nazajutrz rano wybrałem się do miasta do kierownictwa budowy kolei. Uderzył mnie przeważający w mieście dźwięk języka włoskiego. Dalmacja należała teoretycznie do krajów słowiańskich, aż naraz ta panująca włoszczyzna wywraca moje wiadomości narodowo-geograficzne. Na urzędach napisy dwujęzyczne: włoskie i kroackie. Tylko na naszym kierownictwie (kolej państwowa) nad koszarami wojska i żandarmerii niemieckie i... włoskie! To zmusiło mnie do skontrolowania statystyki narodowościowej Dalmacji. W r. 1900 liczyła 594 000 mieszkańców. Kraj górzysty, właściwie skalisty, od kiedy Wenecjanie, na budowę swojego miasta na nadmorskich bagnach, wycięli w nim lasy dębowe, a wichury, z niehamowaną lasami siłą, zrzucały całą urodzajną ziemią przykrywą do morza. Osiedla ludzkie w tych skałach nie są gęste, nie mogły być liczne. Gęstość zaludnienia prawie tak samo nikła, jak w alpejskich krajach Austrii, Tyrolu, Solnogradzie, Karyntii. A ilu jest tych Włochów i Niemców? Włochów całe 15 000, a Niemców raptem 2300 głów. Jeżeli do tego dodamy 334 Żydów i 1 Rumuna, pozostaną po drugiej stronie rachunku sami Słowianie, których Dalmacja liczyła 97%. Tedy statystyka stwierdza, że jest to najczystszej słowiańska prowincja Austrii, a może najbardziej słowiański kraj na kuli



Fot. 9. W Spalato w Dalmacji. Od lewej siedzą: Tadeusz Kozicki, Helena Kozicka, Zofia Moraczewska, poniżej siedzi Jerzy Kozicki. Stoi Włodzimierz Kozicki
Zdjęcie zrobione prawdopodobnie przez Jędrzeja Moraczewskiego
Źródło: Zbiory Izby Pamięci im. Zofii i Jędrzeja Moraczewskich w Sulejówku

ziemskiej. Pierwsze miejsce wśród Słowian zajmowało 464 000 Kroatów³⁷⁹, właściwiej „Hrvatów”, bo tak się sami nazywają. Drugie miejsce 100 000 Serbów. Statystyka naliczyła 96 Polaków.

Trzeba podziwiać rozum i dalekowzroczność austriackich mężów stanu! Ich geniusz kazał im, w tych warunkach narodowościowych, utrzymać tego rodzaju dwujęzyczność, która pośrednio przyznawała – wbrew bijącej w oczy prawdzie – słuszność pretensji włoskich do tego kraju. Po dłuższym pobycie zorientowałem się, że w miastach kroacka inteligencja mówiła w domu zawsze po kroacku, tylko na ulicach chętnie posługiwała się włoszczyzną. Czy była to pozostałość z ery przedkonstytucyjnej? Czy jakaś moda lub próżność? Albo chęć popisywania się znajomością światowego języka, z jego przepiękną literaturą i tradycją najwyższej ongiś w świecie kultury? Wszystko jedno. Dość, że tak było w Spalato, największym mieście dalmatyńskim w ostatnich miesiącach XIX wieku, w których los nas

³⁷⁹ Właśc. Chorwatów. W tekście zachowano oryginalną pisownię.

tam zagnał. Przypuszczam, że teraz i ślad tej nawyczki zginął. Język kroacki na pewno odzyskał całą pełnię swych praw i na ulicach, i placach, i ogrodach publicznych miast dalmatyńskich. Może dla odmiany Serbowie rządzący Jugosławią³⁸⁰ usiłowali go przytłumić na korzyść 17% swoich tam rodaków. W owych czasach jedyną logiczną dwujęzycznością była-by tam kroacko-serbska. Ponieważ jednak języki serbski i kroacki, poza ledwo dostrzegalnymi obcymi naleciałościami, różnią się od siebie zasadniczo tylko alfabetem, przeto napisy powinny być jednojęzyczne, ale dwualfabetowe.

Z tej wycieczki w dziedzinę statystyki, polityki i przypuszczeń wracam na ziemię, a więc do kierownictwa. Mój nowy szef Wassnitzer, Niemiec, był dość przeciętnym inżynierem. Nie miał w sobie ani cienia władczości Kosińskiego i – jak się potem okazało – bynajmniej nie miał jego powagi w sprawach inżynierskich. W biurze prawie go nie widywaliśmy. Wszelkie trudności i wątpliwości musieliśmy sami rozwiązywać. Co prawda nie widziałem go przy budowie, więc całego obrazu jego wartości nie umiem nakreślić. Mnie przyjął bardzo uprzejmie. Nie było to dziwnym, bo sądząc po ilości gwiazdek na kołnierzu ewentualnego munduru, należałem do starszych urzędników kierownictwa. Był na tyle taktowny, że ani politycznych, ani narodowych swoich przekonań w czasie mego pobytu w jego kierownictwie nigdy żadnym słowem przed nami nie zdradzał. A sposobności było dość, bo odwiedzaliśmy się wzajemnie.

Jego zastępcą był Polak inż. Gebhardt³⁸¹, nie lubiany i bardzo niesympatyczny człowiek. Za to jego żona, też Polka, bardzo miła i wykształcona osoba, stała moralnie o wiele wyżej od swego męża. On niechętnie zabierał się do jakiejś pracy. Uchodził wśród kolegów za nieroba, lizunia i donosiciela. Osobiście tego nie sprawdziłem. Co prawda w rozmowach z nim w biurze i prywatnie w domach prowadzonych, byłem bardzo ostrożny w wynurzaniu swoich zapatrywań, sądów i opinii. Musiał się źle rozejść z Kosińskim – pracował przy budowie Stanisławów–Woronienka, bo jeszcze w kraju przestrzegano mnie przed nim właśnie dlatego, że należałem do zespołu Kosińskiego.

Trzeci z rzędu i starszeństwa urzędnikiem kierownictwa ja byłem. Jeżeli mnie jeszcze nie znacie, to mnie kiedyś poznać. Dlatego pomijam charakterystykę tej osoby.

³⁸⁰ Po rozpadzie Austro-Węgier, 1 grudnia 1918 r., powstało Królestwo Serbów, Chorwatów i Słoweńców. W 1929 r. zmieniło nazwę na Królestwo Jugosławii.

³⁸¹ Prawdopodobnie Gustaw Gebhardt. W latach 80. XIX w. pracował jako inżynier przy budowie kolei Transwersalnej w Żywcu, był członkiem Towarzystwa Politechnicznego we Lwowie.

Pan Putti – dla odmiany Włoch – prowadził wykup gruntów. Po jego arystokratycznych i wielkopańskich manierach i stopie życiowej można było przypuszczać, że jakaś burza życiowa zagnała włoskiego arystokratę na dość podrzędne stanowisko do Dalmacji. Z zawodu był czymś pośrednim między geometrą a prawnikiem. Ni to, ni owo. Potem się pokazało na nim coś brzydkiego. Już nie pamiętam, co takiego. Skończyło się procesem karnym, w czasie którego, spod maski arystokraty, wyłoniła się postać niebieskiego ptaka.

Mamy już jednego Niemca, dwóch Polaków, jednego Włocha. Dla kompletu potrzebni są koniecznie Hrwaci. Było ich dwóch. Ognisty patriota Senjanowič, a drugi z którejś wyspy, mniej swoje uczucia afiszujący Zemberlini. Z nazwiska sądząc, pochodził z ongiś włoskiej rodziny. Obaj bardzo sympatyczni, mili i dobrzy koledzy, młodzi inżynierowie, pełni zapału, choć z małym zapasem doświadczenia.

Nie brakło innych nacji. Jedną reprezentował Artur Holländer, co prawda nieholenderskiej narodowości, ale też handlowego wyznania. Wesoły kompan, dobry kolega, trochę filozof, więc mocno roztrzepany, trochę poeta, więc nie systematyk, trochę blagier, więc mało inżynier. Na technice studiował mechanikę, której nie skończył. Wiecznie czegoś szukał, narzekając przy tym na złośliwość szukanego przedmiotu, którego podejrzewał o duszę każącą, np. kluczowi, skryć się na koniec. Z reguły dopiero ostatni z szukanych kluczy otwierał to, co było do otwarcia. Zabierał się do pisania książki pod tytułem *Über die Animositat des Objektes*, co dosłownie należałoby przetłumaczyć – *O duchowości przedmiotu*. Oczywiście nie zabrał się do pisania, ale rozkoszował się samym tytułem. Holländer coś niecoś przypominał naszego Libańskiego. Nie chcę przez to krzywdzić Libania, który bez porównania stał wyżej umysłowo. Ale coś wspólnego mieli, stąd moja słabość do Holländera.

W tym zespole brakło Czechów, bo choć referent dla spraw budynków nazywał się Czechner, jednak nie był Czechem tylko Niemcem i w dodatku gorącym nacjonalistą niemieckim. Oni tak samo, jak znany nam już z poprzedniego tomu mój przyjaciel, niemiecki socjalista Robert Metzger (też tam był), ukończyli wiedeńską szkołę średnią przemysłową, z której był wprawdzie otwarty wstęp na politechnikę, ale oni go nie wykorzystali.

O ile tedy pamiętam, skład narodowościowy technicznej części tego, w kroackiej ziemi istniejącego kierownictwa budowy kolei był następujący: 4 Niemców, 2 Polaków, 2 Kroatów, 1 Włoch, 1 Żyd. Gdy dodamy niemiecko-włoski napis nad urzędem, którego interesantami byli prawie wyłącznie Kroaci, będziemy mieli perspektywiczny skrót Austrii i jej logiki narodowościowej.

Wracam do miasta, od razu do naszego mieszkania, niedużego, niedrogiego, położonego na drugim piętrze kamienicy stojącej w porcie na rogu ulicy św. Piotra, tuż nad morzem i z widokiem na morze. Kamienicę – dom był naprawdę zbudowany z kamienia – oddzielała od wody ulica, najwyżej pięciometrowej szerokości. Właścicielka domu nie dała nam kluczy do naszego mieszkania, bo twierdziła: „U nas się mieszkań nie zamyka na klucz”. Tak istotnie było. Jedynym złodziejem, który mógłby się zakraść do naszego mieszkania, było morze. Z okien widzieliśmy je co prawda zamknięte na widnokręgu wyspami Braczą³⁸² i Szoltą³⁸³, a kilka drobnych wysepek między wyspami Buą³⁸⁴ i Szoltą przerywało widok na bezkresną dal morską, ale i tak widok morza był zgwałcający. Morze co dzień inne. Przy każdym wietrze inaczej wzburzone. W każdej porze dnia, przy różnych oświetleniach, inaczej zabarwione. Rano wszystko bladobłękitne i zaróżowione od wschodzącego słońca wyglądało zza mgły jakby spoza przejrzystego welonu. W południe szafir morza i nieba odbija jaskrawo od pomarańczowo-czerwonego wybrzeża. Wieczorem znowu wszystko tonie w liliowych bledszych i ciemniejszych odcieniach. Nieraz spokojne jak staw, a po nieposzlakowaniu gładkiej jego powierzchni krzyżują się drogi i ścieżki, wydeptane przez koła i śruby parowców, przez kadłuby żaglowych okrętów i czółen rybackich. Nieraz znów „bura”³⁸⁵ wiatr północno-zachodni odpędzał, wśród zimnej pogody, morze od brzegu lądu i pędził jego wody na wyspy, zaś ciepły, południowo-zachodni „siroko”³⁸⁶ rzucał falę na Starą i Nową Obalę, szeroki bulwar nadbrzeżny portu, tak silnie, że przechodzić przezeń prawie było niepodobna. Tryskające, odbite od portowego oskałowania strumienie morskie, wraz ze strugami deszczu, dochodziły aż do okien naszego mieszkania na drugim piętrze, grożąc nierzadko wybiciem szyb, o ile się zawczasu okiennic nie zamknęło.

Morskie łazienki:³⁸⁷ „*Kupalište polo*”³⁸⁸ stały tuż pod naszymi oknami, a nieco na lewo, na małym placu odbywał się targ drzewa opałowego, przywożonego czółnami z wysp. Dla ścisłości muszę dodać, że w domu, poza kuchniami, nie było pieców. Klimat Spalato jest na ogół cieplejszy od klimatu Neapolu, przeto teoretycznie piece w domach są zbędne. Praktycznie rzecz biorąc, nigdy w naszym życiu tak nie marzliśmy, jak w tym neapolitańskim klimacie.

³⁸² Mowa o wyspie Brač.

³⁸³ Mowa o wyspie Šolta.

³⁸⁴ Obecnie wyspa Čiovo.

³⁸⁵ Bura – suchy, chłodny i porywisty wiatr, występujący zimą na wybrzeżu Adriatyku.

³⁸⁶ *Siricco* (fr.) – suchy i gorący wiatr wiejący w basenie Morza Śródziemnego.

³⁸⁷ Tu w znaczeniu publicznego zakładu kąpielowego lub łaźni.

³⁸⁸ *Kupalište polo* (chorw.) – basen kąpielowy.

2.

Stary i nowy „grad”. Pamięć o latach rządów francuskich. Język. Kroaci a Serbowie. Wpływ włoski na Kroatów. Uczciwość. Przemysł.

Sam Split, największe, najludniejsze (20 000 mieszkańców) miasto Dalmacji, jest równocześnie i centrum handlowym, i najbardziej turystów przyciągającym miastem dalmatyńskim. Mieszkańcy, niedaleko leżącego miasta Salona³⁸⁹ (dziś mała wioska wśród ruin), uciekający przed najazdem Awarów³⁹⁰, zbudowali „stare miasto” w VII wieku po Chrystusie w olbrzymim prostokącie potężnych (2 metry grubych) murów dawnego pałacu rzymskiego cesarza Dioklecjana³⁹¹. Zdawałoby się, że nazwa miasta powstałego „z pałacu, ex palatium”, stąd się wywodzi. Tymczasem historycy, umiający każdemu życie zatruć i zdrowy sąd przeinaczyć, wyszperali, że cesarz Dioklecjan budował swój pałac w obrębie małej wioski, Aspalathos, słusznie tak nazwanej od bardzo pachnącej rośliny tej samej nazwy, używanej do wyrobu maści, do zaprawiania wina, oliwy i farbowania sukna. Czy to prawda czy nie? Trudno dziś rozstrzygnąć, skoro najstarsi ludzie nie pamiętają ani początku miasta Splitu, ani nic o tym pnącym i pachnącym aspalathusie³⁹² nie wiedzą. Jak było, tak było, pewnym jest, że miasto poczęło się z pałacu, w pałacu i obok niego.

Do murów pierwotnych miasta (starego grada) wchodziło się przez cztery, ongiś pałacowe, bramy, z których dziś stoją tylko mury dwóch, „złotej i żelaznej”. Po „srebrnej” zostało miejsce, a „spiżowa” istnieje w starych kronikach. Wewnątrz starego grada wspaniałe rzymskie mauzoleum samobójczego cesarza, przykryte piękną kopułą, dziś katedra, pełna zabytków rzymskich, kolumn marmurowych i niemarmurowych, pięknych kapieli, a przed wejściem jeden sfinks egipski. Niedaleko kościoła prześliczne baptysterium, zaś przy kościele potężna wieża, której każda kondygnacja zbudowana na innych motywach architektoniczno-ornamentacyjnych, znalezionych w pałacu. Wieża wystercza [s] z masywów budynków starego i nowego grada tak, że i przy wjeździe do portu i z każdego punktu miasta

³⁸⁹ Salona – miasto założone w IV w. p.n.e. przez greckich kolonizatorów. W I w. n.e. zostało podbite przez Rzymian i stało się jednym z najważniejszych miast tego regionu oraz stolicą prowincji rzymskiej Dalmacja. Około 240 r. w Salonie urodził się późniejszy cesarz Dioklecjan. Miasto zostało zniszczone w VII w. n.e. w wyniku najazdów m.in. plemion słowiańskich.

³⁹⁰ Awarowie – lud koczowniczy, przybyły do Europy w VI w. W VI i VII w. Awarowie często organizowali wyprawy łupieżcze na Bizancjum.

³⁹¹ Dioklecjan (ok. 244–313/316?) – cesarz rzymski w latach 284–305. Ostatnie lata życia spędził w Splicie.

³⁹² Aspalathus – gatunek krzewu, występujący w południowej Afryce.

przede wszystkim ją się widzi, że właściwie jej się nie widzi. Otacza ją bowiem tak gęste rusztowanie, że zupełnie zasłania widok wieży, jej lekkich łuków na cienkich kolumnach. W roku 1900 stały mury wieży prawie na 36 metrów wysokości. Do pełnej swej wysokości 50 m wieża dojdzie po skończeniu. Albo i nie dojdzie. Rusztowania wybudowanego w 1883 roku, kosztem 50 000 guldenów, użyto dotychczas tylko do rozebrania piątej kondygnacji, zaś w czasie dziewięciomiesięcznego naszego pobytu w Splicie prawie nie widziałem robotników na rusztowaniu. Wyglądało to tak jakby odbudowie przeszkadzało *manko di valuta*³⁹³. A przecież czas musiał potężnie nadgryźć drzewo na rusztowaniu, kto wie, czy będzie ono tak łaskawe, by utrzymać się w formie nim nadpłynie potrzebna flota. A może przecież przezwycięży te trudności ukochanie zabytków Splita i wytrwałość ks. prałata Bulića³⁹⁴, konserwatora i kustosa.

„Stare miasto” ze starorzymskiego na starowłoskie przebudowane tak się zrosło z równym mu wielkością, „nowym miastem” typowo również starowłoskim miastem, że rozdzielają je od siebie tylko mury starego pałacu, ale nie wygląd, ale nie domy i wąskie uliczki. Tu i tam tyle pięknych, interesujących nawet laika, nawet z obcych stron latawca, że trzeba by pióra Orłowicza³⁹⁵ albo nudnej skrupulatności Baedekera³⁹⁶, aby je opisać.

Wychodzę tedy z obu tych gradów w nowoczesną część miasta. Ale i tu nie mogę wyrwać się ze szpon[ów] historii, bo akurat włączę na plac i drogę Marmonta³⁹⁷, francuskiego generała, głównodowodzącego w Dalmacji w czasie władania nią przez Napoleona. Ówczesne ośmioletnie rządy francuskie pozostawiły po sobie tyle pomników cywilizacji, tyle wspaniałych dróg, że gdy w cztery lata po ustąpieniu Francuzów cesarz austriacki Franciszek I³⁹⁸, zaszczytnie znany ze swej słabej inteligencji, zwiedzał Dalmację, na swe zapytania: „Skąd się wzięła ta szosa? ten most? ten fort? ten port?” – nieomylnie słyszał odpowiedź: „Zbudowali Francuzi!”. Ten fakt wywołał w jego mózgu jakąś przecież logiczną myśl i powiedział niegłupio: „Naprawdę

³⁹³ *Manko di valuta* (włos.) – brak pieniędzy.

³⁹⁴ Frane Bulić (1864–1934) – chorwacki ksiądz, archeolog i historyk, kustosz muzeum archeologicznego w Splicie i konserwator zabytków w Dalmacji.

³⁹⁵ Mieczysław Orłowicz (1881–1959) – doktor prawa, krajoznawca, propagator turystyki, autor ilustrowanych przewodników po ziemiach polskich, m.in. Galicji Gdańsku, Mazurach, Warmii.

³⁹⁶ Karl Baedeker (1801–1859) – pisarz i księgarz niemiecki, wydawca pierwszych przewodników turystycznych.

³⁹⁷ August Frederic Marmont (1774–1852) – generał francuski, marszałek Francji, w 1805 r., podczas wojny z Austrią, zajął Dalmację i został mianowany gubernatorem wojskowym i cywilnym na tym terenie.

³⁹⁸ Franciszek II (I) Habsburg (1768–1835) – ostatni święty cesarz rzymski w latach 1792–1806, król Czech i Węgier od 1792 r., pierwszy cesarz Austrii (jako Franciszek I) od 1804 r.

szkoda, że nie zostali dłużej!”. Nie dziwota, że Splitanie najpiękniejszy plac i najgłówniejszą ulicę nowoczesnego miasta nazwali imieniem Marmonta. Na tym właśnie placu stoi największy, z komfortem urządzony Hotel de la Ville, w którego białej kawie tylko lekko czuć było kozie mleko. Między placem a nadbrzeżnym bulwarem stoi „Cešma Franje Josip”, publiczna studnia z doskonałą wodą, sprowadzoną rzymskim sklepionym akweduktem ze źródła rzeki Jadro w Salonie. Bogata w rzeźby, zresztą bardzo pretensjonalne, prawdopodobnie studnia miała się stylowo dostroić do zabytków włosko-kroackiej architektury. Ale już z daleka wyczuwa się w niej nuworysza³⁹⁹.

Nie obowiązałem się moich wspomnień wypełniać murami, tedy z czystym sumieniem mogę opuścić te najpiękniejsze zabytkowe budowle i zwrócić się do ludzi, którzy bądź w międzynarodowych strojach i melonikach, bądź w czerwonych małych czapeczkach z małym kutasikiem na czubku, bądź we wschodnim turecko-bośniackim stroju z turbanem czy zawojem⁴⁰⁰ na głowie, wypełniają tłumem i gwarem wybrzeże portu. W porcie słysząc dużo włoszczyzny, ale tu przeważa ostatecznie kroacki, wszak robotnicy nie umieją ani słowa po włosku. Język kroacki ma wiele więcej wspólnego z naszym od słowiańskiego. Przeszło 15% wyrazów ma to samo brzmienie i znaczenie lub ten sam źródłosłów, co w naszej mowie. Pewna część tych wspólnych wyrazów przypomina nasz język ze złotego okresu naszej literatury. Słyszane wyrazy: pozór, pismo (list), kneź, kiesa, puszką (strzelba), czasza, kosa (włosy), kokosz, łowy, boleść (choroba), kołacz, jagnię, przyroda, lula, paroh, pop, krojacz, postoly⁴⁰¹, igra, czerw (robak) i wiele innych, prawdopodobnie kiedyś wspólne wszystkim słowiańskim językom, brzmią nam w uchu jak najczystsza, najrdzenniejsza polszczyzna. Mimo tego potrzebowaliśmy sporo czasu, by dojść do możliwości porozumiewania się z Kroatami bez pośrednictwa niemieczyzny i wymowniejszych od niej gestów. Natomiast nasza kucharka Rózia, przywieziona z Łyczakowa do Splitu, po trzech dniach pobytu targowała się z przekupkami na targu (o)vocnim⁴⁰² i zelenim⁴⁰³, a po miesiącu odbierała listy od wielbicieli. Wprawdzie treści listów ani ona, ani my nie rozumieliśmy, ale mimo to były dla niej nowym źródłem uciechy i dobrego humoru. Wszak: „Powiedzieć, że która ładna to i po chińsku każda rozumie”. Z biegiem czasu i my, choć nie odbieraliśmy listów od wielbicieli ani od wielbicielek, nauczyliśmy się po kroacku. Co prawda Spalatyńcy, a zwłaszcza Spalatynki, które nie przechodziły szkolnej nauki (wśród ludności Dalmacji było 77% analfabetów, największy

³⁹⁹ Nuworysz – nowobogacki, parweniusz.

⁴⁰⁰ Zawój – nakrycie głowy z udrapowanego materiału.

⁴⁰¹ Postoly – rodzaj obuwia plecionego z łyka, kory lub skóry.

⁴⁰² Voće (chorw.) – owoce.

⁴⁰³ Mowa zapewne o warzywach. Zelje (chorw.) – zielenina; zelenjava (słow.) – warzywa.

procent z wszystkich krajów austriackich; w Galicji 64%), nie mówiły czystą kroatczyzną, ino jakimś żargonem kroacko-włoskim. Tego właśnie żargonu nauczyliśmy się i w nim rozmawiali z inteligentami Kroatami. Mimo tego rozumieliśmy wszystko, co oni mówili, pod warunkiem, że mówili powoli. Raz nawet, w pogadance z kołem młodzieży, w które wprowadził mnie Sejnanowić, zaryzykowałem dłuższy spicz po kroacku o stosunkach galicyjskich, nawiązując do ich sporów z Serbami. Dyskusja po tej pogadance udowodniła, że mnie rozumieli doskonale, choć musiały im się kiszki skręcać, gdy blisko przez trzy kwadranse słuchali moich łamańców językowych: kroacko-włosko-polsko-ukraińsko-słowiańskich.

Różnice między Kroatami a Serbami były bardzo znaczne. Kroaci powiązali swoją kulturę z rzymskim Zachodem, Serbowie – z bizantyjskim Wschodem. Dzieliły ich te dwa pierwiastki i wywodzące się stąd religie: tu rzymskokatolicka, tam grecko-wschodnia (serbsko-prawosławna), tu alfabet i pisownia łacińska, tam cyrylica (a może inaczej się nazywające, ale do niej podobne azbuki⁴⁰⁴), tu stosunki i wpływ Wenecji i Austrii, tam Turcji. Duży procent krajów serbskich zachował do dziś dnia religię i zwyczaje muzułmańskie.

W austriackiej erze przedkonstytucyjnej rządziła Dalmacją Niemcy. Z nastaniem rządów konstytucyjnych zaczęli, z natury rzeczy, Kroaci odgrywać główną rolę w kraju. Należało się to słusznie narodowi, który tworzy 80% ludności kraju. Serbowie mieszkają w północnej części kraju, na południowym stoku Velebitu⁴⁰⁵, między Obrazzo a Kninem, w klinie, w który schodzą się: Węgierska Kroacja, Bośnia i Dalmacja. Druga grupa serbska obsiadła czysto południowy cypel Dalmacji, Zatokę Kotarską na pograniczu Czarnogórza i Hercegowiny. Kroaci nie chcą uznać narodowej odrębności tej pierwszej grupy serbskiej, rozdzielającej wąskim korytarzem Kroację od kroackiej Dalmacji. Mocniejszą od endeckich polityków kroackich okazała się jednak świadomość narodowa Serbów. Patriotyzm tych ostatnich był już wówczas taki sam, jak w siedem lat później, kiedy to w czteroprzymiotnikowych wyborach do parlamentu, na 11 posłów, w Dalmacji wybieranych, wyszło z urn wyborczych 9 Kroatów i 2 Serbów. W roku naszego tam pobytu walka trwała nie na żarty. W czasie przedostatnich zapustów walki kamieniami (zamiast konfetti) na rynku pałatyńskim przybrały takie rozmiary, że kilka osób musiano z zabawy odwieźć do „bolnicy”⁴⁰⁶. To zmusiło władze do ograniczenia wielkości confetti, którymi się obrzucano w czasie zabaw karnawałowych.

⁴⁰⁴ Azbuka – cyrylica.

⁴⁰⁵ Velebit (Welebit) – masyw górski w Chorwacji, stanowiący część pasma Gór Dynarskich.

⁴⁰⁶ *Bolnica* (chorw.) – szpital.

W Splicie Serbów nie było. Natomiast było coś niecoś Włochów, a właściwiej mówiąc: kroackich Włochów, więc pół Włochów, pół Kroatów. Nazwiska takie jak: Capo, Grosso, Cindro, Ivellio, Bajamonti, Chindino, Vitturi, Ambrosini, Cambi, Zamberlini nie świadczyły bynajmniej o narodowości. Dużo nazwisk włoskich wśród Kroatów stwierdza tylko prawdziwość tego prawa, że większa masa narodu przyciąga i wchłania poszczególne jednostki innego pnia narodowego, będącego tam w mniejszości. Na własnej skórze w naszych wschodnich kresach, a Niemcy w naszych zachodnich okrajach⁴⁰⁷, poznali dosadnie to prawo. Tedy masa kroacka wchłonęła w siebie wiele włoskich jednostek. A z nimi przyjęło dużo – zwłaszcza w miastach – naleciałości językowych i obyczajowych, a prócz tego, w całym kraju, coś z gorącej krwi włoskiej udzieliło się potomkom zimnokrwistych Sarmatów znad Wisły, którzy w czasie wędrówek ludów zawładnęli Dalmacją i stali się elementem, tworzących z rzymskich Illirów naród chroacki, czyli kroacki. W ciepłe jesienne, zimowe, a zwłaszcza wiosenne wieczory, w najciaśniejszych nawet uliczkach starego i nowego grada, no i w nowoczesnym mieście też, rozgrywają się sceny jakby żywcem wzięte z *Romea i Julii*. Na balkonie albo w oknie, często na trzecim i czwartym pięterku stoi „Julietta”, a na dole, niewidzialny w ciemnościach kawaler śpiewa czułą, rozmarzającą serenadę, akompaniując sobie na gitarze, harmonii, guśli⁴⁰⁸, najczęściej na mandolinie. Miejscami grupy młodzieży śpiewają chórem. A mają tu w ogóle piękne głosy, więc słucha się z przyjemnością. Po prostu w pogodny, ciepły wieczór całe miasto rozbrzmiewa śpiewem męskich głosów. A w nocy...? Tu niech za mnie przemówi Boy-Żeleński⁴⁰⁹:

Za to teraz skoro zeńdzie nocka,
W jednym dołku jakaś parka hoćka,
W drugim inksza znów!⁴¹⁰

Na ogół mówiąc, Kroaci przedstawili się nam jako dobry, wesoły, przyjacielski naród. Nie ma w nich żadnej sztuczności, żadnego nadęcia, znać po ulicach, że się mało stykali z ujemnymi stronami cywilizacji, nie mając nic w naturze służbistości. Chłopi tak swobodnie rozmawiają, tak bez ceremonii witają się ze wszystkimi, jak niektórzy górale w Zakopanym. U Kroatów została bardzo piękna cecha charakteru, którą przed wielu wiekami wywieźli

⁴⁰⁷ Okraje – skraj czegoś, krawędź.

⁴⁰⁸ Guśla, gęśl – ludowy instrument smyczkowy.

⁴⁰⁹ Tadeusz Boy-Żeleński (1874–1941) – poeta i pisarz, krytyk literacki i teatralny, eseista, jeden z współtwórców legendy Młodej Polski, z wykształcenia lekarz.

⁴¹⁰ Fragment wiersza pt. *Głos dziadkowy o robotach ziemnych pana prezydenta* napisany w 1909 r.

z Sarmacji, widocznie w takiej ilości, że pozostała tam ilość – pod wpływem przeciwdziałających narodów z zachodu i wschodu – bardzo zmniejszyła zasięg tej cnoty w Polsce. Mam tu na myśli rzetelność i uczciwość. Złodziejstwa w Dalmacji prawie nie znano. Drzwi zamykano kluczami tylko w urzędach, magazynach, składach i tam, gdzie chodziło o zachowanie czegoś w porządku lub w tajemnicy. Bieliznę prano nad morzem i suszono na nadmorskich kamieniach, wzdłuż publicznej drogi. Przynajmniej tak było przy ulicy św. Piotra. Strychów ani piwnic w domach nie było, więc tak samo wysychała na ulicy i nasza bielizna przez kilka dni i nocy i nie zdarzyło się, by nam cokolwiek z niej brakło. Opowiadał mi jeden z tam poznanych sędziów, że w ciągu roku zdarza się kilka, najwyżej kilkanaście spraw o złodziejstwo. Z reguły odnoszą się one do nie-dalmatyńców⁴¹¹ tylko do złodziei przyjeżdżających na gościnne występy. Za to dużo jest spraw o pobicie, o ciężkie uszkodzenie ciała, o zabójstwa, a nawet o morderstwa. Przejętej od Włochów vendetty⁴¹² niełatwo wykorzenić. Trzeba sobie uprzytomnić, że Dalmatyńiec nie rozstaje się z nożem prawie nigdy, aby łatwo zrozumieć krwawe wyniki bójek w osteriach (karczmach).

To dwie serie spraw karnych, mogących rzucać światło na stan moralności. Inną stanowi przemyt. Dawniej, przed zajęciem Bośni i Hercegowiny przez Austrię, dopóki niósł ze sobą znaczny zarobek, rozwijał się na wielką skalę. Teraz zmalał. Największymi są przestępstwa skarbowe, przemyt duhanu⁴¹³ i rakiji (wódki). Dalmacja i Hercegowina są ojczyzną przepysznych gatunków tytoniu, uprawianych chętnie na wsi i sprzedawanych – z pominięciem monopolu tytoniowego – w miastach przez zawodowych, pokątnych sprzedawców i.e. [*id est*] przemytników (całkiem jak u nas). Najlepszy tytoń papierosowy, cieniutko pokrajany można było w każdy dzień targowy kupić za trzecią część ceny monopolowej. Sprzedawano go w kilogramowych paczkach, owiniętych w błękitny, gruby papier i przewiązany na krzyż białym, bawełnianym sznurkiem. Taka paczka w rękach seljaka⁴¹⁴ zastępowała szyld. Wchodziło się z nim do bramy domu i dobijało targu.

Sędzia opowiadał mi o swojej ambarasującej przygodzie w związku z tego rodzaju handlem. Przemytnik stawiony i oskarżony przed sądem przez terebelulków, broniąc się twierdził, że sprzedawał monopolowy tytoń, kupiony w c. k. składnicy, „wszak pan sędzia chyba na pewno pali tylko skarbowy tytoń” powiada i z całą beczelnością rozwiązuje i otwiera leżący na stole kapciuch sędziego z tytoniem. „O proszę patrzeć i wahać! Wszak

⁴¹¹ Tak w oryginale.

⁴¹² *Vendetta* (wł.) – zemsta.

⁴¹³ *Duhan* (chorw.) – tytoń.

⁴¹⁴ *Seljak* (chorw.) – rolnik, chłop.

to ten sam tytoń, jaki pan strażnik w mojej paczce znalazł. Tak samo skarbowy!" „A ta bestia wczoraj sprzedała mi właśnie jedną paczkę przemysłowego przez siebie duhanu” – kończy sędzia swoją opowieść. Ten przemysł był tak rozpowszechniony, a walka [z] nim tak trudna, bo cała ludność miejska stała po stronie przemysłowców. Monopol poszedł po rozum do głowy, zaczął go zwalczać innym sposobem, nie policyjnymi represjami. Wypuścił w Dalmacji specjalnie tanie, bardzo dobre papierosy „dalmatyńskie” i tą drogą zwiększył tam zbyt swoich wyrobów.

Żałuję, że wtedy właśnie nie paliłem tytoniu. Stało się tak. W przystępie zarozumiałości, chlubiłem się raz w Skale przed Mianowskim ze swej silnej woli. Zaproponował, dla jej okazania, abym np. przestał palić. Odpowiedziałem, że gotów jestem natychmiast to zrobić, byle nie na zawsze, bo nie chcę się wyrzekać tej przyjemności. Stanął zakład na miesiąc. Istotnie nie paliłem przez 5 tygodni. Finkelstein, dowiedziawszy się o tym, twierdził, że nie sztuka nie palić przez 5 tygodni, ale sztuka wytrzymać bez palenia przez dłuższy czas, co najmniej przez kwartał. Zawzięłem się i jakoś w początku 1898 r. porzuciłem ten nałóg. Nie paliłem przez 3 lata, tj. do początku 1901 r.

3.

Tworzenie winnic. Wyrób wina. Jego ceny. Krajobraz zimowy i wiosenny. Oliwa. Sady. Ogrody. Rybołówstwo. Wyprawy z rybakami.

Ludność, mimo swej pracowitości, rzutkości i wrodzonej inteligencji, na ogół biedna, żyła głównie z uprawy wina, oliwy, sadów i rybołówstwa. Rolnictwo nie odgrywało większej roli. Obszar pod uprawę zbóż nie był większy od obszaru sadów, winnic i gajów oliwnych. A trzeba wiedzieć, że praca w winnicy jest o wiele cięższą od pracy w rolnictwie.

Widziałem w kilku miejscach, w różnych fazach pracę nad zakładaniem winnicy w Dalmacji. W pamięci utkwił mi następujący obraz. Na skalistym stoku górskim, całkowitym nieużytku, wieśniak, zakładający winnicę, rozbija albo zasadza wysterczające skały i uzyskanym w ten sposób kamieniem ogradza murem przyszłą winnicę. Gdy teren tego wymaga, ustawia z kamienia podmurowanie, kształtując przyszłą winnicę tarasowato. Pamiętajmy o tym, że góry dalmatyńskie mają charakter Karstu⁴¹⁵, między zwietrzalymi skałami, sterczącymi jakby stalaktyty, znajdują się szczeliny, szpary, doły przeważnie bardzo głębokie. Trzeba je kamieniami tak pozatykać, żeby

⁴¹⁵ Karst (Kras) – pojęcie geologiczne oznaczające proces rozpuszczania skał przez wody podziemne i powierzchniowe. Karst to również nazwa regionu płaskowyżu krasowego znajdującego się (obecnie) na granicy Słowenii i Włoch.

wody zimowe nie wypłukały ziemi urodzajnej, naniesionej w te lejki przez pracowitego założyciela nowej winnicy. Ziemię urodzajną stanowi nawóz bydłocy, błoto lub pył, zbierany skrzętnie z dróg i ścieżek, kompost, suche liście. Drogi pełne są ludzi, czyhających na wszystko, co dałoby się z biegiem czasu i pod działaniem klimatu przerobić na humus⁴¹⁶. Wyniesioną na własnych plecach ziemią trzeba wypełnić, przygotowany pod każdy krzew winnej latorośli, dołek. Potem sadzi [się] weń winograd. Po prostu wieśniak tamtejszy musi najpierw zrobić urodzajną ziemię, którą potem uprawia. Trzeba widzieć tę ciężką pracę, aby zrozumieć, jaką karą stał się dla Adama wyrok Boski: „Przeklętą będzie ziemia w dziele twoim. W pracach jeść z niej będziesz po wszystkie dni żywota twego. W pocie oblicza twego będziesz pożywał chleba, aż się wrócisz do ziemi, z którejś wzięty, boś jest proch i w proch się obrócisz”⁴¹⁷. I na prochu niejednego z tych kroackich synów adamowych rośnie winograd i rodzi owoce.

A teraz sama uprawa. Na wiosnę poruszenie ziemi koło każdego krzaka, dodanie choć trochę nawozu i ciągłe podlewanie wodą, której w polu nie ma. Przecież to Karst, w którym woda rzeką płynie głęboko pod ziemią, na kilkaset i więcej metrów, przecież to Dalmacja, a to wąski kraj, wąski przesmyk między podnóżem gór a morzem, więc te podziemne rzeki wypływają z gór dopiero w pobliżu morza albo wprost od razu spływają strumieniem słodkiej, zimnej wody w morze. Nad dłuższymi, większymi rzekami, gdzie urodzajną ziemię spłukaną i zwianą z gór może orać pług, prawie nie ma winnic tylko rolnictwo, tylko pszenica, kukurydza, krompiri (ziemniaki) i duhan. Więc na ogół do winnic trzeba wodę nosić na własnych plecach, aby choć dwa, trzy razy, a należałoby x razy, podlewać każdy krzak. By winnicę ochronić przed rozpowszechnioną chorobą trądu (oidium), trzeba je stale opryskiwać wapnem na wiosnę i w lecie, kiedy to słońce przygrzewa swoimi 45 do 50°C. Drewniany lub miedziany zbiornik, na pasach jak tornister zawieszony na plecach noś bracie w taki goreć⁴¹⁸ i pompuj, i sikaj „w pocie oblicza twego” jak Bóg przykazał. Dopiero winobranie, w końcu września lub w październiku, poprawia humory właścicieli winnic.

Natychmiast po zgłoszeniu mego przyjazdu w kierownictwie, musiałem zabrać się do zajęć we wsi Mrawińce, w odległości 5 km od Splitu, przeto przez trzy tygodnie miałem sposobność przypatrywania się przebiegowi przysposabiania moszczu i wyrobu wina. Na placu gminnym stały olbrzymie kadzie drewniane. Seljaki przywozili na osłach, wyciśnięty w swych gospodarstwach sok winny, moszcz. Na każdym osle dwa kubłaki skórzane

⁴¹⁶ Humus – próchnica, naturalny nawóz.

⁴¹⁷ Cytat z 1 Księgi Mojżeszowej.

⁴¹⁸ Goreć – potocznie w znaczeniu wysokiej temperatury.

pełne moszczu. Przy kadziach mierzono objętość przywiezionego płynu, wciągano do spisu i wlewano do kadzi. W czasie tej zbiórki wszyscy byli pod dobrą datą⁴¹⁹. Ja i pracujący ze mną przy pomiarach robotnicy też. Mógł się sokiem z winnej jagody upić nasz praszczur Noe, co świętym był i chadzał wciąż przed Panem... a wino pił dzbanem, mogliśmy i my pić ten sok kufłami. Obywatel, sekretarzujący tej całej procedurze, chciał mnie uhonorować, dlatego wymył kufel, zanim nabrał doń moszczu dla mnie. Wody tam oczywiście nie było, więc kufel wymył po prostu płynem zaczerpniętym z kadzi. Wydało się to mnie, typowemu „centusiowi” galicyjskiemu, marnotrawstwem, zwłaszcza że i moi robotnicy, zbierający się przy kadziach do spożycia swego posiłku, wymyli sobie ręce też płynem zaczerpniętym z kadzi. Tego dnia, gdym wracał rowerem z pola do domu, wszyscy, którzy mnie widzieli, musieli chyba podejrzewać, że mój rower gdzieś się urznął, bo tak się zataczał po szosie.

Niedługo wyjaśniło się to pozorne marnotrawstwo. Zupełny brak piwnic w domach chłopskich i miejskich kamienicach czynszowych spowodował, że największa ilość wina, nie dojrzewając w piwnicach, nie wytrzymywała transportu i nie nadawała się do wywozu. Musiała być spożytą na miejscu w miastach, miasteczkach i w ogóle w karczmach. Ceny wina były bajecznie niskie. Najtańsze, jako zawierające najwięcej garbniku⁴²⁰, zatem najbardziej cierpkie, było wino „nero”. W Splicie, w śródmieściu, w sklepach kosztował jego litr 10 centów, na przedmieściach 4 centy, wino „roso” 12 i 5 centów, a najdroższe „bianco” dochodziło do 20 centów w śródmieściu i 10 centów w gasionach (szynkach) podmiejskich. W wiejskich karczmach za dwulitrową karafkę wina płacono dwa centy. Gdym po półtoragodzinnej jeździe rowerem do Sinij wstąpił w Dugopolje do karczmy i zażądał szklankę wina, i rzeczywiście tylko jedną szklankę wypilem, karczmarz popatrzył na mnie jak na półgłówka i nie wziął ani grosza, bo, jak mówił, nie potrafi obliczyć, ile mu się ode mnie należy, skoro jedna dwulitrowa postara (karafka) kosztuje 2 centy.

Wino przeznaczone na wywóz dojrzewało w piwnicach wielkich właścicieli winnic albo kupców eksportowych i miało już całkiem inne ceny, mianowicie do 25 złr. za hektolitr⁴²¹. Mocniejsze wina, robione z przysuszonych gron, Prosecco, Tartaro, Cpollo, miały i w kraju wyższą cenę, od 70 centów za litr począwszy. Zresztą niełatwo było je dostać. Mnie zwykłe wino dalmatyńskie nie smakowało, bo było za cierpkie. Wolałem mocniejsze. Doskonałą była rafinowana rakija. Po prostu pierwszorzędnym koniak dalmatyński.

⁴¹⁹ Być pod dobrą datą – być pod wpływem alkoholu, na rauszu.

⁴²⁰ Garbniki (taniny) – związki organiczne występujące w winogronach.

⁴²¹ Hektolitr – jednostka objętości równa 100 litrom.

Natomiast rzekła siwucha (rakija nieczyszczona) była nie do picia, dla ludzi przyzwyczajonych do żytniówki lub wódki z kartofli.

Z krzewów, po skończonym winobraniu, wycinano wszystkie boczne gałęzie i odrosła, które zużyto na opał, a skrzętnie zbierane liście szły na podściółkę dla bydła. Zostawiano przeważnie jeden pęd, którego z dalszej odległości nie było widać. Przez tego rodzaju kulturę zmieniał się w zimie krajobraz dalmatyński i całkowicie przeinaczał. Płaskowzgórze na Morzorze, przez które prowadziła szosa do Sinij, począwszy od Kalissy aż do Diczmo, robiło w zimie wrażenie ponurej skalistej pustyni, z której chyba Doré⁴²² brał wzór do swoich zobrazowanych pustyń w Starym Testamencie. Jak okiem sięgnąć widać tylko kamień na kamieniu, na kamieniu kamień, a na tym kamieniu jeszcze jeden kamień. Żebyż to był nasz cywilizowany kamień, z wygładzoną, wylizaną przez wodę powierzchnią, na którym – jak pieśń głosi – „Podolanka siedzi na nim”⁴²³. Ale na tych dzikich, poszarpanych, nierównych, kolczastych, ostrych skałach żadna Podolanka by nie usiadła. Gdyśmy przez to płaskowyzę jechali zimą, Zosia nazwała całe owo „Vuczjepole i Diczmopole” „polem śmierci”. Poczтовым wozem jechało się przez nie przeszło półtorej godziny.

Ale gdym w końcu kwietnia przejeżdżał przez nie rowerem, ze zdumieniem oglądałem nasze „pole śmierci”. Dokąd wzrok sięgał pokryte było rozkoszną, świeżą zielenią. Nigdzie nie widziałem kamienia ani skały, wszędzie zielony winograd i winograd. Pustynia naraz zniknęła, pole ożyło, wszędzie ludzie pracujący wśród tej zieleni, porykujące przyjaźnie osły, poszczekujące psy. Inny kraj, nie do poznania. Wszystko inne, tylko nie „pole śmierci”.

Obok wina ma oliwa znaczenie gospodarcze jako przedmiot wywozu. Ale oliwa nie wszędzie dochodzi. Mówiono tam powszechnie, że drzewo oliwne rośnie, rodzi oliwki, a te dojrzewają tylko w miejscach, z których drzewo widzi morze. Czysta, należyście rafinowana oliwa, jest w Dalmacji zupełnie bezbarwnym, bez zapachu płynem. Na pierwszy rzut oka rzekłbyś woda. Jako tłuszcz do gotowania, smażenia, pieczenia po prostu niezrównana. Świetna w sałatach wszelkiego rodzaju. W krótkim czasie nie tylko przyzwyczailiśmy się do niej, ale powiem, że nigdy tak smacznie nie jadalśmy, jak wówczas, gdyśmy gotowali na tej oliwie. Nie wiem, czy wywożona jest równie dobrą. W handlu nie spotykało się jej pod nazwą dalmatyńskiej. Podejrzewam, że mieszana z francuską figuruje w sklepach jako prawdziwa

⁴²² Gustave Doré (1832–1883) – francuski malarz, ilustrator, rysownik i rzeźbiarz. W ciągu swojego życia stworzył wiele ilustracji historii biblijnych, które były publikowane w dziewiętnastowiecznych wydaniach Biblii.

⁴²³ Fragment tekstu ballady ludowej pt. *Podolanka*, zaczynająca się od słów: „Na Podolu biały kamień, Podolanka siedzi na nim”.

nicejska. Choć ta sławiona nicejska nie umywa się do czystej dalmatyńskiej. Można było dostać w mieście doskonałego masła, ale było bardzo drogie, bo z daleka przywożone przez wiedeńskich grosistów i mrożone.

W sadach i ogrodach rosły doskonałe czerechy⁴²⁴, bardzo tanie i smaczne melony, brzoskwinie, a nade wszystko złociste figi. Świeże, prosto z drzewa zerwane smokwy⁴²⁵, soczyste, słodkie, orzeźwiające, rozplływające się w ustach unaocznily nam, jakim partactwem są wieńce suszonych, nawleczonych na słomę fig, w których trudna do ugryzienia powłoka okrywa, włączając w zęby pestki. Suszona namiastka należy do najpodlejszych, a świeża smokwa do najlepszych płodów sadownictwa.

Warzyw było mniej i mniej smaczne od naszych. Z wyjątkiem kalafiorów. Dorastały tam do olbrzymiej wielkości. Z jednej róży wagi pięciu kilogramów spożywało nas trzy dorosłe osoby dwa obiady i dwie wieczerze. Kosztowała 15 centów. Poza tym łatwo było o pomidory i sałaty wszelkiego rodzaju.

Bardzo ważnym warsztatem pracy było rybołówstwo. Wiem o nim akurat tyle, ile ryb dojrzałem na półmisku i ile ich można było widzieć na „całym targu ryb”. Ale że duża część portu zajęta była przez łodzie i statki rybackie, z porozwieszanymi na masztach sieciami, ale że z okien mieszkania widzieliśmy codziennie wyjeżdżające na połów i wracające z morza czółna rybackie, ale że całe miasto podniecała pogoda sprzyjająca rybołówstwu, ale że się widziało przygnębienie na twarzach, gdy burza złapała na morzu spalatyńską flotę rybacką, nabrałem przekonania o znaczeniu i wadze tego źródła zarobku.

Ponadto wiem, że doskonałą rybą jest okoń morski (branzino), dorsz śródziemnomorski (mollo, kg 28 do 30 centów), że niezłe, jeszcze tańsze, choć nieco mniejsze, są skarb i solo (solpe). Jeden jedyny raz skusiliśmy się na mątwę (sepię), ale nie mogliśmy się jej dogotować, więc zdawało się, że zajadamy podeszew i przegryzamy sznurami. Nie można było narzekać na brak różnaitości na targu rybim. Pojawiały się tam, oprócz małych sardynek i anszowiców, różne złotniki, zębacze, makrele, babki, skorpany, byczki, strwołotki, paszczaki, flądry, jesiotry, węgorze, diabły morskie, drętwy, poza różnymi krewetkami, langustami, krabami, homarami, ślimakami.

Namówieni przez Senjanowicza wybraliśmy się z nim razem na połów nocny ością (na długim drewnianym drągu osadzone okucie, kształtu wideł, ostrzy było 12 do 15, a każde zakończone zadziorem. Podobne do używanych przez naszych rybaków na stawach w czasie wiosennego tarła szczupaków).

⁴²⁴ Czerechy – odmiana wiśni lub krzyżówka wiśni i czereśni.

⁴²⁵ Smokwa (daw.) – figa.

Wzdłuż brzegu z zapaloną na dziobie łodzi latarnią acetylenową, ruszyliśmy o północy. Morze gładkie jak lustro, przezroczyste do głębokości co najmniej 20 metrów. Oryginalny był w nim widok śpiących ryb. Światło lampy budziło tylko niektóre z nich i te albo podpływały do góry, albo opuszczały się w głąb. Tylko na większe, tylko na egzemplarze jadalnych gatunków uderzał łowca ością. Promienie światła załamują się w wodzie. Widziany w niej przedmiot nie znajduje się w miejscu, w którym my go widzimy, tylko w pewnym odstępie, którego wielkość zależy od odległości przedmiotu od zwierciadła wody, zaś kierunek od kąta padania promieni światła. Doświadczony rybak oceniał głębokość, kąt załamania promieni i z całą siłą ciskał ością w rybę – jak nam się zdawało – obok ryby. Dopiero w wodzie widać było – trafił czy chybił. Ość z rybą wypływała na górę. Łódź musiała ostrożnie stanąć, aby łowca mógł chwycić ość z nadzianą nań rybą, a przecież ryb nie płoszyć. Plon naszej wyprawy był marny. Kilka mniejszych ryb, jedna mątna i jedna dwukilogramowa „iglica” (rodzaj szczupaka morskiego). Kilka rozgwiazd wyłowiono specjalnie dla nas. Gdy zawiął wietrzyk, zmniejszyło się pole widzenia w morzu, trzeba było wracać. Innego dnia, wybraliśmy się, też z Senjanowiczem, nad ranem z rybakami na pełne morze, aby widzieć zarzucanie sieci. Zaraz za portem zerwał się tak silny wiatr, że w obawie przed dojechaniem do portu w Rydze, woleliśmy wrócić do portu w Spalato.

4.

Ośły, karakony, komary. Walka z gradem. Klimat Dalmacji. Śnieg, burza, siriko. Polowanie na słomki w zimie. Upały.

Porzucam na jakiś czas prace ludzkie i ludzi, aby pogawędzić o ich najbliższych przyjaciółach ze świata zwierzęcego. Z całej monarchii rakuskiej najmniej koni, bydła rogatego i świń żyło w Dalmacji, jeżeli za miarę porównawczą służyć nam będą ilości wypadające na 100 ha ziemi produktywnej lub na 100 osób. Natomiast kraj ten posiadał najwięcej osłów, kóz, a zwłaszcza owiec. Nawet pomijając wszelkie procentowe obliczanie, w 1900 roku hodowano w Dalmacji $\frac{3}{5}$ osłów austriackich i $\frac{1}{3}$ baranów i owiec. Nie mam na myśli obrażania ani kraju, ani państwa, ani ludzi, proszę tedy nie wietrzyć żadnej przenośni w poprzednim zdaniu. Po prostu ważniejszym od konia zwierzęciem pociągowym i wierzchowym jest w Dalmacji osioł, a owce i kozy mają wiele większe gospodarcze znaczenie i lepiej są dostosowane do przyrody kraju od wołów i krów. Pod tym

względem podobne stosunki panowały jeszcze tylko w Istrii. Pisząc tedy o zwierzętach domowych, zajmę się przede wszystkim osłami.

Na podstawie spostrzeżeń dalmatyńskich, chciałbym zwalczyć powszechną u nas opinię, jaką osły się cieszą, względnie smuć. Jest to Zosi i moim zdaniem najinteligentniejsze ze wszystkich zwierząt domowych, a przy tym jedyny domowy czworonóg z charakterem. Przez pierwsze tygodnie pobytu w Splicie wyjeżdżałem codziennie rano poza miasto na pomiary. Po drodze spotykałem spieszące na targ osły. Często z ludźmi, często same. Szły drobnym truchcikiem, dźwigając na grzbiecie dwa kosze, czasem worki, naładowane owocami, jarzynami, drobiem, rybami, jak się zdarzyło. Nikt nimi nie kierował, nikt ich nie popędzał, nikt ich nie pilnował. A Zosia i Różia stale widywały nadbiegające na place targowe samotne osły z towarem, stojące spokojnie na właściwych targach i na właściwych miejscach. Biada temu niepowoalanemu, który chciał się zbliżyć i wziąć coś z kosza lub worka. Wtedy osioł ryczał w niebogłoso, wierzgał, kopał, gryzł jak wściekły. Skoro właściciel nadszedł i rozładował osła, ten odchodził za miasto, względnie tam, gdzie znalazł w rowie przydrożnym lub w krzakach coś do przekazania. Po kilku godzinach osły stawiały się z powrotem na targach i załadowane pustymi, a czasem i niepustymi, koszami, wracały często gęsto same do domu. Oczywiście te samotne wędrówki osłów na targi i z targu nie były regułą. Nie każdy seljak wstępował przed i po handlu do gasiony na dobry łyk wina. Ale takie występy osłów, jak powyżej opisany, nie należały do rzadkości. Z okien naszego mieszkania robiliśmy także inne spostrzeżenia. Widać z nich było cały targ drzewny na wybrzeżu. W dni targowe przywożono czółnami z wysp drzewo opałowe, właściwie mówiąc jego parodię, bo wiązki samych cienkich patyków. Chłopi czekali na te ładunki na wybrzeżu. Targ był bardzo ożywiony. Wyspiarze krzyczeli swoje, nabywcy i sprzedawcy wykrzykiwali, przeklinali, zaklinali się tak głośno, że aż huczało, osły z głodu i chęci powrotu do domu ryczały. Jednym słowem mówiąc, za poetą można by napisać – „temperamenta grały”⁴²⁶. Ostatecznie kupna dochodziły do skutku, temperamenta się zmęczyły i osły rozumiały, że zaczyna się droga powrotna. Targ drzewny cichł. Seljak ładuje wiązanki prętów na osła. Ten stoi cierpliwie i ocenia wagę ładunku. Gdy ciężar zda mu się odpowiedni, truchcikiem rusza do siebie. Drogę zna doskonale i spieszy się do stajenki żłobu, do siebie, więc mu niepotrzebny żaden opiekun. Czasem wydaje mu się, że za dużo na niego włożono wiązek drzewa, że jego pan „peresadził sakramentom”. Wtedy rozkracza się, jak najszerzej może, podnosi ogon do góry, zadziera łeb do nieba i ryczy, jakby go kto ze skóry obdzierał. Można go wtedy walić nawet drągiem po zadzie, bokach, głowie, nie

⁴²⁶ Cytat z *Wesela* Stanisława Wyspiańskiego.

ruszy z miejsca. Da się raczej zabić, a swego zdania nie zmieni. Nie ma rady. Chłopek musi z niego zdjąć część patyków i wziąć je na plecy. Wtedy osioł przerywa swój solowy występ, kończy miłe „i... jaa... i... jaa... i... ja!”, zbiera nogi do kupy, przybiera normalną postać i rusza do lichej, bo lichej, ale swojej stajenki. Zapewne są między osłami leniuchy, trafiają się i symulanci. Ale ogół osłów jest normalny, pracowity, a jego rzekomy upór jest tylko świadectwem zachowania przezeń swej woli, której człowiek nie potrafił przełamać. Ta piękna strona oślego charakteru tak Zosię zachwyciła, że schodziła na targ między osły, przynosiła im albo chleba, albo liści z kalafiorów i całowała je. Ogół zaś ludzki ze złości za tę resztę niepodległego ducha tkwiącą gęboko w tym jednym domowym czworonogu, wyrobił mu opinię bezmyślnie upartego durnia, po prostu...! Za to oczernienie chyba gdzieś, ktoś pociągnie człowieka do odpowiedzialności. Czy takimi są inne osły, np. dardońskie⁴²⁷? Nie wiem. Wiem tylko, jakimi są osły dalmatyńskie.

Parę słów o innym typie zwierząt domowych, mieszkających wprawdzie razem z człowiekiem, ale wbrew jego woli. Mam na myśli szwaby i karakony⁴²⁸, jedyne robactwo, które gnieździło się w naszym mieszkaniu, a było ich sporo, bez liku. Mimo że p. Bruno Schulz⁴²⁹ zrobił karakona bohaterem swej powieści (*Sklepy cynamonowe*), zaczęliśmy z nimi systematyczną wojnę. Pierwszą jej fazą było pomalowanie i zapuszczenie podłóg w mieszkaniu. Ogół karakonów wyniósł się do kuchni, tylko bardziej wytrzymałe jednostki pozostały w pokojach. Drugą fazą były proszki – o mało nie powiedziałem – gazy trujące. Modny naówczas proszek Zacherlina, którego nie było w Splicie, sprowadziliśmy ze Lwowa. Na razie pomógł. Ale gdy Koziccy zdecydowali się przyjechać do nas w maju, trzeba było upewnić się, że ani jeden karakon nie znajduje się w pokojach mieszkalnych, bo Hala Kozicka miała specjalny karakonowstręt. Zabrałem się po inżyniersku do roboty. Szpary pomiędzy listwami podłogowymi a ścianami w pokojach i kuchni, skąd przecież co pewien czas wyglądały sprytne oczka karakonów, wypełniłem dokładnie zaprawą cementową. Na parę dni przed przyjazdem Kozickich byłem gotów z tą robotą. Karakony znikły. Gdy Koziccy przyjechali, dumny ze swego sposobu zapewniłem Halę, że w mieszkaniu nie znajdzie karakona na lekarstwo. Wieczorem Zosia, przeglądając przygotowany dla Hali nocleg, znalazła na środku prześcieradła olbrzymiego czarnego karakona, może króla karakonów. Zatailiśmy to przed gośćmi. Ale bądź co bądź pewność znikła z duszy mojej do czasu, dopóki Zosia, z właściwym wszelkim

⁴²⁷ Nawiązanie do popularnego na ziemiach polskich frazeologizmu – „osioł dardaneński” (dardoński).

⁴²⁸ Szwaby, karakony – karaluchy.

⁴²⁹ Bruno Schulz (1892–1942) – polski pisarz, malarz, rysownik i grafik.

Szerlokowi Holmsom⁴³⁰ sprytem, nie wymyszkowała, że karakony dostają się do naszego mieszkania, wspinając się z dołu domu po zewnętrznej ścianie na drugie piętro i wkraczają przez otwarte okna do pokoi. Więc jeszcze co dzień rano, wieczór, we dnie, w nocy trzeba było zmiatać zmęczone wspinaczką karakony z zewnętrznego muru. Dopiero wtedy zrezygnowały ze stosunków towarzyskich z nami. Innym sposobem trzeba było wypraszać komary. Po doświadczeniach weneckich zakończonych lekcją w Colombo d'oro nie otwieraliśmy w ciepłe dni okien przy zapalonych wewnątrz światłach. Mimo tego musiałem wieczorem, przed spoczynkiem urządzać w sypialni polowanie na deptaka na komary. Po sumiennym ich wybicciu można było iść spać, nie słysząc rozkosznego ich bzyczenia. Oszukał się każdy, kto w upał szukał ochłody w cieniu drzew. Opadały go takie chmary komarów, much, muszek, końskich bąków, że zmuszały śmiałka do wyrzeczenia się cienistej ochłody „*sub tegmine fagis*”⁴³¹.

Życie człowieka wypełniała walka z przyrodą. Lwią część pracy i wysiłków skierował człowiek na ujarzmienie przyrody i to nie tylko fauny, ale i flory. Tę walkę plastycznie maluje znany i powtarzany w owych czasach dowcip o toaście propinatora na cześć dziecięcia – „mocne jest drzewo, ale mocniejsze jest żelazo, bo ono drzewo przepiłowywuje. Mocne jest żelazo, ale mocniejszy jest ogień, bo ogień żelazo przepaliwowuje. Mocny jest ogień, ale mocniejsza jest woda, bo woda ogień zagasowywuje. Mocna jest woda, ale mocniejszy jest łabędź, bo łabędź wodę przepływowywuje. Niech żyje nasz Pan dziedzic Łabędzki!”.

Istotnie w Istrii i Dalmacji człowiek okazał się mocniejszy od gradu. W Splicie na górze Mariańskiej (Monte Marian), osłaniającej miasto od północy, stały armaty, obsługiwane przez instytucję regulującą opady atmosferyczne, burze, chmury. Strzałami armatnimi rozpędzano gradowe chmury, mogące zniszczyć plony winnic i sadów. Ale klimatu człowiek nie opanował.

Obserwowaliśmy połowę jesieni, zimę, wiosnę i pół lata dalmatyńskiego. Jak już pisałem, 8 listopada przeżyliśmy na wodach dalmatyńskich burzę, *lege artis*⁴³², z grzmotami, błyskawicami, piorunami, wichurą i krótką, ale rzesistą ulewą. Reszta listopada była przeważnie pogodna, niebo bez chmurki, morze gładkie jak posadzka, a tak ciepło, że człek się pocił w letnim ubraniu. Okna w mieszkaniu cały dzień otwarte. Słońce wprawdzie nie dopiekało, ale

⁴³⁰ Właśc. Sherlock Holmes – fikcyjna postać genialnego detektywa, bohatera powieści szkockiego pisarza Arthura Conana Doyle'a (1859–1930).

⁴³¹ *Sub tegmine fagis* (łac.) – dosłownie w cieniu buków, tu w znaczeniu przedmiotu rzucającego cień, osłony przed słońcem.

⁴³² *Lege artis* (łac.) – według reguł sztuki.

grzało. Świeży powiew od morza łagodził temperaturę. W grudniu zmieniała się aura. Zrobiło się ponuro i zimno, a w święto 8-go⁴³³ zaczął padać drobny, przenikliwy, zimny deszcz, który po dwóch dniach zmienił się w śnieg. Przez kilka godzin wszystkie okoliczne góry białe, ulice w mieście pokryte warstwą śniegu. Ludność jakby oszalała. Znajomi i nieznajomi, obrzucali się wśród śmiechów i radości śnieżkami. Idąc rano do biura, dostałem śnieżkami po głowie. Zmuszony do samoobrony zacząłem i ja rzucać śniegiem na lewo i prawo, na każdego, kto się nawinął. Udało mi się zrzucić jakiegoś facetowi kapelusz z głowy. Ten wsiada na mnie z pyskiem po niemiecku. Z tego poznaję, że to jakiś świeży przybysz, tym bardziej, bo głośno woła: „policja! policja!”. Co sił walę w niego kulami z mokrego śniegu. Pomogła mi cała uliczna publika. Wspólnymi siłami zamknęliśmy mu tak dokładnie gębę, że wołać nie mógł. A policjant tylko się za brzuch trzymał ze śmiechu. Miał wyraźną ochotę dać mu jeszcze trochę śniegu.

Gdy w południe wracał z biura, po śniegu zostało tylko wspomnienie i błoto na ulicach. Mój kożuszek i skalskie kalosze, które ze sobą wziąłem do tego neapolitańskiego klimatu, bardzo mi się przydały. Z reguły w zimne dni w mieszkaniu była ta sama ciepłota, co na dworze. Około zero stopni. Pieców nie było. Aby się choć trochę ogrzać, zamieszkaliśmy w najmniejszym naszym pokoiku, obok kuchni, palili dwie lampy naftowe, ustawiali duży nasz blaszany dziubas i palili w naftowym piecyku, ustawionym pod stołem. Można było wieczorem pracować.

Nazajutrz po tej śnieżystej zamieci zawiął ciepły siriko i naraz się ociepiło. Zrobiło się ciepło jak u nas w maju. Bez przerwy padał ciepły deszcz, który nocami zmieniał się w burzę z piorunami, błyskawicami i ze wszystkimi innymi przynależnymi zjawiskami przyrody. Wicher dmie bez ustanku. Wzburzony Adriatyk rzuca falami w głąb łądu. Rankami widać było na riwie⁴³⁴ i w podwórzach domów, otwartych od strony wody, naniezione przez morze mnóstwo porostów i traw morskich. Nie tylko okna, ale i okiennice trzeba było dniem i nocą zamykać, przed „złodziejem” morzem. Z okien widzieliśmy zniszczenie budek i całego, „Kupalistego polo”, zniszonego w czasie nocnej burzy. Woda porwała deski i belki, a fale zanosiły je po długim szamotaniu znowu na brzeg, o kilkadziesiąt kroków dalej. Podziwialiśmy wytrwałą pracę właściciela łazienek, czatującego od świtu do nocy na ten swój materiał drzewny. Co którą deskę lub belkę bałwany przyniosły, wskakiwał, bez względu na deszcz i fale, na pobrzuźne kamienie, porywał swoją własność, przytulał do serca i zmykał przed

⁴³³ Być może mowa o święcie Niepokalanego Poczęcia Najświętszej Maryi Panny obchodzonym w Kościele katolickim właśnie 8 grudnia.

⁴³⁴ Riva (wł.) – wybrzeże.

nadchodzącą falą, często na próżno, bo woda wydzieraa mu zdobycz. Fala i deszcz zmoczyły go od stóp do głów. Morze zdawało przekomarzać się z nim, kapryśna grzywa bałwanów to rzucała mu deski prawie pod nogi, to gdy się zbliżał i już, już miał jej dosięgnąć, uciekała wraz z deskami, szemrzając głośno z uciechy ze splatanego psikusa.

Ostatecznie wypogodziło się, ale pozostało ciepło. W wigilię Bożego Narodzenia po południu wybraliśmy się w letnich ubraniach bacyklami do Salony, do odkopywanych ruin stolicy rzymskiej prowincji. Po zwiedzeniu zwłok dużego miasta, uśmierconego przed 12 wiekami przez Awarów, przesiedzieliśmy dwie godzinki na werandzie osterii braci Ivcevič. Zaznamomilem się z jednym z nich, zapalonym łowcą i umówilem na wspólne polowanie.

Nazajutrz wzięła się do nas zima. Sucho, mroźno, wiatr podwiewa i przewiewa zimnem nasze mieszkanie. Dla odmiany w samym końcu grudnia i początkach stycznia panował siroko. Pogoda była cudowna i bardzo ciepło. Na Sylwestra Obala roiła się od ludzi i czerwieniła od szkarłatnych czapczek. Tysiące srebrnych mew unosiło się nad błękitną czystą wodą. 2-go stycznia Zosia z Metzgerową czekały na nasze wyjście z biura, siedząc w letnich sukniach na ławce w publicznym ogrodzie. W prywatnych ogrodach kwitną róże i gdzieś tam widać jeszcze pomarańczowe pomarańcze na drzewach.

A około 10-go stycznia, gdy zawyła bura, wszystko się zmieniło, oziębiło, jak w czasie naszych listopadowych zawieruch. I znów śnieg pokrył góry, osiwił Kozjak, ostatni szczyt Velebitu i całe pasmo Mosorskie. W górach mróz. Jak mi Ivcevič opowiadał, zimujące w górach przelotne ptactwo ucieka przed mrozem w doliny, ku morzu. Ten mróz w górach otwiera w Dalmacji sezon polowań na przepiórki, chruściele, bekasy, dubelty, kulony, słonki i in. W myśl naszej umowy Ivcevič zjawił się w Splicie u nas w domu. Ułożyliśmy polowanie na słonki. Umożliwiał je rozkład pociągów, pozostawiając między pociągami dwie godziny czasu na pobyt w Salonie. Polowanie było krótkie, bo zaledwie tak długie, jak rzeka Jadro, która po wyłonieniu się z podziemnych górskich jaskiń, przepływa przestrzeń niecałych półtora kilometra do ujścia. Wzdłuż rzeki rosły wierzby czy olchy, trochę było sadów i krzaków. Ivcevič szedł jednym brzegiem rzeki, ja drugim. Niemal spod każdego drzewa lub krzaka zrywały się słonki, dubelty, a czasem przepiórki. Strzelaliśmy tylko do słonek. On lepiej strzelał ode mnie. W ciągu tego polowania ubił coś 15 sztuk, ale i ja miałem spory ich pęk, niewiele brakowało do tuzina. W Splicie zdążyłem się przebrać i pobiec do biura, zaledwie z półgodzinnym opóźnieniem.

Już nazajutrz mróz zelżał, zaś w 10 dni potem wybraliśmy się z Zosią oglądać, czy drzewa nie puszczają, bo ciepło było jak w naszym maju po trzech zimnych świętych i po Zofii z trzema córkami⁴³⁵. Cała ludność wyroliła się na ulicę, by się ogrzać w słońcu. Luty, z wyjątkiem trzydniowej bory był bardzo ciepły. Pierwszą kwitnącą jabłoń widzieliśmy piątego lutego. Na drzewach zaczęły się okazywać małe liście. Do końca miesiąca okwitły migdały i jabłonie, a drzewa prawie całkiem się zazieleniły. Ostatki, zapusty, szumiące zabawami na placach i ulicach, wypadły w tym roku – jeżeli mnie pamięć nie myli – między 19 a 24 lutego. W ostatni wtorek, na rynek miejski przed ratuszem ściągnęło pod wieczór bodaj 10 000 ludu. Szeroka, ludowa powszechna zabawa trwała do północy, do Popielca. Wszyscy w letnich ubraniach, „elita śmietankowa” we frakach i dekoltowych sukniach, tak było pogodnie i ciepło.

Za to w marcu – jak mi mówiono – wieją stale 3 bory. Każda z nich trwa nieparzystą ilość dni. Taki widocznie musi być jakiś przepis. W wyjątkowo najcieplejsze marce wieją trzy jednodniowe bory. W również wyjątkowo najzimniejsze mrozą kraj i ludzi przez dziewięć dni każda. Prawdopodobnie dłużej wiać im nie wolno, bo nie zmieściłyby się w 31-dniowym miesiącu. Za naszej bytności odczuliśmy na naszej skórze istotnie dwie bory siedmiodniowe, a jedna łaskawie dmuchała nas do mieszkania tylko przez 5 dni. W czasie ostatniej bory borykała się zima z wiosną. Było to w jednym z ostatnich dni marca. Pogoda zmieniała się dziwnie kapryśnie, co godzina inaczej na dworze. Po ślicznej pogodzie deszcze ze śniegiem, potem wichura, pod wieczór cudownie ciepło, w nocy burza z ulewą, piorunami i wszystkimi innymi akcesoriami. W ciągu jednego dnia przeżywało się cztery pory roku. Taką wydała nam się prawdziwa, niekalendarzowa, dalmatyńska wiosna, względnie pora przejściowa z zimy do lata. Bo po trzech burach marcowych klimat się ustala. Po przyjemnie ciepłym kwietniu wchodzi się w okres upałów. Upalne lato uchodzi tu za najprzykrzejszą porę roku. Uprowadził nas o upałach nasz „Bauleiter”⁴³⁶ Wassnitzer. Nie wiedzieć, gdzie uciekać przed gorącem. Uliczne kamienie na chodnikach pieką. Opowiadał, że zeszłego roku chciał schronić się raz przed upałem w kościele w nadziei, że tam będzie trochę chłodniej. Po kilku minutach musiał uciekać, bo mu się zdawało, że się udusi. Doznaliśmy potem na sobie upałów, doznali. O nich będę jeszcze pisać.

⁴³⁵ Mowa o zjawisku atmosferycznym zachodzącym w połowie maja w Europie Środkowej związanym z nagłym ochłodzeniem (w wyniku zmiany cyrkulacji atmosferycznej i napływem zimnego, polarnego powietrza). Trzej święci, o których mowa, to: św. Pankracy (12 maja), św. Serwacy (13 maja) oraz św. Bonifacy (14 maja). Patronką dnia 15 maja jest św. Zofia – matka trzech córek Wiary, Nadziei i Miłości, zamęczonych na śmierć za wiarę chrześcijańską.

⁴³⁶ *Bauleiter* (niem.) – kierownik budowy.

5.

Stosunki z kolegami. Sylwestrowy wieczór. Ślub Holländra. Salona. Pogrzeb Smolki. Klissa Diczmo. Serb karczmarz. Sinij. A czy znasz ty weneckie zapusty? Omisz (Almissa).

Ucieszyłem się, spotkawszy w Splicie Metzgera. Już przy trzeciej budowie sprzęgał nas los ze sobą. Robert zdążył się ożenić ze swoją rodaczką z Karyntii. Żona i trzymiesięczny chłopczyk byli razem z nim. Zbliżyliśmy się do nich. Zosia zaprzyjaźniła się z Kathi. Pani Katarzyna była z natury inteligentna, dobra i kapryśna. A że brakło jej wykształcenia, zakres jej widzenia nie był szeroki, trochę „kura domestica”⁴³⁷. Zresztą inne panie inżynierowe – z wyjątkiem Gebhardtowej – miały głowy nie lepiej od niej umebłowane. W grudniu, po skończeniu zajęć w Mrawińcach i po powrocie reszty inżynierów z pola do biura, próbowaliśmy zorganizować zebrania towarzyskie na wzór czortkowskich i skalskich. Nie kleiły się. Zbyt różne narodowości, języki, zwyczaje i wynikające z tego różne charaktery, różne poziomy kulturalne powodowały – zwłaszcza między kobietami – bezustanne kłótnie i obrazy o takie drobiazgi, że zdawałoby się, nie warto o nich wspominać. Jako przykład niech służy następujący obrazek – nasz kierownik uparł się i w wieczór sylwestrowy przeprowadził wspólną zabawę. Wynajęto salę w hotelu Trocoli, sprowadzono orkiestrę i zamówiono kolację. Wszyscy złożyli pieniądze i zeszli się pod moralnym przymusem, a nudzili się z własnej i nieprzymuszonej woli, bez żadnego przymusu. Tańce na niewoskowanej podłodze nie szły. Metzgerowa obraziła się śmiertelnie na Czechnerową, że nie zaczekała na nią, idąc na tę zabawę (mieszkamy w jednym domu). Cały wieczór zalewała się jak fontanna łzami, nie sposób było ją uspokoić. To do reszty zepsuło cały wieczór.

I tak w kółko to samo. Nic nie dało się wspólnie zrobić. Do nas przychodzili wszyscy i Wessnitzerowie, i Gebhardtowie, Puttinowie, Czechnerowie, Metzgerowie. Przybyła jeszcze jedna inżynierowa, bo w marcu ożenił się nasz Holländer, po sprawieniu hucznego pożegnania stanu kawalerskiego w końcu pierwszego tygodnia marca. Oczywiście i ta marcowa para bywała u nas, jako że zawsze wprawiał nas w dobry humor wrodzoną, na pół robioną oryginalnością. Jako kawaler, tuż przed ślubem, zapowiadał każdemu, kto chciał i nie chciał słuchać, że żonę urobi na obraz i podobieństwo swego ideału kobiecego. No i urobił... z siebie pantoflarza!

⁴³⁷ Kura domestica – kura domowa.

Wieczorami zatapiałem się w galicyjskiej statystyce ludnościowej i rolnej. A kiedy tow. Klemensiewicz⁴³⁸, redaktor „Prawa Ludu”⁴³⁹ zwrócił się do mnie o napisanie broszury agitacyjnej dla chłopów z czteroprzymiotnikowym prawem wyborczym do sejmu, zabrałem się do tej statystyki politycznej. Zosia pochłaniała Spencera, Romanesa⁴⁴⁰, Letournau’a⁴⁴¹, Tołstoja⁴⁴². Od grudnia zaprenumerowaliśmy „Słowo Polskie”, wówczas naprawdę demokratyczny dziennik, własność Odrzywolskiego i Wolskiego. Dziennik ogłaszał co pewien czas konkurs na rozwiązywanie teoretyczne zagadnień społecznych. Zosia czatowała na taki konkurs, który by ją zainteresował i do którego miałyby ochotę stanąć.

W wilię Bożego Narodzenia puściliśmy się bicyklami do ruin Salony. Grobowiec śp. wielkiego miasta nie zaimponował nam. Trochę połamanych kolumn, trochę odkopanych fundamentów bazylik, teatrów, amfiteatru, domów mieszkalnych, murów fortecznych i ogrodowych, resztki gzymsów ozdobnych, kapiteli, płyt, kilka sarkofagów, a nade wszystko kupa gruzu, gruzu i gruzu. W smętnym usposobieniu poszliśmy spacerem wzdłuż rzeki Jadro aż do miejsca, w którym wypływa z podziemi i w którym pompy chwytają jego wody do pałacynskiego akweduktu. Ciekawe i bardzo piękne miejsce ożywiło nas i poprawiło humory. Ten akwadukt⁴⁴³ rówieśnik zmarłego miasta, przecież żyje jeszcze i pracuje. Członki jego, sklepienia, filary i kamienie mogłyby dużo opowiedzieć o najściu Chrobatów, napadach Awarów, Tatarów, Wenecjan, Austriaków, Turków i Francuzów na te ziemie, nad którymi woda po nich płynie. Szkoda, że przemawiają tylko w opowieściach tysiąca i jednej nocy, a nie znałem człowieka, który by taką baśniową noc przeżył.

⁴³⁸ Zygmunt Klemensiewicz (1874–1948) – z wykształcenia lekarz, polityk socjalistyczny, członek PPSD, redaktor i dziennikarz. Podczas I wojny światowej służył wraz z Jędrzejem Moraczewskim w Legionach Polskich. W II Rzeczypospolitej poseł i senator, zwolennik polityczny Józefa Piłsudskiego.

⁴³⁹ „Prawo Ludu” – wydawany w latach 1896–1914, 1918 w Krakowie socjalistyczny tygodnik przeznaczony dla ludności wiejskiej.

⁴⁴⁰ George John Romanes (1848–1894) – kanadyjsko-szkocki biolog, zwolennik darwinowskiej teorii ewolucji.

⁴⁴¹ Charles Letourneau (1831–1902) – etnograf i socjolog francuski, autor książki o moralności pierwotnej, członek francuskiego Towarzystwa Antropologicznego.

⁴⁴² Lew Tołstoj (1828–1910) – rosyjski dramatopisarz, nowelista, myśliciel i krytyk literacki, jeden z najważniejszych pisarzy rosyjskich.

⁴⁴³ Akwadukt – akwedukt.

Mimo piękności przyrody, kraju, mimo bardzo, a bardzo sympatycznych jego mieszkańców, czuliśmy się jak wygnańcy z własnej ojczyzny. Każda gazeta, każda wiadomość, każdy list z kraju był dla nas rozkoszą, wytchnieniem, odpoczynkiem, a równocześnie źródłem smutku i rosnącej tęsknoty za krajem. Chyba, że nosił w sobie zarodki beztroskiego humoru, jak np. list od mej siostry Frani Kruczkiewiczowej⁴⁴⁴, która pisała, jak to wzięta ze sobą (w końcu grudnia) dzieci na pogrzeb Franciszka Smolki⁴⁴⁵, ponieważ w szkołach opowiadano im o zasługach i znaczeniu tego wodza demokracji z r. 1848/9. Jak dzieci zmarzły i jak z tego powodu beczwały po drodze. Gdy wróciły do domu, jeden z chłopców, śp. Władek⁴⁴⁶, spytał w czasie obiadu ze zwykłą sobie powagą: „Proszę Tatka, czy ta Smolka była stara czy młoda?”.

Na razie trudno było marzyć o powrocie do kraju. Kierownictwo powinno było skończyć pracę nad projektem do maja, względnie czerwca, bo wtedy spodziewaliśmy się otwarcia kredytów na zaczęcie samej budowy. Połączenie z bośniackimi kolejami w Arzano zawisło na murku, więc na razie końcowym punktem kolei miało być miasteczko Sinij nad rzeką Cetyną. Ten los budowy był dla mnie przeznaczony.

Zaczął się nowy XX wiek. W Afryce trwała wojna burska, we Lwowie rozpętała się wyborcza. Góra przeznaczyła mandat sejmowy po Smolce w 3-ciej kurii miejskiej lwowskiemu profesorowi prawa drowi Leonardowi Piętakowi⁴⁴⁷. Nawiasem powiedziawszy, był on najbliższym sąsiadem moich rodziców na ul. Garncarskiej. niespodziewanie, już po rozpisaniu wyborów, wyłonił się jako kontrkandydat tow. Ignacy Daszyński, poseł do parlamentu, słynny już wówczas mówca. Zdawało się, że Daszyński nie powinien mieć szans, skoro głosowano jawnie, a prawo głosu przysługiwało tylko płacącym podatki bezpośrednio, a więc burżuazji wielkiej, średniej i małej. Nie potrzebuję dodawać, jak nerwowo śledziliśmy przebieg obu tych kampanii. To nam nie przeszkodziło pójść i posłuchać bardzo reklamowanego koncertu w miejskim teatrze. Reklama – jak to często bywa – przesoliła. Śpiewało trio, przy akompaniamencie wcale niezłej orkiestry. Głosy włoskiego tria, tj. jednej onej i dwóch onych, bardzo przypominały głosy kocie w marcu

⁴⁴⁴ Franciszka Z Moraczewskich Kruczkiewiczowa (1867–1945) – starsza siostra Autora *Wspomnień*, żona Bronisława Kruczkiewicza (1849–1918), profesora filologii klasycznej w Uniwersytecie Lwowskim i posła na Sejm Krajowy.

⁴⁴⁵ Franciszek Smolka (1810–1899) – adwokat, spiskowiec, polityk galicyjski i austriacki, poseł do Sejmu Krajowego i austriackiej Rady Państwa, przewodniczący parlamentu austriackiego w latach 1881–1893.

⁴⁴⁶ Władysław Kruczkiewicz (1894–1907) – syn Franciszki i Bronisława Kruczkiewiczów.

⁴⁴⁷ Leonard Pięta (1841–1909) – profesor prawa w Uniwersytecie Lwowskim. Jako rektor tejże uczelni zasiadał w galicyjskim Sejmie Krajowym. Radny miejski, poseł do Rady Państwa, minister do spraw Galicji w rządzie austriackim.

na dachach. Śpiewali przy tym tak cicho, jakby naprawdę głosów wydobyć nie mogli, co przy przesadnie afektowanych minach i ruchach teatralnych po prostu śmieszyło.

W początkach lutego wybraliśmy się we dwójkę do Sinij. Droga podnosi się z Salony prawie znad poziomu morza, w górę i po przebyciu pięciu kilometrów znaleźliśmy się na wysokości 350 m nad morzem, przy ruinach twierdzy Klissy. Mur forteczny jeszcze się jako tako trzyma. Klissa! Toż to forteca uwieczniona w naszej literaturze przez T.T. Jeża⁴⁴⁸ w jego najlepszej powieści historycznej *Uskoki*⁴⁴⁹. W tej powieści Uskoki⁴⁵⁰ walczą z Turkami o tę fortalację. Organizują się w Splicie i w Salonie, skąd ruszają na to wzniesione na skałach prawdziwe orle gniazdo. Uskoki w historii i powieści tworzyli rodzaj naszych Zaporozców. Zbiegowie z Krocacji, Dalmacji, Bośni, Hercegowiny, Czarnogórza, zresztą Bóg wie skąd, walczyli z zaborcami – Turcją, Austrią, Wenecją. Na trzy fronty, podobnie jak Polska, którą Jeż oczywiście miał na myśli, a którą dla oszukania cenzury umiejscowił w Splicie, Salonie i Klissie. Austriacy niby to walczą z Turkami, ale w decydującym momencie Turcy zwalczeni orężem Uskoków, oddają Klissę cesarskim. Później znowu cesarscy, widząc poruszenie Uskoków, oddają ją Turkom. Jeż wmieszał w tę powieść, jako jedną z głównych postaci, wodza Uskoków – blagiera, pozera, demagoga, tchórza, człowieka bez charakteru, stratega spod ciemnej gwiazdy, w którym nie trudno poznać, mimo przesadnych czarnych barw, naszego Ludwika Mierosławskiego⁴⁵¹, a którego Jeż miał specjalnie na wątróbce. Pod wpływem tej czytanej przed 10 laty powieści, ale tkwiącej mi mocno w pamięci, patrzałem na twierdzę klissańską jako na coś naszego, jakby na kawałek ojczyzny.

Wysiedliśmy w tej wsi z dorożki i weszli do pierwszego lepszego domku chłopskiego, o mały włos nie napisałem chaty włościańskiej. Dom piętrowy z kamienia, łupkiem kryty, na piętrze trzy dość duże okna, na dole jedne drzwi wchodowe i dwa małe okienka po bokach, z daleka, na oko wygląda imponująco, solidnie, tylko oko inżyniera daremnie wygląda komina. Inaczej wewnątrz. Drzwiami środkowymi wchodzi się do dużej, dość wysokiej izby bez podłogi. W środku ułożone z kamieni palenisko. Gospodźja gotowała

⁴⁴⁸ Tomasz Teodor Jeż [właśc. Zygmunt Miłkowski] (1824–1915) – powieściopisarz, polityk demokratyczny i działacz niepodległościowy, publicysta.

⁴⁴⁹ *Uskoki. Powieść z dziejów Słowiańszczyzny południowej* była drukowana w odcinkach w warszawskim czasopiśmie „Kłosy” w 1870 r.

⁴⁵⁰ Uskoki – uchodźcy słowiańscy spod panowania tureckiego.

⁴⁵¹ Ludwik Mierosławski (1814–1878) – pisarz, poeta, generał, działacz demokratyczny i niepodległościowy. Uczestnik powstania listopadowego, członek Towarzystwa Demokratycznego Polskiego, przywódca dwóch zrywów powstańczych w Wielkopolsce – w 1846 i 1848 r., pierwszy dyktator powstania styczniowego.

właśnie strawę w żelaznym garnku, wiszącym nad ogniem na żelaznym pręcie. Dym rozchodził się po całym domu. Gryzł w oczy, wlażył w nos, usta, uszy. Obok zagródka dla owiec, kóz, osłów i całego żywego inwentarza. Po drabinie wchodziło się na górę, do niskich izb mieszkalnych. W nich brud był, zaduch, robactwo. A tak niewiele potrzeba dla ucywilizowania tego mieszkania. Komina, trochę więcej dziur w murach dla przewietrzenia i starań gospodarii o czystość. Z czasem i to przyjdzie, a może do dziś już przyszło, bo naród bardzo inteligentny i pojętny. Dziwiło nas, że lud pracowity i ciężko pracujący tak mało przyswoił sobie kultury w swych osiedlach. Wedle miejscowej opinii winę za ten stan ponosił ustrój gminny. Austria wprowadziła w Dalmacji 1864 r. gminę zbiorową. W roku 1900 istniało 86 gmin, obejmujących około 900 miejscowości oprócz przysiółków. Najczęściej gmina liczy 12 do 15 miejscowości (gromad). Działacze kroaccy ten rodzaj ustroju gminnego uważali za jedną z ważniejszych przyczyn zacofania kraju, braku szkół, istniejącego bezdroża itd., bo najczęściej lwią część dochodów gminnych zużywało się na potrzeby tej miejscowości, która była siedzibą gminnego urzędu, mieszkaniem wójta, proboszcza, nauczycieli. Stąd niechęć, można powiedzieć wrogość, ludności innych gromad do wszelkich podatków gminnych, takich że opłat, szarwarków⁴⁵², dodatków do podatków. Płaci i nic z tego nie ma. Ta niechęć jest podłożem do nieuchwalania podatków, względnie do biernego oporu przeciw płaceniu. Wynikiem, marne wpływy z podstawowego źródła dochodów gminnych.

Z Klissy wjechaliśmy na karstowe płaskowzgórze, ochrzczone na poczekaniu przez Zosię „polem śmierci”, takie rozpaczliwe robiło w zimie (6 lutego) wrażenie. Po przebyciu 25 km zatrzymaliśmy się w Diczmo w karczmie na popas. Karczmarzem był Serb, który dowiedziawszy się, że ma do czynienia z Polakami, a nie Szwabami, stał się bardzo towarzyski, rozmowny i prawie że szczery. Dom miał obszerny, pokoje gościnne czyste. Własne mieszkanie urządzone po europejsku. Imponowała spora, jakie pół tysiąca dzieł licząca, biblioteka. Przeważnie w serbskim języku. W czasie obiadu opowiadał nam (mówił po serbsku i po niemiecku) o swej pracy kulturalnej wśród Serbów, o wypożyczaniu książek ze swej biblioteki, o odczytach, pogadankach, zebraniach. Z entuzjazmem mówił o swych rodakach, o ich sporach z Kroatami. Potem przeszedł na metafizykę, która Zosię bardzo zajęła, a której ja chorobliwie nie znoszę. Wolałem zabrać się do dobrego jego wina. Mam i dzisiaj przekonanie, że lepszą częstkę obrałem.

⁴⁵² Szarwark – obowiązek dostarczania ludzi i wozów do robót publicznych (naprawa dróg, mostów itp.) nakładany przez państwo na społeczność wiejską.

Jeżdżąc potem ze trzy razy do Sinij, zawsze wstępowałem do diczmońskiej *krčmy* i zaprzyjaźniłem się z tym Serbem. Zorientowałem się, że ta karczma była końcową placówką gniazda serbskiego, ciągnącego się równolegle do drogi: Knin–Sinij. Rzecz jasna, mój Serb był agentem, prowadzącym wśród swoich, obok, a może pod pokrywką kulturalnej, robotę polityczną antykroacką. Nie wspominał o robocie przeciw Austrii. Mimo sympatii do jego osoby nie przejmowałem się jego propagandą, wymierzoną przeciw Kroatom, bo trzymałem z Kroatami.

W Sinij zabawiliśmy trzy dni. Ja robiłem pomiary pod przyszłą stację, a Zosia szukała mieszkania. Znalazła schludny domek pod lasem. Miasteczko niewielkie, liczące zaledwie 2000 mieszkańców, jest siedzibą starostwa, ma ruiny zamku, sąd powiatowy, muzeum, magazyn tytoniu i specjalną uroczystość, święto „Alki”⁴⁵³, coś niecoś przypominające swoim pochodzeniem naszego konika zwierzyńskiego⁴⁵⁴. Rzeką Cetyna przepływa przez dwie mile długie i milę szerokie orne pole, „sińskie pole”. Do rzeki spływają w zimie i w początkach wiosny wody z topniejących na otaczających górach śniegów i zalewają całe pole. Powstaje tam wtedy wielkie jezioro (sińskie oзеро), pełne dzikiego ptactwa. Za tej naszej pierwszej bytności widzieliśmy właśnie oзеро. Na nim łabędzie, pelikany, gęsi, kaczki robiły miłą dla ucha myśliwego wrzawę.

W lutym było po prostu rozkosznie. Prawdziwa wiosna, choć przepisowo było to dopiero przedwiośnie. Budząca się do życia przyroda ożywiła chęć do zabaw. W czasie zapust ulice roiły się od masek, dominów, grup w dwuczłonowych, samodzielnie wymyślonych kostiumach, rozbawionej młodzieży, zaczepiającej przechodniów. Dowcipu masek trudno nam było ocenić, bo po prostu nie rozumieliśmy ich prędkiego trajkotania wśród śmiechu. Od tłustego czwartku zaczęły się już zorganizowane popołudniowe i wieczorne zabawy na Gospodskim Targu (Pizza dei Signori), lub mówiąc po naszymu, na rynku przed ratuszem. W tych „Weneckich zapustach” wzięliśmy udział w ostatni wtorek, jeżeli daty nie mylę, 26 lutego. Dzień bardzo ciepły, gdyśmy szli na rynek o 5-tej po południu, termometr wskazywał 23°C, a gdyśmy z rynku uciekli o 10 wieczorem, było jeszcze 18°C. Olbrzymim tłumem w świątecznych strojach wypełniał rynek. Chłopi z okolic, mieszczanie z przedmieść, robotnicy, kupcy, pracownicy umysłowi, arystokracja,

⁴⁵³ Mowa o tzw. Sinjskiej Alce – coroczne święto organizowane ku czci Matki Boskiej, która według legendy miała uratować miasto podczas ataku tureckiego w 1715 r.

⁴⁵⁴ Konik zwierzyński – inaczej lajkonik, coroczny obrzęd w Krakowie, odbywający się w oktawę po Bożym Ciele, pochód na czele z lajkonikiem przemierzający szlak od Zwierzyńca (dawna podkrakowska wieś, obecnie jedna z dzielnic miasta) na Rynek Główny.

wszystkie klasy społeczne razem. Przeważały stroje ludowe, ale nie brakło fraków i toalet balowych. Tłum przelewał się bezustannie po rynku, tam i z powrotem. Właściwie płynęły dwie fale, zawsze jedna przeciw drugiej. Znajomi, nieznajomi też, obrzucali się korijandolami⁴⁵⁵ i konfetami. Zaczęło się od korijandoli. Młodzieniec, przyczajony w tłumie, schowany za plecami innych posuwał się naprzód, aż dopadł do wybranki swego serca. Trzymając jeden koniec zwitka wstążeczki papierowej w rękę, samą rolkę rzucał krążącemu równolegle z nim przyjacielowi, wspólnie omotując dziewczynę i wśród śmiechu, i uciechy obsypując ją konfetami, którymi były kwiaty, cukierki (właściwie karmelki, innych cukierków tam nie było), pieniądze lub właściwe konfetti, tj. czerwony i biały groszek z krochmalu.

Rozumie się, że przeważną częścią zabawy są te właśnie sielankowe flirty. Obok nich rozgrywały się walki między rozochoconymi, rozbawionymi ludźmi, bez innego celu poza zabawą, a także poważniejsze walki między niechętnymi sobie osobnikami, rywalami, konkurentami, przeciwnikami politycznymi i niepolitycznymi. Celując w twarz, rzucając jedni na drugich, najczęściej tym śrutem z krochmalu. Zamożniejsi rywalizowali między sobą, kto weźmie rekord, kto najwięcej kilogramów konfetti własnoręcznie wyrzuci, kto więcej pieniędzy wyda na pociski. Worki, kasetki, niekiedy artystycznie ozdobne, na bardzo zmyślnie obmyślanych szelkach, jakby nasze chlebaki, nosili mężczyźni i kobiety, nabierając z nich szufelkami krochmalowe groszki, prawdziwy groch lub kukurydzę, czasem drobne pieniądze, w ogóle konfetti i obrzucając nimi upatrzone ofiary. Pobliskie sklepy, do północy otwarte, pełne były różnych sort [s] konfetti, najrozmaitszego kalibru, poczynawszy od wielkości ziarenka naszej kaszy jaglanej, a kończąc na wielkości orzecha laskowego. Rozporządzenie Namiestnictwa w Zadarze zabroniło wyrobu i użycia większych konfetti. Wszystkie zarządzenia władzy są po to, aby je obejść, intencje wypaczyć i to nie tylko w Polsce. Kto chciał rzucać czymś większym, ciskał karmelkami, kasztanami, jabłkami, cytrynami, pomarańczami, granatami (owoc wielkości pomarańczy w twardej łupinie), ziemniakami.

W czasie tych walk z ratusza, z hotelu, z bocznych ulic wychodziły pochody w stylowo-historycznych kostiumach. Jakiś faraon z orszakiem, jakiś grecki wódz, otoczony klasycznym starogreckim tłumem, znów doża wenecki, basza turecki, król kroacki, despota dalmatyński. Było to ładne, tym ładniejsze, że przechodziło po rynku, a nie na deskach teatralnych. Poznać było w organizacji tych pochodów młode artystyczne ręce i wiele włożonej pracy. Podejrzewaliśmy o współpracę bawiących wtedy w Splicie trzech braci, studiujących w wiedeńskiej akademii sztuk pięknych, zresztą

⁴⁵⁵ Woryginalne koriondola. *Korijandola* (chorw.) – konfetti.

pozujących strojem, uwłosieniem i sposobem chodzenia po ulicach na oryginalność. W kilka miesięcy później, jeden z nich założył się, że w południe przejdzie nago przez rynek. Zakład wygrał i odsiedział go w kozie.

Poszliśmy na tą zabawę jako widzowie, z góry krytycznie usposobieni do tego „głupstwa”. Tymczasem zabawa porwała i nas. Wsiąkliśmy w tłum z gołymi rękoma, ale obrzuceni konfetti, zapragnęliśmy za nasze nabrzmiałe policzki – „zemsty! Zemsty na wroga! Z Bogiem, a choćby mimo Boga!”⁴⁵⁶. Za chwilę mieliśmy po kilogramowej paczce konfetti, aby oddać z nawiązką tym, co nas masakrowali. Po wyrzuceniu 20 kilogramów, przypomniałem sobie czasy artyleryjskie, kupiłem kartofli i celnymi rzutami zemściłem się jak Mojżesz przykazał, ząb za ząb, oko za oko, pysk za pysk. Ale gdym dostał kilka razy pomarańczą w nos, wyrzekłem się zemsty Mojżesza, jego nakazów i walecznie podałem tyły, tj. zgrabnie wycofaliśmy się o 10 wieczorem, uważając pilnie, aby nie zdeptać jednego z tych malutkich, z dziatwy, która płacząc się pod nogami walczących i bawiących się zbierała z ziemi pieniądze, karmelki, kasztany, *krompiry*⁴⁵⁷, narańcze⁴⁵⁸, jabłka, wszystko, co przedstawiało wartość lub było jadalne.

Ktoś szepnął nam, że dalszy ciąg zabawy w salach hotelowych, więc wpadliśmy z placu rynkowego do hotelu Trocoli. W wielkiej sali balowej zebrało się już sporo osób, a wciąż jeszcze nadchodzili nowi. Służba, wiedząc z doświadczenia, czym się to skończy, przygotowanymi niby okiennice deskami, zakryła okna i duże na całą ścianę lustro, sprzątała ze stołów wszystkie szkła, usuwała wszystko, czym można było rzucać. Stoły, stołki ustawiała w jeden wielki stół pod olbrzymim, kryształowym kandelabrem, wiszącym we środku sali. Ochoty nie brakło, wszyscy sądzili, że cała dotychczasowa zabawa się nie liczy i zaczyna na nowo. Zaczęto od niewinnego korijandoli. Obrzuciliśmy nim wiszący świecznik dokładnie, starając się celnymi rzutami trafić w jeszcze jakieś nieomotane miejsce. Gdy żyrandol swoim wyglądem przypominał olbrzymią siatkę pajęczą, lśniąca kolorami tęczy, albo jak kto woli śp. Guliwera omotanego tysiącem niteczek przez również śp. światek liliputów, zaczęliśmy bić się, obrzucać się wzajemnie, po czym sięgnęliśmy do konfetti. Zabawa zaczęła się na dobre, gdy do sali wszedł jedyny tej nocy prawdziwy gość hotelowy, zadzwonił na kelnera i głośno zamówił: „*A Wiener Schnitzel mit Kartoffeln und Krautsalat*”⁴⁵⁹. „Bij Szwaba!” – zahuczał w nas jakiś prasłowiański głos wewnętrzny

⁴⁵⁶ *Pieśń zemsty*, III część *Dziadów* Adama Mickiewicza.

⁴⁵⁷ *Krompiry* (chorw.) – ziemniaki.

⁴⁵⁸ Narańcze – pomarańcze.

⁴⁵⁹ *Wiener Schnitzel mit Kartoffeln und Krautsalat* (niem.) – sznycel wiedeński z ziemniakami i surówką z białej kapusty.

i korijandoli, a potem drobne konfetti obsypały tego Niemca. Mruczał, odwijał z siebie papierki narzucane, strącał drobny groszek, niezadowolony, zły. Dopiero, gdy kelner przyniósł mu zamówiony kotlet do osobnego stolika i podał mu kufel piwa, grad krochmalnych kulek obsypał nieszczęśnika, jego twarz, usta i talerz, wszystko znosił po bohatersku, mimo wielkiego zniecierpliwienia. Im więcej się ciskał, kłął i ryczał, tym gęstszy grad padał na niego. Aż dotarł do kufla z piwem. Tego nie wytrzymał. Porwał kufel jedną ręką, talerz drugą i uciekł z sali. Pokonawszy wspólnego wroga, zaczęliśmy wojnę między sobą. Zwyczajnie, jak bywa w życiu między narodami. I znowu wróg zewnętrzny kres położył „bratobójczej rzezi”. Na górnej galerii pojawiła się para małżeńska, a może niemałżeńska, dość że para. On ciągnął za sobą wózek na kółkach, ona w balowej sukni niosła na ramieniu dużą szufłę. Pan wyfraczony, w białym krawacie, skłonił się sali, ujął szufłę i eleganckim ruchem obrzucił środek stołu grochem, tym zwykłym, rosnącym, jak wiadomo, przy drodze. Ona pomagała, a on raz po raz nabierał szufłą groch z wora i miarowo, flegmatycznie, systematycznie, celnie walił w nas gradem pocisków. Nie zostawił jednego miejsca przy stole niezbombardowanego. Niepodobna było wytrzymać. Nie wyobrażałem sobie, że uderzenie grochem może być tak bolesne. Powoli nasze panie znalazły schronienie pod stołami, a my, rozsypani po sali w tyralierę, próbowaliśmy naszymi konfetti ostrzelać pozycję nieprzyjacielską. Wpadłem na pomysł, wybiegłem z hotelu do sklepu i kupiłem wszystkie pomarańcze, jakie jeszcze pozostały. Te pociski zdetonowały galerię. A gdy kilku innych za moim przykładem też przyniosło pomarańcze i krompiri, walka prędko się skończyła. Groch nie oparł się pomarańczom, karabin maszynowy armatom. Koło północy napastnicy dali fugas chrustas⁴⁶⁰, pozostawiając nam jako łup pół worka grochu.

Między jedną borą a drugą, wybraliśmy się 9 marca na bicyklach do nadmorskiego miasta Omisz (Almissa), na południe od Splitu. Droga wiodła nad morzem, otwierając coraz nowe widoki, jedne piękniejsze od drugich. Omisz uderza oryginalnym położeniem. Tuż nad morzem, może o 10 kroków od brzegu, wznoszą się olbrzymie, prawie pionowe skały, do których przylepiono kilkadziesiąt domów i kościołów. Na szczycie jednej niedostępnej skały sterczy ruina starego zamku Mirabello, twierdzy omiszskich korsarzy, toczących niegdyś – wedle miejscowych opowiadań – krwawe walki z władcami Splitu. Skały przebija duża szeroka rzeka Cetyna, którą poznaliśmy już w Sinij, a która tu tworzy obszerny wąwóz skalisty i tuż koło miasteczka wpada do morza. Stoi na niej bardzo piękny, bardzo malowniczy

⁴⁶⁰ Fugas chrustas (żart.) – tchórzliwa ucieczka.

most sklepiony. Brzegiem rzeki, w głąb lądu wykuto w skale ścieżkę, przez co powstał w tym kanionie prześliczny spacer. Tak więc mieliśmy w Omiszu – oprócz pięknego kościoła i najlepszego w Dalmacji wina – morze, oblewające potężne nagie skały, ruiny zamku, owianego legendą, rzekę z mostem w weneckim guście i piękną drożynę w wąwozie rzeczonym.

6.

Opera nieudana. Śmierć Leona Walewskiego. Nadzieja powrotu do kraju. Jazda na urlop do Lwowa. Moja choroba. List Daszyńskiego. Spotkanie w Poli. *Lud a sejm*. Skonfiskowana para małżeńska. Wybrzeża siedmiu zamków i Trogir. Wynajęcie ogrodu. Ostatnia jazda do Sinij.

P o zapustach przybyła do miasta opera z Wenecji. Wybraliśmy się do teatru na pierwszy jej występ. Bezstronnie przyznaję, że jej zespół nie był pierwszorzędny, tylko z szarego końca. Orkiestra! Pożal się, Boże! Chóry słabe. Najlepszy z całej opery był sopran, ale jego wysokie tony bardzo piszczały. Tenor nie miał głosu. Nucił pod nosem. Mimo rozczarowania publiczność siedziała cierpliwie, z partyturą w rękach. Zaledwie trochę szmeru słyhać było wśród widzów. Na ogół panował na widowni spokój, który nas dziwił po widzianych przez nas w Wenecji przedstawieniach w teatrze włoskim. Pierwszy akt dobiegał końca. Dopiero gdy na scenie pojawił się bas i zaryczał prawie nieludzkim głosem, publiczność nie wytrzymała. Widownia – jak jeden mąż – zahuczała: „Basta! Basta!”. Zrobił się tak piekielny hałas, gwizd, walenie krzesłami, tupot nóg, że o dalszym przedstawieniu nie było mowy. Kurtynę spuszczone. Wyszedł przed nią spieszony dyrektor teatru, przeprosił widzów za niefortunne przedstawienie, zapowiedział, że w najbliższym czasie postara się o lepszy zespół artystyczny, prosił „wielce szanowną publiczność” o niezrażanie się tym niepowodzeniem i odwiedzanie teatru. „Bilety na dzisiejsze przedstawienie proszę zachować, będą ważne na następne, które na pewno zadowoli najwybredniejszych znawców” – zakończył. Zebrani rozeszli się w spokoju, zadowoleni takim zakończeniem. W jakiś – istotnie niedługi – czas potem, inna trupa włoska grała *La Boheme*⁴⁶¹. Rzeczywiście dobrze. Miasto było rozentuzjasmowane, publiczność wypełniała wszystkie przedstawienia aż po brzegi.

⁴⁶¹ *La Boheme* (franc.) – *Cyganeria* – opera Giacomo Pucciniego z 1896 r.

Dochodzące nas listy ze Lwowa donosiły o grasującej influenzy (przezwano ją obecnie, zapewne słusznie, grypą). Zachorowali rodzice Gostkowscy, a 17 marca zmarł na nią inż. Leon Walewski⁴⁶², wysoki urzędnik lwowskiej dyrekcji kolejowej, kolega i serdeczny przyjaciel Romana Gostkowskiego i całego jego domu. Jego śmierć niespodziewana zaskoczyła wszystkich i zasmuciła. Zabolała i mnie, gdyż była to w całym [tego] słowa znaczeniu zacna dusza, a także mnie bardzo życzliwy człowiek. Umiał w kilku słowach rozwiewać niepokoje pani Gostkowskiej, wywołane wiadomościami o moich wyczynach w czasach akademickich, dochodzące do niej pantoflową pocztą. Akurat w dniu nadejścia depeszy o jego śmierci Zosia była samą w domu, bo ja znów wybrałem się do Sinij na zdjęcia.

26 marca przybiła do portu eskadra floty wojennej. Miasto przyjmowało uroczyście marynarzy. Marynarze miasto. Wyłoniła się skądś nadęta himpa-dimpa, która robiła dużo szuru-buru w czarno-żółtym patriotyzmie. Równocześnie zjawili się sporo turystów. Ulice zaroily się od typowych, chudych, a długich Anglików czy pseudo Anglików, w kratkowanych kostiumach, z fajkami w zębach, Niemców z badeckerami⁴⁶³, lornetkami i aparatami fotograficznymi. Oglądali każdy kamień pleśnią pokryty. Trudno osądzić, czy dojrzeli pałac Dioklecjana, bo oglądali go tak z bliska, jakby patrzyli węchem.

W końcu marca nadszedł ze Lwowa list od Kosińskiego. Donosił, że obejmuje tworzone od 1 kwietnia kierownictwo budowy kolei Lwów-Sambor-granica węgierska. Radził, bym ze swej strony robił starania o powrót do budowy tej kolei. W wyniku tego listu zdecydowałem się, po raz pierwszy i ostatni w życiu, użyć protekcji w mej osobistej sprawie. Ale naprawdę tęsknota za krajem gryzła nas do szpiku. Odeszła ochota do pracy, nudziło biuro, wcale a wcale nie cieszyła budowa kolei w Dalmacji. Miejsce twórczej radości zajął przymus obowiązku, rutyna i nic więcej. Zosia napisała list do swego ojca z prośbą o zainteresowanie moim przeniesieniem do kraju jego znajomych, przyjaciół i dawnych kolegów z centralnych władz kolejowych we Wiedniu. Profesor zwrócił się listownie do swego przyjaciela, szefa sekcji Morawetza.

Chwilowo humory naprawił, nostalgię zagłuszył otrzymany dwutygodniowy urlop świąteczny. 5 kwietnia siedzieliśmy na okręcie w drodze do Lwowa. Morze „gibotało” nami tak, że ku naszemu wielkiemu żalowi na marne szło doskonałe jedzenie. Jednak po wylądowaniu w Trieście kieszki zajęły swoje normalne miejsce, ustała morska choroba. W Lublanie

⁴⁶² Leon Walewski (1839–1901) – inżynier, radny miasta Lwowa.

⁴⁶³ Badecker – potoczna nazwa przewodnika turystycznego, od nazwiska pierwszego wydawcy tego rodzaju dzieł, Karla Badeckera, wspomnianego wyżej.

zatrzymaliśmy się kilka godzin. Można było okiem rzucić na tę stolicę Słoweńców. Czując się niekoniecznie zdrow, nie miałem energii do włóczenia się po mieście. Dowlokłem się szczęśliwie do pociągu. W wagonie zemdlałem. Dalszą drogę odbyłem, leżąc bez przytomności. Do dzisiaj nie rozumiem, jak Zosia dała sobie radę z przewiezieniem mnie przez Wiedeń z dworca południowego na północny, jak pokonała opór portierów, konduktorów, urzędników, lekarzy kolejowych przeciw władowaniu na dworcu północnym do wagonu nieprzytomnego, gorączkującego pasażera. Wezwany lekarz umiał tylko radzić oddaniem mnie tylko do szpitala, nie orientował się, czy to nie zaraźliwa choroba. Zosia poradziła sobie sama, zrobiwszy mi zimny okład i zawiązawszy pledem, kocem, płaszczami, w ogóle wszystkimi, jakimi tylko miała okrywkami. Gdym się porządnie spocił, odzyskałem w Gródku przytomność i zdrowie. Ubrałem się i jak gdyby nigdy nic, zajechaliśmy do Gostkowskich na Franciszkańską. Dwudziestoczwierogodzinne zemdleństwo minęło zupełnie, bez śladu.

We Lwowie wywiązałem się z obietnicy danej Daszyńskiemu. Podjąłem w kasie wszystkie zaoszczędzone w Skale pieniądze, dołączyłem do tego oszczędności palatyńskie i zachowawszy sobie na czarną godzinę 50 złr. (100 koron), całą zarobioną resztę 1750 kor. posłałem Daszyńskiemu na dziennik do Krakowa. Po powrocie do Dalmacji otrzymałem od niego list, datowany 24 kwietnia 1900 r.: „Kochany Andrzeju! Dziękujemy Wam bardzo serdecznie za dzielną pomoc. Z dumą możecie się dowiedzieć, że panowie stutysięczni nie byli ani tak hojnymi, ani tak słownymi, jak wy, skromny inżynier. Wśród powodzi «szlachetnych» frazesów Wasz postępek dodaje miłszego światła w naszej robocie. Jeszcze raz dziękuję i pozdrawiam serdecznie. Ignacy Daszyński. Pani Waszej ukłony i pozdrowienia uprzejme”.

Urlop minął prędzej niż się człowiek opatrzył. Wracaliśmy razem z Kobyłańskim, zrozpaczonym, że w jego kierownictwie wytworzył się nieprzychylny dla niego nastrój. Tym mocniej mordowała tęsknota za krajem. Pożegnaliśmy się [w] Poli. On pojechał do siebie do Parenzo, a my czekając na przyjazd naszego okrętu z Triestu, zwiedzaliśmy miasto. Przede wszystkim amfiteatr, którego zewnętrzne mury imponują swoim ogromem. Nasuwały się myśli, że jednak w tych Rzymianach tkwiła potężna siła, niesamowity pęd twórczy, który kazał im budować, nawet w miasteczkach prowincjonalnych, jak Pola, Salona, wspaniałe świątynie, amfiteatry, termy i wiele innych. Wałęsając się po mieście, wstąpiliśmy do małej trafikki z tytoniem i solą (sale et tabacco) po widokówki. Wybierając kartki, mówiliśmy ze sobą po polsku. Gdy trafikant usłyszał polski język, rozczulił i zaraz zaczął z nami po polsku. Był to kupiec handlowego wyznania, oczywiście „aus Brodziech” albo „aus Drubycz”. W Poli rozczulenie było obopólne.

Zajechał okręt „Almissa”. Morze było gładkie jak lustro. Dwudziesto-sześciogodzinna jazda minęła jak jedna chwilka. Przez cały czas pogoda niezmącona, statek płynął jak sanie po śniegu. W dzień siedzieliśmy na pokładzie, patrząc na piękne widoki i morze, morze, morze. Najrozkoszniejsza jazda przecież okrętem po spokojnym morzu.

Po powrocie pracowałem spieszenie nad wykończeniem broszury agitacyjnej. Obmyśliłem kilka obrazowych wykresów. Wedle moich szkiców wyrysował mi je najzdolniejszy w biurze rysownik kol. Czechner. Całość zatytułowałem *Lud a sejm*. Podpisałem się Edward Pomorski (Edward jest moim drugim imieniem, a Pomorski jest rodowym nazwiskiem mojej matki). To moje pierwsze dzieło wydał Zygmunt Klemensiewicz (Klemenso) jako jeden numer „Latarni”, zbioru broszur agitacyjnych i pouczających, wydawanych łącznie z tygodnikiem „Prawo Ludu”. A Zosia napisała w maju odpowiedź na konkursowe pytanie „Słowa Polskiego” – *Jakim powinien być kapłan polski?* – i pod godłem „Prawda” wysłała do Lwowa. Żeby do tego tematu nie wracać, dodam, że sąd konkursowy „Słowa”, z nadesłanych artykułów, wybrał jej pracę jako najlepszą i wydrukował. „Latarnia” wydrukowała moją broszurę, a Klemenso przysłał mi entuzjastyczne podziękowanie. Gdyby wszystko szło gładko, na świecie byłoby za dobrze. Co się podobało sądowi konkursowemu „Słowa” i Zygmuntowi, nie spodobało się prokuratorom. Z równie wielkim, ale ujemnym, entuzjazmem skonfiskowali moją broszurę w Krakowie, Zosiny artykuł we Lwowie, ponadto skonfiskowano moją drugą broszurę, napisaną dla „Latarni”, pt. *Walka o słońce*, zawierającą zarys popularny walki o naukę Kopernika. My, biedni autorzy otrzymaliśmy za to w kierownictwie przydomek „Ein konfisziertes Ehepaar” (skonfiskowana para małżeńska). Inna rzecz, że na tym się nie skończyło. Daszyński wniósł 10 maja w parlamencie interpelację, w której przytoczył całą moją broszurę *Lud a sejm* i tę jego interpelację wydrukowała „Latarnia” w 3 wydaniach, w 35 000 egzemplarzy.

W dziennikach wyczytaliśmy, że 7 maja wybuchł strajk robotników rolnych w powiecie borszczowskim. Jasnym było, że zrobili to barabi, których – jak zwykle – pewna część osiadła po skończonej budowie kolei, na miejscu. Przyzwyczajeni do innych płac i zarobków, do innego traktowania nie pogodzili się z tamtejszymi warunkami pracy, płacy i stosunkami. Zorganizowali strajk barabskimi metodami. Na ogół zarobki zostały podniesione. Tym samym strajk wygrany.

Zachęteni pogodą, w którąś niedzielę ruszyliśmy na bicyklach przez „Wybrzeże Siedmiu Zamków” do nadmorskiego na północ od Splitu leżącego miasta Trogir (Trau), które w greckich czasach nosiło nazwę Traurion, którą należałoby przetłumaczyć na polskie Kozowa lub Capowice.

*Riva dei sette castelli*⁴⁶⁴ jest może najpiękniejszym odcinkiem wybrzeża Adriatyku. Między dużą zatoką morską, zamkniętą przed falami morza wyspą św. Jowa⁴⁶⁵ (Bua), a pasmem gór Kozich (Kozjak), wznoszących się na 500 do 650 m nad poziom morza, leży wąski pas nadbrzeżny. Przestrzeń 20 km ze Splitu do Trogiru przejechaliśmy szeroką szosą, oczywiście zbudowaną przez Francuzów, chronioną kamiennym bulwarem przed zalewem morskim. Wzdłuż szosy osada za osadą, bronione przed Turkami przez 13 zamków. Dziś połowa ich w ruinach, ale siedem zamków nie tylko stoi w pełnej krasie architektury późnego średniowiecza włoskiego, ale żyje, pulsuje życiem mieszkających w nich właścicieli, a owinięte pnączami, otoczone świeżą zielenią prześlicznych ogrodów, nadają temu wybrzeżu dziwnie romantyczny urok. Cała Riva jest jednym ogrodem, pełnym pachnących kwiatów wabiących oko kwitnącymi agawami, dojrzewającymi granatami, smokwami, oliwkami, cytrynami, pomarańczami, jabłkami, wiśniami, czerśniami i winogronami. Sam Trogir jest jednym z najpiękniejszych miast Dalmacji. Małe, ledwo trzy i pół tysiąca mieszkańców liczące, stare weneckie miasto, zbudowane przed 500 laty i nietknięte od tego czasu ani przez burze historyczne, ani atmosferyczne, ani ząb czasu. Loggia, dzwonnica, katedra, pałace, kilkanaście kościołów, domy ze zbyt kownymi fasadami sprzed pięciu wieków, ruiny zamku, wąskie uliczki – nie wiedzieć, co wybrać, co wpraw zwiędzać, od czego zacząć, bo wszystko ęci, wszystko zda się zapraszać do środka. A może właśnie nie warto nosa wścibiać do środka, a może lepiej zadowolić się zewnętrznym przepięknym widokiem, a nie wędzić pięćsetletnich ludzkich smrodów, które chyba nie zdążyły wywietrzeć, właśnie wskutek grubych murów kamiennych, wąskich uliczek i nieruszania siedzib ludzkich przez tak długi czas. Ale zwiedzanie katedry było obowiązkowe. Mówiono, że jest jedną z najładniejszych w Dalmacji. Rzeczywiście kampanila⁴⁶⁶ przepiękna, a przez nią, niby przez przedsionek, dochodzi się do głównego bogato rzeźbionego portalu katedry. Takich portali z płaskorzeźbami 12 apostołów i obrazów z Pisma Świętego pełno w Dalmacji i we Włoszech. Prawie każda szanująca się katedra może się takimi pochwalić. Trogirski portal ma należeć do najpiękniejszych zabytków romańskiego stylu. Jakby na straży kościoła wysterczają z portalu dwa lwy weneckie rzeźbione w kamieniu, a nad nimi, między filarami, postacie Adama i Ewy. Rzeźbiarz przedstawił naszych prarodziców w chwili, gdy Bóg ich wyganiał z raju, bo wstydząc się swej nagości, zakryli wstydlive miejsca listkami winogrodu. Krotochwilny mistrz dłuta osądził, że owe wstydlive miejsca

⁴⁶⁴ *Riva dei sette castelli* (wł.) – wybrzeże siedmiu zamków.

⁴⁶⁵ Św. Jow (Hiob) – pierwszy patriarcha moskiewski i całej Rusi, święty prawosławny.

⁴⁶⁶ Kampanila – dzwonnica kościelna.

pary małżeńskiej (żyjącej na wiarę), która przecież była rodzicielką całego rodu ludzkiego musiały być chyba niepomrotnie wielkie i dał temu wyraz w rzeźbie. Zaś listki winne zrobił malutkie. Stąd oba te posągi trochę trącą pornografią. Takie samo ujęcie Adama i Ewy spotkaliśmy w Szibeniku, Dubrowniku i kilku kościołach włoskich. Ostatecznie naród, który w literaturze pięknej może się poszczycić rozkosznymi nowelkami Boccaccia⁴⁶⁷, może się również chełpić współczesnymi mu rzeźbiarzami, jego duchowymi braćmi, tak samo frywolnymi. Wnętrze katedry przekonało nas, że opowiadania o jej piękności nie były wcale przesadzone.

Mimo oglądania tych przepięknych zakątków, zjadała nas tęsknota. Chodziłem z Zosią do portu, by gryźć się na nowo każdym odjeżdżającym okrętem i pieklic wewnątrz, że to nie my odjeżdżamy nim ku Polsce. Obietnica, że w czerwcu przyjadą do nas Koziccy, pocieszyła nas nieco. Zawsze przywiozą ze sobą kawałek ojczyzny. Zabraliśmy się żwawo do przygotowania wszystkiego potrzebnego dla urządzenia kąpeli powietrznych i słonecznych na wzór veldowskich u Riklego. Szło o to, by młodzi Koziccy zagrożeni gruźlicą, mogli wyzyskać klimat dla leczenia swych płuc. Wynajęliśmy od pana Capo – Grossa jego ogród nad morzem, w odległości 20 minut drogi z naszego mieszkania. Drzewa, krzewy i winnica dawały tam cień i możliwość kąpeli powietrznych, istniejąca terasa nadawała się doskonale na kąpiele słoneczne, a brzeg morski, z niegłęboką wodą, rokował dobrą kąpiel morską.

W połowie maja wybrałem się jeszcze raz (nie przypuszczałem, że to ostatni) do Sinij. Jechałem z Czechnerem, który na upały dalmatyńskie ubrał nowe białe ubranie. Gdyśmy po kilku dniach skończyli pracę i wracali do Splitu, przejawiała się charakterystyczna cecha kroackiej gościnności. Nawet nie wspominam, że rachunek hotelowy za pokój i jedzenie wypadł bardzo skromnie. Ale nie my daliśmy służbie napiwek, tylko hotelista ofiarował mi na drogę – jak mówił, byłem jego stałym gościem – koszt z prowiantami. Po drodze, rewidując koszt, znaleźliśmy w nim chleb, ser, kurczęta pieczone, suszone owoce i butelkę czerwonego wina owocowego. Czechner, posiadacz korkociągu, zabrał się do otwierania flaszki. W trakcie otwierania kwas węglowy wysadził korek i wystrzelił pół zawartości flaszki na jego śnieżnobiały kostium. Wino koloru krwi zlało go od stóp do głów. Wyrwałem zrozpaczonemu i tracącemu głowę Czechnerowi butelkę, by ratować z jej zawartości, co się uratować dało. Wino było doskonałe, ale duszę miało „złośliwą”.

⁴⁶⁷ Giovanni Boccaccio (1313–1375) – pisarz włoski, humanista, twórca prozy włoskiej. Jego najbardziej znanym dziełem jest *Dekameron*, zbiór stu nowel, który wywarł duży wpływ na literaturę europejską.

7.

Ignacy Piętaś. Pani Dobrowolna. Wyjazd z Kozickimi do Szybeniku i wodospadu Krki. Przygoda, która mogła się tragicznie skończyć. Kąpiel słoneczna i powietrzna nie udały się. Kąpiel w Jadrze.

2 czerwca przyjechali Koziccy. Między innymi przywieźli także wesołą opowieść o głosowaniu kol. inż. Aleksandra Bogdanowicza (z naszego Biura Drogowego w Wydziale Krajowym) w czasie lwowskich wyborów uzupełniających do sejmu. Zarażony przez nas, w swoim czasie, socjalizmem, zapowiedział w biurze, że w żadnym wypadku nie będzie głosował na żadnego profesora, głos odda „Ignacemu”. Tak we Lwowie wówczas mówiono o Daszyńskim. Gdy tedy przyszedł na niego kolej głosowania, wiadomo że było jawne, wypowiedział przed komisją wyborczą, głośno i z całą powagą nazwisko swego kandydata: „Ignacy Piętaś”. Przewodniczący, uprzedzając go grzecznie, bo usłyszał mile mu w uchu brzmiące nazwisko Piętaka, reflektuje wyborcę: „Pan zapewne chciał powiedzieć: «dr Leonard Piętaś»?”. „Nie”, odpowiada niezmiśniony Oleś, „głosuję na Ignacego... Piętaka”. Przewodniczący już się irtuje: „Nie ma takiego kandydata, jest albo dr Leonard Piętaś, albo Ignacy Daszyński. Na jednego z nich trzeba głosować. Inne głosy są bez znaczenia”. „Ha! Jak mi pan przewodniczący tak każe, to już niech będzie Ignacy Daszyński!” Tak mi ten fakt powtórzyli potem naocni i nauszni świadkowie, koledzy Bogdanowicza z Biura Drogowego łącznie z Arturem Hausnerem. Daszyński słyszał tylko opowiadanie tego zdarzenia przez nie-naocznych świadków, stąd w jego pamiętniku wypadek ten inaczej opisany. Ku zdumieniu wszystkich Daszyński otrzymał wtedy 40% głosów. Świadczyło to o ogromnej popularności Ignacego w kraju, a zarazem o opozycyjnym nastroju inteligencji i mieszczaństwa lwowskiego. Od razu wionęło na nas powietrze z kraju.

Już nazajutrz wybraliśmy się koleją do Szybeniku (Sebenico). Z nami pojechał, mało mi znany, bo dopiero niedawno na miejsce Puttiego przybyły do kierownictwa kol. Dobrowolny, Polak, geometra, z matką. Pani Dobrowolna, którą zresztą wówczas pierwszy raz ujrzeliśmy, była oryginalną starszą panią, może z rodu Dulskich⁴⁶⁸. W drodze, rozpakowując swój koszyk z prowiantami, który – rzecz oczywista – sama zapakowała, robiła ogromnie zdziwione miny i wykrzykiwała co pewien czas radośnie: „A i masło jest! Patrzcie państwo! Salami się znalazło! I kaczka też! No i ser! A ot rodzynki w koszyku!” itd., dopóki nie pochwaliła się wszystkim, co z domu zabrała.

⁴⁶⁸ Dulscy – rodzina z dramatu Gabrieli Zapolskiej *Moralność pani Dulskiej*.

Po czym zaczęła się długo i szeroko rozwodzić nad perspektywami że-niaczki swego syna. Omawiała, mógłbym z czystym sumieniem powiedzieć. „Obmawiała” wszystkie możliwe kandydatki do „ręki” jej syna. Nikt z nas ich nie znał, a ona wymieniała szczegółowo imiona i nazwiska ich ojców, matek, ciotek, słowem rozstawiała całe ich familie po kątach. Ta nieładna, owa za mały kurdupeł, tamta goła jak turecka święta... Syn przerwał potok matczynej wymowy, być może, że właśnie nadepnęła na jego czułą stronę i zaczął bronić ostatniej obmawianej. „Co ty pleciesz!” – przerywa pani Dobrowolna – „co ci po szczęściu, gdy nie będziecie mieli pieniędzy?”. Matka locuta, causa finita!⁴⁶⁹ Bawiliśmy się wybornie do samego Szybeniku.

Duży port, miasto amfiteatralnie wznoszące się, częściowo jeszcze obronnym murem otoczone. Na szczycie góry zamek, prawie niezrujnowany, też murem broniony. Oglądaliśmy wspaniałą zewnątrz i wewnątrz katedrę, Adama i Ewę na bocznym portalu wejściowym, też z za małymi listkami figowymi i za wielkimi genitaliami. Główna nawa katedry, założona przez Wenecjan, jak zwykle w gotyku w formie łacińskiego krzyża, przykryta została w następnym wieku modną naonczas [s] renesansową kopułą. Nie lada majster musiał tę budowę kończyć, bo całość, bądź co bądź mieszanka gotycko-renesansowa, jest w całym tego słowa znaczeniu harmonijną, bez śladu łataniny.

Celem naszej wycieczki nie był jednak Szybenik, tylko ósmy i ostatni wodospad rzeki Krki. Tedy nazajutrz wyjechaliśmy dwoma fiakrami w stronę Skradinu, małej mieściny niedaleko wodospadu. Krka wpada tam z 42-metrowej wysokości w dół wodospadem szerokim na 100 metrów. Widok setek strumieni wodnych, lecących bezustannie w przepaść i napływających tak ciągle od wieków, ba, od setek tysięcy lat, co mówię? Od chwili ustalenia się skorupy ziemskiej, mimo woli kieruje myśl ludzką ku nieskończoności, ku owym czasom, gdy ziemia była pusta i goła, a Duch Boży unosił się nad wodami. Huk przelewającej się masy wodnej, łoskot rozbijanych na pyłek strumieni, bełkot już poskromionych, spokojnie spływających wód, ściąga nas z tych zaświatów do ziemi dzisiejszej, a pył wodny, przenikający człowieka na wskroś, przypomina chłodem i głodem pretensje ciała do jego mózgu.

Więc choć owiani czarem wodospadu, siedliśmy, by jeść, wypić, by podzielić się wrażeniami, by zabrać się do odwrotu. Obaj fiakrzy zwróceniu ku Szybenikowi, czekali na nas o pół km od rzeki na wąskiej drodze, zbudowanej tuż nad bardzo stromym zboczem skalistego głębokiego wąwozu. Po stanowiliśmy wracać ścieżyną, łagodnie wznoszącą się do góry po dnie tego

⁴⁶⁹ Parafraza sentencji łacińskiej *Roma locuta, causa finita* – Rzym przemówił, sprawa zakończona.

właśnie jaru. Młodzi Koziczcy skoczyli naprzód na górę, ku naszym pojazdom z poleceniem, aby ruszyły naprzód i posuwały się równolegle i w jednej linii z nami. Oni górą, a my doliną. Nęciła nas i perspektywa spaceru na dnie chłodnego przepaścistego [s] wąwozu i niechęć drapania się jakich 100 m do góry na drogę. Zgodnie z poleceniem, w chwili kiedy znaleźliśmy się w jednej linii z pierwszym fiakrem, ten ruszył naprzód. Za chwilę ruszył i drugi, tylko nie drogą, a wprost na łeb, na szyję po bardzo stromej – przynajmniej 60% spadku liczącej, najeżonej kamieniami zboczy [s] w przepaść! Około 80 metrów głębokości! Widocznie woźnica spał, cugle owinął koło prawej ręki, a konie same ruszyły za poprzednią dorożką. Woźnica musiał machinalnie ściągnąć cugle i skierował tym samym konie na prawo, właśnie w jar. Przerazenie odjęło nam możliwość myślenia. W kilka sekund dorożka się rozleciała. Odetchnęliśmy, bo Kozickich w niej nie było. Zad powozu z podniesioną budą koziołkując leci w dół, woźnica skacze z kozła, pada na ziemię, konie ciągną go za sobą, wleczony tłucze się o kamienie. Konie padają, dyszel się łamie i wszystko razem katurła się⁴⁷⁰ w dół. Furman w pół drogi został na jakimś kamieniu, lejce się urwały, ale wóz, ale konie spadły na samo dno wąwozu, prawie u naszych nóg. Wszystko nie trwało nawet minuty. Skamienieliśmy z przerażenia.

Pierwszy ochłonął Włodek. Krzyknął – „ratować człowieka!”. Pobiegliśmy do niego. Leżał nieprzytomny, ale krwi nie było widać. Macamy głowę. Cała. Ręce? Nogi? Całe. Przenosimy go na nieco równiejsze miejsce. Dobrowolny wlewa mu trochę wina z manierki do ust, naciera skronie, ręce, piersi. Woźnica ocknął się, siadł, wino wypił, przychodzi do siebie. Widząc, że jest tylko mocno potłuczony, biegnę z Włodkiem do koni. Rozpinamy uprzęż. Jeden koń wstaje i staje na czterech nogach. Całe! Po dłuższej chwili wstaje i drugi koń. Też nogi niepołamane. Znaleźliśmy nawet sworzeń łączący przód i zad powozu. Koła niepołamane, osie całe. Wynik tego upadku – woźnica mocno się potłukł, konie i potłuczone, i przerażone, dyszel złamany, lejce przerwane, skóra na budzie podarta. Sznurkami i sznurami się to powięzało, połatało, poprawiło. Zestawiliśmy powóz, zaprzęgli konie. Siadłem na kozioł i ruszyłem do miasta, woźnicę ułożyliśmy w środku. Ale twardy chłop, po chwili włożył na kozioł, odebrał mi cugle i bat, i jak był potłuczony przecież dowiózł nas na stację. Trzeba było szczęścia, dużo szczęścia, że Jurek i Tadzio weszli do pierwszego powozu, że woźnica wleczony jakich 40 metrów po ziemi, rozbijany o kamienie, wyszedł względnie cało, że konie, że dorożka, która po skalistym zboczu, z wysokości 80 m skaturlała się w dół, poniosła tak mały szwank. I jeszcze drobiazg – że nie spóźniliśmy się na pociąg powrotny.

⁴⁷⁰ Katurlać (przest.) – spadać, turlać.

Kąpiele powietrzne nie udały się. Brakowało chłodu, którego w czerwcu w Splicie nie było można dostać. Ani noc, ani świt nie przynosiły ze sobą rzeźwiejszej temperatury. W dzień, w cieniu, wynosiła ciepłota +25 do 28°R, a w nocy +18 do 21°. Jeździliśmy na rowerach, wśród winnic o 5 rano do ogrodu Capo Grossa, jeździliśmy o 4 rano, o 3, ba próbowali o 2^h w nocy. Chłodu jak nie było, tak nie było. Sama kąpiel słoneczna, nieopprzedzona powietrzną, tylko męczy. Przemianę materii przyspiesza tylko wielka różnica temperatury. Ciepłota morza też była wysoka. Raptem o 1° niższa, a czasem nawet od nocnej wyższa. Morze nie dawało chłodu. Zrobiliśmy doświadczenie, że czerwiec nie jest tam odpowiednią porą do tego rodzaju zabiegów. Może kwiecień byłby odpowiedniejszym miesiącem. Wobec tego spróbowaliśmy kąpeli rzecznych. Jadro było niedaleko. Po przejechaniu pełnych 5 kilometrów słoneczną szosą, przy temperaturze +35°R woda w Jadrze (+7°R) wydawała się tak lodowato zimną, jakby człowiek wlażył w zimie do przerębli. Można było tylko wskoczyć do wody, zanurzyć się i natychmiast gramolić na brzeg. Oprócz nas nikt tej kąpeli nie próbował. Miejscowi przestrzegali, że ta kąpiel to śmierć. To nas nie odstraszało, ale nie zastąpiło kąpeli powietrznych. Do Jadra ciągnął nas także sad figowy nad rzeką. Po kąpeli obżeraliśmy się świetnym owocem.

8.

Wycieczka do Dubrownika i Kotoru. Odjazd Kozickich. Nostalgia. Przeniesienie do kraju. Podróż tratwą do domu. Odjazd ze Splitu.

9 czerwca wybraliśmy się okrętem na dłuższą wycieczkę do Dubrownika i Kotoru. Uzyskałem zniżkowy bilet od Lloyd'a dla p. H. Kozickiej. Jechała jako moja matka, a jesteśmy prawie w jednym wieku. Wycieczka udała się świetnie. Przez cały czas podróży morze ciche, spokojne, gładkie jak jakiś wyolbrzymiony staw brzeżański lub tarnopolski. Dubrownik (Raguza)⁴⁷¹ był ongiś stolicą małej, ale twardej i mądrze rządzonej republiki raguzańskiej⁴⁷². Marynarze raguzańscy mieli w świecie dobrą markę, tak że nawet wielu z nich zwerbował Kolumb⁴⁷³ na swoje karawele, gdy szukając morskiej drogi do Indii, przypadkiem odkrył Amerykę, a w niej Czecha, witającego go podczas lądowania: „Ja sem tutki Pane Kolomb!”. Flota handlowa Raguzy rywalizowała na rynkach wschodnich, bałkańskich

⁴⁷¹ Raguzę zmieniono na Dubrownik w 1909 r.

⁴⁷² Republika Raguzy, Republika Dubrownicka – wolna republika kupiecka w latach 1358–1809.

⁴⁷³ Krzysztof Kolumb (1451–1506) – włoski żeglarz i podróżnik, odkrywca Ameryki.

i tureckich, przez długi czas nawet skutecznie z flotami wenecką, genueńską i neapolitańską. Silne mury i fortyfikacje, dzielność mieszkańców broniły orężem, a szczęśliwe pociągnięcia dyplomatyczne utrzymały w drodze pokojowej, mimo przewagi Bułgarów, Bizancjum, Wenecji, Węgier, Turcji i Austrii niepodległość tej stosunkowo małej, około 50 000 mieszkańców liczącej Rzeczypospolitej.

W czasie naszej wycieczki miasto liczyło 7500 mieszkańców (trochę więcej niż Skała). Za to pod względem zabytków architektonicznych i budowlanych można je śmiało porównać z Krakowem lub niemiecką Norymbergą. Stoją jeszcze – prawie nietknięte – silne, podwójne mury forteczne, baszty, wieże, śliczne obronne bramy, fosy ze zwodzonymi mostami. Pnąca się po nich jak pajęczyna roślinność uspakaja, że dziś już nie służą do ochrony miasta przed przemożną armią oblężniczą, że dziś są tylko pamiątką wielkich, pełnych chwały, górnych dni dumnego miasta. Rzeczpospolitą demokratyczną rządził kneź⁴⁷⁴ obrany (Rettore) na dwa lata, a różne Wielka, Uchwalająca i Mała Rada (wiece) tworzyły parlamentarne hamulce, przeciw możliwym dyktatorskim zakusom knezia. Dwór kneziów (siedziba rettorów) i sale zebrań owych wieców przypominały wenecki pałac dożów, w małej skali, zaś podwórza klasztorów dominikanów i franciszkanów otoczone sklepionymi krużgankami nasuwały porównanie z podworcem biblioteki Jagiellońskiej w Krakowie. Parter w starym urzędzie celnym republiki służył, już przed pięciuset laty, jako rodzaj domu ludowego. Opis katedry i 20 innych kościołów, i kaplic wymagałby sporego tomu i wiedzy historyka sztuki, dla wymienienia wszystkich dzieł Tycjana⁴⁷⁵, Rafaela⁴⁷⁶, del Sarta⁴⁷⁷ i innych słynnych malarzy włoskich w nich się znajdujących. Bardzo ładne i dostojne pomniki Gundulića⁴⁷⁸ (Dziwo Gundulić, największy poeta Raguzy w XVII wieku (1589–1638) napisał między innymi duży epos *Osman*, w którym opisał nasz zwycięski bój pod Chocimiem z Turkami w 1621 r. Wysławia w nim królewicza Władysława⁴⁷⁹, który brał udział w tej wojnie pod wodzą Chodkiewicza wzgl. Lubomirskiego⁴⁸⁰, ale udział słaby, bo zachorował. Gundulić

⁴⁷⁴ Kneź – książę.

⁴⁷⁵ Tycjan, właśc. Tiziano Vecelii (1488/1490?–1576) – włoski malarz renesansowy.

⁴⁷⁶ Rafael, właśc. Raffaello Santi (1483–1520) – włoski malarz i architekt, jeden z najbardziej uznanych malarzy włoskiego renesansu.

⁴⁷⁷ Andrea del Sarto (1486–1530) – włoski malarz renesansowy.

⁴⁷⁸ W oryginale Gundulicz. Ivan Gundulić (1589–1638) – poeta barokowy wywodzący się z Raguzy.

⁴⁷⁹ Władysław IV Waza (1595–1648) – król Polski w latach 1632–1648.

⁴⁸⁰ Stanisław Lubomirski (1583–1649) – wojewoda krakowski od 1638 r., jeden z najbardziej wpływowych ludzi w Rzeczypospolitej, od 24 września 1621 r. (czyli po śmierci Jana Karola Chodkiewicza) dowodził wojskami polskimi pod Chocimiem.

tworzył swoją epopeję z relacji współczesnych. Z czterech płaskorzeźb na cokole jego pomnika dwie odnoszą się do tego jego największego dzieła. Na jednej z nich św. Błażej⁴⁸¹, patron Dubrownika, błogosławi wojska polskie, ciągnące na Turka. Druga wyraża triumf Władysława po zwycięstwie pod Chocimiem) i Rolanda⁴⁸², przepiękne i ciekawe studnie – zwłaszcza św. Onufrego i koło Dogany – dostarczające wody z wodociągu, liczącego blisko 500 lat, wszystko wymagałoby dostojnego pióra artysty, nie mojego.

Główna ulica Raguzy Stradun⁴⁸³ (Stradun Plaza), pełna sklepów i towarów rozłożonych na ulicy, od razu wprowadza nas jakby w świat wschodni. Naczynia, szkła, garnki na wodę, nargile, stroje, dywany, kilimy, haftowane koszule, nabijane pasy, torby z mosiężnymi guzami, noże, kindżały, starzyzna, wszystko czuć egzotyka, wszystko wyroby ludowe z Dalmacji, Hercegowiny, Czarnogórza, Albanii. Niedługo mogliśmy nasycić się widokiem tych wytworów jugosłowiańskich. Zaczęła się procesja Bożego Ciała, sklepy zamknięto, towary pochowano. Zwróciło to naszą uwagę na ludzi, na ich malownicze stroje, na powieszone na nich ozdoby, filigranowe brosze, kolczyki, szpilki we włosach, na pasy i starożytną broń za pasem, na srebrne, złote monety, użyte jako guzy lub ozdoby. Widziało się jak na wystawie etnograficznej stroje narodowe wszystkich okolicznych krajów, od europejsko-międzynarodowego poczynając, a na najoryginalniejszym białym, sukiennym stroju albańskim kończąc. A ludy te rosły, piękne, śmiałe. Zachwycił nasze panie Albańczyk w eleganckim, skrojonym, bogato ozdobionym ludowym stroju z pistoletami skałkowymi i kindżałem za pasem. Istotnie, skończenie piękny mężczyzna.

Szerokim Stradunem dochodziło się do wieży zegarowej, chroniącej jedną z bram fortecznych, a stąd placami doszliśmy do dworu kneziów i katedry. Stradun jest równy jak stół, choć cały Dubrownik leży na zboczu góry św. Sergiusza. Na prawo prowadzą ze Stradomia boczne, wąziutkie, o stromych schodach uliczki w dół do morza, a na lewo takie same schodowate do murów miejskich. W tych licznych, bocznych, włoskich uliczkach, na przeciągniętych z domu do domu sznurach suszyła się bielizna. Uliczki robiły wrażenie dna skalistego wąwozu, otoczonego pionowymi cztero- i pięciopiętrowymi ścianami.

⁴⁸¹ Święty Błażej z Sebasty (?–316) – biskup, męczennik, święty Kościołów katolickiego i prawosławnego.

⁴⁸² Mowa o pomniku przedstawiającym rycerza Rolanda, bohatera średniowiecznej *Pieśni o Rolandzie*, wzniesionym w Raguzie w 1419 r. Miał symbolizować niezależność Raguzy od Republiki Weneckiej.

⁴⁸³ W oryginale Stradom. Stradun – główna ulica Dubrownika.

W mieście niewiele ogrodów, bo za dużo kamieni. Za to drogi do miasta, poza miasto, a nawet między murami, pełne palm, cyprysów, kwitnących agaw i innej całkiem południowej roślinności. Naszych drzew i krzewów prawie nie widać, choć nazwa Dubrownik wskazywałaby na istniejące kiedyś tam lasy dębowe (dubowe, dąbrowa). Nie wiem, czy znawcy starożytności lub średniowiecza nie wyciągnęli jakiegoś gada „adubrownicusa” i nie wmawiają w laików, że to od niego wywodzi się nazwa miasta. W każdym razie roślinność uświadamia nas, że znaleźliśmy się na daleko od ojczyzny położonym południu. Kwiat agawy wyrasta na pniu kilkanaście metrów wysokim. Oryginalny jest widok, częstych tam agawowych żywopłotów ze sterczącymi z nich drągami. Nie powiem, żeby był ładny. Na wyspę Larkromę patrzeliśmy tylko z daleka. Nie było czasu popłynąć do niej.

Z Raguzy posunęliśmy się do Kotoru. Droga fiordem kotorskim pełna niespodzianych widoków, fortec na niedostępnych skałach, miast, miasteczek i wsi przylepionych do skał, a często rozmieszczonych tuż nad morzem, jakby na parterze i na wysokiej skale, niby na drugim piętrze, kościółków, wystających wprost z morza na niewidocznych wysepkach. Co pewien czas ostry zakręt, wysoka góra zamyka drogę statkowi. Szukasz okiem, gdzie miasto, gdzie to Cataro? Cel twojej podróży, aż tu w bok otwiera się wolna droga, ale tylko po to, by za chwilę skały przecież barykadowały drogę. Znowu widzi się, że to tylko złuda, że to tylko ostry zakręt między górami. A góry wystają wprost z morza na 600 do 800 m. W samym Kotorze wschodnia ściana górską wznosi się na 1300 m nad morze, nad port, nad miasto. W mieście uderza przede wszystkim droga, wijąca się w nieskończoną ilość serpentyn na górę do Cetyny. Najciekawszym zabytkiem tego miasta jest niewątpliwie stary, rzymski, pogański ołtarz, utrzymany starannie przed wieżą zegarową. Tu już i stroje, i budynki, i sklepy, i towary, i rośliny – wszystko wschód. Ze zniknięciem Kroatów, a wystąpieniem na widowni Serbów, forma zewnętrzna cywilizacji europejskiej ustąpiła kulturze wschodniej. Bardzo miłym był powrót okrętem pocztowym, zawijającym po drodze do wszystkich portów na lądzie i na wyspach, tym bardziej, że na morzu zawsze było chłodniej niż na lądzie. Pełni wrażen znaleźliśmy się w gorącym Splicie.

W niecały miesiąc potem Koziccy uciekli przed gorącem do Veldes. Kozicka rozchorowała się z upałów. Siódmego lipca odprowadziliśmy ich na statek. Z nimi odjechała ta częśćka ojczyzny, któreśmy w nich widzieli. Znaleźliśmy się w najgłupszej sytuacji. Dla odmiany nie było teraz kredytów na budowę kolei do Sinij. Choć projekt kolei dawno był gotów, budowy nie zaczęliśmy. Projekty szczegółowe, nad którymi pracowaliśmy, można przecież

było robić w czasie budowy. Słońce grzało niemiłosiernie. W drodze z domu do biura i z biura do domu, trwającej najwyżej 10 minut, pociłem się tak, że surdut był na wskroś mokry od potu. Razem z upałami męczyła nas nostalgia spotęgowana świadomością swej zbyteczności, zatem bezcelowego przebywania na tym niby wygnaniu. Zapadałem w jakąś nerwową chorobę. Płakałem na widok odjeżdżających parostatków. Najgorszy był tydzień po wyjeździe Kozickich. Naraz 16 lipca wszystko się skończyło jak rękę uciął. W tym dniu nadeszło przeniesienie mnie do sekcji samborskiej budowy kolei Sambor–granica węgierska. Od razu wszystko minęło – nostalgia, choroba, smutek, podłe nastroje. Nawet gorąc przestałem odczuwać jako plagę.

W pysznych humorach wybraliśmy się z Zosią do ogrodu Capa Grossa po zostawione tam przez nas urządzenia do kąpeli powietrznych i słonecznych. Z desek zbiłem tratwę, obładowałem ją tobołem z naszymi drobiazgami i jazda morzem do domu. Droga się dłużyła, więc Zosia zepchnęła mnie do wody i starała się prędko uciec. Pływaliśmy doskonale, więc dopłynąłem do tratwy i oddałem Zosi pięknym za nadobne. Trochę wiosłując, trochę popychając statek i ciągle nawzajem spychając się do morza, dobiliśmy do portu, do rogu ulicy św. Piotra z naszym dobytkiem.

Split pożegnaliśmy 3 sierpnia, a 4-go rano odjeżdżaliśmy okrętem. Odprowadzili nas przyjaciele i koledzy. Między nimi, ku naszemu zdumieniu, zjawił się i kierownik budowy Wassnitzer. Żegnając się ze mną, zalał się łzami. „Niech pan nie myśli, że za panem płaczę”, powiada, widząc niedające się ukryć moje zdziwienie, „jestem wściekły, że to pan wraca do swej ojczyzny, a nie ja. Dlatego płaczę”.